Dlaczego Braun nie siedzi?
Wiemy, co zeznawał w sądzie ▸8



Zbrodnie kulinarne syna szkolnej kucharki
▸28



WYSOKIE OBCASY
Misia Furtak
Hejt po nikim nie spływa bez śladu



FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PLL, SHUTTERSTOCK

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Nie musimy być starzy

Katarzyna Staszak: mam 46 lat, nie planuję nadwagi, osteoporozy i emerytury

▸4



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 38

Skąd się biorą bogacze.
Z ciężkiej pracy, czy z domu?
▸12

Efekt AfD
Nie wiadomo, czy z nimi rozmawiać
▸16

Rzecki Dariusza Chojnackiego
Chciałem „Lalki" dla moich córek
▸24



FOT. KRZYSZTOF WIKTOR

Chory na Polskę
Kurski pyta Michnika
▸34

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 19-24 września 2026 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 219.11318, 1 Nakład 69 tys. + **298,5 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl 97b7b16417



Agnieszka Kublik

Hołownia wraca do gry. Na siebie

Marzenia Hołownia ma ogromne. Zwłaszcza, jak na partię, która liczy kilkuset członków. Ale to go nie zraża. Chciałby zostać szefem klubu parlamentarnego PL2050 RP, czyli okrawka pozostałego po fali odejść z Polski2050 Szymona Hołowni. To Hołownia – nie on jeden, ale jego wkład jest znaczący – odpowiada za to, że partia, która po wyborach 2023 roku miała szansę zakorzenić się w życiu politycznym, tak skarlała, że poparcie dla niej jest statystycznie nieistotne.

Jest wicemarszałkiem Sejmu. To dla niego za mało. Od lata szuka dla siebie miejsca. Chciałby znów przewodzić PL2050 RP, choć przed rokiem opuszczał partię, bo „potrzeba nowej refleksji, świeżej krwi".

Nieoficjalnie słychać, że jest potrzebny wszędzie. Mógłby zostać i wicepremierem w gabinecie Tuska – „nie zabiegam o to, ale oczywiście nie odmówię" – i ministrem bez teki, odpowiedzialnym za „bezpieczeństwo informacyjne". Mógłby zastąpić i Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz, ministrę funduszy i polityki regionalnej, i Martę Cienkowską, ministrę kultury. A przed rokiem celował w posadę Wysokiego Komisarza ONZ do spraw Uchodźców.

„Z prezydentem Nawrockim rozmawia o różnych porach, gdyż „nie uważa, że prezydent chce obalić rząd Tuska"

Hołownia jest tak przekonany o swoich nadzwyczajnych kompetencjach, że chętnie podjąłby się i roli łącznika z prezydentem Nawrockim. Trudno zgadywać, skąd czerpie tę pewność, wszak latem zeszłego roku miał negocjować z Jarosławem Kaczyńskim, co się skończyło kompromitacją samozwańczego mediatora.

Stosunki między prezydentem a rządem są klarowne – nie kohabitacja, a konfrontacja. Nawrocki jak zapowiedział, tak robi – walczy z gabinetem Tuska. Szantażuje, że pewnie, będzie podpisywać ustawy – te, które będą pisane pod niego. .

I w takiej sytuacji Hołownia proponuje w TVN24 zupełnie serio: „Musimy z prezydentem poważnie rozmawiać na etapie stanowienia prawa, co dla niego jest akceptowalne". Bo „jest w stanie rozmawiać i rozmawia i z jednym, i z drugim", „z prezydentem Nawrockim rozmawia o różnych porach" (i dostaje od niego urodzinowe prezenty), bo „nie uważa, że prezydent chce obalić rząd Donalda Tuska".

– Żyjemy w świecie, w którym, tak to już w Polsce jest nie pierwszą kadencję, często to się zdarza, że prezydent chce być premierem, a premier chce być prezydentem. I zaczynają się robić niesnaski – to diagnoza Hołowni. Częściowo trafne rozpoznanie. Nawrocki chce być prezydentem z kompetencjami premiera. Decydować o karierach sędziów czy uczonych, co wykracza poza władzę wykonawczą. Ale czy Tusk chce być prezydentem? Tak to już jest z Hołownią – wysławia się efektownie, ale w sprzeczności z faktami. Więc ma kwalifikacje na ministra. Od dezinformacji. ●

Szwajcaria
Lato schodzi z gór



FOT. PETER SCHNEIDER/PAP/EPA

Co rok w połowie września na szwajcarskim płaskowyżu Engstligenalp odbywa się uroczyste sprowadzenie krów i kóz z górskich pastwisk w doliny. Upał i susza skłoniły wielu hodowców do wcześniejszego opuszczenia alpejskich pastwisk, jednak ci z Engstligenalp dochowali tradycyjnego terminu.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Muzyka i polityka
Solo Eda Sheerana

Wolna Palestyna!" – zakrzyknął amerykański raper Macklemore podczas gościnnego występu na koncercie Eda Sheerana 4 września na stadionie MetLife w New Jersey. Wezwał do sprzeciwu wobec ludobójstwa dokonywanego przez Izrael w Gazie. Ten mocny głos nie spodobał się właścicielom stadionów, na których mają odbyć się kolejne koncerty Sheerana w ramach trasy „Loop". Brytyjski gwiazdor dostał ultimatum: albo Macklemore nie wystąpi już jako support, albo koncerty zostaną odwołane.

Izraelsko-Amerykańska Rada też zażądała usunięcia rapera z trasy, i napisała, że koncert Sheerana „nie był wiecem politycznym, protestem ani wydarzeniem aktywistycznym". Przeciwko występowi Macklemore'a zaprotestowała też Pink, amerykańska piosenkarka żydowskiego pochodzenia: „Żydzi nie przyszli na koncert Sheerana, żeby Macklemore napastował ich antyizraelską propagandą".

14 września w magazynie „Rolling Stone" poinformowano o wycofaniu Macklemore'a z trasy koncertowej. Sam Sheeran napisał, że próbował znaleźć kompromis, ale „decyzja właścicieli obiektów była ostateczna". Zaznaczył, że nie mógł zawieść fanów i że w przeciwieństwie do Macklemore'a wykorzystuje sławę do „tworzenia przestrzeni bezpieczeństwa i schronienia i utrzymywania otwartego dialogu, a nie zamykania go". I że jest „zbulwersowany konfliktem między Izraelem a Palestyną", a „cierpienie i ból po obu stronach są ludzką tragedią". Kilka godzin po oświadczeniu wszyscy artyści, którzy mieli wystąpić jako support Sheerana w USA, poinformowali, że rezygnują. „Solidaryzujemy się ze wszystkimi artystami, którzy ryzykują swoją karierę w obronie praw narodu palestyńskiego" – napisali członkowie zespołu Massive Attack. ● **Dawid Dróżdż**



FOT. KEVIN MAZUR/GETTY IMAGES

Andrzej rysuje



Cytat tygodnia

Polak lubi się śmiać z Polaka na ekranie, bo myśli, że to nie o nim



ANDRZEJ KŁAK
aktor
Cała rozmowa na wyborcza.pl

W poniedziałek w DF

Nastolatki z Ukrainy: jestem obcy tu i tu

– Ja rozumiem Polaków, że mogą być zmęczeni. Że Polak idzie swoimi uliczkami i słyszy język ukraiński i rosyjski. A jeszcze ktoś mówi nie cicho, tylko głośno. Ja bardzo dobrze rozumiem, że to Polaków może wkurzyć – mówi Arsenii.
Reportaż Jana Rybickiego



eprasa.pl 97b7b16417

Saudowie, Huti, Trump

Trójkąt saudyjski

Żadną podróżą zagraniczną Trump nie był tak podekscytowany, z żadnej nie wrócił tak zadowolony. Dlaczego postanowił upokorzyć saudyjskich gospodarzy?

Magazyn



Dobre relacje mieli z każdym amerykańskim prezydentem, gdyż relacje Waszyngtonu z Rijadem nigdy nie były specjalnie pryncypialne ani etycznie czyste. Ale Trump jawił im się od początku jako ktoś, z kim znacznie łatwiej będzie się dogadać, bez formalności i dyplomatycznych procedur, a przede wszystkim bez udawania, ceregieli. Bo mówi tym samym językiem: surowców naturalnych, handlu, wielkich pieniędzy i królewskiego blichtru.

Co do zasady diagnoza była poprawna, a Saudowie wiedzieli, jak go zadowolić. Podczas wizyty w Arabii Saudyjskiej w maju ubiegłego roku Trump nie był podekscytowany żadną inną zagraniczną podróżą bardziej niż odwiedzinami nad Zatoką Perską. Kiedy już wylądował, był zachwycony. Współpracownikom oznajmił, że Saudowie „naprawdę potrafią przyjmować gości" i podziwiał „największy pokaz ostentacyjnego bogactwa na całym świecie".

Saudowie nie tylko rozpracowali Trumpa, ale też dostali od nowej ekipy w USA doskonałe warunki do realizowania swojej strategii. Waszyngton funkcjonuje bowiem jak dwór rodem przeniesiony z renesansowej Europy, gdzie koterie dworzan zwalczają się w pałacowych intrygach, zabiegając o względy monarchy, a on sam jest synonimem państwa, którym zarządza.

Dlatego nie można mówić o realizowaniu przez prezydenta interesów strategicznych Stanów Zjednoczonych – on robi tylko to, co dobre dla niego i dla jego rodziny. Trump wprawiał w osłupienie nawet część bliskowschodnich książąt i emirów. Jeden z nich stwierdził po kilku wizytach w Waszyngtonie, że czuje się w USA „bardziej jak u siebie w domu" niż wtedy, kiedy przebywa nad Zatoką Perską.

●

Saudyjczycy w relacje z Ameryką Trumpa i z samym Trumpem zainwestowali chyba najwięcej ze wszystkich sojuszników.

Obie strony podpisały układ o zakupie sprzętu wojskowego na sumę 142 miliardów dolarów. Książę Mohammed bin Salman, zwany MBS, zobowiązał się zainwestować w bliski sercu Trumpa – bo sponsorujący jego kampanię wyborczą oraz różne prezydenckie inicjatywy – amerykański sektor technologiczny. W zamian Arabia Saudyjska miała otrzymać dostęp do najbardziej zaawansowanych modeli AI bez żadnych restrykcji prawnych, etycznych lub dotyczących bezpieczeństwa.

Potem „partnerstwo" i „rozwój relacji" odmieniano przez przypadki jeszcze intensywniej, bo MBS uzyskał dla swojego kraju tytuł „znaczącego sojusznika spoza NATO". Tyleż chwytliwy, co nieokreślony prawnie, ale wymierny finansowo. Bo Rijad zobowiązał się kupić myśliwce F-35, 300 czołgów, dać Amerykanom dostęp do metali ziem rzadkich, zasilić paliwami kopalnymi energochłonne centra danych.Przy okazji zadeklarował wielomilionowe inwestycje w prywatne fundusze inwestycyjne należące do członków rodzin Trumpa i Witkoffa.

Ciekawy jest przypadek prezydenckiego zięcia Jareda Kushnera. Formalnie nie ma żadnego tytułu, biura, zespołu. W praktyce reprezentuje USA w najważniejszych rozmowach na świecie, ostatnio z Putinem. Jednocześnie Kushner ma własny fundusz inwestycyjny, Affinity Partners, który zarządza 6 miliardami dolarów. A największym inwestorem w Affinity jest Public Investment Fund, państwowy fundusz Arabii Saudyjskiej.

Jeśli więc ktokolwiek mógł liczyć, że autentycznie kupi sobie amerykańską ochronę, to była to Arabia Saudyjska. Tym większe musi być dziś rozczarowanie i irytacja MBS.

●

W sobotę władze w Rijadzie ogłosiły, że wstrzymały działalność 1200-kikometrowego rurociągu Wschód-Zachód, stanowiącego kluczowe obejście dla wciąż zablokowanej cieśniny Ormuz.

Przed wybuchem wojny z Iranem dziennie przez Ormuz przepływało od 60 do nawet 140 statków, dzisiaj – 9 do 15. Drugorzędny przez lata, zapasowy rurociąg okazał się zbawieniem dla gospodarki królestwa. Bez ropy saudyjska monarchia absolutna nie za bardzo jest w stanie funkcjonować – mimo prób zdywersyfikowania przychodów, inwestycji w nowe technologie, turystykę, luksusową rozrywkę między 75 a 85 procent jej zysków z eksportu pochodzi właśnie z handlu ropą. A rurociąg Wschód-Zachód w ostatnich miesiącach zaspokajał nawet do 5 procent globalnego popytu na ropę.

Ale to już przeszłość, bo instalację zaatakowały drony wystrzelone z terytorium Iraku. Czyli kraju, który został całkowicie zdestabilizowany i zrujnowany przez amerykańską bezprawną inwazję z 2003 roku. Sojusznicy Ameryki obrywają więc teraz za grzechy Waszyngtonu, te dawne i te dzisiejsze.

A co gorsza, choć są sojusznikami wiernymi, bo bez Ameryki bezradnymi – odkrywają, że kiedy robi się naprawdę gorąco, nie mogą liczyć na jej lojalność.

●

W ostatnich dniach na Bliskim Wschodzie otworzył się kolejny front, który można nazwać nową wojną – bo Huti, ruch polityczno-wyznaniowo-militarny z Jemenu mający bardzo bliskie związki z Iranem, przyłączył się do konfliktu na pełną skalę.

Teheran jest sponsorem rebeliantów – choć trafniej byłoby mówić już o państwie – Hutich, zapewnia im sprzęt wojskowy, w tym drony i rakiety, paliwa oraz wsparcie dyplomatyczne. Ale teraz niedawni partyzanci pokazali, że są kreatywni, samodzielni taktycznie i umieją korzystać ze zdobyczy technologii.

Przy pomocy chatbota Claude skonstruowali własną rakietę balistyczną. Anthropic zorientował się, zamknął konta „terrorystów", ale sporą część wiedzy udało im się zachować na innych nośnikach. Co oznacza poważny problem dla Arabii Saudyjskiej, która w Jemenie jest zaangażowana militarnie od kilkunastu lat, prowadząc – kosztem kilkunastu tysięcy ofiar cywilnych – *proxy war* z Iranem.

Saudyjscy wojskowi, szkoleni w amerykańskich akademiach i na amerykańskich poligonach, prowadzą wojnę z Huti na modłę amerykańską, uznając prymat sił powietrznych nad innymi rodzajami sił zbrojnych. Innymi słowy, wierzą, że naloty załatwią sprawę

Przez ostatnie miesiące było relatywnie spokojnie, ale od początku sierpnia walki znów zaczęły pochłaniać dziesiątki ludzkich istnień. Tylko do początku września samych bojowników Huti, którzy ruszyli ku miastom kontrolowanym przez oficjalny rząd, zginęło co najmniej 500. Partyzanci zaatakowali rakietami balistycznymi bazę na terytorium Arabii Saudyjskiej, a Saudyjczycy odpowiedzieli nalotami.

●

Tu kryje się odpowiedź na pytanie, dlaczego MBS, mając tak nowoczesną, od lat trenującą z Amerykanami armię, ma takie problemy z grupą bojowników.

Nie brakuje komentatorów oceniających nieco orientalistycznie, że same petrodolary bez republikańskiego ducha obywatelskiego zbudują wojsko tylko defiladowe; że fundowany przez państwo dobrobyt nie zachęca do wymagającej poświęceń kariery w wojsku – Albo że górę wzięła plemienno-pustynna tradycja. W której poszczególni wojownicy mogli wykazywać bohaterstwo, a wodzowie pomysłowość, ale indywidualizm, duma i gorąca krew uniemożliwiają długofalowe planowanie czy koordynację działań – z czym mierzył się już Lawrence z Arabii, organizując arabskie wojsko przeciwko Turkom.

Otóż nic z tych rzeczy. Po prostu Arabia Saudyjska próbuje od samego początku konflikt w Jemenie rozstrzygnąć minimalnym nakładem sił. Dlatego używa wyłącznie lotnictwa i sporadycznych ataków balistycznych.

No i zapatrzyła się na Stany Zjednoczone, wierząc w racjonalną, naukową wręcz strategię, planowanie i zbrojenie Pentagonu. Więc saudyjscy wojskowi, szkoleni w amerykańskich akademiach i na amerykańskich poligonach, prowadzą wojnę na modłę amerykańską, uznając prymat sił powietrznych nad innymi rodzajami sił zbrojnych. Innymi słowy, wierzą, że naloty załatwią sprawę. Tymczasem coraz powszechniejszy staje się pogląd, że tylko z powietrza, bez wsparcia z lądu – a więc bez potu, kurzu, krwi i ryzyka strat – wojny się nie wygra, o czym teraz zresztą przekonują się Amerykanie w Iranie.

Jeśli dodać do tego brak doświadczenia bojowego saudyjskich dowódców i żołnierzy, źródła ich problemów w Jemenie stają się oczywiste.

●

Rozmach ostatnich działań to nowość, ale najciekawsze jest co innego: fakt, że Rijad poprosił o wsparcie największego sojusznika militarnego i partnera komercyjno-strategicznego, czyli Stany Zjednoczone – a Trump pomocy odmówił.

– Obecna amerykańska administracja bardzo niechętnie podchodzi do mieszania się w kolejną trudną, bezpośrednią konfrontację – mówi dr Robert Mogielnicki, założyciel firmy doradczej Polisphere Advisory i analityk Arab Gulf States Institute w Waszyngtonie. Dodaje, że trwający od końca lutego konflikt USA-Iran zmusił Rijad do ponownego przemyślenia swojej strategii geopolitycznej. – Saudyjczycy utrzymają bardzo głębokie związki z USA. Ale będziemy obserwować próby dywersyfikowania sojuszy i sojuszników oraz bardziej wybiórcze prośby o pomoc wysyłane do Waszyngtonu.

Pytany o politykę administracji Trumpa względem regionu, nie ma wątpliwości: – Dyplomacja ekonomiczna i umowy czysto komercyjne – na tym opiera się obecne podejście USA.

●

Ze zmian w układzie sił na Bliskim Wschodzie płynie cenna lekcja dla Europejczyków i innych krajów sprzymierzonych z USA. Okazuje się bowiem, że płacenie za amerykański sprzęt wojskowy i zawieranie wielkich umów handlowych nie gwarantuje parasola bezpieczeństwa.

Sojusznicy, nawet ci tak zwani modelowi, najbardziej lojalni, ponoszą konsekwencje błędów w amerykańskiej strategii – czy to z powodu bezsensownej wojny z Iranem, czy polityki uległości wobec Rosji – bez żadnej taryfy ulgowej. Wróg eskaluje, sprawdza, jak daleko może się posunąć – a partner USA w godzinie próby dowiaduje się, że jest sam, skazany albo na własne zdolności, albo na inne kraje.

Problem w tym, że ani Europa, ani Bliski Wschód, Japonia czy Korea Południowa nie mają wyboru, bo nadal nikt nie jest w stanie zapewnić wsparcia tak wielkiego, a przede wszystkim tak kompleksowego, jak Amerykanie.

Paradoks: z jednej strony spełnia się postulat Putina, który w słynnym przemówieniu w Monachium 20 lat temu domagał się ograniczenia amerykańskiej hegemonii, z drugiej – wciąż lepszego wsparcia niż amerykańskie nie mamy. Nawet jeśli to wsparcie coraz bardziej teoretyczne, „podpisane ołówkiem", jak propozycję umowy handlowej z USA ocenił premier Kanady Mark Carney. ●

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 97b7b16417

WAŻNY TEMAT

Czas w moich rękach



Czterdziestka to dobry wiek, spędzę w nim następne 25 lat.

Katarzyna Staszak

eprasa.pl 97b7b16417

W pewien letni wieczór 15 lat temu poszłam na przyjęcie z najlepszą przyjaciółką. Wśród gości krążył słynny fotograf. Nam też zrobił zdjęcie. Niedawno zobaczył je mąż mojej przyjaciółki. Zna swoją żonę i mnie od 10 lat. Nie mógł zrozumieć, dlaczego na fotografii wyglądamy jak starsze panie. Czy potrafimy cofać czas? Możliwe. Najpierw zrozumiałyśmy, że nie musimy być jak nasze matki.

Babcia tego nie wiedziała

Mam 46 lat, ale mój wiek biologiczny w różnych badaniach jest o wiele niższy. To nie dar od losu, to decyzja, że przerywam międzypokoleniową sztafetę śmierci z powodu osteoporozy i braku mięśni. Moja prababcia i babcia zmarły przez złamanie szyjki kości udowej, a moją mamę już boli biodro. Niestety, wciąż nie udało mi się jej przekonać do ćwiczeń siłowych, choć ciągle tłumaczę, że praca w ogrodzie i spacery nie zbudują jej ochronnego kombinezonu mięśni. Jak ważna jest taka ochrona, pokazuje historia mojej babci.

Helena miała 91 lat, gdy spadła z konstrukcji, którą stworzyła, żeby powiesić firany. Ważyła 47 kg, miała dobre wyniki badań, cholesterol i cukier w normie, bo bardzo dbała o dietę. W latach 60. XX w. lekarz powiedział jej, że smażone jedzenie jest niezdrowe, więc od tamtej pory wszystko gotowała lub piekła. Szukała ekologicznych warzyw i owoców, zanim to było modne. Przepytywała córki, gdzie dokładnie kupiły brokuły, a one z irytacją przewracały wtedy oczami.

Nikt jednak babci Helenie nie powiedział, że powinna ćwiczyć z obciążeniem. Kiedy złamała biodro, nie miała siły ani mięśni, żeby zacząć rehabilitację. Na zbyt szczupłym ciele szybko pojawiła się odleżyna, to doprowadziło do sepsy i śmierci.

Ćwiczę z ciężarkami, ale nie byłabym szczera, gdybym twierdziła, że troskę o ciało opieram tylko na tym, bo wspieram się też medycyną. Należę do pierwszego pokolenia kobiet, które w pełni może korzystać z rewolucji menopauzalnej, czyli zmiany podejścia do zdrowia kobiet. Kiedyś uzupełniało się hormony dopiero wtedy, gdy menopauza była w pełnym rozkwicie. Teraz wiadomo, że spadek estrogenów przez lata przed końcem miesiączkowania też przynosi zdrowotne straty. Terapię można więc zacząć już po czterdziestce np. w postaci dwuskładnikowej antykoncepcji. Najlepiej z bioidentycznymi estrogenami, za które ostatnio dziękowała Bogu aktorka Penélope Cruz.

Dzięki zdrowym nawykom i tabletkom hibernuję w stanie wiecznej czterdziestki. No, może nie będzie ona trwać wiecznie, bo po pięćdziesiątce zmienię leki na nieco słabsze, ale to wciąż da mi stan nieosiągalny dla mojej mamy. Ona należała do kobiet, które w 2002 roku z dnia na dzień przerwały terapię hormonalną po ogłoszeniu fałszywych wniosków o jej rakotwórczym działaniu. Odwrócenie narracji zajęło lekarzom i naukowcom prawie dwie dekady.

Terapia hormonalna obniża ryzyko osteoporozy, konserwuje organy wewnętrzne, ale też skórę, łatwiej zachować młodą twarz i ciało. Dobra wiadomość jest taka, że hormony można brać do końca życia. Ja i moje koleżanki za 40 lat będziemy więc w zupełnie innej formie niż dzisiejsze osiemdziesięciolatki.

Mężczyźni mogą teraz zapytać: A co z nami? Odpowiadam jak lekarze: Każda kobieta przechodzi menopauzę, ale nie każdy mężczyzna przechodzi andropauzę.

Andropauza to określenie potoczne, prawidłowa nazwa brzmi: czynnościowy hipogonadyzm związany z wiekiem. Część mężczyzn potrzebuje suplementacji testosteronem. Zainteresowanie tym hormonem rośnie, mężczyźni, którzy kiedyś cierpieliby po cichu, dziś mogą liczyć na wsparcie urologa. O ile do niego pójdą.

Dojrzali mężczyźni poświęcają mniej uwagi swojemu organizmowi niż kobiety. Statystyczny Polak żyje 74,7 roku, a statystyczna Polka – 82,1.

A może zostanę didżejką

Brutalna prawda jest taka: jeśli nie poświęcasz uwagi swojemu zdrowiu w połowie życia, nie zestarzejesz się lepiej niż twoi rodzice. Nie chcesz być 70-latkiem, jakim jest czy był twój ojciec? Nie chcesz przypominać na starość swojej matki? Zrób listę ich dolegliwości i zastanów się, skąd się wzięły. Jeśli nie umiesz samodzielnie odpowiedzieć na to pytanie, zapytaj lekarza. To styl życia w największym stopniu decyduje o tym, w jakiej jesteś formie. Ciało to twój dom, jeden na całe życie, innego nie będzie. Im szybciej to sobie uświadomisz, tym lepiej. Jeśli dziś brakuje ci kilku godzin w tygodniu na ruch, po sześćdziesiątce będziesz spędzać całe tygodnie w przychodniach i szpitalach. Różnica w podejściu do zdrowia dzieli ludzi bardziej niż majątek.

Symbole statusu to teraz umięśnione ramiona, płaski brzuch i wiek biologiczny niższy od metrykalnego. Leżenie na kanapie prestiżowe nie jest, życie tylko pracą – też nie.

Nie da się zapłacić za brak zawału w dniu, w którym pierwszy raz masz mieć pod opieką wnuczkę. Możesz tego zawału uniknąć, jeśli tylko zminimalizujesz czynniki ryzyka (palenie, nadciśnienie, cholesterol, cukrzyca, nadwaga, kiepska dieta, alkohol, brak ruchu, niedosypianie, stres). 99 proc. zawałów i udarów ma związek z czynnikami, które można wyeliminować – wynika z badań. Co dobre dla serca jest też dobre dla mózgu, czyli zmniejszysz przy okazji ryzyko demencji. W tym kontekście lubimy sobie opowiadać o znaczeniu genów, ale tylko kilka procent przypadków demencji ma związek z naszym biologicznym dziedzictwem. Znowu winny jest styl życia. Lub inaczej – znowu ochronnie działa styl życia.

Mózg potrzebuje ciągłych wyzwań, poważnych bodźców, trudnych zadań. Jeśli więc ktoś po czterdziestce czy pięćdziesiątce znajduje nowe hobby albo stawia sobie sportowy cel, nie mówmy o nim, że „przeżywa kryzys wieku średniego" czy „żałośnie próbuje się odmłodzić". Po prostu zbiera siły na drugą połowę życia, realizuje marzenia, które odkładał przez lata, albo daje sobie prawo do zabawy. Jak 46-letnia psycholożka i psychoterapeutka Anna Mochnaczewska, która właśnie skończyła kurs didżejowania. Teraz puszcza muzykę na imprezach dla znajomych.

Nie planuję nadwagi, osteoporozy i emerytury. Ale według urzędników zaraz będę „seniorką"

Długie życie w zdrowiu oznacza ciągłą gotowość do nauki. Prof. Marek Postuła (46 lat), kardiolog i prezes Polskiego Towarzystwa Medycyny Długowieczności, ma już tytuł naukowy i publikacje w najbardziej prestiżowych czasopismach. A jednak znowu usiadł w uniwersyteckiej ławce. Tym razem w Singapurze. To jedno z niewielu miejsc na świecie, w którym medycyna długowieczności jest osobną dyscypliną kliniczną, a nie tylko obietnicą ze slajdu na konferencji.

Lepsi z wiekiem

Dzięki badaniom dotyczącym procesów starzenia wiemy coraz więcej o możliwościach dojrzałego mózgu. Gdy naukowcy przeanalizowali cechy sprzyjające osiąganiu sukcesów, ustalili, że znaczenie mają zarówno zdolności poznawcze, jak i kompetencje wynikające z doświadczenia. „Optymalny punkt" przypada między 55. a 60. rokiem życia, w tym wieku mamy najbardziej zrównoważony zestaw zdolności.

Błędem jest więc na przykład przekonanie, że to młodzi przedsiębiorcy mają większe szanse na sukces. Z amerykańskich analiz dotyczących start-upów wynika, że 0,1 proc. najszybciej rozwijających się przedsiębiorstw założyły osoby, których średni wiek wynosił 45 lat.

Dwudziestolatki mają przewagę pod względem inteligencji płynnej, która wiąże się z szybkością reakcji, ale inteligencja skrystalizowana, która bazuje na doświadczeniu, rozwija się z wiekiem.

– Steven Zaillian miał 70 lat, kiedy napisał scenariusz i wyreżyserował dla Netfliksa serial „Ripley". Dostał za niego nagrodę Emmy. A w Polsce słyszałem opinię, że scenarzyści po pięćdziesiątce są skończeni – mówi Krzysztof Rak, autor scenariusza „Bogów" i „Sztuki kochania", wielkich kinowych hitów. Ma 54 lata i jest w okresie życiowej transformacji – założył własną firmę, zakończył długi związek, po latach wyprowadził się z warszawskiego Mokotowa. Formę trzyma, grając w tenisa i ucząc się języków.

W serialu „Powrót" Rak pokazał pięćdziesięciolatków, którzy próbują poprawić swoje życie. – Z wiekiem poczułem się odważniejszy. Uważam, że niejeden ważny projekt jest jeszcze przede mną. Widzę, jak się zmieniam, bardzo mi się to podoba, wydaje mi się, że młodnieję. Ale może to objaw kryzysu wieku średniego, tylko przełożony na filozofię, a nie kupowanie drogich samochodów. W zawodzie scenarzysty wiek nie jest przeszkodą, jest raczej zaletą, pozwala tworzyć skomplikowane opowieści i mięsistych bohaterów. Mam już doświadczenie życiowe, dzieci, widziałem śmierć kogoś bliskiego, borykałem się z problemami w relacjach – opowiada Rak.

Jeden z jego ukochanych filmów – „Pułkownik Kwiatkowski" – to dzieło zupełnie niemłodych osób. – Reżyserował 66-letni Kazimierz Kutz na podstawie scenariusza 74-letniego Jerzego Stawińskiego. Martin Scorsese ma 83 lata i wciąż pracuje. Długa praca jest możliwa, potrzebujemy tylko systemowej zachęty do dbania o zdrowie. Może Gildia Scenarzystów powinna rozdawać karnety na siłownię – żartuje Rak.

To, jak się starzejemy, zależy w dużej mierze od naszego nastawienia do upływu czasu. Jeśli uważasz, że wraz z wiekiem muszą pojawić się choroby, ograniczenie sprawności i spadek funkcji poznawczych, nie masz motywacji, by o siebie dbać.

Diana Nyad przepłynęła 177 km z Kuby na Florydę, gdy miała 64 lata – przypominają naukowcy z Uniwersytetu Yale, którzy odkryli coś przeczącego powszechnym przekonaniom. – Poprawa sprawności w późniejszym wieku wcale nie jest rzadka. Jest powszechna i powinna zostać uwzględniona w naszym rozumieniu procesu starzenia się – powiedziała prof. Becca R. Levy, główna autorka badania z udziałem ponad 11 tys. osób. Zaznacza, że jeśli uśredniamy wszystkie dane, widzimy spadek funkcji z wiekiem. Ale patrząc na indywidualne wyniki, odkrywamy zupełnie inną historię. Inaczej mówiąc: osoby, których sprawność z wiekiem spada, zaniżają wyniki dla całej swojej grupy wiekowej. A ta średnia daje mylny obraz tego, w jakiej kondycji możemy być na starość.

Moje przyjaciółki emerytki

Dla naszego zdrowia kluczowe są dobre relacje z innymi ludźmi. Dają poczucie przynależności i bezpieczeństwa, chronią przed samotnością. Przyjaciele wpływają też na to, co uznajemy za „normalne", zarażamy się od nich zachowaniami. Jeśli otaczamy się ludźmi, którzy są aktywni fizycznie, czytają książki, rzadko piją alkohol, ale często gotują – rosną szanse na to, że będziemy mieć podobne nawyki.

Patrzę na moje przyjaciółki w wieku emerytalnym i nie mam lęków związanych z rosnącym wiekiem. Danuta Dąbrowska ma 60 lat. Była wiceprezeską w firmie ECCO, a potem wprowadziła na wiele rynków biżuterię Pandora. Na emeryturze zasiada w radach nadzorczych trzech dużych korporacji, prowadzi z przyjaciółmi firmę konsultingową. Jednak, gdy ktoś ją pyta, czym się w życiu zajmuje, odpowiada: „Głównie tańczę".

Trenuje jak w „Tańcu z gwiazdami", czyli jest amatorką, a jej partner profesjonalistą. Wciągnęła się w tańce latino. Jeździ po Polsce i świecie na turnieje taneczne. – Czuję dziś mniej ograniczeń niż jako czterdziestolatka – mówi Danuta.

Inna przyjaciółka – Joanna Bujakiewicz (lat 63) – do emerytury pracowała jako redaktorka „Wyborczej". Teraz pisze teksty o archeologii, która zawsze ją interesowała. Po pandemii zaczęła realizować z mężem Piotrem (66 lat) marzenie o włoskim życiu. Wiosną i jesienią pakują do samochodu komputery oraz psa i ruszają na południe do wynajętego mieszkania. Przez co najmniej sześć tygodni żyją w nadmorskim miasteczku. Piotr jest radcą prawnym, może pracować zdalnie, czasem zakłada togę i online łączy się z sądem.

Niedawno umówiłam się z Joanną i jej córką na kolację. Moja przyjaciółka emerytka przyszła w modnej, zupełnie przezroczystej sukience. Widać było mięśnie wypracowane na siłowni.

Ile razy można się zakochać

Joanna poznała swojego męża Piotra na studiach. To coraz rzadszy przykład pary, której udało się dojrzewać razem i utrzymać uczucie.

Słynna terapeutka par Esther Perel powtarza, że mamy w życiu dwa lub trzy rodzaje związków. Tylko część z nas przeżyje je wszystkie z jedną osobą. W pierwszej relacji jesteśmy młodymi kochankami, w drugiej wychowujemy razem dzieci, w trzeciej jeste-

• Niektórych bohaterów tego tekstu będzie można spotkać na Warsaw Longevity Forum, które odbędzie się 24 i 25 listopada.

FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl 97b7b16417

śmy dojrzali, znowu wolni od rodzicielskich obowiązków. Coraz częściej na każdy etap życia wybieramy inną osobę. Nie ma już społecznej presji, żeby tkwić w związku, nawet jeśli jest niedobry. Coraz rzadziej mamy też lęki, że nie znajdziemy miłości po czterdziestce i później.

Nowe filmy i seriale pokazują, że stan zakochania nie jest zarezerwowany tylko dla najmłodszych. W komedii romantycznej „Biurowy romans" główną rolę gra 57-letnia Jennifer Lopez. W podobnych hitach z lat 90. występowały 20- i 30-latki. Wśród znajomych mężczyzn widzę, że upada tradycja wybierania na drugą żonę znacznie młodszego modelu. Zerwał z nią też założyciel Amazona Jeff Bezos. Żoną miliardera została 55-letnia Lauren Sánchez.

Mamy też przewrót na porodówkach. Liczba dzieci urodzonych przez matki powyżej 40. roku życia rośnie. W Polsce w 2024 r. stanowiły 4,5 proc. noworodków. W 2010 r. takich dzieci było 2 proc. – podaje Główny Urząd Statystyczny.

Jednocześnie zmniejszyła się skala porodów wśród nastolatek – jest ich rocznie ponad 4 tys., a w 2010 było niemal 19 tys. Matki nastoletnie w tabeli GUS zamieniły się miejscami z matkami po czterdziestce.

Dojrzałe macierzyństwo oznacza zazwyczaj korzystanie z zabiegów in vitro. Polski rząd finansuje leczenie kobietom do 45. roku życia, ale w klinikach pojawiają się coraz częściej pięćdziesięciolatki.

W USA późne rodzicielstwo stało się modne. Żartują z tego twórcy filmu „Skutki uboczne". – To moje pierwsze dziecko. Będę dzieckiem z dzieckiem. A nie mam jeszcze 60 lat. W Malibu jestem nastoletnim ojcem – mówi bohater filmu.

Czy Donald Tusk to senior? Wątpię

Jednak dla polskich instytucji 60-letni człowiek to senior. Nie znoszę tego określenia, bo próbuje zebrać w jedną grupę ludzi, których nie łączy nic prócz daty urodzenia. Poza tym przez lata słowo „seniorzy" używane było w kontekście problemów, opisywało osoby, które wymagają specjalnej opieki.

Czy seniorem jest 69-letni premier Donald Tusk, który musi odpowiadać na nieustanne kryzysy w różnych strefach czasowych? Czy seniorką jest 70-letnia gwiazda telewizji, której nazwiska wolę w tym kontekście nie wymieniać, bo mi tego nie wybaczy?

Choć otaczają nas nieseniorzy, urzędnicy Ministerstwa Zdrowia uparcie przedstawiają dojrzałe osoby jako niesprawnych starców. Na grafice informującej o szczepieniach dla osób po 60. i 65. roku życia pokazali staruszki z laskami, z nadwagą i w berecie. Resort ze „zdrowiem" w nazwie kojarzy z dojrzałością tylko brak sprawności.

Tymczasem, gdy badacze zapytali Polaków po sześćdziesiątce, dlaczego korzystają ze szczepień, usłyszeli, że powodem jest dbanie o zdrowie, żeby realizować plany i zachować niezależność. Ponad 94 proc. badanych twierdzi, że po 60. roku życia można korzystać z życia i spełniać marzenia, a codzienność w ogromnej mierze zależy od własnych wyborów.

Jeśli nie chcę używać słowa „seniorzy", muszę znaleźć coś w zamian, na przykład „ludzie dojrzali". Czy to określenie jest w porządku? – pytam Macieja Makselona, redaktora, eksperta od języka inkluzywnego i komunikacji.

Można również powiedzieć „ludzie w wieku dojrzałym", ale to rozwiązanie nieekonomiczne, trzy słowa zamiast jednego – odpowiada Makselon. I głośno myśli: – Mamy w języku polskim takie piękne określenia jak „nestor/nestorka", tylko że nestor rodu kojarzy nam się panem z siwą brodą i laską. Moglibyśmy więc może chcieć sięgnąć po rozwiązanie niewartościujące i precyzyjne „osoba 60 plus", „osoba 70 plus". Ale najprościej będzie chyba powiedzieć „osoba starsza" – mówi Makselon. Ma dopiero 36 lat i jest najmłodszą osobą w tym tekście.

Sprawdzam, czy założycielka Krajowego Instytutu Gospodarki Senioralnej wciąż jest zadowolona z nazwy, jaką 12 lat temu wymyśliła dla swojej organizacji? – Niezupełnie, bo w naszych działaniach odchodzimy od segmentacji pokoleniowej. Jesteśmy teraz absolutnie za inkluzywnością wiekową – odpowiada Marzena Rudnicka (lat 53).

Chce się rozliczyć z określeniem, którego kiedyś użyła, a które stało się popularne. – Powiedziałam „silver tsunami", a potem się z tego wycofywałam. Tsunami to katastrofa, a my przecież jesteśmy w sytuacji demograficznej, o jakiej marzyliśmy: chcieliśmy długo żyć i chcieliśmy regulować dzietność. Nie dzieje nam się żadna krzywda. Mamy to, na co zapracowaliśmy w pozytywnym sensie – zaznacza Rudnicka.

Na początku swojej działalności Instytut często bronił osoby w wieku dojrzałym przed złym światem. – Teraz częściej tłumaczymy pięćdziesięciolatkom, że świat nie jest im nic winien. Mamy rewolucję technologiczną, która redefiniuje wiele zawodów. Narzekanie w stylu: „Mam tyle lat doświadczenia i nikt tego nie docenia", nie pomoże. Wiele osób jest święcie oburzonych, że rynek pracy ich nie chce, a jednocześnie nie wykazują żadnej elastyczności, nie chcą zdobywać nowych umiejętności, aby dopasować się do dzisiejszych czasów. Wszyscy musimy brać udział w tej zmianie, kto się zatrzyma i usztywni, przegra – stwierdza Rudnicka.

Powtarza, że do emerytury trzeba się przygotować. Zadbać o zdrowie, finanse, ale też relacje. – Część osób uważa, że na emeryturze zacznie „prawdziwe życie". Nie należy jednak odkładać życia na później, bo nie wiemy, co będzie za kilka lat. Może zachorujemy, może umrze nasz życiowy partner. Samo przejście na emeryturę rzadko kiedy uszczęśliwia. Poczucie zadowolenia może wzrosnąć tylko wtedy, jeśli mamy pomysł, jak zagospodarować czas bez pracy – mówi Rudnicka.

O przygotowaniach do emerytury napisała w książce „Wpół do starości". Uważa, że Polacy za bardzo przejmują się opinią innych osób. – Wielu z nas nie potrafi wyzwolić się z obawy, „co ludzie powiedzą", i nie sięgamy po życie, które byłoby dla nas najlepsze. Ktoś nie chce już patrzeć w tabelki Excela, wolałby być ogrodnikiem. A były dyrektor na emeryturze zazdrości życia barmanom na plaży. Mógłby iść do takiej pracy, ale z lęku przed wyśmianiem czy krytyką, nie idzie. Myślenie, że zmiana w karierze musi być zawsze w górę, a nie w bok czy w dół, to pułapka – twierdzi Rudnicka.

W japońskiej firmie Mitsubishi pracownicy po sześćdziesiątce mogą być konsultantami przy projektach prowadzonych przez młodsze osoby. Osoby po 50. roku życia chętnie zatrudnia IKEA w Polsce. A sieć siłowni Zdrofit postanowiła zatrudnić dojrzałe osoby do obsługi recepcji, bo na treningi przychodzą nie tylko dwudziesto- i trzydziestolatki.

Nie ma już typowych 45-latek czy typowych 60-latków.
Wiek to spektrum. W 50. urodziny można zostać babcią albo mieć pierwsze dziecko

Opowiada o 56-letnim tłumaczu, który jest w depresji, bo na konferencjach zastąpiły go maszyny, a on był przekonany, że w swoim zawodzie dotrwa do emerytury. – W połowie życia nie można się obrażać na świat, trzeba swoje dalsze życie przeprojektować – podpowiada Rudnicka. Widuje wiele osób, które uważały, że emerytura da im szczęście, i mocno się rozczarowały.

Emerytura jako zagrożenie

Powszechny system emerytalny wprowadził w 1889 roku Otto von Bismarck, kanclerz Niemiec. – Początkowo wiek uprawniający do odbierania emerytury ustalono na 70 lat. Takiego wieku w tamtych czasach mało kto dożywał, jakieś 5-10 proc. populacji. Co by się stało, gdybyś dzisiaj projektowali system emerytalny według tych samych zasad? – to pytanie zadał Marek Lusztyn, wiceprezes mBanku, na konferencji o długowieczności. I obliczył: – Jeśli teraz przyjęlibyśmy te same kryteria, wiek emerytalny osiągalibyśmy, mając 91-94 lata.

Są osoby, które rzeczywiście potrzebują odpoczynku po sześćdziesiątce. Ciężka praca fizyczna, na nocne zmiany i z dużym poziomem stresu, może potencjalnie skracać lata życia. Jeśli jednak pracujemy bez takich obciążeń, nie musimy na kolejne 20 czy 30 lat życia całkowicie wyłączać się z aktywności zawodowej.

– Uważaj, o czym marzysz, bo może się spełnić. Chcesz spokoju na emeryturze? Na początku wszyscy go cenią, to tzw. miodowy miesiąc emerytalny. A potem coraz mniej osób dzwoni, nagle okazuje się, że jesteśmy społecznie marginalizowani – przestrzega Rudnicka.

Rudnicka doradza dojrzałym osobom szukanie kontaktów z młodszymi ludźmi. Sama ma je w pracy i na rolkach. Jeździ od ponad 30 lat. Gdy na trasie spotyka dwudziestolatków, nie mogą uwierzyć, że ta kobieta trenuje dłużej, niż oni są na świecie.

Nie ma jednego scenariusza życia

Świadomość, że życie nie kończy się po czterdziestce, pięćdziesiątce czy po sześćdziesiątce, jest wyzwalająca. Czasem chcemy od życia „wszystkiego", ale nie możemy tego mieć w jednym momencie. To bywa frustrujące, jeśli czujesz presję czasu. Ambicje zawodowe nie zawsze dają się pogodzić z życiem rodzinnym, o jakim marzysz, coś musi dostać przez pewien czas mniej uwagi. Jeśli dbasz o swoje zdrowie i wierzysz, że masz długą perspektywę czasową, możesz z większym spokojem podejmować decyzje.

Możemy na różne sposoby przeżywać swoją dorosłość. Nie ma już typowych 45-latek czy typowych 60-latków. Wiek to spektrum. W 50. urodziny można zostać babcią albo mieć pierwsze dziecko. Można bić rekordy w triatlonach albo leczyć cukrzycę spowodowaną nadwagą. Można brać pierwszy ślub albo przechodzić przez drugi rozwód. Można awansować albo zupełnie zmienić zawód. Sama data urodzenia nie jest czymś, co łączy ludzi w jednolitą grupę. Nazywa się to odejściem od chrononormatywności – nie ma już jednego „naturalnego" scenariusza życia.

Tradycyjny model trzyetapowego życia z edukacją, pracą i emeryturą dobiegł końca – stwierdzili badacze z Centrum Długowieczności Uniwersytetu Stanforda. Proponują koncepcję „Nowej mapy życia", która zakłada istnienie wielu elastycznych i mniej liniowych ścieżek prowadzących przez rozmaite role, możliwości i obowiązki.

„Przesunięcie w czasie kluczowych momentów życia daje nam więcej przestrzeni na czerpanie radości z dzieciństwa, budowanie solidnych fundamentów życia osobistego i zawodowego w okresie wczesnej dorosłości oraz – w razie potrzeby lub chęci – na zmianę kursu w wieku średnim. Taka korekta w wieku średnim przekłada się później na lepsze zdrowie, bezpieczeństwo finansowe oraz szersze możliwości aktywnego i satysfakcjonującego funkcjonowania na każdym etapie życia" – przekonują twórcy „Nowej mapy życia".

Zadają pytania: Dlaczego od 65-letnich pracowników umysłowych oczekuje się odejścia z pracy właśnie wtedy, gdy wielu z nich osiąga szczyt swojej mądrości? Czy liczba określająca wiek chronologiczny jest w ogóle najlepszym sposobem definiowania „wieku", skoro nauka oferuje tak wiele nowych narzędzi do pomiaru witalności i stanu zdrowia?

Kogo na to stać

A może wydłużenie wieku średniego i długowieczność jest tylko dla bogatych? Nie. Ja nie mam karnetu na siłownię, ćwiczę w domu, w internecie łatwo znaleźć bezpłatne treningi, trzykilogramowe hantle można kupić już za 60 zł, a ciężarki na nogi za 30 zł. Czytać można za darmo, bo biblioteki pełne są najnowszych książek. Na jedzenie wszyscy wydajemy pieniądze – pytanie tylko, co kupujemy. Polacy najwięcej pieniędzy w sklepach spożywczych wydają na mięso. Można jadać go mniej, częściej kupować tańszą i zdrowszą soczewicę lub fasolę. Znajdą się wtedy pieniądze na nietanie owoce.

Większość badań profilaktycznych da się robić w ramach NFZ. Niestety, naprawdę dużo można wydać na leczenie zębów i zabiegi poprawiające ich estetykę. Jednak tu też sporo zależy od nas. Nie zasnę bez nitkowania zębów i za dentystami powtarzam, że każdemu przydałaby się taka obsesja. To od zdrowych dziąseł zależy, jak długo zachowamy własne zęby.

Dbanie o relacje, szukanie w swoim otoczeniu inspirujących ludzi i nowych wyzwań, to też kwestia decyzji, a nie pieniędzy. Można zacząć metodą małych kroków, częściej uśmiechać się do nieznajomych, zaprosić na kawę sąsiadkę. Z przyjaciółką Danutą spotykamy się bezkosztowo – na spacerach po naszej dzielnicy.

Może się teraz zastanawiasz, czy nie jest dla ciebie za późno? Czy warto coś robić, gdy kondycja jest słaba, a wyniki badań złe? – Oczywiście, najwięcej zyskujemy, jeśli całe życie dbamy o zdrowie, najlepiej nigdy nie palić i całe życie być aktywnym fizycznie. To jak z odkładaniem pieniędzy w banku. Regularne, niewielkie wpłaty z czasem przekształcają się w solidne zabezpieczenie finansowe na zasadzie procentu składanego. Tak działają nasze dobre nawyki, zdrowotny kapitał rośnie. Gdy przydarzy nam się sytuacja kryzysowa, mamy z czego czerpać. Jeśli tego kapitału nie mamy, każdy moment życia jest dobry, żeby zacząć go gromadzić – mówi prof. Marek Postuła, kardiolog, ekspert od medycyny długowieczności i zapalony kolarz.

Rządy i instytucje powinny przebudować systemy zdrowia, ubezpieczeń i edukacji, żebyśmy mogli wszyscy cieszyć się dłuższym życiem. Zanim jednak doczekamy się urlopów na dodatkowe studia po pięćdziesiątce, sami musimy sprawdzić, czy działamy w sposób, który zapewni nam zdrowie i szczęście w drugiej części życia. Warto zadać sobie kilka pytań: Jak się czuję, a jak chcę się czuć? Kto mnie inspiruje? Kogo kocham? Kogo chcę poznać bliżej? O jakiej pracy marzę? Co zrobię, gdy moje dziecko wyprowadzi się z domu? Kim będę, kiedy wyrosnę z aktualnych ról?

Odpowiedzi mogą dać ci motywację do projektowania dalszej części życia. Benjamin Franklin powiedział: Kto zaniedbuje planowanie, planuje zaniedbanie. ●

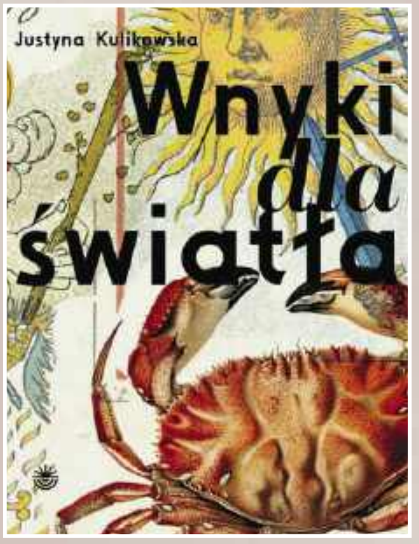
eprasa.pl 97b7b16417

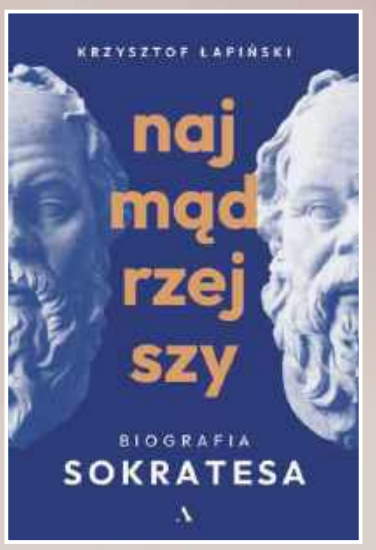
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

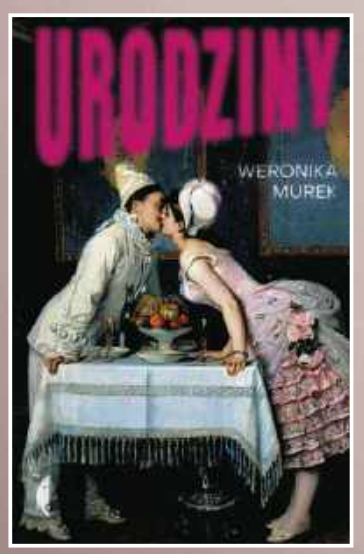
Plebiscyt Nike Czytelników

30 lat Nike
Nagroda Literacka



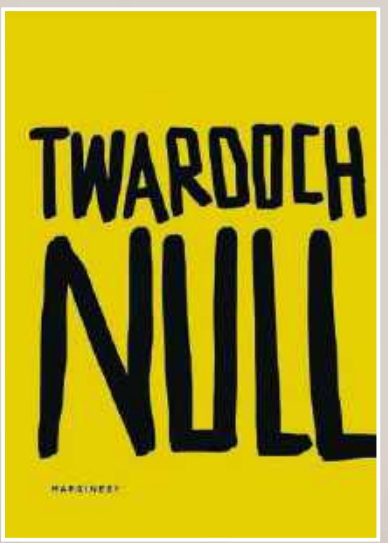












Na Wasze głosy i recenzje czekamy do 27 września

Do zdobycia nagroda pieniężna o wartości 10 000 zł.

Zagłosuj na: wyborcza.pl/plebiscytnike

REKLAMA

MECENASI STRATEGICZNI:
ROBERT DOBRZYCKI foundation
PANATTONI

MECENASI:
ORLEN
KRUK

PARTNER GŁÓWNY
FUNDATOR NAGRODY PLEBISCYTU:
TOTALIZATOR SPORTOWY
LAT

WSPÓŁORGANIZATOR GALI:
TVP

eprasa.pl 97b7b16417

KRAJ



Ja nie podpalam świata, ja go gaszę

Ani choinka, ani chanukija nie miały europejskiego certyfikatu CE. 40 godzin materiału z procesu Grzegorza Brauna wyjaśnia, dlaczego to tak trudny zawodnik.

Piotr Głuchowski

To, co państwo widzicie, to mecz Polska-Żydzi – stwierdził na wokandzie w swej sprawie europarlamentarzysta i prezes Konfederacji Korony Polskiej Grzegorz Braun.

– To, co widzimy, to raczej popis błazenady tego pana – ocenia jeden z trojga głównych świadków oskarżenia, profesor na Uniwersytecie Ottawy i współzałożyciel Centrum Badań nad Zagładą Żydów PAN profesor Jan Grabowski. – Sąd niestety na tę błazenadę daje przestrzeń.

– To, co ja widzę, to oczywiste wyreżyserowanie całej sytuacji, ale konia z rzędem temu, kto wie, co się kryje pod spodem tej reżyserii – mówi siostra oskarżonego Monika Braun.

„Nie chcę, aby mnie sądził neosędzia”

Gdy dwa lata temu reżyser i poseł jeszcze niepodzielonej Konfederacji Wolność i Niepodległość potraktował gaśnicą stojący w korytarzu Sejmu żydowski świecznik chanukowy (nie mylić z menorą), jego kariera polityczna ruszyła z kopyta. „Szeroki front gaśnicowy” – jak określa swoją Koronę – ma dziś poparcie około 10 procent i nadzieję na udział w przyszłym rządzie prawicy.

Jednocześnie jednak spadły na Brauna kłopoty: prezydium Sejmu odebrało mu parlamentarną dietę, a stołeczna Prokuratura Okręgowa postawiła zarzuty w tej i w trzech innych sprawach.

- Pierwsza: naruszenie nietykalności cielesnej dyrektora Narodowego Instytutu Kardiologii w warszawskim Aninie, byłego ministra zdrowia w rządzie PiS profesora Łukasza Szumowskiego. Antyszczepionkowiec Braun określa go mianem „terrorysty pandemicznego” i wedle oskarżenia w marcu 2022 lekko medyka poszarpał.
- Druga: zniszczenie w styczniu 2023 choinki bożonarodzeniowej ozdobionej bombkami w kolorach Unii Europejskiej, flagi Ukrainy i tęczy. Drzewko ustawili w budynku sądu w Krakowie członkowie stowarzyszeń sędziowskich Iustitia i Themis. Braun przeciągnął choinkę z korytarza do śmietnika przed gmachem.
- Sprawa trzecia: uszkodzenie mikrofonu, mównicy, laptopa i gniazda audio podczas wykładu profesora Grabowskiego w Niemieckim Instytucie Historycznym w Warszawie w maju 2023.

Polityk skutecznie przerwał prelekcję o „Polskim narastającym problemie z historią Holocaustu”, gdzie badacz Zagłady omawiał zjawisko negacjonizmu i społeczne reakcje na naukowe badanie postaw Polaków w czasie II wojny światowej. W 20 minucie wykładu poseł wstał z pierwszego rzędu widowni i na oczach osłupiałego profesora najpierw kilkakrotnie walnął jego mikrofonem o pulpit mównicy, a że nie zdołał go roztrzaskać – wyrwał kabel z głośnika i przewrócił całą kolumnę wraz ze stojakiem, nazywając Grabowskiego „oszustem” i krzycząc: „won z Polski!”.

Zarzut zagrożony najwyższą karą (do lat pięciu) obejmuje zgaszenie 12 grudnia 2023 chanukiji i naruszenie nietykalności stającej w obronie lichtarza warszawskiej lekarki Magdaleny Gudzińskiej-Adamczyk, która uczestniczyła w zorganizowanym przez chasydów z Chabad-Lubawicz sejmowym upamiętnieniu rekonsekracji drugiej Świątyni Jerozolimskiej „jako Żydówka i Polka” (jej słowa).

Proces zaczął się przed Sądem Rejonowym dla Warszawy-Pragi Południe w grudniu 2025, po tym, gdy Sejm i europarlament, gdzie oskarżony zasiada od dwóch lat, uchyliły mu immunitety.

- Skarżą dwaj prokuratorzy: Artur Wańdoch i specjalizujący się w zwalczaniu sieciowego hejtu Maciej Młynarczyk. Towarzyszy im pół tuzina oskarżycieli posiłkowych – między innymi mecenas Hanna Gajewska-Kraczkowska (pełnomocniczka Iustitii) i Konrad Dulkowski z Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, który nie ma wykształcenia prawniczego, jest za to podejrzanym we własnej sprawie kryminalnej – ciążą na nim zarzuty milionowego oszustwa, o czym nie o

eprasa.pl 97b7b16417

• Bronią trzej mecenasi: Krzysztof Łopatowski (przewodniczący Korony w Lubuskiem oraz przegrany w ostatnich wyborach konfederacki kandydat na posła), mniej znany Mariusz Ratajczak z lubuskiej Nowej Soli i pułkownik rezerwy Dariusz Raczkiewicz z Warszawy. Ten ostatni jako prokurator wojskowy oskarżał polskich komandosów w sprawie masakry w afgańskim Nangar Khel.
• Orzeka 37-letni Marcin Brzostko, który nominację sędziowską otrzymał na wniosek Krajowej Rady Sądownictwa ukształtowanej przez PiS w 2017 roku. Z tego powodu Braun zażądał wyłączenia Brzostki, nazywając go neosędzią i zarzucając stronniczość, gdyż ten odrzucił jego wstępny wniosek o zwrot sprawy do prokuratury ze względu na „skandaliczne uchybienia".

Poza prawnikami w niewielkiej, dusznej sali bez okien tłoczy się około 50 zwolenników Korony. Nie mieszczą się na krzesłach – część godzinami stoi. Wspierają polityka cichymi oklaskami i pomrukami aprobaty. Sędzia często ich uspakaja. Regularnie przychodzą:
• umundurowany na zgniłozielono nawrócony hazardzista i szef straży przybocznej oskarżonego Dariusz Sierhej, nawrócony hazardzista z paramilitarnej organizacji Bronimy Polskiej Granicy;
• umundurowany na czarno patostreamer-kryminalista, lider Kamratów, w dawnym życiu niespełniony aktor Wojciech „Jaszczur" Olszański;
• dawny promotor Olszańskiego z nacjonalistycznego kanału eMisja, bijący się w klatkach niegdysiejszy kochanek żony polityka PiS, obecnie alt-rightowej celebrytki influencerki Marianny Schreiber – Piotr Korczarowski;
• Janusz Korwin-Mikke – to w jego podwarszawskiej willi „Jaszczur" ze swoim giermkiem „Ludwiczkiem" nagrywali latami nienawistne programy;
• członkini jaszczurowego ruchu Kamratów, była modelka pisma dla mężczyzn „CKM" i uczestniczka programu „Top Model" a obecnie wspierająca Rosję i Iran aktywistka Korony Samuela Torkowska;
• inny zwolennik Moskwy i Teheranu, były skinhead-poganin, potem działacz lepperowskiej Samoobrony i założyciel partii Zmiana, od lat sądzony za domniemane szpiegostwo na rzecz Kremla gwiazdor mediów rosyjsko-białoruskich doktor politologii Mateusz Piskorski;
• patostreamer Rafał Mossakowski, autor podcastów typu „Hitler założycielem Izraela", który w roku 2018 rzucił pomysł ustanowienia kary śmierci za aborcję;
• wreszcie członek Zmiany i współpracownik Piskorskiego, także goszczony z honorami w Rosji Tomasz Jankowski – inicjator akcji „NATO won z polskich stron", który niedawno założył w Polsce promoskiewską jaczejkę o przewrotnej nazwie Komitet Ukraiński.

Prócz nich na sali rozpraw i przed gmachem przy Terespolskiej pojawili się w ciągu ostatnich 10 miesięcy mężczyźni przebrani za średniowiecznych rycerzy, XVII-wiecznych husarzy, za antyterrorystów, za górali. Przynoszą gaśnice samochodowe i ich powiększone modele; wznoszą transparenty z hasłami „Proces polityczny" i „Murem za Grzegorzem Braunem"; odmawiają różaniec, śpiewają Rotę, organizują pod sądem konferencje prasowe.

Jeden z tak zwanych gaśniczaków – mazowiecki przedsiębiorca Władysław Bołoz – przebrał się za Żyda-ortodoksa, by rozweselić salę. Sędzia Brzostko wyprosił go, lecz aktywista Korony nie posłuchał. Dostał 2500 złotych grzywny i musiała go wyprowadzić policja.

Kolejne rozprawy – dotychczas odbyło się 12, w planach jeszcze co najmniej trzy – nagrywa i wrzuca do sieci sam Braun i kilku youtuberów, między innymi wywodzący się z ONR i Młodzieży Wszechpolskiej Marcin Rola, autor książki „Garbate nosy. Kulisy judaizacji", którego ABW umieściła na liście osób szerzących rosyjską dezinformację.

Dzięki zbierającym po ćwierć miliona wyświetleń podcastom Roli i Brauna obejrzałem dotychczasowe wokandy – około 45 godzin nagrań.

Byłem już karany za niewinność

Przemawia głównie oskarżony – wedle mych obliczeń zajął 60 procent czasu. Negocjuje terminy poszczególnych rozpraw, dowodząc, że „służba polskiego posła do parlamentu europejskiego" jest równie ważna, jak praca sędziego. Komentuje wypowiedzi świadków zwanych przezeń „fałszywymi oskarżycielami". Składa wnioski formalne i obficie je uzasadnia. Snuje historiozoficzne i religioznawcze refleksje.

– Szczęść Boże. Jestem oskarżony przez zawodowych Żydów i szabesgojów, autorów festiwalu insynuacji i polowania z nagonką wobec mnie… – zaczął jedną z pierwszych wygłaszanych niskim, modulowanym

• Grzegorz Braun w drodze na przesłuchanie w krakowskim oddziale IPN, 25 sierpnia br.
FOT. JAKUB WLODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

głosem przemów. Zakończył ją wnioskiem o wyłączenie prócz sędziego także i prokuratorów. Sąd się nie zgodził, po czym oskarżyciel Artur Wańdoch wstał i wymienił zarzuty:
• znieważenie Łukasza Szumowskiego jako funkcjonariusza publicznego poprzez werbalne oskarżenie go o nietrzeźwość w miejscu pracy i dalszą próbę obywatelskiego zatrzymania oraz emisję nagrania całej akcji w sieci;
• uszkodzenie sądowej choinki w Krakowie i sprzętów w niemieckim instytucie wycenionych odpowiednio na 1408 i 2569 złotych;
• na koniec „publiczne znieważenie grupy ludności z powodu jej przynależności wyznaniowej poprzez obrażenie przedmiotu czci religijnej polegające na zgaszeniu przy użyciu gaśnicy zapalonych świec chanukowych" a także naruszenie nietykalności uczestniczącej w spotkaniu chanukowym lekarki Gudzińskiej-Adamczyk „poprzez skierowanie w jej stronę gaśnicy z substancją proszkową, co skutkowało lekkim uszczerbkiem na zdrowiu w postaci rozstroju nerwowego w okresie poniżej siedmiu dni".

Proszony o ustosunkowanie się Braun wyjawił wpierw swoje dane: urodzony w Toruniu w 1967 roku syn Kazimierza i Zofii z domu Reklewskiej, zamieszkały w Starej Wsi pod Warszawą, żonaty ojciec trójki dzieci, wykształcenie wyższe, obywatelstwo polskie („i proszę odnotować, że wyłącznie polskie"). Zarobków osiąganych w europarlamencie nie ujawnił („są adekwatne do mej pracy"). Pytany o majątek odparł: – Posiadam sporo książek.

Zapewnił, że nie leczy się psychiatrycznie, neurologicznie ani odwykowo.

Sąd: – Czy był pan karany?

Zwolniony wcześniej z instytutu kardiologii kierowanego przez Szumowskiego pracownik techniczny pochwalił interwencję poselską oskarżonego, zeznając, że wcześniej profesor przymuszał personel do szczepień

Braun: – Owszem, w analogicznych sprawach byłem już karany za niewinność.

Faktycznie polityk ma na koncie dwa procesy: przegrany karny i trwający cywilny.
• W pierwszym za wyłamanie kciuka policjantowi podczas demonstracji zaprzyjaźnionej partii Narodowe Odrodzenie Polski został ukarany dwutysięczną grzywną.
• W drugim – po jego stwierdzeniu, że istnienie komór gazowych w Oświęcimiu budzi wątpliwości – sąd wydał „zakaz publicznego rozpowszechniania ustnie i pisemnie informacji godzących w dobre imię i wizerunek Muzeum Auschwitz-Birkenau".

Pytany podczas obecnego procesu czy się przyznaje do winy, odparł: – Nie przyznaję się i nie zasługuję na karę. Działałem w zgodzie z obowiązkami, które nakłada na mnie mandat posła (…). Staję przed tym sądem dlatego, że ośmieliłem się występować w obronie moich rodaków-Polaków przed uciskiem reżymu covidowego, przed pedagogiką wstydu uprawianą bezczelnie przez Niemców i to w centrum Warszawy! Oraz przed rytualnym manifestowaniem żydowskiej supremacji na terenie RP w miejscu tak kluczowym, jak Sejm. Chociaż zostałem już oskarżony i skazany na śmierć cywilną przez media i władzę, pozwolę sobie złożyć wyjaśnienia…

Najpierw sędzia odczytał zeznania podsądnego złożone w śledztwie:

„to Łukasz Szumowski w trakcie mej interwencji poselskiej posunął się do działań gwałtownych wobec mnie, miażdżąc moje ramię za pomocą drzwi, co nastąpiło, gdy usiłowałem udaremnić jego ucieczkę z własnego gabinetu po tym, jak powziąłem uzasadnione jego nieświeżym oddechem podejrzenie, że znajduje się w stanie nietrzeźwości";

„w krakowskim sądzie eksponowano symbole propagandowe w postaci bombek choinkowych, zwracała uwagę emblematyka LGBT+ oraz obcego państwa i obcej organizacji co jest sprzeczne z zasadą apolityczności sądu (…) po wyniesieniu tych rekwizytów z gmachu umieściłem je w miejscu najbardziej odpowiednim";

„na prelekcję Grabowskiego wybrałem się ze względu na to, że była współorganizowana przez wydział historii Uniwersytetu Warszawskiego, instytucję finansowaną z budżetu państwa (…) siedząc w pierwszym rzędzie, po wysłuchaniu pierwszych tez przejąłem – a nie wyrwałem, jak podają media głównego ścieku – mikrofon, działając w stanie wyższej konieczności, aby położyć kres kłamliwym atakom na mój naród i państwo, bo taki był przekaz [profesora]".

Podsumowanie: „W każdym z przypadków działałem w sytuacji odczytanej przeze mnie jako zamach na państwo i naród polski (…). Postawione mi zarzuty stanowczo odrzucam, tym bardziej że reakcje moich wyborców upewniają mnie w przeświadczeniu, iż postąpiłem słusznie" (aprobujący pomruk sali).

„Zwracam jednocześnie uwagę, że to inne osoby [lekarka i były minister] dopuściły się wobec mnie przestępstwa polegającego na utrudnianiu mi wykonywania mandatu posła. Niniejszym wnioskuję o ściganie mej fałszywej oskarżycielki Gudzińskiej-Adamczyk z urzędu, ponieważ jej działanie [w obronie chanukiji] to jest popchnięcie mnie, oplucie i kopnięcie, miało charakter napaści na funkcjonariusza publicznego w mojej osobie. Dodam, że umieszczenie świecznika w zamkniętym ciągu komunikacyjnym Sejmu stanowiło również naruszenie przepisów przeciwpożarowych".

Trzeba by wglądu do jego serca

– To trudna do rozsądzenia sprawa – mówi mi profesor-karnista z Trójmiasta, jedyny spośród proszonych przeze mnie o komentarz prawników-naukowców i praktyków, który zgodził się (anonimowo) przeanalizować sytuację procesową Brauna.

– Sąd musi się wznieść ponad proste rozstrzygnięcie: jaką karę wlepić za bombki, jaką za rozstrój nerwowy, a jaka powinna być kara łączna?

Problem przypomina fikcyjny casus człowieka, który zastrzelił sąsiada, bo sądził, że niedźwiedź się skrada. Kluczowy jest tutaj motyw. Szlachetny – ochrona rodziny – czy niecny? A zatem: czy pan Braun działa ze swoiście rozumianych pobudek patriotycznych, czy też buduje popularność, cynicznie wykorzystując immunitet poselski i najbardziej wrażliwe tematy, jak stosunki polsko-żydowskie, mniejszości seksualne, relacje z Ukrainą, polityka historyczna… jest nacjonalistą-idealistą czy hochsztaplerem? Wiele wskazuje na to drugie.

– Wszystkie incydenty zostały sfilmowane i wrzucone do sieci przez jego współpracowników.

– Właśnie… to wskazuje na inscenizację dla poklasku środowisk skrajnej prawicy. W procesie karnym wątpliwości należy jednak rozpatrywać na korzyść podsądnego i jeśli prokuratura nie wykaże, że dopuścił się czynów z niskich pobudek, a sędzia nie nabierze co do tego pewności… wyrok może być zaskakująco łagodny.

Także siostra Grzegorza – Monika Braun, aktorka, pisarka i wykładowczyni – uważa, że motywy brata są sednem problemu. W kwietniu 2025 odcięła się publicznie od jego działalności i poglądów. W tym samym roku zdradziła w programie TVN, że poddała się badaniom genetycznym, z których wynika, iż oboje z Grzegorzem mają oprócz polskich również korzenie bałkańskie, holenderskie, duńskie i żydowskie.

– Wszyscy by chcieli wiedzieć, jakie są motywacje, które kierują moim bratem – zaczyna. – Tymczasem nie wie tego nawet najbliższa rodzina, ponieważ on nie uchyla ani rąbka ze swojego wnętrza.

– A wedle pani: nacjonalista-idealista czy hochsztapler?

– Być może w teatralnej formie manifestuje coś, co sam uważa za patriotyzm. A tak w ogóle: on to lubi. Bycie gwiazdą, może i specyficzną, ale jednak.

– Zasięgi to głosy w wyborach.

– Tylko czy to jest cyniczne tak do końca? Nie umiem odpowiedzieć z całkowitą pewnością. Trzeba by wglądu do jego serca, a ja nie wykluczam, że on serca nie ma. Jest lekko socjopatyczny.

„Powodowani rasistowską ideologią Żydzi mordują"

O zwrócenie uwagi na motywacje oskarżonego zaapelował również obrońca Łopatowski. Pod koniec pierwszej wokandy przypomniał, że 12 grudnia 2023 na korytarzu Sejmu poza świecznikiem chanukowym stał portret nieżyjącego już rabina Chabad Lubawicz Menachema Mendla Schneersona. To właśnie urodzony w 1902 roku w ukraińskim Mikołajowie siódmy rebe Lubawiczerów zainicjował zwyczaj zapalania chanukiji w miejscach publicznych, w tym w parlamentach.

– Ponieważ motywacja oskarżonego Brauna determinuje stopień społecznej szkodliwości jego czynu, wnoszę o odczytanie niektórych słów rabina Schneersona, gdyż są one ważne dla oceny celu, w jakim działał oskarżony, widząc ten portret – zawnioskował adwokat.

eprasa.pl 97b7b16417

Sędzia odrzucił wniosek, ale Braun i tak odczytał z ławy oskarżonych fragment pism siódmego rabina Chabad:

– Dyktuję do protokołu w trybie spontanicznego zeznania: „Ciało osoby żydowskiej jest całkowicie innej jakości, niż ciała przedstawicieli narodów świata. Różnica jest tak wielka, że ciała te należy uważać za całkowicie odmienne gatunki. Jeszcze większa różnica istnieje w odniesieniu do duszy: mamy dwa przeciwstawne rodzaje dusz. Dusza nieżydowska pochodzi z trzech sfer satanicznych, natomiast żydowska – ze sfery boskiej. Rzeczywistość nie-Żyda jest marnością".

– Tak, tak, szanowni państwo – tu Braun ukłonił się publiczności – mamy fałszywą teologię i wywiedzioną z niej fałszywą antropologię... a jaką mamy praktykę? Oglądamy ją w sprawozdaniach z Gazy, gdzie powodowani tego typu rasistowską ideologią Żydzi mordują Palestyńczyków jako nie-ludzi.

Dlatego wyeksponowanie w Sejmie portretu Schneersona jest dla mnie tym samym, co ekspozycja portretów Hitlera i Stalina.

– Schneerson był rasistą? – pytam profesora Jana Hartmana, któremu Braun także próbował kiedyś przerwać wykład.

– Jako niereligijny Żyd mogę nazwać cytowane teksty rabina głupimi i haniebnymi. Podobnie rasistowskie, czy homofobiczne cytaty można jednak znaleźć także w tradycji islamskiej albo chrześcijańskiej. By pojąć te dywagacje na temat różnych rodzajów ciał i dusz, trzeba by wejść głęboko w chasydzki mistycyzm, chasydzkie egzaltacje. Oni się rzeczywiście czuli wybrańcami.

– ...i czują nadal. Chabad ma dziś 200 tysięcy wyznawców. Więcej niż kiedykolwiek.

– Mnie to wszystko jest obce. Uważam, że w Sejmie nie powinno być żadnych symboli religijnych. No ale skoro wisi tam krzyż, to może stać chanukija. Jest przecież symbolem radosnym, pamiątką cudu, w który wierzą też chrześcijanie.

Wedle części interpretatorów Ewangelii Świętego Jana chanukę obchodził już Jezus. Sam cud miał nastąpić około 165 lat przed jego narodzinami, gdy Żydzi odzyskali drugą Świątynię z rąk syryjsko-helleńskich Seleucydów. Przywódca żydowskiego powstania Juda Machabeusz dokonał wówczas jej rytualnego oczyszczenia, ale odnaleziono tylko jeden dzban oliwy zabezpieczonej pieczęcią arcykapłana. Taka ilość powinna starczyć na utrzymanie świątynnego płomienia przez dobę, lecz ogień cudownie płonął przez dni osiem.

– Piękna opowieść, lecz nie podoba mi się, że Chabad w ogóle wchodzi do polskiego Sejmu – mówi dalej Jan Hartman. – To raptem gałąź chasydyzmu, prywatne stowarzyszenie religijne. Lepiej było poprosić o zapalenie świecznika naczelnego rabina Polski Michaela Schudricha, który jest odpowiednikiem nuncjusza apostolskiego. Wtedy to by była oficjalna żydowska impreza.

– A nie zebranie sekty, jak ich na wokandach określa Braun?

– W judaizmie trudno mówić o sekcie, bo to słowo oznacza oddzielenie, a Żydzi nie mają instytucjonalnego Kościoła, od którego mogliby się oddzielać.

„Lekarze znają sposoby na zbicie gorączki alkoholowej"

Rozprawa druga była ponad dwugodzinnym wystąpieniem Brauna, który najpierw obraził prokuratora („hucpiarz", „bezczelny kryminalista"), potem poskarżył się na media, które „relacjonując proces – linczują", wreszcie przeszedł do dalszego demaskowania Chanuki:

– Uroczystość, która została podstępnie wprowadzona do Sejmu RP, nie była aktem religijnym, ale celebracją żydowskiego triumfalizmu nad nie-Żydami (...). Kiedy mój prapradziad Reklewski szedł na Moskwę z Napoleonem, założyciel Chabad rabin Szneur Zalman z Liadów oddawał swoich chasydów w roli siatki wywiadowczej pod komendę Moskali. W toku dalszych dziejów owi chasydzi – i ogólnie Żydzi – wielokrotnie dawali przykłady obojętności lub wrogości wobec sprawy polskiej. A miłe Polakom postacie jak Jankiel z „Pana Tadeusza" albo Berek Joselewicz pod Kockiem to czysta literatura, albo kłamstwo.

– Czy rzeczywiście? – pytam profesora Andrzeja Chwalbę, historyka specjalizującego się w XIX wieku.

– Żydzi zamieszkujący porozbiorową Rzeczpospolitą służyli jako wywiadowcy zarówno armii carskiej, jak i polskim władzom w trakcie obu powstań szlacheckich. Ta społeczność chciała mieć dobre relacje z każdym. A Berek to nie literatura, tylko prawda. Był inicjatorem utworzenia pułku lekkiej kawalerii podczas insurekcji kościuszkowskiej i ci Żydzi się znakomicie bili. Syn Berka walczył w powstaniu listopadowym, z kolei ministrem skarbu Rządu Narodowego w powstaniu styczniowym był Żyd Henryk Wohl – carat skazał go za to na karę śmierci zamienioną potem w dożywotnią katorgę na Syberii – tłumaczy autor „Chama i Pana".

– Natomiast w ostatniej fazie zrywu styczniowego, gdy Rosja była już górą, z jej armią współpracowali zarówno polscy chłopi, jak i polscy Żydzi. Jedni i drudzy pomagali w wyłapywaniu ostatnich powstańców.

> „Działałem w poczuciu zagrożenia, że celebracja talmudycznego rasizmu doprowadzi [i w Polsce] do odrąbywania czy roztrzaskiwania głów, co już ma miejsce w Gazie"

W połowie dwugodzinnej mowy oskarżonego sędzia poprosił o „zakończenie tych historycznych opowieści" i „odniesienie się do zarzucanych czynów", na co Braun po dyskusjach przystał. Powtórzył, że nie dotknął ani nie obraził słownie Gudzińskiej-Adamczyk. Zaapelował o odtworzenie przed sądem nagrań z korytarza Sejmu, ale Brzostko ma zamiar to zrobić w późniejszej fazie procesu.

Obejrzałem nagrania, jest ich kilkanaście. Najlepsze – nakręcone prawdopodobnie przez asystenta Brauna i pokazujące akcję od chwili uruchomienia gaśnicy – można znaleźć pod setkami adresów z całego świata, między innymi na youtubowej stronie brytyjskiego „Guardiana" i w serwisie Reuters. Opisuję 40-sekundowy materiał klatka po klatce:

• Braun podnosi gaśnicę, uruchamia ją i idzie w kierunku świecznika, rozpylając biały proszek;

• pomiędzy posła i gaszony lichtarz wbiega doktor Gudzińska, chwyta wyższego o dwie głowy posła pod łokieć i próbuje odciągnąć, gaśnica cały czas chodzi, oboje są biali od proszku, polityk się wyrywa;

• kluczowa 14. sekunda – Braun kieruje dyszę gaśnicy na lekarkę, która zasłania się lewą ręką i jednocześnie na niego krzyczy;

• w dwudziestej sekundzie poseł odstawia butlę, otrzepuje dłonie, poprawia mankiety koszuli i z trudem łapie oddech, bo się najadł proszku;

• potem pochyla się nad jeszcze wzburzoną kobietą, spokojnie jej słuchając, podczas gdy straż marszałkowska tworzy wokół kordon.

Przed sądem: – Hucpa polega na tym, że zostałem napadnięty, a tu zarzuca mi się napaść.

Podobnie opisał interwencję w placówce „pisowskiego aparatczyka Szumowskiego". Poszedł do jego kliniki po informacjach od pracowników, że „muszą się szczepić na COVID pod groźbą utraty pracy". Powziąwszy podejrzenie co do trzeźwości dyrektora, wpierw ścigał go po budynku, a potem wezwał policję z alkomatem, lecz ta przybyła dopiero po godzinie i „nie kwapiła się do badania", które ostatecznie wykazało, że były minister jest trzeźwy. Braun do wyniku podchodzi jednak sceptycznie, bo „lekarze znają sposoby na zbicie gorączki alkoholowej".

– Stwierdzenie trzeźwości Szumowskiego traktuję jako efekt zaniechania, opieszałości i przewlekłości w działaniu policjantów.

Na temat wyrzuconej choinki mówił najkrócej: – Przebywając jako świadek w krakowskim Sądzie Okręgowym, zostałem poinformowany, że stoi tu drzewko świąteczne z emblematami sodomitów, chodzi mi o tęczę z niepełnym spektrum barw. Uznałem to za obrazę sądu i moich uczuć religijnych i przywróciłem sądowi w Krakowie stan powagi. Mam nadzieję, że mój czyn dał do myślenia rodakom-Polakom: kim są sędziowie Themis i Iustitii? Bo na pewno nie są to polscy sędziowie.

Po kilku kwadransach: – Dziś świeczki chanukowe z Warszawy stoją w jednym rządzie z krakowskimi bombkami: to jest szeroki front, który atakuje polskość i normalność. Rozstrzygnięcie, jakiego dokona w tym procesie wysoki sąd, może zatrzymać proces autodestrukcji polskiej państwowości.

Po tych słowach podsądny zerknął na zegarek i poinformował sędziego, że musi kończyć, bo leci do Brukseli.

Ja nie podpalam świata, jak Żydzi, ja go gaszę

Pod koniec drugiej rozprawy pełnomocniczka Iustitii zaproponowała zamknięcie przewodu dowodowego: – Z wyjaśnień oskarżonego wynika, że się do czynów przyznaje, a cała reszta to tylko tworzenie wiecowej atmosfery. Oskarżony nie patrzy na sąd, jak wynika z regulaminu, tylko na publiczność a większość jego wypowiedzi to mnożenie synonimów i ataki polityczne. Wzywanie kolejnych świadków jest ponad potrzebę.

Sąd odrzucił wniosek. Zgodził się natomiast, by główny świadek oskarżenia, czyli Gudzińska-Adamczyk, zeznawała zgodnie ze swą prośbą online, przeciw czemu zdenerwowany Braun zaprotestował na trzeciej rozprawie, nazywając postawę „fałszywej oskarżycielki" żydowską bezczelnością, której jest ofiarą. Przemawiał przeszło trzy godziny.

– Teraz każdemu Żydowi wolno oskarżyć każdego goja o dowolne bezeceństwo, po czym rezerwować sobie luksus powtarzania kłamstw nie do oczu oskarżonego, ale w jakimś zaciszu. A przypominam, że w Talmudzie istnieje imperatyw kłamania przeciwko gojom, jeżeli rozstrzygnięcie mogłoby szkodzić Żydom...

Na dowód wyciągnął z torby traktat kabalistyczny Szneura Zalmana „Likkutei Amarim" zwany księgą Tanja (nie jest częścią Talmudu). Pokazał książkę zebranym i zapewnił, że pozwolenie na składanie fałszywego świadectwa przeciw nie-Żydom wynika właśnie z niej.

– Niczego takiego tam nie ma – mówi mi doktor Wojciech Tworek z Katedry Judaistyki Uniwersytetu Wrocławskiego, autor wydanej przez State University of New York książki „Eternity Now. Shneur Zalman of Liady and Temporality". – Księga Tanja nie zajmuje się w ogóle gojami, a tym bardziej świadczeniem przeciwko nim w sądach. Braun naczytał się antysemickich publikacji z lat 20. i 30. ubiegłego wieku. To fantazmaty.

W dalszej części trzeciej wokandy oskarżony mówił jeszcze o „żydowskich zbrodniach na palestyńskich dzieciach" a potem o izraelskiej „napaści purimowej na Iran":

– Żydzi napadają na ludzi, jak Gudzińska-Adamczyk na mnie! Ci ludzie z księgą Tanja pod pachą są niebezpieczni! Na szczęście dzięki mojej akcji szeroki świat dowiedział się, że nie wszyscy Polacy są szabesgojami, sługami narodu żydowskiego. Bo gdybyśmy takimi byli, moglibyśmy w przyszłości zostać pociągnięci do odpowiedzialności za współudział w zbrodniach państwa położonego w Palestynie...

– Te dywagacje w mojej ocenie nie mają już niczego wspólnego z meritum sprawy – próbował przerwać sędzia.

Braun: – Dziękuję za wyrażenie opinii przez wysoki sąd, pozwolę sobie mieć inne zdanie. Ja nie podpalam świata, jak Żydzi, ja go gaszę. Ważne, aby wysoki sąd to zrozumiał: jak bardzo realny jest scenariusz zniewolenia i poddania Polaków woli żydowskich ludobójców, którzy zajmują się przecież także handlem ludźmi...

Tu wyjął z torby kolejną książkę – o żydowskich handlarzach słowiańskimi niewolnikami we wczesnym średniowieczu – lecz sędzia zarządził przerwę. Po niej uspokojony polityk obiecał odnieść się do reszty stawianych zarzutów „w telegraficznym skrócie" co zajęło mu jeszcze ponad sto minut.

Omówił zawyżone jego zdaniem ceny zniszczonych w Krakowie bombek i przeanalizował „tempo amortyzacji choinki", po czym oburzył się na istnienie „w sercu Warszawy" instytutu, gdzie „Niemcy i Żydzi uprawiają politykę wstydu wobec Polaków" a pomaga im w tym „antypolonita Grabowski który uzyskał tytuł profesora dzięki spychaniu na Polaków win za niemieckie zbrodnie z II wojny światowej".

– Kiedy ten osobnik wykładał o mordowaniu Żydów przez żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, musiałem zareagować, bo inaczej moi walczący za Polskę przodkowie nie przyznaliby się do mnie na tamtym świecie. Mam dzięki temu poczucie dobrze spełnionego polskiego obowiązku, a innych obowiązków poza polskimi i katolickimi nie mam.

Dlaczego Judyta odcięła głowę Holofernesowi

Ostatnią godzinę trzeciej wokandy wypełniły pytania stron do oskarżonego. Nic nowego nie wniosły. Wreszcie w połowie rozprawy czwartej przy barierce dla świadków stanął twórca Centrum Chabad Lubawicz w Warszawie, rabin Dow Ber Stambler. Na wniosek obrony sąd odebrał odeń przyrzeczenie prawdomówności, po czym urodzony w Izraelu duchowny nieco łamaną polszczyzną wyjaśnił genezę Chanuki („święto wolności religijnej", „wspomnienie sukcesu Machabeuszów") i przyznał, że był osobiście inicjatorem uroczystości, w której ze strony władz Sejmu uczestniczył wicemarszałek Piotr Zgorzelski z PSL. On też zapalił na początek środkową z dziewięciu świec, co jest ważne, ponieważ zwie się ona szames, czyli pomocnik – co zdaniem Brauna oznacza, że kto ją podpala, jest pomocnikiem Żydów.

Stambler temu nie zaprzeczył. Przed sądem wyjaśnił, że po tym, kiedy sam przeniósł płomień na pozostałe osiem świec i wyrecytował stosowne błogosławieństwa, zgromadzeni przeszli do sali obok na męskie modlitwy, chanukowe pączki i placki ziemniaczane.

– Niestety to zostało zepsute, nie skończyło się ładnie, a w sercach ludzi pozostała trauma.

Obrońca Łopatowski: – Czy [Lubawiczerowie] modlą się słowami: „Dziękujemy ci Boże, że wydałeś silnych w ręce słabych, nieczystych

eprasa.pl 97b7b16417

w ręce czystych, występnych w ręce sprawiedliwych"?

Stambler: – Te słowa mówimy w trakcie modlitwy Amida podczas Chanuki, w synagodze. Ja nie widzę w nich nic nie w porządku. Był cud, gdy mała grupa [Machabeuszów], która nie miała żadnych doświadczeń w prowadzeniu bitew... i oni wygrali, i to jest cud!

Po tych słowach oskarżony wyjaśnił sądowi, że w efekcie zwycięstwie w 165 roku zeszłej ery „wygrani koszerni wyrżnęli pokonanych niekoszernych" i dlatego właśnie święto Chanuki „jest takie groźne". Po czym zapytał Stamblera: czy zna księgę Tanja? Rabin potwierdził, określiwszy ją jako „Biblię chasydyzmu".

Braun: – Jak zatem świadek postrzega różnicę między Żydami a nie-Żydami?

Sędzia: – Uchylam. To nie ma znaczenia dla rozstrzygnięcia w sprawie.

Zdenerwowany Braun: – Ma decydujące znaczenie! Istotą rozpatrywanej tu sprawy jest rasistowski charakter kultu, który został wprowadzony do Sejmu...

Sędzia: – Odbieram panu głos.

Braun nie dał się jednak uciszyć. Stwierdził, że to w ramach machabejskich porachunków z „niekoszernymi" Judyta odcięła głowę Holofernesowi (co nie jest prawdą):

– Tak właśnie wyglądają klimaty, w których się tutaj poruszamy (...). Działałem w poczuciu zagrożenia, że celebracja talmudycznego rasizmu doprowadzi [i w Polsce] do odrąbywania czy roztrzaskiwania głów, co już ma miejsce w Gazie. Dziękuję.

Po Stamblerze zeznawała pracownica gminy żydowskiej Halina Marcinkowska, która przedstawiła się jako znawczyni judaizmu i ponownie opisała sejmowy incydent. Oskarżony nie miał do niej jednak pytań w sprawie Chanuki, interesowało go: czy kobieta zna średniowieczną żydowską haggadę „Toledot Jeszu"?

Jest to anonimowy hebrajski tekst przedstawiający Jezusa jako oszusta i czarnoksiężnika, syna Żydówki zgwałconej przez rzymskiego legionistę Józefa Pandera – ojca Jeszui, którego imię haggada przedstawia jako akronim hebrajskich słów: „niech jego nazwa i pamięć zaginą".

Marcinkowska: – Wiem, co to jest za księga, ale jej nie czytałam.

Braun: – A co świadek w ogóle wie na temat tej księgi?

– Znam tytuł, nie znam treści.

– W takim razie: co oznacza słowo „Jeszu" w tytule?

– Nie wiem.

Braun: – Świadek bezczelnie kłamie! Proszę, by odebrać przyrzeczenie od świadka, który wcześniej powoływał się na swoją akademicką wiedzę [na temat judaizmu], a teraz wykręca się sianem w kwestii oczywistej!

Sąd przysięgę odebrał. W jej trakcie Marcinkowska założyła ręce za plecami i splotła palce, co nie uszło uwadze podsądnego.

– Wysoki sądzie, dlaczego na czas roty ta pani trzymała ręce za sobą?

Świadek: – Bezwiednie to zrobiłam.

W tym momencie oskarżony poinformował Brzostkę, że krzyżowanie rąk i palców towarzyszy składaniu przez Żydów fałszywych przysiąg przed nie-żydowskimi sądami i wedle Talmudu gest ten rozgrzesza z kłamstwa.

Sąd się wyraźnie zaciekawił: – Czy pani zrobiła coś takiego, żeby móc kłamać?

Marcinkowska: – Oczywiście, że nie.

Doktor Wojciech Tworek: – Po pierwsze, Talmud nie jest kodeksem postępowania karnego tylko zbiorem dyskusji rabinów, więc twierdzenie, że „Talmud mówi...", czy „Talmud nakazuje..." jest bez sensu. Nie ma w Talmudzie żadnej pełnej, koherentnej i obowiązującej wykładni prawa. Jest tam natomiast opinia III-wiecznego talmudysty Raw Huny, wedle której nie należy składać zeznania w sądzie, jeśli jest się jedynym świadkiem w sprawie o pieniądze. To zastrzeżenie wynika z przekonania, że do wydania sprawiedliwego wyroku w takiej kwestii powinno być przynajmniej dwóch świadków.

Po drugie: przekonanie, że Żydzi mają jakieś tajemne znaki, jest śmieszne, a bierze się z pomieszania fantazji na temat Żydów i masonów. I zabawniejsze: wielu religijnych Żydów za żadne skarby nie skrzyżuje palców, bo krzyż jest symbolem chrześcijańskim. Jeżeli już, to prędzej będą „trzymać kciuki".

Ulokowanie plastikowego drzewka w koszu jest zniszczeniem czy tylko przemieszczeniem

Resztę czwartej wokandy wypełniły zeznania świadków, z których część potwierdziła tezy obrony: uroczystość chanukowa nie miała charakteru religijnego (choć Braun mówi o kulcie), była spotkaniem niezarejestrowanego w Polsce związku wyznaniowego. I to lekarka chwyciła za ramię Brauna, a nie odwrotnie.

W trakcie rozprawy piątej oskarżony zrównał „żydowskich rasistów z Chabad" z „ukraińskimi rasistami z SS-Galizien" i zawnioskował (tak samo jak wcześniej strona przeciwna) o „zakończenie tego bezsensownego postępowania": – No a prywatnie jakby wysoki sąd powiedział mi, że zachowałem się jak trzeba, to ja bym się z sądem zgodził.

Brzostko: – Nie ma możliwości zamknięcia sprawy bez rozpoznania wniosków dowodowych, także tych, które złożyli pana obrońcy.

Szóstą wokandę podsądny zaczął więc od krytyki oskarżyciela Młynarczyka, który w jednym z wywiadów radiowych miał stwierdzić, że „Braun z nienawiści, uprzedzeń i półprawd zrobił sobie sposób na pozyskiwanie wiernych".

– To jest przecież obraza wysokiego sądu... osądzenie mnie i skazanie, i wykonanie medialnego wyroku przez prokuratora, którego mam za szumowinę i kanalię!

– Proszę zamilknąć! – sędzia po raz enty zagroził Braunowi wyrzuceniem z sali.

Dalej zeznawała między innymi aktorka-buddystka Ewa Bukowska („M jak miłość", „Ojciec Mateusz"), która opisała swój udział w sejmowej uroczystości i przerażenie jej rozbiciem przez polityka. Braun potraktował ją jednak łagodnie:

– Aktorzy są szczególnie pięknymi i wrażliwymi dziećmi Bożymi, a pani Bukowska, nieświadoma rasistowskich i zbrodniczych treści kryjących się za Chanuką jest po prostu kolejną ofiarą sekty, która kłusuje w naszym życiu publicznym.

Na wstępie rozprawy siódmej wstał oskarżyciel Młynarczyk.

– Oskarżony w trakcie procesu wychodzi ze swojej roli i usiłuje oskarżać: prokuratorów, sąd, naród żydowski. Co gorsza, oskarża również świadków, sugerując im deficyt intelektualny. Taka praktyka może mieć wpływ na treść zeznań. A w interesie państwa polskiego leży, aby świadkowie nie bali się przychodzić do sądu. Tymczasem po przedarciu się przez korytarz pełen zwolenników oskarżonego słyszą z jego ust nie pytania, ale zarzuty. Dlatego proszę sąd o pouczenie pana Brauna o możliwości trwałego wydalenia z sali rozpraw ze względu na zakłócanie przezeń powagi sądu i porządku czynności procesowych. Będzie siedział na korytarzu.

Obrońca Ratajczak: – Kodeks postępowania karnego pozwala oskarżonemu składać oświadczenia w każdym czasie. Ja wiem, panie prokuratorze, że taki oskarżony jest trudny, ale on tylko korzysta ze swoich uprawnień.

– Jeżeli mamy prowadzić proces inkwizycyjny, to może sprowadźmy Brauna do piwnicy i go zastrzelmy – dodał mecenas Łopatowski:

Braun: – Ponawiam wniosek o wyłączenie pato-prokuratora Młynarczyka, który reprezentuje banderowski, ukropoliniacki reżym!

Ukro-Polinem Braun nazywa obecną Polskę.

Sędzia: – Wypraszam oskarżonego z sali na pół godziny.

Braun: – Sąd łamie prawo!

Po jego wyjściu (i powrocie) reszta siódmej rozprawy upłynęła na analizie wartości „krakowskiej parodii choinki" (Braun) i ręcznie malowanych bombek oraz roztrząsaniu: do kogo i w jakim procencie należały, a także jaki był stopień ich amortyzacji w chwili umieszczenia w śmietniku?

Rozprawa ósma przebiegła zaś wśród sporów o to, czy ulokowanie plastikowego drzewka w koszu czubkiem w dół było zniszczeniem czy tylko przemieszczeniem i czy policjanci legitymujący posła w związku z tym wydarzeniem zachowali się zgodnie z prawem.

Czy pan musi mówić, że świadek jest wariatem?

Na wokandzie dziewiątej zeznawał profesor Szumowski. Przyznał, że w początkach roku 2022 istotnie wymagał od pracowników w kierowanym przez siebie instytucie szczepienia na COVID, natomiast związana z tym faktem interwencja Brauna była „agresywna", bo towarzyszący posłowi asystenci bez pozwolenia filmowali dokumenty w dyrektorskim gabinecie, a kiedy lekarz musiał go opuścić, by przyjąć umówionego chorego, usłyszał „łapać pijaka!" i zaczęła się awantura.

Profesor: – Towarzyszące oskarżonemu osoby rozbiegły się po klinice, zapanował chaos i szaleństwo.

Kolejne dwie godziny wokandy zajęło odtwarzanie zdarzeń: kto wszedł bez pozwolenia i gdzie? Po czym nastąpiły przepychanki słowne w sprawie obowiązkowych szczepień, ich skuteczności lub szkodliwości, sensu noszenia maseczek, polityki zdrowotnej państwa i tak dalej. Wreszcie Braun spytał:

– Czy świadek jest alkoholikiem?

Szumowski beznamiętnie: – Nie.

– Czy świadek może powiedzieć wysokiemu sądowi, w jakich ilościach i jak regularnie przyjmuje alkohol?

Sędzia: – Uchylam to pytanie.

Do końca dziewiątej rozprawy nie zdarzyło się już nic nadzwyczajnego, poza tym, że oskarżony nazwał sędziów Iustitii i Themis „degeneratami, których należy osądzić i przykładnie ukarać", po czym zwrócił uwagę, iż ani choinka, ani chanukija nie miały europejskiego certyfikatu CE, Conformité Européenne, a zatem nie powinny być eksponowane w budynkach użyteczności publicznej.

Rozprawa dziesiąta nie przyniosła nic ciekawego. Na jedenastej (4 września) pojawiło się dwoje pracowników instytutu w Aninie. Asystentka dyrektora Szumowskiego opowiedziała o agresywnym zachowaniu Brauna w lecznicy i zaprzeczyła, aby opuszczający gabinet, profesor zmiażdżył drzwiami ramię reżysera – „widziałam wolną przestrzeń pomiędzy ręką posła a framugą". Zwolniony wcześniej z instytutu pracownik techniczny Marek Basiak pochwalił natomiast interwencję poselską oskarżonego, zeznając, że wcześniej profesor Szumowski przymuszał personel do szczepień, przez co kilkoro opornych utraciło pracę.

Braun – jak po niemal każdym zeznaniu – dokonał rekapitulacji zeznań, chwaląc Basiaka i określając asystentkę „kłamcą albo osobą niespełna rozumu", co znowu wywołało sprzeciw prokuratora Młynarczyka, który złożył wniosek o ponowne usunięcie oskarżonego z sali.

Sędzia: – Panie oskarżony, zapytam tak po ludzku: czy pan musi mówić, że świadek jest wariatem?

Braun: – Niczego takiego nie stwierdziłem, proszę sprawdzić w protokole. Ja tylko zbudowałem alternatywę względem pani asystentki: albo wariatka, albo przestępca. Pełnia władz umysłowych każe mi stwierdzić, że nie ma trzeciej możliwości.

Po Basiaku wystąpił uczestniczący w interwencji szpitalnej asystent Brauna, który zapewnił sędziego, że ręka interweniującego została przez Szumowskiego zmiażdżona i osobiście widział siniaki na poselskim ramieniu.

Kolejny świadek – wicedyrektor kliniki w Aninie – złożył zeznanie przeciwne: to Braun atakował, a profesor jedynie umykał przed agresją.

Na wokandę dwunastą, 11 września, oskarżony przyszedł o lasce. Po zeznaniach dwóch kolejnych pracownic z Anina wskazał różnice między ich słowami a tym, co wcześniej zaprotokołowali funkcjonariusze i oskarżył policję o wytwarzanie fałszywych protokołów, domagając się od sędziego szybkich aresztowań wśród funkcjonariuszy.

Brzostko wniosek odrzucił, na co Braun zarzucił mu łamanie praw podsądnego i „kneblowanie" obrony: – Zostałem poddany przez organa ścigania specjalnemu traktowaniu, czyli Sonderbehandlung. Na sali sądowej trwa kombinacja operacyjna przeciwko mnie. To przypomina lata pięćdziesiąte, stalinowskie.

Następnym świadkiem była dawna asystentka Brauna, która nagrywała interwencję w Aninie. Stwierdziła, że polityk nie szarpał Szumowskiego, za to dyrektor kliniki szarpał towarzyszącego Braunowi „dziennikarza społecznego" i przyszłego posła Konfederacji Grzegorza Płaczka, któremu wyrwał telefon.

Jednocześnie przyznała, że stojąc w gabinecie lekarza, nie poczuła od niego alkoholu. Przeciwnie zeznał dwie godziny później inny asystent polityka, Adam Kania: „odór alkoholu był silny i unosił się w całym gabinecie" a pochodził „z zasłoniętych maseczką ust Szumowskiego".

– To był zapach alkoholu wykwintnego. To nie była wódka, tylko lepsiejsze.

Sędzia: – A była to woń alkoholu wczorajszego, czy dzisiejszego?

Świadek: – Ewidentnie, że dzisiejszego. Jestem z rodziny, że tak powiem alkoholowej i się na tym znam.

Dalszy ciąg zeznań: nietrzeźwy profesor złośliwie rzucił aparatem Płaczka o podłogę (pękł ekran) a krótko później „zaczął się ewakuować" i celowo „zakleszczył" w otwieranych na kartę drzwiach rękę posła, który za nim ruszył.

– Gdy pan Szumowski uwolnił rękę Grzegorza Brauna, drzwi się zatrzasnęły i więcej pana Szumowskiego nie widziałem (...). A kiedy wezwaliśmy patrol z alkomatem, przyjechali bez alkomatu i musieli wzywać kolejny radiowóz.

Jan Hartman: Nie byłoby Brauna bez Polaków antysemitów

Na ostatniej we wrześniu rozprawie ma się pojawić trzeci główny świadek prokuratury – profesor Grabowski.

– Postanowiłem przylecieć z Kanady i zaświadczyć prawdzie, bo to mój obywatelski obowiązek – mówi mi naukowiec. – Nigdy przez 40 lat pracy nie zdarzył mi się podobny incydent jak ten wywołany przez oskarżonego. To nie było zniszczenie sprzętu elektrycznego, ale zamach na wolność badań naukowych i tak to zamierzam przedstawić. Martwi mnie jednak, że proces odbywa się w cieniu nadchodzących wyborów. Prokuratorzy i sędzia mają prawo przypuszczać, że oskarżają i sądzą przyszłego ministra. A tacy ludzie jak Braun długo pamiętają swe krzywdy.

Profesor Hartman: – Nie chodzi o to, czy Braun jako jednostka jest zły, agresywny, zawzięty. Nie on, to przyjdzie ktoś inny. Nie byłoby takich Braunów bez 10 procent antysemitów w Polsce.

Pod koniec sierpnia prokuratura postawiła Grzegorzowi Braunowi kolejne zarzuty, między innymi:

- zerwanie flagi Ukrainy z budynku urzędu w Białej Podlaskiej;
- podeptanie i podpalenie flagi UE w Katowicach;
- zniszczenie plansz tworzących wystawę poświęconą społeczności LGBT w korytarzu Sejmu.
- W osobnym postępowaniu śledczy chcą przedstawić politykowi zarzut naruszenia nietykalności cielesnej Gizeli Jagielskiej, znanej lekarki, która przeprowadzała aborcje w Oleśnicy, jednak Braun od pół roku skutecznie unika przesłuchania.

Prokuratura Generalna skierowała więc do przewodniczącej Parlamentu Europejskiego wniosek o wyrażenie zgody na zatrzymanie i przymusowe doprowadzenie. ●

eprasa.pl 97b7b16417



RICHARD BAKER/GETTY IMAGES

NEPO BABIES i KOWALE

Jeśli masz bogatych i wykształconych starych, to niemal na pewno będziesz bogaty i wykształcony – **prawda czy fałsz?**

Kamil Fejfer

Jedną z głośniejszych gwiazd polskiego show-biznesu jest ostatnio Helena Englert, córka Jana Englerta i Beaty Ścibakówny. Ma 26 lat, a już zdążyła zagrać główną rolę w serialu HBO #BringBackAlice (i wiele pomniejszych ról), nagrywa płytę i bryluje w „Tańcu z gwiazdami". Studiowała między innymi w Nowym Jorku.

Dziewczyna jest podręcznikowym przykładem nepo baby (od „nepotism baby") – osobą, która odziedziczyła wysoką pozycję społeczną. To nie znaczy, że nie jest zdolna. Oznacza to, że miała fory w wobec innych podobnie zdolnych dziewczyn, które jednak nie miały szczęścia urodzić się w tak wysoko sytuowanej rodzinie. Artystka nie ukrywa bynajmniej swojego pochodzenia, zdaje sobie sprawę z uprzywilejowanej pozycji.

Jeżeli orbitujecie w okolicach klasy średniej lub średniej wyższej, to prawdopodobnie znacie takich właśnie ludzi. Może nawet sami nimi jesteście? Dobrze urodzeni, niemal zaprogramowani na sukces zawodowy i ekonomiczny. Rodzice wzięci artyści, inteligenci, biznesmeni posiadający sieć sklepów, piekarni, firmę reklamową, a może dużą firmę sprzątającą.

Nie ma wątpliwości, że dobre urodzenie ułatwia w życiu wiele rzeczy. A świetne urodzenie powoduje, że będziemy mieć niemal na pewno świetne życie. W 2024 roku światowe media obiegła informacja, że żaden miliarder poniżej 30. roku życia nie doszedł do swojej fortuny własną pracą. Każda osoba, która nie wkroczyła w czwartą dekadę życia, a została miliarderem, stała się nim z dziedziczenia. Inaczej mówiąc – żadna z nich nie zasłużyła na obrzydliwe bogactwo. Zostawiam na boku pytanie, czy ktokolwiek „zasługuje" na bycie miliarderem.

Informacje jak powyższe stanowią silny fundament opowieści o tym, że bogatym stać się można głównie przez – jak to mawiają socjologowie – reprodukcję klasową i pomnażanie kapitałów, które w danej rodzinie płyną od pokoleń.

Mówiąc w mniej akademicki sposób – jeśli masz bogatych (i wykształconych) starych, to niemal na pewno ty sam będziesz bogaty (i wykształcony). A jeśli masz biednych rodziców – to podzielisz ich los.

Schwarzenegger. Kowale własnego losu

Istnieje jednak inna opowieść o genezie obecnej struktury społecznej. Być może nawet bardziej rozpowszechniona. Jest to narracja o kowalach własnego losu. Ileż to razy od celebrytów słyszeliśmy, że zaczynali z niczym. I przynajmniej w przypadku niektórych naprawdę tak było.

Jednym z lepszych przykładów jest Arnold Schwarzenegger, bohater dzieciństwa wczesnych milenialsów (chyba wyłącznie chłopców). Arni dorastał w Austrii w niewielkiej wsi Thal. Jego dawny dom można dzisiaj zwiedzać.

Choć budynek jest całkiem spory, to trudno go nazwać luksusowym. W domu się nie przelewało. Ślepa toaleta na półpiętrze – przez dłuższą część dzieciństwa Arnolda w ustępie nie było wody – dobrze obrazuje warunki, w jakich dorastał przyszły gubernator Kalifornii. Dodatkowo senior Schwarzenegger był człowiekiem – jak to się eufemistycznie mówi – porywczym.

Dzięki zamiłowaniu do trenowania młody Schwarzenegger zdobywał tytuł za tytułem w kulturystyce w kolejnych krajach Europy. W wieku 21 lat niemal bez grosza i słabo znając angielski, przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. Pracował na budowie, uczył się języka i morderczo trenował. W końcu i tam stał się gwiazdą kulturystyki. Później: aktorem, biznesmenem, a w końcu politykiem naprawdę wysokiego szczebla. Szacuje się, że obecnie jego majątek przekracza miliard dolarów.

Na YouTubie można znaleźć wiele jego mów motywacyjnych. I w tym akurat przypadku – nawet jeśli są nieco podkręcone – trudno nie uwierzyć w ich przesłanie. W końcu jest miliarderem, który w dzieciństwie załatwiał potrzeby w toalecie bez bieżącej wody.

Kariery od niezamożnego chłopca z austriackiej wsi na dach świata jednak się zdarzają. W ramach tej narracji ludzie są zamożni dlatego, że ciężko (lub mądrze) pracują. Dlatego że się nie poddawali, dlatego że systematycznie dążyli do celu.

Zwolennicy każdej z tych opowieści bywają ślepawi na jedno oko. I nie przyjmują słusznych przecież argumentów drugiej strony.

Zobaczmy więc, jak wyglądają twarde dane na poparcie jednej i drugiej tezy. I gdzie są punkty styczne obu narracji. Czy więc ciężką pracą ludzie się bogacą? Czy może to klasa społeczna, z której pochodzimy, determinuje to, ile zarabiamy? Inaczej mówiąc – czy to ty głównie decydujesz o tym, ile masz na koncie? Czy karty zostały rozdane, zanim się urodziłeś?

Ostrzegam, że będzie sporo danych. Mam jednak nadzieję, że po przeczytaniu tego tekstu sporo sobie ułożycie w głowie. Ja – pisząc go – ułożyłem sobie naprawdę niemało.

Miejscem urodzenia ludzie się bogacą

Najpierw widok z bardzo wysoka. Okazuje się, że najwyższe dochody osiągają obywatele tych krajów, gdzie pracuje się... najmniej.

Według opracowania Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD, The Organisation for Economic Co-operation and Development) zrzeszającej 38 najbardziej rozwiniętych państw świata w 2023 roku (najśwież-

eprasa.pl 97b7b16417

sze dane) najmniej przepracowali Niemcy – niecałe 1340 godzin w skali roku.

Do tej liczby OECD zlicza czas przepracowany przez pełnoetatowych pracowników, osoby zatrudnione na część etatu, płatne i bezpłatne nadgodziny oraz „prace dodatkowe". Z rachunków wyłączone są zwolnienia chorobowe, płatne urlopy wypoczynkowe czy urlopy macierzyńskie.

Kto w tabeli czasu pracy znalazł się niedaleko Niemiec? Dania – tam średniorocznie pracownik spędził na zadaniach zawodowych niecałe 1370 godzin. W Norwegii było to 1390 godzin, w Szwecji o 40 godzin więcej.

A które państwa były po drugiej stronie tabeli? Najwięcej pracowano w Kolumbii – niemal 2250 godzin. W Meksyku było to ponad 2230, w Kostaryce – 2170 godzin. Jako żywo nie kojarzymy Kolumbijczyków czy Meksykanów z wysokimi zarobkami.

Kowalski średnio przepracowywał 1810 godzin rocznie. To sporo; taki wynik plasował nas znacznie bliżej najbardziej zapracowanych niż tych, którzy mieli więcej wolnego.

Tutaj dwa słowa wyjaśnienia. U nas długi czas pracy bierze się – po pierwsze – z dużej domieszki wśród pracujących osób prowadzących działalność gospodarczą. A po drugie – z powodu niewielkiego odsetka osób pracujących na część etatu.

Jeślibyśmy przyglądali się tylko tym, którzy pracują na pełen etat, to Polska plasowałaby się delikatnie powyżej średniej zarówno wśród krajów OECD, jak i w Unii Europejskiej.

Charlie Giattino i Esteban Ortiz-Ospina, analitycy platformy Our World in Data, przyjrzeli się temu samemu zagadnieniu, biorąc pod uwagę również kraje znacznie biedniejsze niż te zrzeszone w OECD. W artykule „Do workers in richer countries work longer hours?" („Czy pracownicy w zamożniejszych państwach pracują dłużej?") zestawiają czas pracy i dochody mieszkańców Szwajcarii i Kambodży.

Zauważają, że przeciętny Szwajcar jest 15 razy bogatszy niż przeciętny Kambodżanin. Jednocześnie w tym drugim państwie pracuje się około 2500 godzin rocznie, o 900 dłużej niż w Szwajcarii.

Badacze zestawili czas pracy oraz PKB na głowę w kilkudziesięciu krajach. Odwrotna zależność jest bardziej niż wyraźna.

Tam, gdzie PKB jest mniejsze, tam pracuje się znacznie, znacznie dłużej.

Oczywiście są pewne państwa wyłamujące się z trendu. Dla przykładu w Singapurze – mimo PKB na poziomie 82 tys. dolarów międzynarodowych (sztuczna waluta stworzona do porównań międzynarodowych) – rocznie pracuje się po 2300 godzin. To jednak wyjątek.

Wyobraźmy sobie pracownika straganu w Tajlandii harującego kilkanaście godzin i pracownika marketu w Norwegii pracującego kilka godzin. Możemy się domyślić, którego stać na lepsze życie.

Sprowadzenie więc kwestii dochodów czy – mówiąc szerzej – zamożności kraju do stwierdzenia, że „dobrobyt bierze się z pracy", absolutnie nie wytrzymuje testu rzeczywistości. Już wiecie, że jeżeli ktokolwiek u cioci na imieninach będzie powtarzał ten wytarty frazes, to nie za bardzo wie, o czym mówi.

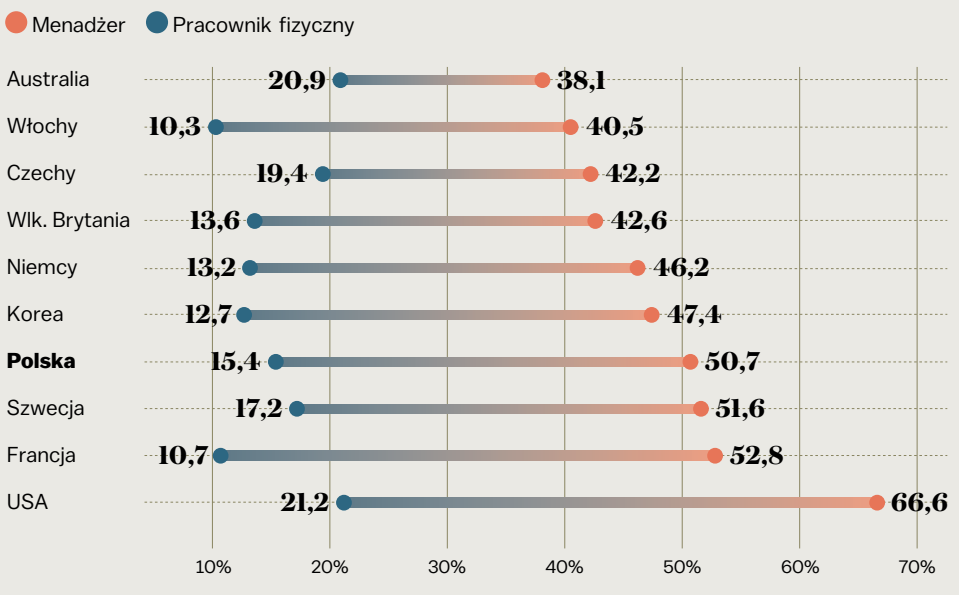
Zamożność – z bardzo wysoka patrząc – jest więc funkcją wydajności gospodarki. A ta z kolei wynika z wkładu technologicznego, sposobów zarządzania przedsiębiorstwami i miejsca w globalnym łańcuchu dostaw.

Nie chodzi więc po prostu o to, czy pracujemy, ale jak pracujemy. Czy wykonujemy pracę siłą własnych mięśni, czy przy asyście maszyn i algorytmów. Liczy się również to, gdzie pracujemy – czy gospodarka głównie jest nastawiona na produkcję tańszych podzespołów, czy na badania i rozwój, na marketing, czy na rolnictwo. Długość ani intensywność pracy poszczególnych ludzi nie odgrywa zbyt istotnej roli.

Na razie więc punkt po stronie osób, które opowiadają się za podejściem systemowym, a nie indywidualnym. To państwo, w którym przyszliśmy na świat, decyduje o tym, jak nam się powodzi ekonomicznie.

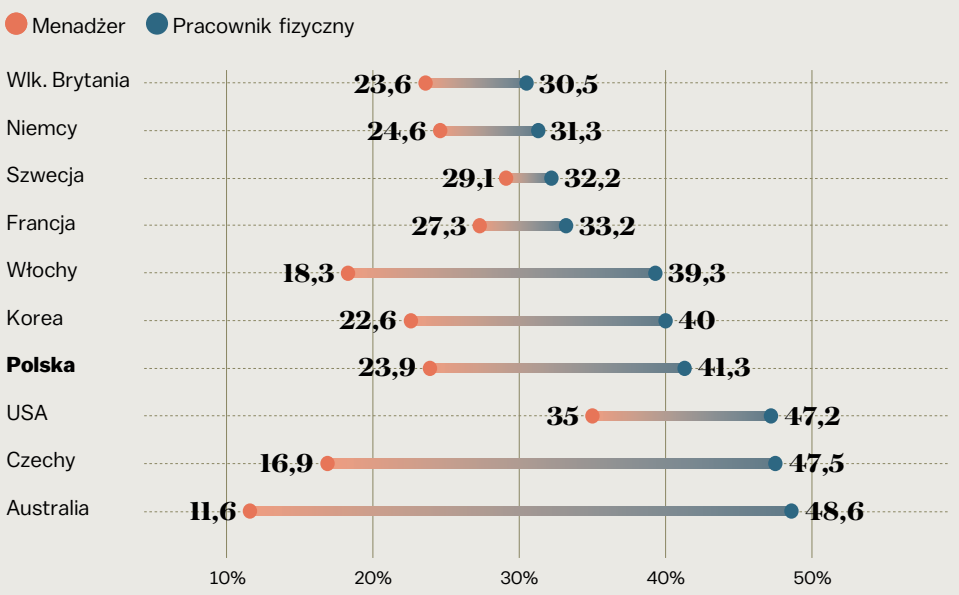
Odsetek menadżerów i pracowników fizycznych w przypadku, gdy rodzice są menadżerami

Lata 2002–2014 (dane w procentach)



Odsetek menadżerów i pracowników fizycznych w przypadku, gdy rodzice są pracownikami fizycznymi

Lata 2002–2014 (dane w procentach)



© GAZETA WYBORCZA
ŹRÓDŁO: OECD

Ciężką pracą ludzie się (trochę) bogacą

No dobrze – słusznie zauważą niektórzy – jeżeli zejdziemy z naszą analizą piętro niżej, czyli na poziom wewnątrzkrajowy, to może się okazać, że sytuacja ma się zupełnie inaczej. Jeżeli z obrazka usuniemy dziesiątki lub setki lat podróży różnych państw przez łańcuchy dostaw (złośliwi mogliby dodać: jeżeli usuniemy również spuściznę kolonializmu), to wtedy będziemy porównywać porównywalne. Będziemy mogli powiedzieć, w jakim stopniu indywidualna praca się liczy!

A nawet jeszcze nie musnęliśmy wątku klasowego, który obiecałem.

Niezwykle ciekawe badania przeprowadzili amerykańscy ekonomiści Alexander Bick, Adam Blandin i Richard Rogerson. Ich wyniki opisali na publikującej analizy ekonomiczne stronie Cepr.org.

Badacze przyjrzeli się związkowi płac i czasu pracy w okresie całej kariery zawodowej. Bazowali na amerykańskich danych dla mężczyzn urodzonych między 1957 a 1964 rokiem. Brano pod uwagę tylko panów, bo kobiety częściej wypadają z rynku pracy z powodu ciąży i opieki nad dziećmi.

Z tego samego powodu również odsiano z analizy mężczyzn, którzy mieli długie okresy bezrobocia i bierności zawodowej. Ekonomiści analizowali głównie osoby o „wysokim przywiązaniu do rynku pracy", czyli takie, które w karierze przepracowywały co najmniej 550 godzin rocznie.

„Mężczyźni na 75 percentylu, jeśli chodzi o przepracowane godziny, pracują 20 proc. więcej niż mężczyźni na 25 percentylu. Ale ich zarobki są o 35 proc. wyższe" – stwierdzają badacze. Nie chodzi więc o to, że osoby dłużej pracujące mają więcej pieniędzy, bo wypracowali więcej godzinówek. Oni mają zauważalnie wyższe godzinówki! Dlaczego? Dłuższa praca oznacza akumulację kapitału ludzkiego. A to przekłada się na stan kont.

Bum! Jest dowód na to, że w ramach danego państwa ci, którzy pracują dłużej, zarabiają więcej. Bramka dla drużyny „kowale własnego losu".

Kolejne punkty swoimi badaniami nabija Dora Gicheva, ekonomistka z Uniwersytetu Północnej Karoliny. Dekadę temu przyjrzała się zależności płac oraz długości pracy.

Z analizy badaczki wynika, że w przypadku pracowników, którzy regularnie pracują co najmniej 48 godzin tygodniowo, dodatkowe pięć godzin spędzonych w biurze wiąże się ze wzrostem rocznego dochodu o 1 proc. (znów chodzi o wzrost płacy na jednostkę czasu).

Taka osoba również ma większe szanse na awans. Nie jest to jednak małe poświęcenie, mowa bowiem o osobach pracujących co najmniej... 11 godzin dziennie!

Gicheva przyglądała się w dużej mierze grupie młodych profesjonalistów znanym również jako yuppies – średnia wieku badanych to 28 lat. To prawnicy, analitycy, księgowi. Wszyscy z badanej grupy mieli wyższe wykształcenie.

I tutaj możemy wprowadzić ważne rozróżnienie na zawody, w które wpisana jest ścieżka kariery (career jobs), i takie, gdzie taka ścieżka jest utrudniona.

Nierzadko rozróżnienie to umyka w zajadłych kłótniach internetowych. Osoby, które przypisują bardzo dużą rolę szeroko pojętemu systemowi, w dyskusjach jako argument przywołują przypadki z tego drugiego rodzaju pracy. Bez względu na to, jak długo i intensywnie będzie pracować ekspedientka w sklepie mięsnym, nie zarobi 20 tys. zł miesięcznie.

Tymczasem obstawiający narrację „kowala własnego losu" zazwyczaj mówią o zawodach ze ścieżką kariery: jestem lekarzem, spędziłem kilkanaście lat na pilnej nauce i teraz zarabiam 800 tys. zł rocznie.

Dłuższa i cięższa praca – nawet przez lata – w przypadku osoby pracującej przy taśmie nie przełoży się na podwyższenie godzinówki. Inaczej sprawa będzie się miała w przypadku profesjonalistów. Dla nich dodatkowy czas spędzony w biurze to możliwość doskonalenia umiejętności, co powoduje, że mogą „sprytniej" wykonywać rutynową pracę. Jest to również sposobność na poznawanie „właściwych osób".

Bo awansowanie w hierarchii zawodowej w dużej części oznacza po prostu zacieśnianie więzów z „przydatnymi ludźmi", którzy mogą nas wciągnąć do swoich projektów.

Ten mechanizm zna większość osób z klasy średniej i średniej wyższej. Szef odchodzi, znajduje inną posadę i ciągnie za sobą część zespołu. W nowej robocie i te osoby dostaną lepszą pensję. Znacie to z własnego doświadczenia albo przynajmniej z opowieści znajomych? Ano właśnie.

Problemem jest to, że taki sposób zwiększania dochodów jest dostępny dla niewielkiej części pracowników. I prawdopodobnie zawsze tak będzie. Należy o tym pamiętać za każdym razem, kiedy ktoś mówi o „sieciowaniu" jako o sposobie na podwyższenie statusu zawodowego. Tak, ten sposób działa. Ale nigdy nie będzie działał dla wszystkich, a nawet dla większości.

Kiedy „więcej pracy" nie ma sensu

Wspominaliśmy o badaniach amerykańskich, które dowodzą, że więcej pracy oznacza większe zarobki (przynajmniej w kontekście career jobs). Problem pojawia się przy słowie „amerykańskie". Otóż okazuje się, że prawidłowości zaobserwowane przez amerykańskich naukowców działają tylko w niektórych krajach. Co zresztą pokazuje, jak bardzo trzeba być ostrożnym przy ekstrapolacji wyników badań.

Otóż, jak wskazuje na swoim X (Twitterze) ekonomista z Uniwersytetu w Bergen Ruben Mathisen, zasada, która działa za oceanem, widoczna jest też choćby w Belgii (tam najzamożniejsze 10 proc. pracowników pracuje średnio 7,7 godziny tygodniowo więcej niż najbiedniejsze 10 proc.).

Ale już w Norwegii i na Węgrzech najbogatsi i najbiedniejsi pracowali tyle samo. Mało tego, w Korei Południowej, w Japonii czy choćby na Słowacji albo na Łotwie te proporcje były odwrotne. To najbiedniejsi pracowali więcej! W zestawieniu, niestety, nie uwzględniono Polski. Graf przedstawiony przez badacza z Uniwersytetu w Bergen nosi znamienny tytuł „Bogaci i biedni pracują mniej więcej tyle samo godzin".

Analiza Mathisena opiera się jednak na innej metodologii niż wspomniane badania Dory Gichevy. Badanie tego pierwszego nie sumuje godzin pracy z całej kariery zawodowej, ale zestawia ze sobą obecny czas pracy i obecne płace.

To ważne, bo w przypadku części osób zamożnych może występować efekt „odcinania kuponów". Dzisiaj są oni bogaci i pracują niewiele, ale być może harowali jak woły na wcześniejszych etapach kariery, aby dojść do miejsca, w którym są obecnie.

Każda drużyna ma swoje badania. Trudno więc ustalić wspólny grunt, na którym się spieramy, trudno jest o adekwatność argumentów, trudno w końcu o ostateczne rozstrzygnięcia.

eprasa.pl 97b7b16417

Bogaty ojciec, bogaty syn

Wróćmy jednak do myśli przewodniej. Zastanówmy się, jakie argumenty przemawiają za tezą o dziedziczeniu pozycji ekonomicznych.

Zacznijmy od tego, że prawdopodobieństwo zostania menedżerem przez dziecko menedżera jest o wiele większe niż zajęcie takiej pozycji przez dziecko osoby pracującej fizycznie. Takie wnioski płyną z głośnego raportu OECD z 2018 roku: „A Broken Social Elevator? How to Promote Social Mobility" („Popsuta winda społeczna? W jaki sposób wspierać społeczną mobilność").

„Połowa dzieci, których rodzice zaliczają się do klasy menedżerskiej, zostanie menedżerami, jednocześnie mniej niż jedna czwarta dzieci osób wykonujących pracę fizyczną będzie zarządzać ludźmi" – czytamy w opracowaniu.

Przypomnijcie sobie swoją klasę z podstawówki. Jeżeli mieliście szczęście nie uczęszczać do elitarnej placówki, to możecie zastanowić się nad losami swoich kolegów i koleżanek – tych, którzy pochodzili z biedniejszych domów, oraz tych, którzy dorastali jako dzieci klasy średniej i wyższej.

Jak obstawiacie, którzy z nich częściej dzisiaj jeżdżą nowym BMW X5, a którzy leciwą Skodą Octavią kombi w gazie?

Istnieją tu jednak spore różnice między krajami. Otóż jedynie 10 proc. dzieci rodziców, którzy wykonywali pracę fizyczną, zostaje menedżerami w Portugalii. W tym też kraju tak zwana reprodukcja klasowa jest największa. Po drugiej stronie tabeli jest Holandia, gdzie 40 proc. dzieci pracowników fizycznych staje się menedżerami.

A jak wyglądają różnice między krajami, jeśli chodzi o procent dzieci zostających menedżerami, jeśli ich rodzice zarządzali ludźmi? W Stanach Zjednoczonych to... 70 proc. dzieci. W Austrii będącej po drugiej stronie tabeli – 40 proc.

To, co rzuca się w oczy, to fakt, że „sufit jest bardziej lepki niż podłoga". Inaczej mówiąc – osoby z dobrych menedżerskich domów z większym prawdopodobieństwem podzielą los zawodowy swojej rodziny niż dzieci z domów robotników fizycznych.

Nie jest to więc tylko kwestia pewnego naturalnego porządku. Drożność kanałów awansu

Jak obstawiacie, kto z waszych szkolnych kolegów i koleżanek jeździ dziś nowym BMW X5, a kto leciwą Skodą Octavią kombi?

zależy od kultury, urządzenia gospodarki i po prostu od polityki danego kraju.

Tomomi Tanaka, Maxime Nguyen i Orsetta Causa, ekonomiści z OECD, zestawili zarobki dzieci z wykształceniem ich rodziców. Badacze również bazowali na danych z 29 wysoko rozwiniętych krajów z Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju.

Wnioski nie będą zaskakujące: „Wszędzie wykształcenie rodziców silnie koreluje z zarobkami dzieci. Dzieci rodziców z niższym wykształceniem znajdują się w dolnej części rozkładu dochodowego, potomstwo rodziców z wysokim wykształceniem skupia się w górnej części rozkładu".

Dzieci rodziców z wyższym wykształceniem częściej same idą na studia. A studia przekładają się na wyższe wypłaty. Ale jest jeszcze jedna rzecz. Otóż, jeśli porównujemy tylko grupę dzieci z wyższym wykształceniem, to więcej zarabiają te, które miały dobrze wykształconych rodziców.

Jak dobitnie podkreślają ekonomiści: „pochodzenie i tak zostawia ślad". „Nawet gdy porównamy dwie osoby, które ukończyły ten sam kierunek studiów i mają taki sam poziom wykształcenia, osoba z »lepszego domu« wciąż ma statystycznie większe szanse na lepsze zarobki. Wpływ rodziców maleje, ale nie znika" – piszą naukowcy.

Dlaczego? Ten refren już znacie – bo znajomości, bo lepszy start ekonomiczny, bo podobne tematy do rozmowy z ludźmi, którzy już są elitą.

Punkt (lub dwa) dla osób obstawiających, że zamożność się dziedziczy.

To jeszcze dobitka. Z cytowanego przez „The Guardian" raportu stworzonego przez The Social Mobility Foundation wynika, że osoby pochodzące z niższej klasy społecznej, które pracują w zawodach wymagających wyższego wykształcenia, zarabiają średnio o ponad 6 tys. funtów rocznie mniej w porównaniu z osobami wykonującymi pracę wymagającą tych samych kwalifikacji, ale pochodzącymi z klas wyższych.

O mechanizmie, który może za tym stać, pisze w polskim wydaniu Deutsche Welle w artykule „Dzień różnorodności. Pochodzenie jako hamulec klasowy" Insa Wrede. „Często jest tak, że talent i zaangażowanie nie wystarczają. Trzeba też rozumieć ukryte kody elit, wiedzieć, jak się zachowywać, odpowiednio się ubierać, mieć odpowiednie hobby i styl wypowiedzi, aby drzwi do dyrektorskich gabinetów stanęły otworem. Innymi słowy, pochodzenie społeczne współdecyduje, jakie ktoś będzie miał szanse edukacyjne i zawodowe, a w jakim stopniu doświadczy szykanowania" – stwierdza dziennikarka.

O tym, jak wygląda ten mechanizm, przekonałem się sam. Moim przełożonym był „członek elity". Na jednym z zebrań w formie luźnej anegdotki cytował wypowiedzi swoich przodków z powstań z XIX wieku. Pomyślałem wtedy, że ja nawet nie wiem, kim byli moi pradziadkowie. A co dopiero mówić o utrwaleniu poglądów politycznych mojej rodziny kilka pokoleń wstecz.

Nie, nie chodzi o to, że czułem jakąś klasową niechęć ze strony mojego przełożonego. Jeśli ją miał, to z pewnością nie dał jej po sobie poznać. Jednak kapitał intelektualny, to, o czym i jak mówić, było kumulowane w jego rodzinie przez setki lat. To każdemu kolejnemu pokoleniu dawało „fory" w trzymaniu się wysokich szczebli na drabinie społeczno-ekonomicznej. Tak, jego dzieci również są ustawione.

O naszej pozycji zawodowej, a więc i o zarobkach, poza kompetencjami, które zdobywamy na studiach, decydują też subtelne pozamerytoryczne cechy, takie jak: nasz pakiet poglądów, gusta czy zrozumienie języka, którym posługuje się klasa średnia i wyższa. Oraz płynąca z tego śmiałość lub społeczne wycofanie.

Klasa czy praca? Werdykt

Podsumujmy. Wiemy, że na zarobki najbardziej wpływa kraj, w którym się urodziliśmy. To absolutnie najważniejszy czynnik. Z punktu widzenia globalnego niemal wszystko inne jest pomijalne.

Jeśli w naszej analizie powiększymy piksele, to się okaże, że istotna jest liczba przepracowanych godzin w całej karierze. Przynajmniej w tak zwanych career jobs, choć nie we wszystkich krajach. Im więcej się w nich pracuje, tym większy jest przyrost naszego kapitału ludzkiego, znajomości.

Wiemy też, że pochodzenie klasowe ma znaczenie – dzieci menedżerów częściej zostają menedżerami, dzieci pracowników fizycznych częściej zostają pracownikami fizycznymi.

Wiemy w końcu, że edukacja (która również jest swego rodzaju pracą) ma znaczenie, jeśli chodzi o zarobki. Jednocześnie osoby z klas niższych z wyższym wykształceniem zarabiają mniej niż osoby z klas wyższych z takim samym wykształceniem.

Niezwykle ciekawym głosem w tej dyskusji jest artykuł z Cardiff University pod tytułem „The psychology of social class: How socioeconomic status impacts thought, feelings, and behaviour" („Psychologia klas społecznych: w jaki sposób status socjoekonomiczny wpływa na myśli, uczucia i zachowania") opublikowany w „British Journal of Social Psychology". Badacz dowodzi w nim, że różnice w socjalizacji między klasami wpływają na to, jak konkretne osoby postrzegają studia czy prestiżowe zawody.

Otóż osoby z klas niższych częściej czują, że zarówno wyższa edukacja, jak i lepsze stanowiska pracy po prostu „nie są dla nich". Nie powinno to być zaskoczeniem dla nikogo, kto pochodzi z mniejszego miasteczka. Tacy ludzie przez długi czas mają po prostu wrażenie „nieprzystawania" do kultury klasy średniej i wyższej z dużych miast. Sam to przerabiałem.

Klasa społeczna z pewnością daje fory w wyścigu o wysokie zarobki. Dobrze ustawieni rodzice wyposażają dziecko w swego rodzaju mapę drogową pokazującą, jak należy się poruszać po bardziej elitarnym świecie. Osoby z klas niższych, które chcą lepiej zarabiać i zajmować wyższe szczeble na drabinie ekonomicznej, muszą się tego nauczyć same. Z tego, co zostało napisane, wynika, że więcej waży pochodzenie niż pracowitość.

Jednocześnie nie do przecenienia jest wartość edukacji wyższej, jak i ciężka praca w zawodach, które oferują awans społeczny.

Tym bardziej osobom z biedniejszych rodzin należy się szacunek, jeśli udało im się zająć wysokie pozycje ekonomiczne. Co oczywiście nie oznacza, że szacunek nie należy się tym, którzy wykonują prostsze prace. Warto bowiem pamiętać, że jeśli spotykamy dwie osoby na menedżerskich stanowiskach i jedna pochodzi z klasy średniej, a druga z klasy ludowej, to ta druga miała do przejścia znacznie dłuższą drogę. ●

wyborcza | MAGAZYN

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; tel.: 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414015

W PIĄTEK W WYBORCZEJ

Zaćma

- Jak dziś wygląda zabieg usuwania zaćmy?
- Jak się do niego przygotować i czego nie robić przed oraz po operacji?
- Praktyczne porady dotyczące diagnozy i leczenia



1 RP

eprasa.pl 97b7b16417

Klimat jak w Wenezueli

Naprawianie praworządności się nie udaje, bo rząd, zamiast podejmować mądre i ostre działania, które mają oparcie w prawie, podejmuje głupie i nie wiadomo do czego prowadzące działania, które oparcia w prawie nie mają.



Marcin Matczak

I Kaczyński, i Orban i po części nawet Trump nie odważyli się łamać prawa wprost, bez pozorów jego zachowania. Zgodnie z myślą, że hipokryzja jest hołdem, jaki występek składa cnocie, kombinowali, jak mogli, żeby dla niewprawnego oka to, co robią, dało się formalnie uzasadnić.

Kaczyński i Orban naciągali na przykład do granic możliwości kompetencje parlamentów, żeby podporządkować sobie sądy, wydrążali z treści instytucje kontrolne, wsadzając tam miernych, ale wiernych, szukali niedomówień w przepisach (jak u nas w sprawie tego, kto wybiera sędziowskich członków KRS).

Trump z kolei umieszczał w prezydenckich kompetencjach wszystko, co mogą objąć słowa, w jakich zostały sformułowane. Nakładał cła w celu ochrony „bezpieczeństwa narodowego" na importowane auta osobowe. W jego ślady idzie Nawrocki, także wyczytujący w ustawie prawo do blokowania sędziów TK, wybieranych na podstawie konstytucji.

Socjolożka Kim Lane Scheppele nazwała tę taktykę „autokratycznym legalizmem" – wykorzystywaniem prawa do działań autorytarnych. Ci ludzie zachowują pozory legalności, przy oczywistym niszczeniu państwa, które z demokracji przekształca się w państwo-Frankensteina, w którym każda z instytucji z osobna niby działa, ale całość daje przerażający efekt instytucjonalnego potwora.

Dlaczego oni to robią? Po to wkładają tyle wysiłku, żeby pokazać ludziom, że litery nie naruszają, choć niszczą cel, dla którego prawo zostało ustanowione? To pytanie powinni sobie codziennie zadawać obrońcy praworządności, bo na razie albo go nie zadają, albo całkowicie błędnie na nie odpowiadają.

Naprawianie praworządności w Polsce się nie udaje, bo obecny rząd, zamiast podejmować mądre i ostre działania, które mają oparcie w prawie, podejmuje głupie i nie wiadomo do czego prowadzące działania, które oparcia w prawie nie mają. Nie jest więc „nielegalnie i skutecznie", bo to jeszcze dawałoby ludziom poczucie sprawczości. Jest „nielegalnie i nieskutecznie", co jest kombinacją najgorszą.

A przecież można inaczej. Oto nagle po 9 latach będziemy ścigać Przyłębską za manipulowanie składami, ale dopiero po zawiadomieniu złożonym przez Helsińską Fundację Praw Człowieka. Dlaczego tego działania, ostrego, ale legalnego, nie podjęto wcześniej? Czy nie rozbiłoby lojalności wewnątrz TK i pokazało sędziom wybranym przez PiS, którzy jednak nie są żołnierzami PiS, że z tamtą stroną nie warto trzymać?

Na to oczywiste działanie nie znaleziono czasu, ale na wiele innych jak najbardziej: na decyzję o niepublikowaniu wyroków, w tym także składów prawidłowych, na niepowoływanie sędziów w momencie kończenia się ich kadencji, na pozbawienie wynagrodzeń sędziów (w tym prawidłowo wybranych).

I co dały te działania? Nic. Oprócz poczucia, że władza, która miała różnić się od poprzedników, robi rzeczy podobne, a dodatkowo – ponieważ nie ma swojego prezydenta – nie może nawet stworzyć pozoru legalności, uchwalając ustawy, które byłyby listkiem figowym dla tych działań. I teraz jeszcze decyzja o wyborze Berka na sędziego TK. Prezent dla PiS, dzięki któremu to oni prezentują się jako obrońcy konstytucji! Bo polityk, a dodatkowo wątpliwość co do stażu. I pół Polski ma namieszane w głowach tak, że nikt tego nie odmiesza. A za moment być może siłowe wejście do Trybunału.

Społeczeństwo nie rozumie działań podejmowanych w obronie ducha prawa, jeśli są one niezgodne z literą. To jest płytkie i niedojrzałe rozumienie prawa, ale niewiele da się z tym zrobić. Po prostu milion razy łatwiej jest PiS-owi wytłumaczyć, że bez literalnego ślubowania „wobec" prezydenta sędzia nie może orzekać, niż drugiej stronie przekonać, że wyższość konstytucji nad ustawą nie pozwala na to, żeby Nawrocki z poziomu ustawy blokował sędziów, którzy podlegają tylko konstytucji.

Dlatego działania tej władzy, choć naprawcze, wielu ludzi odbiera jako bardziej niezgodne z prawem niż działania PiS. Wiem, że to paradoks, ale on wynika z tego samego, z czego wynika autokratyczny legalizm – z powszechnego przekonania, że prawo to litera, nie duch.

I dlatego takie naprawianie praworządności się nie uda. A już katastrofą będzie jakieś rozwiązanie siłowe. I to nie dlatego, że obowiązują nas pięknoduchowskie zasady. Przykłady z innych państw pokazują, że gdy zamiast grać w grę pod nazwą prawo i wykonywać w niej inteligentne ruchy, próbuje się dać mata pałką, praworządność upada bezpowrotnie, wygrywają zaatakowani, nie atakujący.

Tak było w Boliwii w roku 2017, gdzie lojalny wobec prezydenta Moralesa sąd konstytucyjny wbrew referendum pozwolił mu kandydować po raz czwarty (wyroku, w którym uznano, że prawo do kandydowania jest prawem człowieka, ważniejszym od kadencyjności, nie powstydziłby się Święczkowski). Przeciwnicy Moralesa zastosowali siłę, aby bronić się przed oczywistym autokratycznym legalizmem. To nie tylko niczego nie zmieniło, ale wzmocniło partię Moralesa, która rok później wróciła z lepszym wynikiem i to w wyborach organizowanych przez przeciwników. A potem wsadziła „siłowców" do więzienia.

Podobnie było w Wenezueli. W kwietniu 2002 to przeciwnicy Cháveza odsunęli go od władzy, a pierwszym ich aktem był dekret rozwiązujący między innymi sąd konstytucyjny. Taki reset, prawda? Rzeczywiście, zresetowano niezależność sądu na długi czas. Jeszcze cztery miesiące później orzekł przeciw Chávezowi, odmawiając postawienia puczystów przed sądem. W reakcji Chávez ten sąd zniszczył, powiększył liczbę sędziów, a nowy skład unieważnił tamten wyrok. Od tego momentu zmiana liczby sędziów w zależności od politycznych potrzeb stało się normalką.

U nas zły precedens po wejściu siłowym tez jest możliwy – po prostu TK będzie już zawsze traktowany jak spółka skarbu państwa, którą przejmują każdorazowi zwycięzcy wyborów.

Prowadzić postępowania karne – bo to jest legalne. Pokazywać, kto jest zły, a kto dobry, tak by rozbić lojalność – bo to będzie skuteczne. Nie stosować siły i trzymać się litery prawa jak najbardziej się da. Taki po prostu mamy klimat●

Dziady

Według prezydenta Nawrockiego Polacy nadal powinni się uważać za Chrystusa narodów. Brzmi to dość złowróżbnie.



Michał Rusinek

Kiedy pan prezydent odkłada na chwilę dokumenty wagi państwowej lub sztangę i pochyla się nad rodzimą literaturą piękną – jest to moment ogromnie wzruszający dla każdego polonisty. Kilka dni temu Karol Nawrocki wraz z małżonką zainaugurowali piętnastą edycję akcji „Narodowe Czytanie". W tym roku czytać będziemy „Dziady" Adama Mickiewicza.

Pan prezydent zaczął od przemówienia. A przemówienie zaczął od tego, że ma wrażenie, iż nie tylko słowa autora „Dziadów" są dzisiaj z nami, ale i jest z nami jego duch. Argument za słusznością tej tezy miał charakter meteorologiczny. „Dziś wietrzny dzień w Warszawie, w Polsce, przy Krakowskim Przedmieściu" – powiedział prezydent Nawrocki.

Następnie zwrócił uwagę, że przymiotnik „narodowy" w nazwie akcji sugeruje, że sama akcja „odnosi się do tego, co najistotniejsze, najbardziej fundamentalne w budowaniu wspólnoty narodowej". By naród trwał, „musi mieć umiejętność wyrażania swoich emocji, swoich trwóg, swoich pragnień". Do tego wspólnocie narodowej potrzebny jest język, „w którym wielcy wieszczowie, wielcy poeci tworzą swoje dzieła, a inni je czytają".

Dodać by należało, czego pan prezydent nie zrobił, że tym samym językiem mogą posługiwać się także zwykli użytkownicy języka, niekoniecznie mający ambicje literackie. Wtedy rzeczywiście można mówić o wspólnocie.

„Literatura ma tę moc, że przenosi polskość przez pokolenia [...] i ponad granicami całej Europy i całego świata" – mówił dalej pan prezydent. To piękny gest złożony literaturze i trudno się z nim nie zgodzić. Poznawcze problemy sprawia nam za to kolejne zdanie: „»Narodowe Czytanie« już od piętnastu lat przenosi polskość w kolejnych wiekach i sprawia, że jesteśmy narodową wspólnotą".

Gdyby akcję prowadzono przez kilkaset lat, byłoby ono zrozumiałe. Skoro jednak „Narodowe Czytanie" rozpoczęto piętnaście lat temu, to coś tu się matematycznie nie zgadza. No ale matematyka to inny przedmiot. Dziś jest język polski.

„Literatura – mówił pan prezydent, uparcie akcentując to słowo na trzecią sylabę od końca, co jest wprawdzie nieprawidłowe, ale widocznie dla niego brzmi dostojniej – tworzy narodowe imaginarium, w którym jest miejsce z jednej strony dla przeszłości, z drugiej strony dla teraźniejszości i troski o naszą wspólną przyszłość". Czyli strony są jednak trzy, ale to znowu matematyka.

„Nie ma polskiej literatury bez Adama Mickiewicza. To fundamentalna, kluczowa postać dla zrozumienia polskiej duszy i polskiej narodowej tożsamości" – stwierdził pan prezydent i podparł się autorytetem Zygmunta Krasińskiego, który powiedział: „My wszyscy z niego".

„Tak, my wszyscy z niego. Z tych pięknych literackich osiągnięć Adama Mickiewicza" – zauważmy, że pan prezydent nie bawił się w rozróżnienia genologiczne, bo z gatunkami romantycznymi, jak wiemy ze szkoły, zawsze był problem. Skończony i opublikowany wiersz, dramat, poemat, epos, balladę czy sonet – można przecież zawsze potraktować jako swego rodzaju osiągnięcie.

Następnie pan prezydent podzielił się z nami prywatną opinią, mając nadzieję, że zgodzą się z nią przysłuchujący się jego przemówieniu literaci i „analitycy literatury": „»Dziady« Adama Mickiewicza mógł napisać tylko Adam Mickiewicz", bo tylko Mickiewicz „mógł w jednym dziele, choć w kilku aktach" – zapewne miał na myśli części – „połączyć głęboką ludową tradycję, metafizykę, psychologię, która pozostaje nadal w XXI wieku wciąż aktualna, z tym, co wówczas dla Polaków, i dzisiaj jest dla nas także ważne. A więc z pewnym mesjanistycznym, politycznym, narodowym pragnieniem wolności i z tym wielkim duchem wolności narodu polskiego".

Z tych skomplikowanych pod względem składniowym zdań wynika między innymi, że według pana prezydenta w XXI wieku wciąż jest aktualna XIX-wieczna psychologia, w dodatku ludowa. Polemikę z tym poglądem zostawmy psychologom.

Rozumiemy, że według prezydenta Polacy nadal powinni się uważać za Chrystusa narodów, acz teza ta, wypowiadana w czasach wolności i demokracji, może zapowiadać rychłe zniewolenie i cierpienie za innych. Brzmi to dość złowróżbnie.

Chętnie zapytalibyśmy, jak Karol Nawrocki rozumie metafizykę, ale nie chcielibyśmy się zachowywać jak wredni egzaminatorzy. Cieszmy się po prostu, że pan prezydent promuje nie tylko sporty kontaktowe, ale i literaturę polską. Przynajmniej raz w roku.

Wróćmy jednak jeszcze do pierwszego zdania tego fragmentu, bo poraża ono swą pozorną banalnością. Tak, pozorną właśnie. Bo gdyby pan prezydent powiedział, że tylko Mickiewicz mógł napisać „Dziady", to byłby wczesnoszkolny banał. Tymczasem mówiąc to, co powiedział, wdał się w subtelną polemikę z Jorge Luisem Borgesem i jego opowiadaniem „Pierre Menard, autor »Don Kichota«".

Borges opowiada w nim historię XX-wiecznego pisarza, który postanawia napisać „Don Kichota". Nie tyle chce stać się Cervantesem: „poznać dobrze hiszpański, odzyskać wiarę katolicką, wojować przeciwko Maurom, zapomnieć historię Europy od roku 1602", ile pragnie pozostać sobą i napisać tę powieść w XX wieku. I pisze. Słowo w słowo taką samą jak Cervantes.

Takie podejrzane eksperymenty względem „Dziadów" pan prezydent po prostu z góry wetuje mocą swej prezydenckiej władzy, mówiąc, że „»Dziady« Adama Mickiewicza mógł napisać tylko Adam Mickiewicz", a nie jakiś współczesny pisarz. No bo cóż by to było, gdyby dziś ktoś napisał: „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,/ Co to będzie, co to będzie?".

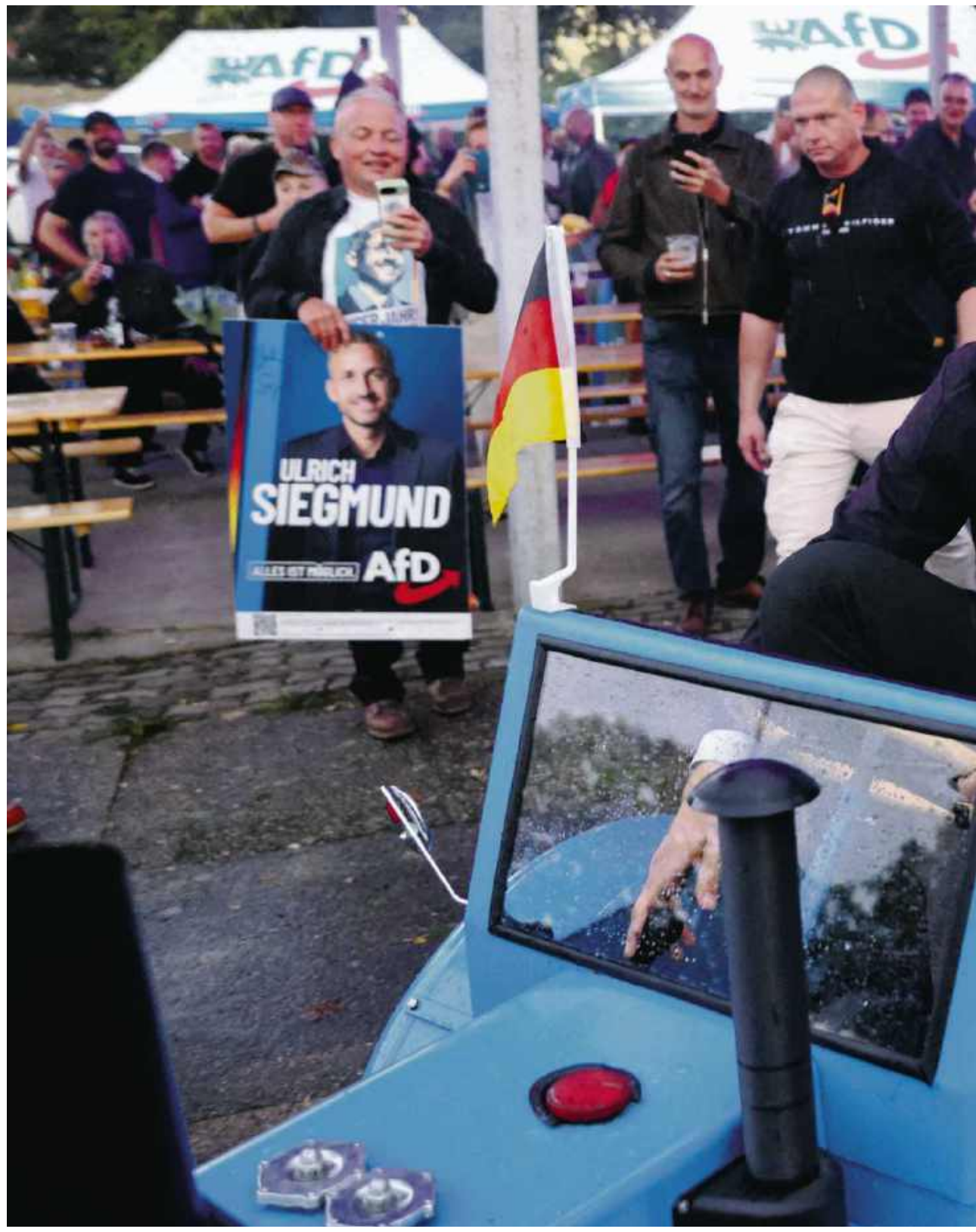
Ale „Dziady" to przecież dramat sceniczny poddawany różnorakim interpretacjom. Przypomnijmy więc sobie, co się działo po premierze „Dziadów" na przykład w reżyserii Kazimierza Dejmka w 1968 roku czy Mai Kleczewskiej w 2021 – i jak ówczesne władze, krytykując te inscenizacje, zarzucały ich twórcom sprzeniewierzenie się Mickiewiczowi.

Jeśli głowa państwa mówi, że autorem „Dziadów" może być tylko Mickiewicz, to brzmi to tak, jakby przestrzegał reżyserów, by nie uwspółcześniali tego „osiągnięcia". I tu już przestaje być banalnie, a robi się groźnie. ●

eprasa.pl 97b7b16417

ŚWIAT

Klaus Bachmann



Potrzebujecie więcej syryjskich

Był sobie kiedyś polityk, który obiecał, że chce zmniejszyć o połowę wyniki wyborcze AfD. A nawet nadal jest. Ten polityk nazywa się Friedrich Merz, jest kanclerzem federalnym, a frakcja AfD w Bundestagu jest dziś niemal dwa razy większa niż wtedy, gdy to powiedział.

Po ostatnich wyborach w Saksonii-Anhalcie posłowie CDU będą w nowym landtagu stanowić mniej niż połowę frakcji AfD. I w kolejnych wyborach krajowych powtórzy się to samo: to AfD zmniejszy o połowę CDU.

Istnieje mnóstwo wyjaśnień, dlaczego wyborcy tak licznie głosują „na nich": bo są „rozczarowani polityką", bo „nie potrafili poradzić sobie z wolnością, którą dostali w 1990 roku", bo „zostali skolonizowani przez Zachód", bo „polityka nie rozwiązuje ich problemów", „z powodu uchodźców" albo dlatego że „Niemcy schodzą na psy".

Wszystkie te odpowiedzi mają jedno wspólne: opierają się na przeczuciu tego, kto je wygłasza, na wypowiedziach polityków, ale nie na empirycznych badaniach samych wyborców. Te dają zupełnie inny obraz i podsuwają stosunkowo proste, choć niewygodne dla pozostałych partii strategie, jak zmniejszyć poparcie dla AfD.

Jedno od razu na wstępie: tak lubiana przez obecny rząd federalny formuła, że AfD nie da się zdelegalizować, lecz trzeba ją niejako „wyrugować" dobrym rządzeniem – jak przekonuje minister spraw wewnętrznych Alexander Dobrind – to kompletna bzdura. Recepta równie prosta, co fałszywa, owszem, z potencjałem – by przynieść AfD jeszcze więcej głosów.

•

W publicznej dyskusji o AfD przyczyny tak dużego poparcia myli się często z uzasadnieniami, które podają jej działacze i wyborcy. Widać to szybko, gdy przypatrzymy się Alternatywie dla Niemiec w świetle badań socjologicznych i z wyłączeniem własnych preferencji politycznych i interesów.

Są dwa tematy, o których każdy polityk AfD ma coś do powiedzenia: migracja i przestępczość, które nieustannie ze sobą mieszają. A ponieważ AfD zyskuje coraz większe poparcie, politycy innych partii wyciągają wniosek, że AfD jest tak silna, bo bez przerwy grzmi przeciwko cudzoziemcom i przestępczości. Ale to tylko uzasadnienie ex post.

Jeszcze prościej jest z argumentem, że „skutki zjednoczenia na Wschodzie" albo „wykluczenie wschodnich Niemców" zapędzają wyborców do AfD. Gdyby tak było, partia powstałaby nie w 2013 roku i nie z powodu wkurzenia na koszty ratowania euro i pomocy dla Grecji, lecz w 1990, a jej młodzi wyborcy musieliby przenieść poparcie gdzie indziej, bo są przecież zbyt młodzi, aby mieć jakiekolwiek świadome wspomnienia z NRD i jej przystąpienia do RFN.

To, że wschodni Niemcy głosują na AfD, ponieważ są dyskryminowani, nie jest przyczyną, lecz uzasadnieniem: nigdy jeszcze różnice ekonomiczne, finansowe i materialne między Wschodem a Zachodem nie były tak małe, jak dziś. Gdyby więc chodziło właśnie o to poczucie krzywdy i frustrację, partia stale słabłaby, a ma się coraz lepiej.

Podobnie jest z migracją i przestępczością: imigracja od lat się zmniejsza, przestępczość spada, a notowania AfD rosną – szczególnie tam, gdzie jest bardzo mało imigrantów i mało przestępczości, na wschodnioniemieckiej wsi. A tam, gdzie przestępczości i imigracji jest więcej – w Frankfurcie, Hamburgu i Berlinie – „Alternatywni" mają słabe wyniki.

Jakie są więc prawdziwe przyczyny sukcesu AfD?

•

Dziennikarze badają coś takiego zwykle w ten sposób, że po prostu pytają polityków danej partii i jej zwolenników – lecz wtedy dostają uzasadnienia, ale nie przyczyny.

Politolodzy i socjolodzy przyglądają się natomiast temu, gdzie dane ugrupowanie ma bastiony i co odróżnia je od innych miejsc. Wtedy twierdzenie, że AfD odnosi sukcesy we wschodnich Niemczech za sprawą ludzi wychowanych w NRD, ląduje natychmiast w koszu. W Hesji AfD uzyskała w wyborach do landtagu w 2023 roku ponad 18 procent, choć kraj ten nigdy nie należał do NRD. Przeszłość NRD jest tylko jedynym z wielu czynników poparcia na Wschodzie, inaczej nie byłoby tak dużych różnic regionalnych na terenie dawnych komunistycznych Niemiec.

Więcej światła rzuca badanie Marca Debusa z Uniwersytetu w Mannheim i Christiana Steckera oraz Juliusa Kölzera z Technische Universität Darmstadt, zgodnie z którym AfD w regionach, w których już w 2009 roku inne partie skrajnie prawicowe cieszyły się dużym poparciem, łatwiej mobilizowała w wyborach 2024 roku radykalny potencjał wyborczy i osiągała wyraźnie lepsze wyniki niż tam, gdzie ta korelacja nie występuje.

Można cofnąć się jeszcze dalej i stwierdzić wtedy, że AfD jest szczególnie silna w Turyngii, Brandenburgii i Saksonii, czyli tam, gdzie silna była NSDAP w Republice Weimarskiej.

To nie powód, by wyzywać wszystkich wyborców AfD od nazistów, bo ci, którzy głosowali wtedy na NSDAP, przeważnie od dawna nie żyją. A część elektoratu AfD jest nawet tak młoda, że nie miała jeszcze prawa głosu, gdy kampanie prowadziły skrajnie prawicowe Niemiecka Unia Narodowa (Deutsche Volksunion, DVU) czy Republikanie.

Wszystko to wskazuje jednak, że w niektórych okolicach przekazywano z pokolenia na pokolenie określone wartości, które lepiej pasują do wartości AfD niż to, co przekazywały dom rodzinny, szkoła i koledzy szkolni w Hamburgu, Szlezwiku-Holsztynie czy Saarze, gdzie AfD ma niskie wyniki.

Socjolodzy mogą badać także cechy wyborców i sympatyków AfD, by dotrzeć do przyczyn sukcesu partii, których sami badani niekoniecznie są świadomi. I tak na przykład poczucie dyskryminacji zwiększa prawdopodo-

eprasa.pl 97b7b16417



FOT. REUTERS/THILO SCHMUELGEN

Kanclerz Merz wypowiedziami o migracji, cudzoziemcach i przestępczości podsyca klimat, który mobilizuje wyborców jego przeciwników i wszystkim dowodzi, że AfD porusza ważne tematy, które nurtują naród

Zieloni i socjaliści chcieli dobrze, **a przestraszyli wyborców jak zawsze**

lekarzy

bieństwo zagłosowania na AfD o wiele bardziej niż fakt rzeczywistej dyskryminacji.

Dotyczy to również bezrobocia – badania z lat 90., gdy było jeszcze wysokie, pokazują, że bezrobotni nie głosują na skrajną prawicę częściej niż robotnicy pracujący. Ludzie, którzy boją się bezrobocia, są natomiast dużo bardziej skłonni poprzeć skrajną prawicę niż ci, którzy pracę już stracili albo nie czują się zagrożeni.

To samo dotyczy innych rodzajów lęku: nieważne, czy jest uzasadniony, czy nie – kto bardziej boi się degradacji społecznej, jest bardziej skłonny zagłosować na AfD niż ten, komu taka degradacja grozi, ale kto się jej nie boi.

Dla socjologów to nic nowego. Takie badania prowadzi się w wielu krajach Europy, odkąd istnieją partie prawicowo-populistyczne i skrajnie prawicowe, czyli mniej więcej od lat 80. Wyjaśniają one, dlaczego całe wsie w Alzacji głosowały wówczas na Front Narodowy, choć nie było u nich ani przestępstw, ani obcych.

Zdumiewające jest w tym głównie to, jak uporczywie takie badania są ignorowane przez opinię publiczną, media i politycznych przeciwników AfD. Od miesięcy wiele z nich jest dostępnych choćby na kontach politologa Juliusa Kölzera na X – i nie wywołują żadnej reakcji polityków.

●

Ta odporność na wyciąganie wniosków widoczna jest także w najbardziej delikatnym kompleksie tematów – ksenofobii, migracji i przestępczości. Choć także tu obowiązuje zasada: odczuwana migracja i odczuwana przestępczość są dla decyzji wyborczej ważniejsze niż faktyczny rozwój imigracji i przestępczości.

Ivan Krastev postawił śmiałą, lecz nazbyt prostą tezę, że część poparcia dla prawicowych populistów bierze się z lęku przed wyludnieniem – co brzmi trochę jak przekonania niektórych radykałów, którzy politykę uchodźczą Angeli Merkel uważali za próbę „wymiany ludności" w Niemczech. Tak właśnie bywa, gdy myli się uzasadnienie z przyczyną.

Wielu ludzi rzeczywiście się tego obawia, ale przyczyną nie jest to, że wokół nich jest zbyt wielu cudzoziemców czy obcych, lecz to, że jest ich zbyt mało. Brzmi absurdalnie?

Julius Kölzer udostępnia badanie, z którego wynika, że silny odpływ ludności z obszarów wiejskich podbija wyniki AfD w wyborach do landtagów. Ludzie głosują na alt-right nie dlatego, że w ich wsi jest coraz więcej „obcych", ale dlatego, że jest coraz mniej kogokolwiek.

Znamy takie okolice z wielu krajów Europy: młodzi wyjeżdżają do miasta, starzy zostają, zamyka się jedyna knajpa, potem sklep spożywczy, lekarz jest tylko w mieście powiatowym. W Polsce przynajmniej przyjeżdża wtedy raz w tygodniu obwoźny sklep z podstawowymi produktami i prywatny bus. We wschodnich Niemczech czasem nie ma nawet tego.

Ci, co pozostali, głosują na AfD, na PiS, na partię Marine Le Pen, choć w ich wsi nigdy nie było cudzoziemca i od dziesięciu lat nie zarejestrowano żadnego przestępstwa. Ale kiedy reporter podsunie im mikrofon i zapyta o politykę, odpowiadają, że nie mają zaufania do tych na górze, że boją się przyszłości, migrantów i tego, że zostaną napadnięci. Jak to możliwe?

●

Odpowiedzi dostarcza badanie grupy naukowców pod kierunkiem socjologa Marcela Helbiga, którzy systematycznie zbadali, jak przybycie 800 000 uchodźców szlakiem bałkańskim w 2015 roku wpłynęło na nastawienie wobec obcych w różnych miastach. Wyniki powinny dać do myślenia wszystkim, ale zwłaszcza niemieckim politykom, z kanclerzem Merzem na czele.

W miastach o wysokiej obecności imigrantów mierzona w sondażach ksenofobia spadła, wzrosła natomiast w miastach, do których trafiło niewiele osób albo nikt. A AfD jest silna właśnie tam, gdzie cudzoziemców jest niewielu i dokąd w 2015 roku skierowano niewielu uchodźców. W Saksonii-Anhalcie jest na przykład tylko 8,5 procent cudzoziemców, z czego blisko połowa to Ukraińcy. Średnia krajowa jest dwa razy wyższa. Niemców z doświadczeniem migracyjnym jest w Saksonii-Anhalcie zaledwie 3 procent przy średniej krajowej powyżej 16.

Za to AfD jest słaba tam, dokąd po 2015 roku wysłano wielu uchodźców – na przykład w Nadrenii Północnej-Westfalii, względnie tam, gdzie od zawsze mieszkało wielu imigrantów – jak w Hamburgu czy Frankfurcie.

Istnieją dwie teorie powstawania ksenofobii, nazwijmy je hipotezą dystansu i hipotezą kontaktu.

Pierwsza twierdzi, że ludzie lubią obcych tak długo, jak długo ci zostają u siebie i nie zbliżają się, czyli zachowują dystans. Lubią turystów, ale nie imigrantów.

Druga twierdzi, że ludzie przestają bać się obcych, gdy rozpoznają w nich bliźnich, czyli mają z nimi bliższy kontakt.

Prace Helbiga są jednoznacznym potwierdzeniem hipotezy kontaktu. Każdy może to sprawdzić na sobie: czego bardziej się boję – anonimowych mas ludzi, których nie znam (kibiców piłkarskich, demonstrantów, imigrantów, których widzę w telewizji), czy ludzi, których spotykam na co dzień (na dole w sklepie u Włocha, Turka czy Greka albo w klubie sportowym i w pracy)?

Zupełnie zasadniczą rolę w podsycaniu lęku przed obcymi odgrywają media, które mówią – często bez złych intencji, po prostu bezrefleksyjnie – o „zalewie migrantów" i „falach imigracji" oraz pokazują lub opisują pozbawione twarzy masy, które „ruszyły w drogę". Nie chodzi nawet tak bardzo o to, że takie obrazy zrównują ludzi z klęskami żywiołowymi i tym samym ich odczłowieczają, lecz o to, że pojedynczy człowiek znika za anonimową masą. To wpływa bezpośrednio na integrację imigrantów, zwłaszcza w małych gminach, w których natychmiast rodzi się protest, jeszcze zanim przybysze dotrą na miejsce. O którym to proteście donoszą potem media, wzmacniając lęk w szerszym otoczeniu.

Gdy przybysze już są, klimat się zmienia: miejscowi nie widzą przed sobą anonimowego, groźnego tłumu, lecz pojedynczych ludzi, z których część potrzebuje pomocy – i często ją dostaje. Ale wtedy mediów już dawno nie ma.

Ten mechanizm wyjaśnia też, dlaczego w krajach takich jak Uganda czy Rwanda, które w przeliczeniu na liczbę mieszkańców przyjmują więcej uchodźców niż większość państw europejskich, nie ma protestów. W RPA dochodzi natomiast raz po raz do protestów, a nawet zamieszek przeciwko imigrantom – ale tam istnieje też wolna i bardzo pluralistyczna prasa. Autorytarni władcy trzymają ten temat z dala od mediów.

To oczywiście nie jest recepta dla Republiki Federalnej Niemiec ani dla Polski, nie można przecież wprowadzić cenzury, żeby zapobiec protestom przeciwko imigracji.

Niemniej żaden rząd nie może ugrać wiele przeciwko AfD właśnie dlatego, że mamy coś, za czym ludzie AfD nie przepadają – wolną i pluralistyczną prasę.

●

W marcu AfD uzyskała w Nadrenii-Palatynacie prawie 20 procent głosów i 24 ze 105 mandatów w parlamencie landu – to najlepszy wynik, jaki kiedykolwiek osiągnęła w zachodnich Niemczech. Po Hesji, gdzie już w 2023 roku zdobyła 18,4 procent głosów, i Badenii-Wirtembergii, gdzie z niespełna 19 procentami podwoiła wynik z 2021 roku, jest to już trzeci zachodnioniemiecki kraj związkowy, w którym Alternatywa jest trwale i dwucyfrowo zakotwiczona w Landtagu.

AfD nie jest już zjawiskiem czysto wschodnioniemieckim. Wszystkie próby sprowadzania jej sukcesów do wschodnioniemieckich resentymentów, bólu fantomowego po zniknięciu NRD, spóźnionego szoku po prywatyzacji i reprywatyzacji albo dyskryminacji wschodnich Niemców w zjednoczonych Niemczech nadają się do niszczarki.

Ale niech będzie: socjalizacja w NRD wyjaśnia głosowanie na AfD. Tylko czemu skłonność do głosowa-

▲ Ulrich Siegmund i AfD wygrali 6 września br. wybory do landtagu w Saksonii-Anhalt (43, 8 proc.). Na zdjęciu Siegmund na wiecu wyborczym w Klein-Wanzleben, 31 sierpnia br.

eprasa.pl 97b7b16417

nia na tę partię jest największa wśród trzydziesto- i czterdziestolatków, a najmniejsze poparcie na Wschodzie AfD ma wśród osób po siedemdziesiątce? Tak było również teraz w wyborach w Saksonii-Anhalcie. Innymi słowy: im dłużej w danej grupie wiekowej mogła działać socjalizacja przez NRD, tym mniejszy odsetek tych, którzy głosują na AfD. Która za to najbardziej w ostatnich latach zmobilizowała wyborców poniżej 25. roku życia.

Jak żadna inna partia w ostatnich dziesięcioleciach, Alternatywa zdołała też zmobilizować osoby dotąd niegłosujące. Analizy przepływów wyborczych wskazują, że odbiera wyborców CDU/CSU, a w drugiej kolejności SPD, ale największe zyski notuje wśród ludzi, którzy w sondażach exit poll deklarują, że w poprzednich wyborach nie głosowali. To ludzie, którzy nie znaleźli partii dla siebie albo uznali pójście do urny za zbyt męczące.

Tak było teraz w Saksonii-Anhalcie: największy przyrost AfD odnotowała wśród dotychczasowych niegłosujących. Ci wyborcy nie byli rozczarowani innymi partiami, bo interesowali się polityką tak mało, że w ogóle nie chodzili na wybory.

Wyjątkiem mogą być głosujący po raz pierwszy: ci być może byli rozczarowani i interesowali się polityką, ale po prostu nie mogli dotąd głosować.

•

Wszyscy ci wyborcy mają niewielkie kompetencje w sprawach politycznych, niższe wykształcenie, niższe dochody i bardziej autorytarne postawy niż pozostali. Kto sądzi, że wyższa frekwencja jest sama w sobie dobra dla demokracji, musi teraz zmienić zdanie: nie, nie jest. Nadaje wyborom i wybieranym osobom więcej legitymacji, ale prowadzi też do tego, że partie niedemokratyczne i autorytarne zyskują większy napływ zwolenników, a wyborcy głosują na partie, których program godzi w ich interesy ekonomiczne i finansowe.

W Saksonii-Anhalcie robotnicy głosowali na AfD ponadprzeciętnie często (według badań exit poll), ponieważ rzekomo lepiej broni państwa socjalnego – choć zgodnie ze swoim programem chce je ograniczyć i nie formułuje żadnych konkretnych propozycji reformy służby zdrowia i systemu emerytalnego. W USA ten sam efekt sprawił, że Latynosi głosowali na Trumpa w błędnym przekonaniu, że będzie deportował tylko innych Latynosów – na przykład tych, którzy przyjechali później. W Republice Weimarskiej wielu wyborców socjaldemokratów i komunistów, zanęconych egalitarystycznym i antykapitalistycznym wiecowym przesłaniem, przeszło do NSDAP i obudziło się w obozach koncentracyjnych.

Jeśli frekwencja jest tak wysoka, że obejmuje bardzo wielu politycznie niezorientowanych wyborców, którzy głosują pod wpływem emocji lub chęci odwetu, rezultatem są owce głosujące na wilki.

To niejedyny paradoks. Wraz z wyższą frekwencją idzie w parze spadające zadowolenie z demokracji. Można to nazwać paradoksem AfD: dzięki AfD demokracja staje się bardziej inkluzywna, a wybory lepiej odwzorowują interesy społeczne, ale jednocześnie rośnie liczba wyborców, którzy mają problem z demokracją.

Gdy kanclerzem była jeszcze Angela Merkel, AfD notowała dużo mniejszy napływ zwolenników niż za kanclerzy Olafa Scholza i Friedricha Merza. To mniej zasługa samej „Mutti" – która we wspomnieniach nie pisze o tym zupełnie nic – a bardziej jej doradców wyborczych i faktu, że ich słuchała. A radzili jej systematycznie demobilizować elektorat jej przeciwników – SPD i AfD – to znaczy przekonywać go, żeby nie szedł na wybory. Robiła to, w dużej mierze ignorując przeciwników, nie podejmując ich tematów, unikając polaryzacji i, krótko mówiąc, sprawiając wrażenie osoby nudnej i znudzonej. Zero demagogii. Jej socjaldemokratycznego kontrkandydata Martina Schulza doprowadziło to do furii. Zarzucił jej unikanie „demokratycznego dialogu", starał się ją prowokować. Ale nic to nie dało.

Merz robi dokładnie odwrotnie: kontrowersyjnymi wypowiedziami o migracji, cudzoziemcach i przestępczości podsyca klimat, który mobilizuje wyborców jego przeciwników, a wszystkim pozostałym dowodzi, że AfD „porusza tematy, które nurtują naród". Raz nazywa muzułmańskie dzieci w szkołach „małymi paszami", to znów skarży się, że wiele miejsc w Niemczech zmieniło przez cudzoziemców swój „krajobraz miejski", albo miesza imigrację z przestępczością.

To wszystko tematy, w których jako szef rządu, który musi trzymać się prawa, porządku i konstytucji – i tematy, w których nigdy nie przelicytuje partii opozycyjnej, zwłaszcza takiej jak AfD. Jednocześnie to tematy, w których wielu wyborców – niekoniecznie sympatyzujących z populistyczną prawicą, również wyborców CDU – uważa AfD za bardziej kompetentną niż CDU.

•

Przez polaryzację, która następuje wskutek samego pojawienia się AfD, problemy stają się trudniejsze do rozwiązania.

Podejmowanie decyzji w gronie osób o takich samych lub podobnych poglądach jest łatwe. Często udaje się w drodze konsensu i w ogóle nie trzeba głosować. Trudno robi się, gdy dochodzą outsiderzy, którzy odmawiają udziału w konsensusie i mają dość głosów, by blokować decyzje. Wtedy potrzebne są kompromisy, które trzeba wynegocjować, co z kolei wymaga czasu i może prowadzić do rezultatów, z których nikt nie jest naprawdę zadowolony.

Efekt: frustracja, wzrost liczby rozczarowanych demokracją i spadek liczby tych, którzy uważają demokrację za najlepszą formę rządów. Paradoks: AfD spowodowała większą frekwencję wyborczą i większe zainteresowanie polityką w warstwach, które dotąd się tym nie interesowały, ale tym samym utrudnia „rozwiązywanie problemów" i pogłębia frustrację demokracją u własnych wyborców (a przy okazji także u wyborców innych partii).

Dawniej ci ludzie zostawali w domu i zachowywali swoją frustrację dla siebie. Odkąd istnieje AfD, chodzą głosować i frustrują się przy tym jeszcze bardziej. Tyle w temacie przekonania, że merytorycznym rozwiązywaniem problemów można AfD wyrugować z polityki.

Im więcej partii negocjuje warunki koalicji, tym bardziej politycy się przy tym kłócą i tym dłużej to trwa, tym większa konieczność kompromisów i tym większa frustracja u wyborców. A w ślad za nią narastające przekonanie, że demokracja to mało skuteczna forma rządów. W Saksonii-Anhalcie można to obserwować jak pod lupą: żeby zapobiec rządowi AfD, wszystkie pozostałe partie będą negocjować rząd koalicyjny. Każda partia poza AfD musi przy tym pójść na dużo większe kompromisy, niż byłoby to konieczne w koalicji dwóch czy trzech partii. I tym samym frustruje tę część swoich wyborców, która takich kompromisów nie akceptuje.

Jedyną partią, która nie zniechęca w ten sposób swoich wyborców, jest AfD – więc może liczyć na premię: w kolejnych wyborach dostanie jeszcze więcej głosów. Dlatego jej kandydat na premiera Ulrich Siegmund już teraz opowiada się za przedterminowymi wyborami. Kalkulacja, że uda się wtedy stworzyć rząd jednopartyjny, jest całkowicie uzasadniona.

•

Dotyczy to również sztandarowego tematu Zielonych, czyli zmiany klimatu. Która poddała całe regiony – na Wschodzie i na Zachodzie – podobnej presji wielkich, przeorywujących wszystkie dziedziny życia reform, jaką przeszli wschodni Niemcy po przystąpieniu NRD do RFN.

Liczne badania terenowe pokazały w ostatnich latach, że wyniki wyborcze AfD są szczególnie wysokie tam, gdzie stare centra przemysłowe są zagrożone zniknięciem: kopalnie węgla brunatnego, przemysł ciężki, a od niedawna także przemysł samochodowy.

Można na to chłodno i rzeczowo odpowiedzieć, że zmiana strukturalna w latach 90. wywołała dwucyfrowe bezrobocie, podczas gdy zmiana wywołana polityką klimatyczną dokonuje się teraz przy prawie pełnym zatrudnieniu. To prawda, abstrahuje jednak od tego, że wtedy i dziś chodziło przede wszystkim o lęki, a nie o realną utratę pracy. Badania z lat 90. pokazały, że bezrobotni nie wykazywali większej gotowości oddania głosu na ówczesne partie skrajnie prawicowe niż przeciętna populacji. Wyższa była u tych, którzy nie byli bezrobotni, ale bali się, że się nimi staną.

I tak jest również dziś: gdyby AfD rekrutowała wyborców wyłącznie spośród zwolnionych robotników przemysłowych, miałaby niewielkie szanse. Głosują na nią ponadprzeciętnie często ci robotnicy, którzy nie zostali zwolnieni, ale pracują w zagrożonych branżach.

Nie uspokaja ich wtedy również to, że SPD i Lewica / Die Linke zabiegają o wyższe zasiłki dla bezrobotnych i mniej obwarowań dla pobierających pomocy socjalnej. Bo nie pędzi ich lęk przed głodem, lecz lęk przed degradacją społeczną – oni w ogóle nie chcą się znaleźć w sytuacji, w której musieliby korzystać ze świadczeń, o które walczą partie lewicowe.

W tym miejscu dochodzi do głosu mechanizm psychologiczny, który pomógł AfD już na Wschodzie. Gdy wysiłek związany z przygotowaniem się na nadchodzące zagrożenie wydaje się ludziom zbyt duży, bagatelizują to zagrożenie i sami dostarczają sobie swoistego pretekstu do bezczynności. Ten mechanizm odpowiada za wysoką liczbę ofiar klęsk żywiołowych, gdy ludzie, zamiast jak najszybciej uciekać, porzucając dobytek, wolą bagatelizować alarmy pogodowe albo wręcz z nich kpić i po prostu czekać.

W przypadku reform wymuszonych zmianą klimatu oznacza to: jeśli przerasta mnie wysiłek szukania nowej pracy, przekwalifikowania się, zmiany miejsca zamieszkania albo perspektywa bezrobocia, to nie przyznaję się do tego i nie proszę o pomoc, lecz szukam sobie partii, która przyznaje mi rację.

Mamy dziś także w zachodnich Niemczech okręgi wyborcze i regiony, których mieszkańcy wiedzą, że tak dalej być nie może, bo Volkswagen sprzedaje za mało samochodów elektrycznych, bo miejscowa elektrownia emituje za dużo dwutlenku węgla, a huta na horyzoncie nie produkuje już z zyskiem. Reagują na ten lęk przed deindustrializacją, zaprzeczając zmianie klimatu i głosując na partię, która utwierdza ich w tym przekonaniu.

Że to działa, jest w dużej mierze winą przeciwników AfD. Aby przełamać mechanizm lęku, trzeba pomniejszać wysiłek konieczny do stawienia czoła grożącemu niebezpieczeństwu. Oni, od Zielonych po SPD, zrobili coś przeciwnego. Nieustannie podkreślali, jak gigantyczne jest zadanie, które musimy udźwignąć, jak daleko idących reform potrzeba, by je wykonać, i jakie katastrofy nastąpią, jeśli te reformy odłożymy.

CDU popełniła ten błąd w mniejszym stopniu, więc oberwała mniej, ale pułapki klimatycznej też nie uniknęła: jej polityka coraz dalej idącego wycofywania się z wymogów klimatycznych nie odbiera AfD żadnych głosów, bo ludzie wolą oryginał od podróbki. Za to sprawia, że ów oryginał staje się jeszcze bardziej wiarygodny dla wszystkich, którzy bardziej boją się skutków polityki klimatycznej niż samej zmiany klimatu. „Patrzcie, skoro nawet chadecy tak mówią, to z tą zmianą klimatu nie jest wcale tak źle i możemy robić dalej to, co dotąd".

•

Wynika z tego kilka wniosków.

• Po pierwsze, pomysł odebrania AfD wyborców przez większą ksenofobię, radykalny zwrot migracyjny i zamykanie granic jest przeciwskuteczny.

Od lat imigracja i przestępczość w RFN spadają, a AfD wygrywa coraz więcej wyborów. A polityka ksenofobiczna jest nie tylko niehumanitarna – ten argument wielu ludzi puści mimo uszu – lecz szkodzi również tym, którzy boją się migrantów, bo nawet najwyższa dzietność przy około rocznie 500 000 wyjazdów z Niemiec na stałe nie zrównoważy w najbliższej dekadzie deficytów w służbie zdrowia, na rynku pracy i w systemie emerytalnym. A im większe deficyty, tym większe niezadowolenie wyborców, którzy u kogo znajdą zrozumienie i pocieszenie?

Mimo to partie lewicowe wolą argumentować za migrantami moralnością i humanitaryzmem – co potencjalnych wyborców AFD w ogóle nie przekonuje – niż interesami, finansami i dobrobytem. Nie podnoszą w przystępny, przekonywający sposób, że wstrzymanie imigracji plus masowe deportacje, których AfD domaga się pod nazwą „remigracji", doprowadzą do jeszcze większego niedoboru rąk do pracy, co jeszcze bardziej pogłębi brak usług publicznych na obszarach wiejskich i wyludnianie wsi.

• Po drugie: żaden polityk, żaden rząd nie zatrzyma napływu głosów do AFD, bo nie ukoi lęku ludzi, którzy przy niespełna sześcioprocentowym bezrobociu i powszechnym niedoborze pracowników boją się, że stracą pracę.

Wyborcy AfD mają niewielkie kompetencje w sprawach politycznych, niższe wykształcenie, niższe dochody i bardziej autorytarne postawy niż pozostali. Kto sądzi, że wyższa frekwencja jest sama w sobie dobra dla demokracji, musi teraz zmienić zdanie

eprasa.pl 97b7b16417

Nikt nie ukoi lęku ludzi przed napadem i obrabowaniem, dopóki nie interesują się – od lat spadającymi – statystykami przestępczości, bo, czemu trudno się dziwić, o wiele większą uwagę poświęcają spektakularnym pojedynczym przypadkom zbrodni, nagłośnionych w mediach. I żaden polityk nie przekona ludzi, którzy czują się opuszczeni, że wcale nie zostali pozostawieni sobie.

Jeśli więc Friedrich Merz chce odebrać AfD głosy, to nie idąc w jej ślady i grzmiąc przeciwko imigrantom, lecz inwestując olbrzymie zaciągnięte długi, *Sondervermögen*, na obszarach wiejskich, zwalczając wykluczenie transportowe i wyludnienie wsi. Niech dba o to, aby się osiedlali tam syryjscy, irańscy czy ukraińscy lekarze, skoro niemieccy nie chcą pracować na prowincji, i o to, by stawiano – wszędzie – więcej latarni ulicznych. Co, jak pokazują wieloletnie doświadczenia z Holandii, bardziej obniża lęk przed przestępczością niż potwierdzające, że „strach wyjść z domu", patrole policyjne i surowsze kary.

●

W Niemczech toczy się gorąca debata, na ile sensowna jest „zapora ogniowa" – niemiecki odpowiednik kordonu sanitarnego. Czy wolno rozmawiać z AfD? Czy wolno z nią negocjować lub głosować w ważnych sprawach?

Dotąd było to tabu. W Saksonii-Anhalcie wkrótce jednak „firewall" przestanie działać – AFD jest tam po prostu zbyt silna.

A z punktu widzenia badań naukowych nad AfD nie ma argumentu przeciwko rozmawianiu z AfD. Wszystko zależy od tego, o czym: w żadnym razie o tematach, w których wyborcy uważają AfD za bardziej kompetentną niż inne partie.

• Czyli: jeśli AfD chce mówić o przestępczych cudzoziemcach, pozostałe partie nie mówią o tym, że cudzoziemcy wcale nie są przestępcami, że to rasizm albo że szkodzi to Niemcom, lecz o tematach, w których wyborcy uważają ich za bardziej kompetentne niż AfD:

• o ochronie środowiska i zmianie klimatu (Zieloni),

• o sprawiedliwości społecznej (SPD i Lewica),

• o gospodarce, podatkach i systemie emerytalnym (CDU).

• Przede wszystkim jednak politycy i dziennikarze muszą się żegnać z wyobrażeniem, że odczucie i rzeczywistość to to samo.

Samo zmienianie rzeczywistości – pobudzenie wzrostu gospodarczego czy odbudowa infrastruktury – nic nie da, jeśli wyborcy w ogóle tego nie dostrzegą. Równocześnie trzeba pracować nad zmianą percepcji – a tym bardziej, jeśli w rzeczywistości niewiele da się zmienić.

Bo co z tego, że przestępczość i imigracja zostaną zbite niemal do zera, jeśli wyborcy nadal będą bali się migrantów i przestępstw? Co z tego, że pobudzi się wzrost gospodarczy, jeśli wyborcy nadal będą uważali, że „kraj idzie na dno"? Nic nie da „lepsze rządzenie", jeśli wyborcy uważają, że kraj jest gorzej rządzony.

• Jednocześnie trzeba systematycznie demobilizować wyborców AfD, unikając polaryzujących, ważnych dla nich tematów – i w miarę możliwości nie wspominając o AfD w kampanii, a więc również jej nie demonizując.

Tą strategią Merkel udało się w 2017 roku zmniejszyć poparcie dla SPD z 33 do 20 procent. Nie przez to, że stała się bardziej socjaldemokratyczna niż SPD, lecz przez to, że systematycznie ignorowała SPD, jej kandydata na kanclerza i tematy, w których socjaldemokraci uchodzili u wyborców za bardziej kompetentnych niż CDU.

Dziennikarzom i licznym politologom wcale się to nie podobało, uważali to za niedemokratyczne albo po prostu nudne. Ale bądźmy szczerzy: kampanie wyborcze, które politycy i dziennikarze mogą sprzedać jako ostateczne starcie dobra ze złem, bo dwie lub więcej partii walczy ze sobą na noże i wywołuje przy tym niebywałe emocje społeczne, są dla mediów i publiczności o wiele ciekawsze.

Aby skutecznie realizować te dwa podejścia, partie demokratyczne musiałyby porozumiewać się nie dopiero po wyborach, lecz przed nimi, i uzgadniać tematy, które chcą wyłączyć ze sporu politycznego. W Polsce mamy kilka dobrych przykładów.

Nie wiem, czy istniała jakaś zmowa, ale w kampaniach ostatnich lat nie kłócono się ani o cyfryzację państwa, ani o OZE, odpowiednie resorty obsadzono niepartyjnymi fachowcami – i dziś odnawialne źródła energii w Polsce kwitną, a w cyfryzacji usług publicznych Polacy już dawno wyprzedzili Niemców. Depolityzacja określonych tematów nie sprzyja przejrzystości, ale przyczynia się do skuteczniejszej polityki.

Aby to podejście zadziałało w Niemczech, dziennikarze musieliby pytać AfD o tematy, w których wyborcy nie uważają jej za kompetentną, zamiast o te, które wywołują maksymalne oburzenie – a tym samym podbijają oglądalność i klikalność. W przypadku innych partii robią to przecież dość często.

●

Takiego zwrotu oczywiście nie zobaczymy. Co robią nasi politycy, dziennikarze i wielu politologów, gdy podsuwa im się mikrofon pod nos i zapyta, jak należy zwalczać AfD? Odpowiadają, że trzeba robić to, co najbardziej odpowiada ich politycznej agendzie i przekonaniom. Lewica twierdzi wtedy, że populiści znikną jeśli polityka rządu będzie bardziej lewicowa, Zieloni domagają się więcej ochrony środowiska i klimatu, konserwatyści chcą, aby ich partia odbierała AfD wyborców, skręcając ostro w prawo. Widzimy to od lat, a poparcie dla AFD rośnie.

Zakaz tej partii też nie rozwiązuje problemu. Na to jest już za późno, samo postępowanie trwałoby lata i spowodowało, że przez te lata Niemcy nie dyskutowaliby o niczym innym, mobilizując elektorat AfD – oraz szczerych demokratów oburzonych łamaniem naginaniem własnych wartości – jeszcze bardziej. A potem państwo, by zapobiec rychłemu powstaniu nowej – starej partii, musiałoby występować przeciwko możliwym sukcesorom i zwolennikom nowej AfD tak brutalnymi metodami, że powoli, lecz nieuchronnie przekształciłoby się w takie państwo, do jakiego dąży AfD. W autorytarne państwo policyjne w stylu NRD.

Właściwie wszystko jest całkiem proste – i nasi politycy o tym wiedzą. W ostatniej kampanii do Bundestagu badacze opinii z bliskiego CDU Instytutu Allensbach zalecali Friedrichowi Merzowi skupienie kampanii wyłącznie na tematach gospodarczych. Chadecja uchodziła wtedy u wyborców za znacznie bardziej kompetentną w tej dziedzinie niż pozostałe partie. Zdaniem Allensbachu mogła dzięki temu przekroczyć 40 procent, a „kampania migracyjna" z przejęciem kluczowych tematów AfD przyniosłaby dużo mniej głosów.

Kanclerz zdecydował się na pierwszą propozycję – i wtedy doszło do zamachu w Magdeburgu, gdzie antyislamski imigrant z Arabii Saudyjskiej wjechał w tłum ludzi. Merz wpadł w panikę i zmienił strategię: więcej AfD, mniej gospodarki. W wyborach CDU spadła poniżej 30 procent.

Wszystko to jest czarno na białym w „Letzte Chance: Der neue Kanzler und der Kampf um die Demokratie", najnowszej i świetnie się sprzedającej książce popularnego dziennikarza politycznego Robina Alexandra. Tylko tej części najwyraźniej nikt nie przeczytał. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34450642



SUPER MIASTA REGIONY
DŁUGOWIECZNI | wyborcza.pl

W ŚRODĘ z „Wyborczą"

- Czy warto dłużej pracować przed emeryturą? Mamy wyliczenia
- Jak projektować miasta przyjazne starości?
- Kto dziś opiekuje się polskimi seniorami?
- Jak sztuczna inteligencja zmienia życie seniorów? Czy pomoże w opiece nad nimi?

Wyborcza.pl/Supermiasta

REKLAMA

PARTNERZY GŁÓWNI

DOLNY ŚLĄSK
Warszawa

PARTNERZY

Mazowsze. serce Polski
WARMIA MAZURY

BB 2026 Bielsko-Biała Polska Stolica Kultury
KATOWICE dla odmiany

Kraków
PRZEBOJOWE OPOLE

Sopot
WAŁBRZYCH

1 RP

eprasa.pl 97b7b16417

CUT BABY, CUT



Czy najdzikszy las Ameryki zasili chińskie fabryki mebli?

Aleksander Gurgul

Iry kursują nieustannie, zrzucają kłody drzew na wielkim placu, po czym przejmują je gąsienicowe ciągniki wyposażone w potężne chwytaki. Leśny krajobraz w oddali przypomina trochę klimat ze „Snów o pociągach" Denisa Johnsona, choć akcja tego opowiadania toczy się w sąsiednim Idaho.

Na murku przed olbrzymim tartakiem w Carson w stanie Waszyngton przerwę robią sobie Hardy, Greg i Jose. Carson jest jedną z kilku bram wiodących do Lasu Narodowego Gifforda Pinchota, w którym w maju 1980 roku doszło do erupcji wulkanu – Góry św. Heleny.

Powierzchnia tego lasu wynosi około 5,5 tys. km kw. To prawie połowa województwa świętokrzyskiego albo blisko 60 proc. powierzchni województwa opolskiego.

Jeden z najstarszych lasów narodowych w USA – zyskał to miano w 1908 roku – nosi imię po człowieku, który był pierwszym szefem amerykańskiej służby leśnej – U.S. Forest Service – w latach 1905-10.

– Skąd przywożą drewno? Zewsząd! – odpowiadają Hardy i Greg, pałaszując kanapki.

– A stamtąd? – pytam, wskazując na las Gifforda Pinchota.

– Akurat stamtąd to niewiele, bo to głównie rezerwat – odpowiadają. Za nimi słychać ryk pił. Kawałek dalej z hali wyjeżdża „las w paczkach", czyli deski na paletach. Gdzie trafią?

Hardy i Greg odpowiadają: „Wszędzie!".

W drodze powrotnej minę stosy surowych nieprzerobionych kłód nad rzeką Columbia, która 230 km dalej na zachód rozlewa się wielką paszczą do Pacyfiku. W rzecznych portach i na składowiskach pracują zraszacze, żeby drewno nie poszło z dymem od samozapłonu albo żeby nie popękało, bo straci na wartości.

●

Jeden z ojców amerykańskiego leśnictwa, jak mówi się o Giffordzie Pinchocie, w 1925 r. trafił na okładkę magazynu „Time", choć nie za zasługi dla lasów, ale jako gubernator stanu Pensylwania (z ramienia Republikanów). Był rozjemcą w sporze właścicieli kopalń antracytu z górniczymi związkami zawodowymi: w 1923 r. doprowadził do zakończenia strajku i 10-procentowej podwyżki płac.

Krytycy zarzucali mu, że podniósł tym samym ceny węgla w USA.

Zaciekle krytykował rząd federalny za niemoc w egzekwowaniu przepisów prohibicji, był także delegatem na kongres eugeniczny – która to pseudonauka była wówczas również częścią racjonalistycznego, postępowego światopoglądu. W 1924 r. ubiegał się o partyjną nominację w wyścigu do Białego Domu. Tę zgarnął mu jednak sprzed nosa Calvin Coolidge, późniejszy prezydent USA.

Pinchot był potomkiem imigrantów z Francji, po ukończeniu Yale wyjechał do ojczyzny przodków, by studiować leśnictwo w Nancy. Zawód praktykował potem w Alpach i Wogezach. W 1891 r. wrócił do USA i współtworzył zręby amerykańskiego leśnictwa. W latach 1931-35 był ponownie gubernatorem Pensylwanii. Zmarł w 1946 r.

●

O początkach służby leśnej w USA pisał między innymi Elers Koch z Montany, który spędził w jej szeregach cztery dekady. Był jednym z pierwszych leśników w USA, głoszących niepopularną tezę, że gaszenie pożarów lasów jest mało skuteczne. W książce „Forty years a forester" wspominał czasy, gdy tacy jak on zjeżdżali konno skrawki dziczy na zachodzie USA, by opanować „wolną amerykankę" i uratować lasy państwowe przed piłami prywaciarzy spod znaku rabunkowej gospodarki.

„Chłopcy Pinchota", jak ich nazywano – sam Koch wolał określenie „Pinchot's young men", „młodzi mężczyźni" – spędzali w siodle niekiedy po kilka tygodni. Pisali raporty o obszarach leśnych, które pozostawały własnością publiczną. Na podstawie map, które nakreślili, lasy te do zasobów federalnych wciągał prezydent Theodore Roosevelt.

Kocha przerażał widok brutalnie wycinanych lasów: „Miałem wrażenie, że patrzę raczej na kopalnię niż na teren pozyskiwania drewna". Był jednym z pierwszych, którzy utyskiwali na rosnące zagrożenie dla lasów i w ogóle przyrody ze strony rozwijającej się motoryzacji. Dzisiejszy ruch samochodowy w USA byłby dla niego czymś nie do pomyślenia. Zmarł w Missouli w Montanie w 1954 r., a więc zanim na dobre rozhulała się budowa sieci autostrad międzystanowych za czasów prezydenta Dwighta Eisenhowera.

Część lasów wyznaczonych przez „chłopców Pinchota" nazywa się dziś „midnight forests", czyli – moglibyśmy powiedzieć – uchwalonymi za pięć dwunasta. Skąd ich nazwa?

Nie wszystkim podobało się to, że rząd federalny zarządza terenami leśnymi, w kuluarach kongresmeni nazywali to nawet „Pinchotyzmem". Lobbing doprowadził do tego, że w 1907 r. Kongres zabronił prezydentowi tworzenia kolejnych rezerw leśnych (wtedy też zaczęto je nazywać National Forests). Ostatnie lasy, które przed wejściem zakazu w ży-

eprasa.pl 97b7b16417



• Załadunek ciężarówki świeżo ściętymi i okorowanymi pniami drzew na leśnym wyrębie w stanie Waszyngton w USA

FOT. D LOGAN/CLASSICSTOCK/GETTY IMAGES)

cie „chłopcy Pinchota" nakreślili na mapach, a które udało się podrzucić Rooseveltowi na biurko do podpisu, noszą właśnie to miano.

Dziś powiedzieć, że US Forest Service zarządza olbrzymimi terenami, to nie powiedzieć nic. To 78 mln ha lasów i obszarów trawiastych; więcej niż liczą Francja i Niemcy razem wzięte. Największym amerykańskim lasem narodowym jest Tongass na Alasce. Ma powierzchnię 68 tys. km kw., czyli ok. 6,8 mln ha.

•

W dokumentach, które przygotowała Congressional Research Service, czyli zaplecze analityczne Kongresu, czytam, że Pinchot początkowo uważał, iż U.S. Forest Service może stać się w pewnym momencie samowystarczalna dzięki produkcji drewna, jednak z czasem porzucił ten pogląd.

Boom na produkcję drewna w USA eksplodował po drugiej wojnie światowej. W latach 50. napędzał go głód domów i mieszkań. W latach 60. i 70. rządowa agencja leśna pozyskiwała 10-12 miliardów stóp deskowych (ang. „board foot", objętość drewna odpowiadająca kawałkowi o wymiarach 12 × 12 × 1 cala) z lasów narodowych.

Wtedy jednak – zwłaszcza na zachodzie USA – nastąpił szereg zmian, które w dużej mierze miały chronić przyrodę i pozyskiwanie drewna z National Forests spadło do 2-3 mld stóp deskowych obecnie.

• Wśród najważniejszych trzeba wymienić ustawę o dziczy (Wilderness Act) z 1964 r., dzięki której zaczęły w USA powstawać tereny chronione nazywane „dziczą", czyli *Wilderness*.

• Kolejnym krokiem była National Environmental Policy Act (NEPA) z 1970 roku, która na agencje federalne nakłada obowiązek oceny środowiskowej ich działań oraz konsultacji społecznych.

• W 1973 roku Richard Nixon podpisał zaś ustawę o gatunkach zagrożonych, Endangered Species Act, ESA, która jest podwaliną amerykańskiej ochrony przyrody.

• W latach 70. i 80. U.S. Forest Service musiała się także podporządkować nowym zasadom planowania i zarządzania lasami.

• Szereg regulacji dla leśników – Northwest Forest Plan – przyjęła w 1994 r. administracja Billa Clintona, których celem była ochrona starolasów w Waszyngtonie, Oregonie i północnej Kalifornii. A od 2001 r. obowiązuje zasadę o bezdrożach, „Roadless Rule", która spowodowała, że na około 58,5 mln akrów – około 237 tys. km kw – nie można wycinać lasów ani budować dróg czy prowadzić górnictwa.

Administracja Donalda Trumpa rozwadnia kilka z powyższych regulacji, z których bodaj największym ciosem mogą okazać się zmiany w ustawie o gatunkach zagrożonych. Ale trumpiści zapowiedzieli także szeroko zakrojone modyfikacje w samej U.S. Forest Service oraz zasadzie o bezdrożach.

Te ostatnie sekretarz rolnictwa Brooke L. Rollins ogłosiła po spotkaniu ze stowarzyszeniem gubernatorów zachodnich stanów w Nowym Meksyku w czerwcu 2025 roku. Zniesienie zasady bezdroży ma „umożliwić prowadzenie działań zapobiegających pożarom oraz odpowiedzialną produkcję drewna" – czytam w oficjalnym komunikacie.

Łącznie dziś zasada o bezdrożach obejmuje blisko 30 proc. lasów narodowych w USA. Zdaniem urzędników z departamentu rolnictwa, którym kieruje Rollins, ograniczenia te „szkodzą lokalnym miejscom pracy i rozwojowi gospodarczemu na obszarach wiejskich". I dodają, że „tylko stan Utah szacuje, że Roadless Rule powoduje spadek rozwoju gospodarczego w sektorze leśnym o 25 proc."

– Po raz kolejny prezydent Trump usuwa absurdalne przeszkody stojące na drodze rozsądnego zarządzania naszymi zasobami naturalnymi, wycofując nadmiernie restrykcyjną zasadę dotyczącą obszarów pozbawionych dróg – powiedziała Rollins.

Trumpiści wskazują także, że z około 58,5 mln akrów objętych zasadą bezdroży, 28 mln to obszary o „wysokim lub bardzo wysokim ryzyku wystąpienia pożarów lasów".

Wspomniany olbrzymi las na Alasce Trump już raz wyłączył w 2020 r. z zasady o bezdrożach, ale cofnęła tę decyzję administracja Joego Bidena.

Po tym, jak Rollins ogłosiła, że zamierza znieść zasadę o bezdrożach, do podległego jej departamentu spłynęło ponad 625 tys. komentarzy, z których – jak wylicza organizacja Earthjustice – co najmniej pół miliona sprzeciwiało się temu pomysłowi. List do Rollins wysłała także czwórka byłych szefów U.S. Forest Service, w tym Vicki Christiansen, szefowa leśników z pierwszej kadencji Trumpa. Napisali, by nie likwidować zasady o bezdrożach.

Ale 18 sierpnia 2026 r. Rollins złożyła dokumenty, by całkowicie ją uchylić. Nie obejmie to jednak wszystkich stanów, bo na przykład lasy narodowe w Kolorado i Idaho mają własne, stanowe przepisy o bezdrożach. Uwagi do propozycji Rollins można wysyłać do 21 września, więc organizacje przyrodnicze miały niespełna miesiąc na działanie.

To jednak nie wszystkie zmiany w U.S. Forest Service, które w ostatnim czasie ogłosili ludzie Trumpa.

Na początku tego roku administracja postanowiła przenieść główną siedzibę U.S. Forest Service do Salt Lake City – stolicy mormońskiego stanu Utah i likwiduje leśnikom biura regionalne.

Główny cel „reorganizacji", jak ją nazywają trumpiści, to być bliżej lasów narodowych, bo tych najwięcej jest właśnie na zachodzie USA.

•

Ostro te posunięcia krytykuje związek zawodowy National Federation of Federal Employees (NFFE-IAM), który reprezentuje około 110 tys. pracowników federalnych.

„Wśród osób, których decyzja dotyczy, znajdują się między innymi naukowcy prowadzący kluczowe badania z zakresu leśnictwa, a także technicy ds. rekreacji, którzy dbają o bezpieczeństwo i dostępność terenów publicznych dla milionów Amerykanów odwiedzających je każdego roku" – napisała NFFE-IAM w kwietniowym oświadczeniu.

A to było dopiero preludium.

Randy Erwin, przewodniczący NFFE-IAM, powiedział, że wyrywanie leśników z dotychczasowego miejsca pracy i rozwalanie struktury, w której funkcjonują, nie jest reformą. – To chaos, a zapłacą za niego amerykańskie społeczeństwo i nasze tereny publiczne – skwitował.

Związki zawodowe są wściekłe na Trumpa od czasów, gdy „piła mechaniczna" Elona Muska obcięła tysiące etatów w administracji federalnej, w tym w parkach narodowych.

Zdaniem NFFE-IAM wszystko to może doprowadzić do prywatyzacji części zadań, którymi dziś zajmuje się służba leśna w USA. Niepokoi ich zwłaszcza gaszenie pożarów, bo w obliczu rosnącego ryzyka pożarowego prywatni przedsiębiorcy będą windować ceny. Związek wylicza, że trumpistowska „reorganizacja" może dotknąć nawet 6,5 tys. pracowników, którzy „będą musieli przenieść się do Salt Lake City albo zrezygnować z pracy".

Tongass to jeden z najtrudniej dostępnych terenów w USA, z dala od portów i tartaków. Zbudowanie drogi w lesie z tak dużymi różnicami temperatur, gdzie wiecznie pada deszcz, a stoki są wyjątkowo strome, jest niesłychanie kosztowne. Ale Trump się uparł

Wytyka także, że „poważnie ucierpią działania badawcze, obejmujące 2,7 tys. pracowników w 31 stanach oraz liczne ośrodki doświadczalne".

Erwin zapowiedział, że będą walczyć z reorganizacją U.S. Forest Service we współpracy z lokalnymi społecznościami i innymi organizacjami.

W czerwcu związkowcy i leśnicy pojechali pod Kapitol w Waszyngtonie. Wsparli ich Demorkaci z Kolorado, Oregonu i Kalifornii. Na stronach NFFE-IAM można przeczytać najważniejsze z obaw związkowców: „Llikwidacja agencji oraz zamiar administracji Trumpa, by sprzedawać lub przekazywać publiczne grunty osobom prywatnym bądź korporacjom, doprowadzą do zagrabienia zasobów, które prawnie należą do narodu amerykańskiego".

A jak już prywatni przedsiębiorcy umoszczą się na gruntach publicznych, ograniczą dostęp do nich dla myśliwych, wędkarzy i osób, które chcą po prostu odpocząć na łonie przyrody.

„Żadna administracja nie ma prawa rozdawać majątku publicznego. To uprawnienie należy do Kongresu, a ostatecznie do narodu amerykańskiego, któremu służy" – napisali związkowcy w liście otwartym do kongresmenów.

W związku z niepokojami, jakie wybuchły, administracja federalna na specjalnej stronie internetowej zamieściła „fakty i mity" dotyczące reorganizacji U.S. Forest Service. Czytam na niej, że zmiany miejsca pracy może spodziewać się najwyżej 500 z 30 tys. pracowników, większość z biura w Waszyngtonie, oraz że nie ma planów przekazania zarządzania lasami narodowymi w ręce stanów.

•

Jak wylicza organizacja non-profit Forest Service Employees for Environmental Ethics (Pracownicy Służby Leśnej na rzecz Etyki Środowiskowej, FSEEE) obecnie lasy narodowe w USA przecina 370 tys. mil (czyli ponad 595 tys. kilometrów) dróg, a w kontynentalnych 48 stanach „najdalsze miejsce, w jakim można znaleźć się od drogi, znajduje się zaledwie 22 mile od niej" – napisali, gdy sekretarz Rollins ogłosiła koniec zasady bezdroży.

Leśnicy wskazują także, że ani Rollins, ani Trump nie mogą tak po prostu uchylić tej zasady. To wymaga przeprowadzenia formalnej procedury, zgodnej z wymogami wspomnianych ustaw NEPA (decyzje środowiskowe) oraz ESA (gatunki zagrożone).

– Dorastałem w Los Angeles, gdzie w latach 70. smog był tak gęsty, że piekły nas oczy i trudno było oddychać – czasami nie pozwalano nam wychodzić na zewnątrz – mówi mi Kevin Hood, dyrektor wykonawczy FSEEE, leśnik z ponad 30-letnim stażem pracy. Łączy się ze mną z drewnianej chatki w pobliżu lasu Tongass.

Hood z rodzicami uciekali do Sierra National Forest albo do parku narodowego Yosemite, gdzie powietrze było czyste. Od ponad 26 lat mieszka na Alasce. Pracę w służbie leśnej zaczął w 1995 r. Odpowiadał za obszary *Wilderness*, za kontakty z rdzennymi mieszkańcami, grupami szkolnymi i przyrodnikami.

– W ubiegłym roku poproszono nas, żebyśmy wycofali pieniądze, jakie U.S. Forest Service miała przekazać plemionom na mocy podpisanych już porozumień. Wtedy zdecydowałem, że nie będę pracował dla tej administracji – wspomina Hood. Nie chciał być częścią kolejnego rozdziału w historii niesprawiedliwości na linii rząd federalny – rdzenni mieszkańcy USA.

Presja, jaką administracja Trumpa wywiera na wycinkę w lesie Tongass, to dla Kevina myślenie rodem z epoki dinozaurów, gdy do tak cennego lasu podchodzi się jak do zwykłego towaru, który należy pozyskać, a potem sprzedać.

– Chcą sprywatyzować zyski i uspołecznić koszty

– mówi o tych, którym najbardziej na tym zależy. Czyli o przedstawicielach sektora naftowo-gazowego i branży górniczej oraz drzewnej oraz prawicowych politykach z Zachodu, którym marzy się, aby to stany przejęły kontrole nad lasami.

A czy zniesienie zasady bezdroży faktycznie otworzy las Tongass na masową wycinkę drzew i wydobycie?

– Nie zgadzam się z tym twierdzeniem. Bezdroża mają coś, co nazywam cichą supermocą: ich eksploatacja nigdy się po prostu nie opłacała. Tongass to jeden z najtrudniej dostępnych terenów w USA – z dala od portów i tartaków. Zbudowanie jakiejkolwiek drogi w lesie z tak dużymi różnicami temperatur, gdzie wiecznie pada deszcz, a stoki są wyjątkowo strome, jest niesłychanie kosztowne – opowiada. Poza tym w południowo-wschodniej Alasce żyje niewielu ludzi. Kto przerobi tyle drewna? Na potrzeby lokalne wystarczy ułamek. A wysyłka kłód z alaskańskich starolasów do Chin byłaby istnym nieszczęściem i marnotrawstwem.

Hood wspomina, że FSEEE powstała w latach 80., a założyli ją leśnicy zaniepokojeni niezrównoważonym pozyskaniem drewna w lasach narodowych w USA. Ale do organizacji dołączają także ludzie niezwiązani z U.S.

eprasa.pl 97b7b16417

Forest Service. – Za cel stawiamy sobie to, żeby można było produkować drewno w sposób zrównoważony, na przykład nie niszcząc zlewni rzeki – mówi Hood. Stawiają na edukację, a także lepsze zasady etyczne w służbie leśnej.

Kiedy pytam o planowaną reorganizację, Hood opowiada mi o kolegach i koleżankach, którzy są skołowani, bo nie wiedzą, jak czeka ich przyszłość. – Mówią mi, że mają w głowie wiele pytań, a nie dostają odpowiedzi – opowiada Kevin. Wielu leśników nie chce rozmawiać z mediami, boją się, że stracą pracę.

Hood obawia się, że dojdzie do „brain drain", drenażu mózgów, czyli służba leśna straci wysoko wykwalifikowanych, przeszkolonych i doświadczonych pracowników, którzy znajdą pracę gdzie indziej, byle się nie przeprowadzać. – Część być może przejdzie na emeryturę – spekuluje.

●

Amerykańska służba leśna powstała w 1905 r., a więc na 11 lat przed służbą parków narodowych (ang. National Park Service, NPS).

Na początku 2026 r. sondażownia Susquehanna Polling and Research, Inc. przeprowadziła ankietę.

53 proc. osób uważa, że służba leśna USA wykonuje „znakomitą" lub „dobrą" pracę w zarządzaniu lasami narodowymi i terenami trawiastymi (*grasslands*),

28 proc. respondentów sądzi, że radzi sobie z tym zadaniem „przeciętnie" lub „źle".

Dla porównania, w badaniu opinii Pew z 2025 roku wynika, że amerykańską służbę parków narodowych aż 76 proc. Amerykanów ocenia jej pracę pozytywnie i jest to najlepiej oceniana federalna służba w USA (na szarym końcu jest skarbówka z wynikiem 36 proc.). Tylko 8 proc. Amerykanów ocenia NPS negatywnie, a pozostałe 15 proc. respondentów było niezdecydowanych.

O ile w Polsce Lasy Państwowe podlegają ministerstwu klimatu i środowiska, w Stanach Zjednoczonych leśnicy raportują do departamentu rolnictwa. A mimo to leśnicy w USA nie traktują lasów narodowych jak „plon". A tak robili niektórzy polscy leśnicy za rządów ziobrystów w Lasach Państwowych (to słynne słowa Jana Kosiorowskiego, dyrektora regionalnego z Krakowa, które przytaczam w książce „Ołtarz i Siekiera").

Lasy Państwowe zarządzają w Polsce 7,63 mln hektarów i to włączając w to już grunty zarówno zalesione, jak i niezalesione i inne, które leśnicy w sprawozdaniach nazywają „gruntami związanymi z gospodarką leśną", czyli np. nieużytkami albo terenami, przez które przepływają rzeki, tworzą się mokradła itp.

W 2025 roku pozyskanie drewna wyniosło nieco ponad 38,04 mln metrów sześciennych (około 1,7 mln m sześć. mniej niż w 2024 r.).

To oznacza, że z hektara Lasy Państwowe pozyskały w 2025 r. około pięciu metrów sześciennych drewna.

A jak jest w USA? Posłużę się przykładem Gifford Pinchot National Forest, którego powierzchnia wynosi około 1,37 mln akrów, czyli około 554 tys. hektarów. Jak wskazuje przewodnik dla odwiedzających, w 2022 r. pozyskano tam 29,15 mln stóp deskowych, a więc około 132 tys. metrów sześciennych drewna.

W 2022 r. pozyskano więc z tego lasu około 0,25 metra sześciennego w przeliczeniu na hektar. Widać więc wyraźnie, że pozyskiwanie drewna w National Forests nie jest priorytetem.

Skąd taka różnica pomiędzy Polską a USA?

Za Atlantykiem podstawową funkcją leśników z US Forest Service, zwłaszcza na zachodzie USA, gdzie znajduje się większość lasów federalnych, jest dbanie o las, opieka nad nim, ochrona przyrody oraz udostępnianie terenów do rekreacji czy wreszcie ochrona zasobów wodnych. A w epoce galopującego globalnego ocieplenia, las to także bardzo istotny magazyn węgla – w pniach i koronach drzew, ale także w glebie.

W Polsce leśnicy ostatnio przymuszeni przez rząd Demokratów także zaczęli wnioskować o to, by na terenach, którymi zarządzają, powstawały rezerwaty przyrody. Łączna powierzchnia lasów w Polsce (dane z końca 2024 r.) wynosi około 9,289 mln hektarów, z czego aż 77 proc. zarządzają Lasy Państwowe (lasy prywatne to u nas zaledwie 19 proc., a gminne około jeden procent). To sprawia, że bodaj najważniejszym zadaniem polskich leśników wciąż pozostaje zaspokajanie potrzeb branży drzewnej.

W USA sytuacja jest nieco inna.

„Szacuje się, że w Stanach Zjednoczonych (nie licząc Alaski Wewnętrznej, Interior Alaska) znajduje się 691 milionów akrów lasów [279,6 mln hektarów], a większość tych terenów jest własnością prywatną" – wskazuje US Forest Service w ostatnim zestawieniu, które odświeżone zostało pod koniec kwietnia 2026 r.

- około 37 proc. lasów należy do rodzin i osób prywatnych,
- 29 proc. do rządu federalnego [około 193 mln akrów],
- 22 proc. do korporacji,
- 7 proc. do władz stanowych,
- 2 proc. do samorządów lokalnych
- i 2 proc. do grup plemiennych.

Łącznie z Alaską, którą od niedawna obejmuje inwentaryzacja, w USA jest 310 mln ha lasów.

To wszystko sprawia, że leśnicy jako grupa zawodowa w USA postrzegani są bardziej urzędnicy udostępniający tereny rekreacyjne i chroniący przyrodę niż dostawcy drewna. Jeśli już jakieś pieniądze wpływają do ich kasy, to z wydawania pozwoleń, na przykład na wędkowanie, albo z oprowadzania turystów.

W Polsce, jak już wielokrotnie pisaliśmy w „Wyborczej" za rządów prawicy leśnicy stali się skrajnie upolitycznioną grupą, która czerpie olbrzymie korzyści finansowe (pensje dyrektorskie sięgają 20-30 tys. zł miesięcznie) ze zblatowania z władzą.

W latach rządów PiS miliony były wydawane na quasi kampanijne pikniki, na których marketingowo ogrzewali się leśnicy-politycy. Znacznie korzyści odniosły także parafie katolickie.

Wyrąb lasów w Polsce może być także decyzją stricte polityczną, jak przekonaliśmy się np. w czasie sporu o Puszczę Białowieską, którą minister Jan Szyszko przegrał w 2018 r. w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

●

Pod koniec sierpnia ukazała się analiza Centrum na rzecz Bioróżnorodności (Center for Biological Diversity), organizacji pozarządowej, z której wynika, że uchylenie zasady o bezdrożach „może przyspieszyć wyginięcie ponad 400 gatunków roślin i zwierząt objętych ochroną na mocy ustawy o gatunkach zagrożonych".

Wśród nich eksperci z CfBD wymieniają m.in. niedźwiedzie grizzly. Nie bez przyczyny trumpiści, którzy pisali słynny Project 2025, a więc założenia programowe na jego drugą prezydenturę, wpisali tam zniesienie ochrony grizzly w lasach narodowych wokół parku narodowego Yellowstone.

„Budowa dróg i wycinka drzew spowodowałyby znaczną erozję gleby, powodując przedostawanie się osadów do cieków wodnych. To z kolei podniosłoby temperaturę wody, zasypałoby tarliska i zanieczyściło wody w dolnym biegu rzeki" – czytamy w stanowisku CfBD.

I to także nie jest przypadkowe stwierdzenie, bo w lipcu 2026 r. ukazało się badanie naukowe w prestiżowym czasopiśmie „PLOS Water", z którego wynika że zasada o bezdrożach pomaga chronić około 130 tys. km rzek i strumieni – około 2,5 proc. długości wszystkich rzek w USA.

Po uwzględnieniu innych przepisów chroniących środowisko zasada ta, jak wskazują uczeni, jest kluczowa w ochronie co najmniej 100 tys. kilometrów (około 1,9 proc.) rzek i strumieni amerykańskich. Ich wlewnie dostarczają wodę pitną co najmniej 25 milionom Amerykanów, a w kilku stanach obszary te zapewniają wodę dla ponad jednej trzeciej populacji.

Zdaniem uczonych osłabienie Roadless Rule może doprowadzić do tego, że pogorszy się jakość i przystępność cenowa wody pitnej, ograniczona zostaną możliwości rekreacyjne (w tym wędkarstwo i łowiectwo), a także zagrozi to różnorodności biologicznej ekosystemów słodkowodnych.

„W 2022 r. 39,9 mln Amerykanów łowiło ryby, 14,4 mln polowało, a 148,3 mln brało udział w co najmniej jednym rodzaju aktywności związanej z obserwacją dzikiej przyrody. Łącznie działania te wniosły prawie 400 miliardów dolarów do gospodarki USA poprzez [kupno] sprzętu, podróże i powiązane wydatki" – napisali uczeni w artykule w PLOS.

72 procent ludzi, którzy w 2024 roku zagłosowali na Trumpa, opowiada się za tym, by lasy narodowe i bezdroża pozostały poza wyrębem. Ale choć wybory połówkowe za pasem, a Republikanie tracą w sondażach, Biały Dom chce prywatyzować leśnictwo

W styczniu tego roku ukazała się natomiast praca naukowa w czasopiśmie „Fire Ecology", która w pewnej mierze podważa argumentację trumpistów dotyczącą ryzyka pożarowego. Jej autorzy przyjrzeli się lasom narodowym w latach 1992-2024 i obliczyli, że gęstość występowania pożarów lasów była najniższa na obszarach dziczy i wynosiła 1,75 pożaru na tysiąc hektarów. Tylko ciut wyższa (1,97 pożaru/tysiąc ha) była na bezdrożach.

Najwyższą gęstość występowania pożarów odnotowano na terenach znajdujących się w promieniu 50 metrów od dróg – aż 7,99 pożaru na 1000 ha.

Na drugim miejscu były tereny w lasach narodowych, położone dalej niż pas 50-metrów od dróg, ale które jednocześnie nie były ani terenami dzikimi, ani bezdrożami. Tam współczynnik ten wynosił 3,5 pożaru na 1000 ha.

W lasach dzikich pożary zazwyczaj wybuchają od piorunów, z kolei na terenach przeciętych drogami wywołują je najczęściej ludzie (rzucone niedopałki, niedogaszone ogniska na kempingach i tym podobne).

Jednocześnie autorzy zauważyli, że jak już wybuchł pożar w dziczy albo na bezdrożach, to był on średnio znacznie większy (średnio odpowiednio 239 i 135 hektarów) niż ten przecięty drogami (średnio 49-62 ha).

Kiedy już w dziczy albo na terenach bez dróg wybuchnie pożar, trudniej go ugasić, zazwyczaj robi się to z powietrza.

Inna sprawa, że coraz częściej podnosi się, że część roślin potrzebuje ognia, by las mógł się po pożarze odrodzić, więc coraz częściej wśród leśników mówi się o „kontrolowaniu pożarów". Można wręcz powiedzieć, że ogień pełni naturalną rolę ekologiczną w przyrodzie.

Z kolei w lasach przeciętych drogami z płomieniami walczą strażacy, narażając zdrowie i życie. Same drogi są także barierą dla pożarów. Z drugiej strony wzdłuż dróg często rosną łatwopalne trawy.

Wnioski?

„Budowa dróg na obszarach, gdzie ich nie ma, prawdopodobnie doprowadzi do zwiększenia liczby pożarów. Będą one przeciętnie mniejsze niż pożary występujące dalej od dróg, ale będzie ich więcej, a niektóre rozwiną się w duże pożary" – napisali uczeni.

●

Kiedy kończyłem rozmowę z Kevinem Hoodem, ten powiedział mi, że działania administracji Trumpa wobec lasów narodowych to także kontynuacja jego wojny przeciwko amerykańskiej niezależnej nauce.
I wspomniał, że zasada o bezdrożach jest jednym z najbardziej wspieranych przez obywateli przepisów chroniących przyrodę i środowisko w USA.

I rzeczywiście, ze badania opinii Susquehanna Polling and Research, Inc. wynika, że 95 proc. ankietowanych uznało za ważną funkcję ochrony wody w lasach narodowych. Dla 96 proc. ważne było to, aby w National Forests można było wędrować, biwakować i tak dalej.

77 proc. Amerykanów uważa, że priorytetem powinno być „zachowanie lasów narodowych i innych terenów bez dróg dla obecnych i przyszłych pokoleń". Natomiast tylko 11 proc. wskazuje, że priorytetem powinno być udostępnienie w większym stopniu tych obszarów pod wyrąb drewna i/lub wydobycie surowców.

Poparcie dla ochrony tych lasów narodowych jest nie tylko szerokie, ale także ponadpartyjne: obejmuje 80 proc. osób identyfikujących się jako Demokraci, 71 proc. Republikanów i 80 proc. wyborców niezależnych i niezwiązanych z żadną partią.

I jeszcze jedna ważna liczba z badania: 76 proc. osób, które zamierzają głosować w wyborach w USA, popiera zasadę o bezdrożach.

A jak Amerykanie korzystają ze swoich lasów? Łącznie 60 proc. respondentów deklarowała, że w ciągu ostatnich 5–10 lat uczestniczyło w jakiejś formie rekreacji związanej z korzystaniem z terenów lasów narodowych w USA. Do najpopularniejszych należały:

- wędrówki piesze: 35 proc.,
- wędkarstwo: 19 proc.,
- polowanie: 7 proc.,
- biwakowanie: 6 proc.

Co ciekawe, nawet 72 proc. ludzi, którzy w 2024 r. zagłosowali na Trumpa, opowiada się za tym, by lasy narodowe i bezdroża pozostały poza wyrębem.

Walkę ze zniesieniem zasady bezdroży, już kilka godzin po tym, jak obwieściła to sekretarz Rollins, zapowiedziała organizacja Earthjustice. Na straży miejsc, gdzie niedźwiedzie grizzly wyprowadzają młode, a w zimnych strumieniach pływają pstrągi stanie także Natural Resources Defense Council. „Dopilnujemy, aby ta decyzja nie została utrzymana w mocy" – napisali przyrodnicy z NRDC.

Ostro temu posunięciu trumpistów sprzeciwia się także National Parks Conservation Association (NPCA). Dlaczego? Ponieważ lasy narodowe często są buforem otaczającym parki narodowe, tworząc z nimi ekosystem. Tak jest np. w założonym w 1872 r. Yellowstone, najstarszym parku narodowym na świecie, który otoczony jest lasami narodowymi: Gallatin, Custer, Bridger-Teton, Caribou-Targhee oraz Shoshone.

O tym, jak ważne są to lasy dla wilków, opowiadał niedawno „Wyborczej" Douglas Smith, były pracownik parku narodowego, z którym przeprowadziliśmy wywiad w Bozeman w Montanie.

Ten ostatni jest najstarszym lasem narodowym w USA – został utworzony w 1891 roku jako Yellowstone Park Timber Land Reserve (pierwszy amerykański rezerwat leśny). Dopiero kiedy „chłopcy Pinchota" zaczęli kreślić mapy, został wciągnięty do rezerw leśnych rządu federalnego. Status National Forest zyskał w 1908 r. Blisko 55 proc. tego lasu stanowi dzicz – *Wilderness*, a kolejne około 28 proc. to bezdroża.

Czy także i ten liczący ponad wiek las narodowy przetną teraz nowe drogi – trumpówki? ●

1 RP

eprasa.pl 97b7b16417

Polska i kraje UBL

Pogodzić odmienne pamięci

Jedynie bezwarunkowe potępienie zbrodni i odmowa gloryfikowania sprawców mogą stać się podstawą uczciwego polsko-ukraińskiego dialogu o przeszłości.

Kąkolewski, Nikžentaitis, Odnorozhenko

Niezaleczone traumy historyczne często stają się wielkim problemem w stosunkach międzynarodowych. Tezę tę potwierdził odnowiony konflikt pomiędzy Polską a Ukrainą dotyczący dramatycznego rozdziału w naszej historii z okresu II wojny światowej – w Polsce nazywany rzezią wołyńską, w Ukrainie tragedią wołyńską. Pole konfliktu otworzył prezydent Wołodymyr Zełenski decyzją o nadaniu nazwy UPA jednej z formacji wojskowych – decyzją lekceważącą wrażliwość historyczną dużej części polskiego społeczeństwa. Z kolei prezydent Karol Nawrocki zareagował, podejmując decyzję odebrania prezydentowi Ukrainy Orderu Orła Białego nadanego mu jako reprezentantowi ukraińskiego narodu za heroiczną walkę przeciw rosyjskiej inwazji – decyzję szkodliwą nie tylko dla Ukrainy, zwłaszcza w sytuacji zagrożenia wojną z Rosją.

Jak oceniać ten konflikt ze sfery polityki i kultury pamięci z perspektywy szerszej, to jest regionu, do którego należą ściśle powiązane ze sobą wspólnymi dziejami Polska i kraje ULB, czyli Ukraina, Litwa, Białoruś – w tym wypadku reprezentujące ten kraj kręgi demokratycznej opozycji białoruskiej? Czy istnieją zdroworozsądkowe sposoby rozwiązania problemu?

Pułapka monopolizacji historii

W napiętej emocjami atmosferze dochodzi do niebezpiecznej monopolizacji dyskursu historycznego nad całokształtem kilkusetletnich relacji polsko-ukraińskich przez jeden ciąg krwawych wydarzeń na Wołyniu i w Galicji Wschodniej z lat 1943-44. Monopolizacja ta po stronie polskiej powoduje odrzucenie postulatów strony ukraińskiej o próbę szerszego spojrzenia, z uwzględnieniem całego splotu wypadków, które do eskalacji konfliktu polsko-ukraińskiego doprowadziły: począwszy od niedotrzymania po 1922 roku przez II RP zobowiązań wprowadzenia statusu autonomicznego dla Galicji Wschodniej oraz polityki władz polskich wobec Ukraińców na tych terenach w okresie międzywojennym.

Warto przypomnieć postawę Jerzy Giedroycia, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli powojennej polskiej emigracji, architekta kręgu paryskiej „Kultury" i współtwórcy koncepcji ULB. Koncepcja ta w kontekście zimnej wojny opowiadała się za uznaniem powojennych granic Polski, rezygnacją z polskich pretensji do Wilna, Lwowa i Grodna oraz za wspieraniem dążeń do utworzenia niepodległej Ukrainy, Litwy i Białorusi.

Jeszcze w okresie międzywojennym Giedroyc podejmował wysiłki, aby zapewnić Ukraińcom lepsze traktowanie w II RP. Rozwinięta przez niego po wojnie koncepcja ULB stała się kamieniem węgielnym polskiej polityki zagranicznej po przełomach lat 1981 i 1991 – po upadku komunizmu w krajach Bloku Wschodniego i rozpadzie Związku Sowieckiego.

W oskarżeniach o rzeź wołyńską w obecnej polskiej polityce pamięci – choć prace wybitnych polskich i ukraińskich historyków zwracają na to uwagę – pomija się często kontekst niemieckiej i sowieckiej polityki okupacyjnej na tych ziemiach, wykorzystującej dla własnych zbrodniczych celów jeszcze przedwojenne konflikty między podbitymi narodami w celu odebrania im szansy niezależnego bytu państwowego. Ofiarą tej polityki byli Polacy, Ukraińcy, Litwini i Białorusini, pozbawieni niezawisłości i niepodległości.

W Polsce słyszymy głosy krytykujące tych, którzy z empatią podchodzą do wspólnej historii oraz asymetrii naszych kultur pamięci. Asymetria ta widoczna jest w sferze języka używanego do opisu wydarzeń z lat 1943-44: „rzeź wołyńska" versus „tragedia wołyńska". Zarazem pojawiają się zarzuty, jakoby po stronie ukraińskiej nie istniał pluralizm w ocenie tamtych wydarzeń. Nie zauważa się przy tym opinii ukraińskich historyków i intelektualistów, którzy krytycznie wyrażają się na temat zbrodni wołyńskiej na Polakach, zarazem upominając o odtworzenie pełniejszego obrazu przeszłości.

Zawężony obraz przeszłości

Nie zadaje się też trudu, aby przeciwdziałać białym i czarnym plamom we wspólnej historycznej edukacji – np. rozpoznać różnice między pierwszym UPA (Sicz Poleska) nawiązującym do tradycji niepodległościowej, antysowieckiej partyzantki Ukraińskiej Republiki Ludowej z lat 20. XX wieku a Ukraińską Armią Powstańczą stworzoną przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów i odpowiedzialną za zbrodnie w okresie 1943-1944. Jednocześnie te same kręgi polityczne w Polsce, które dążą do wprowadzenia ustaw pamięciowych zrównujących działania UPA-OUN z działalnością zbrodniczych reżimów nazistowskiego i komunistycznego, z reguły pomijają milczeniem kwalifikację prawną akcji „Wisła" z lat 1947-1950, której wynikiem były masowe przesiedlenia ukraińskiej ludności, jako czystki etnicznej zorganizowanej przez powojenne polskie komunistyczne władze.

Nieznana pozostaje w Polsce – co istotne dla diagnozy obecnego konfliktu polityk pamięci – walka UPA o niepodległość Ukrainy z armią sowiecką podczas II wojny światowej oraz okresie powojennym. W tym także wiedza o brutalnych represjach stalinowskich, których ofiarą padali żołnierze UPA, ich rodziny i całe wspólnoty sąsiedzkie udzielające im wsparcia. Podobna niewiedza dotyczy antysowieckiego niepodległościowego ruchu oporu w opanowanej przez Sowietów Litwie.

Brak kompleksowego obrazu przeszłości prowadzi do monopolizacji dyskursu historycznego przez jeden ciąg tragicznych wydarzeń oraz wymuszenia bezwarunkowego zaakceptowania wyłącznie jednej interpretacji przeszłości. Konsekwencją tego jest też brak zgody na jakąkolwiek asymetrię kultur pamięci. Takie stanowisko powoduje, że w Polsce wszelkie działania w Ukrainie mające uhonorować pamięć o OUN i UPA często uznaje się za działania antypolskie, ignorując fakt, że te organizacje są wynoszone na piedestał ukraińskiej polityki pamięci nie ze względu na mordy na Polakach, lecz za niepodległościową, w przeważającej części antysowiecką działalność.

Zbrodnie bez usprawiedliwienia

Rozważając zagadnienia pamięci historycznej oraz traumatycznej przeszłości, którą historyk powinien w całej jej kompleksowości zrozumieć, odwołajmy się do koncepcji „skrwawionych ziem" Timothy'ego Snydera. Szczególnie ważna jest jego obserwacja, że w krótkim czasie ta sama grupa ludzi może stać się ofiarami jednego reżimu, a gdy sytuacja się zmienia – oprawcami. Ta koncepcja dotyczy głównie II wojny światowej, choć może wyjaśniać też sploty skomplikowanych i dramatycznych konfliktów narodowych występujących już wcześniej w tej części Europy.

Pamięć o przeszłości i historia nie są czymś identycznym. Oprócz interpretacji wydarzeń z perspektywy historyka niezbędne jest podejście z punktu widzenia polityki pamięci. Pamięć o UPA dla Ukrainy jest ważna ze względu na walkę prowadzoną z Sowietami. W takim konstrukcie kultury pamięci tragedia Polaków, nad którą publicznie wyrażali żal najwyższej rangi państwowi reprezentanci Ukrainy, ma znaczenie drugorzędne. Poza tym w oficjalnych deklaracjach składanych w imieniu Ukrainy istnieją rozbieżności, a zadeklarowane cele i sposoby działania są z trudem realizowane, jak w przypadku ekshumacji ofiar zbrodni wołyńskiej.

W polskiej polityce pamięci pomija się często kontekst niemieckiej i sowieckiej polityki na tych ziemiach, wykorzystującej dla własnych celów konflikty między podbitymi narodami

Kluczowym elementem dla zrozumienia złożonych problemów stosunków polsko-ukraińskich w okresie II wojny i latach powojennych, a jednocześnie kształtowania współczesnej polityki pamięci jest wypracowanie jasnych kryteriów oceny osób biorących bezpośredni lub pośredni udział w zbrodniach wojennych przeciwko ludności cywilnej. Żadna osoba, której udział w zabójstwach i torturach cywilów został ustalony i udokumentowany, nie powinna być w żadnych okolicznościach przedmiotem heroizacji. Zbrodnie przeciwko ludzkości mogą mieć swoją historię i różne przyczyny, rzeczywiste lub wymyślone, ale nie może być dla nich usprawiedliwienia. Żadna „celowość" militarna czy polityczna, w przeszłości czy obecnie, nie powinna podważać bezwarunkowego potępienia zbrodni przeciwko ludności cywilnej.

W szczególności za bohaterów Ukrainy trudno uznawać bojowników UPA i innych formacji, którzy brali udział w zabójstwach Polaków i innych grup ludności cywilnej lub podżegali do zabójstw. Jedynie bezwarunkowe potępienie zbrodni wojennych oraz odmowa gloryfikowania osób splamionych takimi czynami mogą stanowić solidną podstawę dla uczciwego, wyważonego, choć trudnego dialogu oraz poszukiwania wspólnego mianownika w polityce pamięci historycznej Ukrainy i Polski.

Litwini nie czczą wszystkich

Tutaj pomocne może się okazać doświadczenie wypracowane we współczesnej kulturze pamięci Litwy. Litewskie społeczeństwo mierzy się z dylematem, jak traktować uczestników antykomunistycznego ruchu oporu, którzy jednocześnie byli uwikłani w Holokaust. Decyzja o odmowie heroizacji partyzantów mających na rękach krew żydowskich współobywateli wciąż budzi duże emocje. Spory te nie dotyczą już jednak samej zasady, lecz oscylują wokół kwestii dowodowych: czy konkretna postać rzeczywiście przyczyniła się do zagłady Żydów. Co istotne, nikt – włączając w to Izrael – nie kwestionuje dziś prawa Litwinów do kultywowania tradycji antysowieckiego ruchu oporu oraz postawy jednoznacznie odrzucającej totalitaryzmy: brunatny i czerwony.

Przykład litewski jest ważny, biorąc pod uwagę m.in. tych, którzy opowiadają się za pielęgnowaniem w Polsce tradycji powojennego antykomunistycznego podziemia („żołnierze wyklęci"), a także rozwijany w Ukrainie kult walki UPA przeciw sowieckiej opresji. Przypomnijmy, że oba ruchy oporu, wbrew tragicznym doświadczeniom z bliskiej przeszłości, potrafiły też czasami ze sobą współpracować. Przykładem w pierwszym powojennych latach są lokalne sojusze polskiej i ukraińskiej niepodległościowej partyzantki, dla których wspólnym wrogiem były reżim komunistyczny i NKWD.

Oczywiście wszelkie korekty w polityce historycznej Polski i Ukrainy mogą przynieść efekty tylko w sytuacji, jeśli obie strony zachowają otwartość i gotowość do dialogu. Taka gotowość po stronie społeczeństw obywatelskich istnieje. Istnieje też cała gama dobrych praktyk oraz doświadczeń z kontaktów historyków i społeczeństw obywatelskich Polski i Ukrainy. Tych doświadczeń zmarnować nie można. Co istotne, nie godzi się też używać polityki historycznej dla celów populistycznych czy też w polityce zagranicznej, w tym jako narzędzie nacisku wobec państwa i narodu ukraińskiego w sytuacji rosyjskiej inwazji i wojny o przetrwanie i niezawisłość państwową. Wojny, w której Ukraińcy bohatersko walczą. Walczą – przypomnijmy to wszystkim – o „wolność naszą i waszą".

Jerzy Giedroyc w swojej koncepcji ULB twierdził, że bez wolnej Ukrainy, Litwy i Białorusi nie będzie też wolnej Polski. Powinni o tym pamiętać nie tylko obywatele, ale też politycy regionu ULB + PL.

Tytuł i śródtytuły i skróty od redakcji



• **Prof. Igor Kąkolewski** polski historyk z Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie.
• **Prof. Alvydas Nikžentaitis** litewski mediewista, były dyrektor Instytutu Historii Litwy, członek rady Muzeum Historii Polski.
• **Dr Oleh Odnorozhenko** ukraiński historyk, pracuje w Instytucie Archeografii i Źródłoznawstwa Ukraińskiego im. Mychajła S. Hruszewskiego Narodowej Akademii Nauk Ukrainy.

eprasa.pl 97b7b16417

KULTURA OBYCZAJE



Lalka dla moich córek

Nie obawiałem się porównań z Markiem Kondratem

Z AKTOREM **DARIUSZEM CHOJNACKIM**
ROZMAWIA **PIOTR GUSZKOWSKI**

Nie obraź się, ale w życiu bym cię nie obsadził w roli Ignacego Rzeckiego.
– To jest nas przynajmniej dwóch, bo ja też bym siebie nie obsadził. Jeszcze w drodze na zdjęcia próbne wątpiłem w to, czy to ma jakikolwiek sens. Wyszedłem z tych zdjęć kompletnie załamany. Zadzwoniłem do agenta i pytam go, po co ja tam w ogóle pojechałem.

Ale wieczorem mój nastrój się zmienił. Dostałem SMS-a od Szuszu, czyli Tomasza Schuchardta: „Stary, jesteś genialnym aktorem. Granie z tobą to czysta przyjemność. Jesteś urodzonym Rzeckim". I niedługo później dowiedziałem się, że dostałem tę rolę. Wtedy dopiero się zaczęło.

Co takiego?
– Wszystkie rozkminy i wątpliwości. Że gdzie mi tam do Rzeckiego. W tej roli Polacy widzą Bronisława Pawlika albo Tadeusza Fijewskiego. W pamięci pozostają klasyczne adaptacje powieści Prusa sprzed lat. Świetne, bez dwóch zdań. Ale czy młodzi do nich wrócą? To już przecież zupełnie inny rytm opowiadania. Pomyślałem, że marzy mi się, żebyśmy zrobili „Lalkę", którą będą chciały obejrzeć moje córki. Zacząłem się zastanawiać, czy najpierw nie powinienem jednak wrócić do oryginału.

Wróciłeś?
– Kupiłem nawet książkę, bo niewiele pamiętałem ze szkoły. Zacząłem, ale po kilku stronach zadzwoniłem do reżysera Pawła Maślony: „Nie wiem, czy czytać dalej, bo już mi to wjeżdża do głowy". A on: „Czytaj tylko scenariusz. Robimy to po naszemu". Jak przeczytałem scenariusz, zadałem sobie pytanie: To jaki właściwie ma być ten mój Rzecki?

Pierwsza myśl była taka, żeby stworzyć przyjaciela, którego sam chciałbym mieć. Którego każdy z nas chciałby mieć. To mi otworzyło furtkę.

Spodziewałem się oczywiście, że serialowa „Lalka" nie będzie klasyczną ekranizacją, ale zanosiło się na to, że większość zmian będzie dotyczyła postaci Izabeli Łęckiej. Tymczasem dla mnie największym zaskoczeniem okazał się Rzecki: to już nie jest zakurzony stary subiekt, tylko facet z krwi i kości. Tchnęliście w tę postać życie.
– Dziękuję ci za te słowa, bo kiedy oglądałem „Lalkę", zupełnie nie zauważyłem na ekranie siebie. Widziałem innych, w tym cały wspaniały drugi plan: Marysię Kanię, Julię Wyszyńską, Piotrka Packa, Jacka Braciaka, Piotra Adamczyka.

Zresztą przy spotkaniu z Adamczykiem obudził się we mnie na chwilę ten chłopak z prostej, śląskiej rodziny – tata górnik, mama krawcowa – speszony, że spotyka tak wyjątkowego człowieka.

Pomysł scenarzystów był dokładnie taki, jak mówisz. Grałem kumpla Wokulskiego, który ma własne potrzeby i namiętności. Jeszcze zanim weszliśmy na plan, Paweł Maślona zaprosił część obsady do Katowic, na warsztaty ze studentami. Robiliśmy jakiś współczesny scenariusz, ale mam wrażenie, że już wtedy relacje między naszymi postaciami z „Lalki" zaczęły się powoli układać.

Maślona zostawił nam dużo wolności, ale jednocześnie ma ogromny talent do wyciągania z nas rzeczy,

eprasa.pl 97b7b16417



FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



▲ **W serialu Netfixa „Lalka", autorskiej reinterpretacji powieści Prusa, Dariusz Chojnacki gra Ignacego Rzeckiego, przyjaciela Stanisława Wokulskiego (Tomasz Schuchardt). Premiera serialu (6 odc.) w reżyserii Pawła Maślony – 16 września**
FOT. ROBET PAŁKA/ NETFLIX

z których nawet nie zdajemy sobie sprawy. Czasem myślałem, że doszedłem już do sufitu, a on przychodził, mówił dwa-trzy słowa i nagle przebijałem ten sufit. To było niesamowite uczucie.

Z Pawłem poznaliśmy się wiele lat temu, przy próbach do „Chrztu" Marcina Wrony. Walczyłem wtedy ze Schuchardtem o główną rolę, ostatecznie dostałem epizod.

Mam taką teorię, że dobre kino, dobra książka, dobra muzyka wychodzą z głodu.

Jeśli jesteś głodny, cały czas chcesz więcej wiedzieć, więcej zrozumieć, więcej z siebie wyrzucić. Chcesz opowiedzieć coś, co cię od środka gniecie, niszczy albo raduje. Wszyscy przychodziliśmy na ten plan głodni.

Nie obawiałeś się porównań z Markiem Kondratem, który wciela się w Rzeckiego w filmie?
– Wiem, że to może nie zabrzmi przekonująco, ale nie, nie obawiałem się. Przepracowałem to wszystko na scenie. Jedną z moich pierwszych dużych ról była „Piąta strona świata" w Teatrze Śląskim, gdzie grałem alter ego Kazimierza Kutza, opowiadając przy okazji własną historię. Kutz wtedy jeszcze żył i przychodził na próby. Nie wiem, czy miałeś okazję go poznać, ale to był facet, który się nie patyczkował. Zawsze mówił wprost, co myśli. A ja byłem gówniarzem, jeszcze przed trzydziestką. Dla chłopaka stąd, ze Śląska, zagrać Kutza to była ogromna presja. Ale przeżyłem. I chyba wtedy poczułem, że już niewiele może mnie ruszyć.

Kiedy przyszedł „Lot nad kukułczym gniazdem" i rola McMurphy'ego, wiedziałem, że wszyscy pamiętają zjawiskową kreację Jacka Nicholsona. No i co z tego – czy to znaczy, że nikt już nie ma prawa zagrać tej postaci? Potem był Kukuczka, kolejna legenda. I znów masa oczekiwań, tym razem ze strony rodziny bohatera, jego przyjaciół, całego środowiska himalaistów. Słowem: odpowiedzialność wobec ludzi, którzy go znali. Ale takie myślenie sprawia, że aktor się spala. Żona Kukuczki na początku prac nad spektaklem „Himalaje" mówiła: „To zupełnie nie jest mój Jurek". Z czasem zaczęła się do mnie zwracać per Jureczku.

Twój kalendarz wciąż jest podporządkowany terminarzowi meczów Górnika Zabrze?
– Rodzina chyba się już do tego przyzwyczaiła, a co najważniejsze: rozumie moją pasję. Gdyby nie zdjęcia do nowej produkcji, pewnie byłbym teraz w drodze do Monaco na mecz wyjazdowy w eliminacjach Ligi Konferencji.

Górnik jest ze mną od dziecka. Ojciec zabrał mnie na pierwszy mecz, kiedy miałem sześć lat. To były derby Śląska z Ruchem Chorzów. Mecz zakończył się wynikiem 0-0. Przede wszystkim pamiętam poczucie, że kiedy wszedłem na stadion Górnika, to od razu odnalazłem tam swoje miejsce. Udzieliły mi się emocje na trybunach.

Nie próbowałeś wciągnąć w kibicowanie córek?
– Popełniłem taktyczny błąd. Byłem tak podekscytowany pierwszym meczem, że zabrałem starszą córkę prosto ze szkoły. Ona w spódniczce, a to już jesień była, więc przemarzła. I skończyły się marzenia o wspólnych wyjściach.

Miałem więcej szczęścia, choć początkowo wydawało mi się, że atrakcją są popcorn i pepsi. Ale kiedy trafiliśmy raz na trybunę rodzinną, jeszcze w trakcie pierwszej połowy usłyszałem: „Tata, nuda. Następnym razem wracamy na naszą!".
– Trudno chyba zrozumieć tę energię, jeśli nigdy nie stało się wśród kibiców w barwach ukochanej drużyny, gdy z tysięcy gardeł płyną kolejne przyśpiewki. To najprawdziwszy teatr, w którym nie ma nic z udawania. Od wspomnianych derbów chodziłem na wszystkie mecze przy Roosevelta 81. Na wyjazdy nie miałem zgody taty. Wtedy, w czasach licealnych, byłem zły na niego, ale z perspektywy czasu jestem mu wdzięczny. To były lata 90. Myślę, że moje życie mogłoby się potoczyć inaczej. Pewnie nie zostałbym aktorem.

Miałeś być piłkarzem. Co się właściwie stało?
– Mam taki charakter, że jak już podejmę jakąś decyzję, to jest raczej nieodwracalna. Wymyśliłem sobie, że jeśli w wieku 18 lat nie będę grał minimum w ekstraklasie, to znaczy, że nie mam jednak takiego talentu, jak myślałem. Nie chciałem spędzić całej kariery jako napastnik w trzeciej czy czwartej lidze. Dlatego po spędzeniu półtora roku w Walce Zabrze uznałem, że kończę z piłką. Chyba najbardziej rozczarowany był tata, który podporządkował swoje plany pod moje treningi. Płacił za korki czy wyjazdy – to była inwestycja. Ale w końcu pogodził się z moją decyzją.

A jak było z aktorstwem?
– Rodzice dali mi dużo miłości, ale mieli pragmatyczne podejście: liczy się fach w ręku. Poszedłem więc do liceum zawodowego na montera urządzeń elektronicznych. Kompletnie nie moja bajka. Miałem ogromne szczęście, że spotkałem na swojej drodze bibliotekarkę Helenę Klorę, która była moją wychowawczynią. Pod koniec pierwszej klasy zaprosiła mnie do kabaretu śląskiego. I to było coś niesamowitego. Wkręciłem się w teatr. Inaczej nie wiem, jak bym przeszedł z klasy do klasy. Na egzaminach końcowych przynieśli mi taki zestaw dla siedmiolatka, żebym go podłączył i mógł zdać.

U mnie to zawsze było pogmatwane, bo z jednej strony Torcida i marzenia o ekstraklasie, a z drugiej – książki i teatr. Taka dwubiegunówka. Może wzięło się to stąd, że miałem tak naprawdę dwa domy: jeden rodzinny, drugi u mojego przyjaciela Jaśka Oslisly, syna rektora Akademii Sztuk Pięknych, gdzie było mnóstwo jazzu, przychodzili ludzie kultury, toczyły się długie rozmowy. Ja to wszystko chłonąłem za dzieciaka. Spędzaliśmy mnóstwo czasu razem. Graliśmy w gry RPG, łaziliśmy po okolicy z Dead Can Dance w uszach. To właśnie Jasiek zaszczepił we mnie myśl, że on będzie zdawał na reżyserię, a ja na aktorstwo. Jakoś się na tym zafiksowaliśmy. On ostatecznie zrezygnował, a mnie się udało.

Mimo że jeszcze do końca podstawówki mówiłeś tylko po śląsku.
– Wszystko zmienił konkurs recytatorski. Usłyszałem wtedy Darka Dekę, który mówił wiersze i prozę tak piękną polszczyzną, że po powrocie do domu pomyślałem: „Muszę się tak nauczyć!". Zapytałem Darka, co mam robić. A on na to: „Kładź się na ziemi z książkami na przeponie. Bierz gazety i czytaj tylko samogłoski". No i chodziłem po szkole z tymi gazetami i robiłem, jak poradził. Kiedy przyszło do egzaminów do szkoły teatralnej, wychodziło mi już całkiem nieźle. Choć na zajęciach cały czas musiałem się pilnować.

Śląski cały czas we mnie siedzi. Wystarczy, że pojadę do domu rodzinnego i spędzę pół dnia z tatą, a od razu mi się włącza. Zwłaszcza przy dużych emocjach. Zdarza się, że po dublu reżyser mówi: „Darek, ale błagam, nie po śląsku", i wtedy znowu muszę włączyć tryb kontroli. Kiedy robiliśmy „Wujaszka Wanię" w Teatrze Polskim w Warszawie, koleżanki i koledzy mówili, że nic nie sły-

Dariusz Chojnacki

• Urodził się w 1981 roku w Zabrzu. Aktor wszechstronny. Od 2009 roku związany z Teatrem Śląskim w Katowicach, gdzie stworzył m.in. kreacje w spektaklach „Piąta strona świata" oraz „Lot nad kukułczym gniazdem", za które otrzymał Złotą Maskę. Zebrał świetne recenzje także za tytułową rolę w „Wujaszku Wani" w Teatrze Polskim w Warszawie.
Wystąpił w filmach i serialach „Szczęście świata", „Twarz", „25 lat niewinności", „Heweliusz" czy „Przesmyk". W serialu „Lalka" Netflixa odkrywa inną twarz Ignacego Rzeckiego. Tata, były piłkarz, kibic Górnika Zabrze.

eprasa.pl 97b7b16417

szą. Ale pojawił się komentarz, że Chojnacki ma ten delikatny śląski akcent, co jest najpiękniejsze na świecie.

Robi ci różnicę, w którym z tych języków grasz?
– Mam wrażenie, że jestem trochę innym aktorem, kiedy gram po polsku, a trochę innym, kiedy gram po śląsku. Śląski ma w sobie rodzaj charyzmy, wyzwala we mnie niezwykłą energię, to coś organicznego. W polskim czuję się – nie wiem, jak to najlepiej ująć... – czuję się węższy, trochę ograniczony? Jakbym musiał się zastanowić nad sensem słów.

Od razu skojarzyło mi się to ze słowami Tomasza Kota, że w angielskim czuje się „prostszą wersją siebie”.
– Nie wiem, czy nie nazwał tego nawet lepiej niż ja.

Jak było z tym śląskim w szkole?
– Zdarzały się różne nieprzyjemności. Na przykład mama jednego z kolegów zakazała mu się ze mną przyjaźnić.

Przez język?
– Tak. W szkole śląski traktowano jako ten gorszy język, mieliśmy się go wstydzić. Jednak tata pielęgnował w nas śląską dumę na przekór temu wszystkiemu. Powtarzał: „Pamiętaj, skąd pochodzisz, to na zawsze będzie częścią ciebie”. Mój młodszy brat do śmierci mówił po śląsku, z kolei siostra miała zakaz, bo nie wypada. Uważano, że po śląsku mówią tylko „lumpiary” i że dziewczynkę trzeba nauczyć polskiego, żeby była szanowana.

Z twoim bratem Sebastianem to była tragiczna historia.
– Postanowił się w końcu wyprowadzić od rodziców. Znaleźliśmy go z mamą w mieszkaniu. Zaczadział...

On miał zawsze niefart. Znajdował się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Raz do drzwi zapukała policja – nigdy tego nie zapomnę. Wyprowadzili Sebastiana w kajdankach. Przesiedział pół roku w areszcie. Zarejestrowały go kamery na stacji benzynowej, gdzie dokonano napaści. Okazało się, że sprawca stał za nim. Co to były za nerwy, spędziłem cały we łzach pod aresztem wiele godzin.

Nagle twoja rola w „25 lat niewinności”, gdzie zagrałeś Remigiusza Korejwę, który pomógł odzyskać wolność Tomaszowi Komendzie, nabrała nowego kontekstu. Jak skończyła się ta historia?
– Klasycznie. Wypuścili go, przeprosili, wypłacili jakieś śmieszne odszkodowanie – i uznali, że jest po sprawie.

Czy w aktorstwie postawiłeś sobie podobny cel, tak jak wcześniej w piłce – jeśli do trzydziestki nie dostanę głównej roli, to kończę?
– Samo to, że dostałem się do szkoły teatralnej, przerosło moje najśmielsze marzenia. Problem polegał na tym, że musiałem wyjechać z domu, z moich ukochanych Kończyc [dzielnica Zabrza]. Już przejście z podstawówki do szkoły średniej trudno znosiłem. Wybrałem szkołę najbliżej domu, zaledwie dwa przystanki. A i tak miałem poczucie, że to ogromna odległość. Kiedy w drodze do szkoły docierałem do takiego miejsca, gdzie stoją dwa żeliwne lwy, odwracałem się jeszcze w stronę Kończyc i żegnałem z nimi na tych osiem godzin. To było jak portal do zupełnie innego świata.

Skoro wyprawa do szkoły dwa przystanki od domu była takim wyzwaniem, to jak ty się, chłopie, odnalazłeś na studiach we Wrocławiu?
– To był dla mnie przeskok niewyobrażalny. Ogromne miasto, mnóstwo ludzi, duży stres. Miałem wspaniały rok, ale pojawił się alkohol i zatapianie w nim. Cztery lata studiów kojarzą mi się z jednej strony z ogromną pracą, poświęceniem aktorstwu i szukaniem odpowiedzi na pytanie, kim w ogóle jest aktor, a z drugiej z piciem.

Dopiero po szkole teatralnej bardzo mocno się obudziłem: „Ej, Darek, stop! Jesteś na granicy”. I się zatrzymałem. Alkohol poszedł w odstawkę.

Masz aż tak silną wolę?
– To była podobna decyzja jak z piłką. Stanąłem przed wyborem: albo rujnujesz sobie życie i bawisz się dalej – ale krótko, albo coś z tego życia jednak wynosisz. Podjąłem decyzję, że koniec. I tak się skończyło.

Kończyce nazywasz swoim statecznikiem.
– To z Kutza. I chyba najlepiej oddaje to, czym są dla mnie Kończyce. Takie moje Macondo, miejsce, które mnie ukształtowało.

Wciąż tam wracasz, chociaż przeprowadziłeś się do Katowic.
– Gdy mam jakiś problem, coś mnie męczy albo nie wiem, jaką decyzję podjąć, wsiadam w samochód i jadę do Kończyc – to tylko dwadzieścia minut drogi. Mam tam swoje ścieżki, które wydeptuję od małego. W Kończycach szukam odpowiedzi.

Drugim takim moim światem jest muzyka. Zbieram winyle, mam ich już około siedmiuset.

Dla chłopaka stąd, ze Śląska, zagrać Kazimierza Kutza to była ogromna presja. Ale przeżyłem. I chyba wtedy poczułem, że już niewiele może mnie ruszyć.

Co ci daje muzyka?
– Pomaga mi w pracy. Aktorstwo to w dużej mierze rytm. Przy budowaniu roli wszystko sprowadza się do tego, czy go znajdę, czy nie. A słucham właściwie wszystkiego – od black metalu po Warszawską Jesień. Od jedenastu lat prowadzę też dziennik. Katalogu ję w nim każdą przesłuchaną płytę. Siadam, słucham winyla od A do Z, zapisuję datę, numer płyty. Jak potem wracam do tego dziennika i widzę, czego słuchałem w styczniu 2016 roku, momentalnie wracają do mnie emocje z tamtego czasu. Przypominam sobie, co wtedy przeżywałem, jaki byłem.

W szkołach teatralnych uczą cię, jak wejść w postać, jak ją zbudować, ale rzadko mówi się o tym, jak z niej wyjść. A przynajmniej za moich czasów tak było.

Cała ta rozmowa o tym, czy aktor powinien mieć terapeutę, gdzie jest granica i czy w ogóle zdajemy sobie sprawę z tego, że ją przekraczamy – to są bardzo ważne rzeczy. Bo przecież to wszystko wpływa potem na nasze życie i nasze rodziny.

Dlatego stworzyłem sobie własny system. Mam dwa miejsca, do których postać nie ma wstępu – przestrzeń muzyki i stadionu Górnika. Nawet jeśli jestem już tak zafiksowany na roli, na meczu znowu staję się Darkiem. Bohater nie ma tam wstępu. Tak samo, kiedy siadam przy gramofonie. To są moje miejsca, w których jestem zupełnie wolny.

Zanim trafiłeś do Teatru Śląskiego, występowałeś we wrocławskim Teatrze Pieśń Kozła, z którym jeździliście po świecie. Jak wspominasz tamten czas?
– Na festiwalu w Edynburgu rzeczywiście wszyscy nas zagadywali. Byli ciekawi, jak pracujemy. Pytali, co zrobić, żeby się dostać do zespołu. Ale w Polsce na hasło „Pieśń Kozła” słyszałem często: „A co ty, chłopie, satanista jesteś?”. Nie żartuję.

Trzy lata, jakie tam spędziłem, to było cudowne doświadczenie: zdobyte przyjaźnie, zwiedzanie świata, poznawanie rytuałów, które na co dzień są niedostępne dla ludzi z zewnątrz – ale dla Grzegorza Brala [twórcy Teatru Pieśń Kozła] nie ma rzeczy niemożliwych. To był teatr bardzo fizyczny, bliski rytuałowi. Szybko zrozumiałem, że jestem stworzony do czegoś bardziej klasycznego. Zdobyłem jednak ogromne doświadczenie, jeśli chodzi o świadomość ciała czy kontaktu z drugim człowiekiem na różnych poziomach, co wykorzystuję nie tylko w pracy.

Twoje córki wychowały się w aktorskim domu. Czy myślą o tym, żeby pójść w ślady rodziców?
– Starsza ma 17 lat i widzę, że ciągnie ją w kierunku „The Voice of Poland”. Druga, 10-latka, zagrała już w teatrze, więc aktorstwo gdzieś się pojawia. Mógłbym ją z powodzeniem zapisywać na castingi. Rozpowiadać, że jestem zainteresowany, w jakiś sposób korzystać z pozycji w zawodzie. Ale na razie trzymamy się w domu podejścia: najpierw zdaj do szkoły teatralnej – a jeśli się dostaniesz, będziesz o sobie decydowała.

Mieliśmy wiele takich rozmów. Bo z jednej strony chcesz dla dziecka jak najlepiej. Chciałbyś spełnić to marzenie, żeby wyszła na scenę, zaśpiewała i wszyscy zrobili: „Wow!”. No ale wiesz, po pierwsze – może tak nie być. A po drugie – nawet jeśli wszyscy zrobią: „Wow!”, to jakie są tego konsekwencje? Dlatego tata cały czas zaciąga hamulec ręczny. Oczywiście zastanawiam się, czy nie popełniam błędu. Bo może gdyby wzięła udział i wygrała taki program albo przeżyła jakąś przygodę życia, to byłoby dla niej dobre. Nie wiem.

Czego się najbardziej obawiasz?
– Cały czas się zastanawiam nad tym, co to właściwie znaczy sukces. Co to znaczy sława, że nagle ludzie zaczynają się tobą interesować? Jak to wpływa na relacje z bliskimi? My, dorośli aktorzy, często sobie z tym nie radzimy. Kiedy nagle robi się taki boom na twoją osobę, to jest trudne dla czterdziestolatka, który ma już jakieś życiowe doświadczenie. A co dopiero dla dziecka. I ja to wszystko mam z tyłu głowy. Chcę dla moich córek jak najlepiej, ale też mam wątpliwości, czy przypadkiem jako hamulcowy nie robię im krzywdy. My jesteśmy od małego kierunkowani na sukces. Tylko tak naprawdę nikt za bardzo nie wie, co ten sukces znaczy. A już na pewno nikt nas nie przygotowuje na to, co za tym sukcesem idzie. Na zazdrość, utratę relacji, hejt.

Miałeś już okazję przekonać się o tym na własnej skórze.
– Zadzwonił do mnie dziennikarz i mówi: „Darek, pogadamy o Górniku?”. No i pogadaliśmy. Po wszystkim zapytał mnie: „A tak między nami, jara cię to jeszcze w ogóle?”. A ja na to: „Stary, jak Górnik przegrywa 2:0, a potem strzela na 3:2 w 90. minucie, to jest lepsze niż orgazm”. To była oczywiście metafora. Chciałem tylko pokazać, jakie to są emocje. Dostałem materiał do autoryzacji. Patrzę i wszystko się zgadza, więc zaakceptowałem. A potem widzę wielki tytuł: „Mecze Górnika są lepsze niż orgazm”. I w komentarzach hejt: „Co k***a, twoja żona ma powiedzieć?”, „Jak ty swoją kobietę potraktowałeś, frajerze?”. Z jednego zdania, które padło w zupełnie konkretnym kontekście – pomijam już, że off the record – robi się jakaś historia o mnie i moim małżeństwie. Niewiele potrzeba, żeby jedno zdanie zaczęło żyć własnym życiem. Potem się zastanawiasz, czy jakaś twoja wypowiedź nie zaszkodzi córkom, bo nie spodoba się któremuś z nauczycieli.

Ale wspomniałeś też o boomie. Ty go przeżyłeś?
– Boom w moim przypadku to może za duże słowo. Chyba że lokalny, śląski. To tak. Ale to też wynika z miłości do Śląska, że jest mi tu o tyle łatwiej, że ja nic nie muszę wymyślać. Jestem sobą i to po prostu rezonuje. Ludzie, którzy chodzą do teatru i interesują się sprawami Śląska, mnie rozpoznają. W Katowicach, kiedy idę do kawiarni, ktoś mnie zaczepi, chce pogadać. I to jest zwykle bardzo miłe.

Chociaż czasem zdarzają się rzeczy, które dają do myślenia. Miałem niedawno taką sytuację w ulubionej kawiarni. W rozmowie przeklęłam, powiedziałem „k***a”. Nagle podeszła do mnie jakaś pani: „Panie Darku, myślałam, że pan jest jednak innym człowiekiem”. Trzasnęła drzwiami i wyszła. I wtedy sobie pomyślałem: ludzie mają jakieś wyobrażenie na mój temat, pewien obraz człowieka, który stworzyli sobie na podstawie spektakli czy wywiadów. Jest to jakaś odpowiedzialność.

Doceniają, jak opowiadacie o Śląsku. Zupełnie inaczej, niż robi to od lat polskie kino.
– Z Robertem Talarczykiem ciągle się zastanawiamy, jak ten Śląsk pchnąć do przodu. Co zrobić, żeby opowiadać o nim inaczej. Zrobiliśmy w Katowicach „Piątą stronę świata”, potem powstał „Drach”. To były spektakle tożsamościowe, jednak mocno zwrócone wstecz. Doszliśmy do wniosku, że skoro przepracowaliśmy przeszłość, pora się zastanowić, kim jesteśmy dzisiaj. Co się stało z tymi ludźmi, którzy wyszli z górniczych domów, a zostali aktorami, dyrektorami teatrów, terapeutami, adwokatami, sędziami.

Z tych rozważań zrodziło się „Godej do mie”. Gramy tę sztukę w hotelowym pokoju w bardzo intymnych warunkach. Liczba miejsc jest ograniczona do trzydziestu. To historia pary – on jest prawnikiem, ona psycholożką – która straciła dziecko w wypadku. Po roku wreszcie zaczynają ze sobą rozmawiać, w każdym razie próbują. I rzeczywiście okazało się to ogromnym sukcesem, biletów nie można dostać. Robert stwierdził: „Zrobię z tego film”. Napisał scenariusz. Jestem bardzo ciekawy, czy ten obraz Śląska wyjdzie nam inny. Robert trochę od niego ucieka.

Obie twoje miłości nie miały dotąd specjalnego szczęścia do polskiego kina. Ani Śląsk, ani piłka – mimo że opowieści o kibicach mieliśmy ostatnio wysyp.
– Mam wrażenie, że zwykle biorą się do tego ludzie, którzy opowiadają o czymś, czego nie znają. Polskie kino dostrzega na stadionach wyłącznie patologie. Ale nawet tego nie potrafi wiarygodnie oddać. A ja znam tych chłopaków z Górnika. U mnie w dzielnicy mieszka taki Kamil. Artystyczna dusza. Wymyśla akcje, oprawy, koszulki. Normalnie pracuje i po pracy potrafił zorganizować w krótkim czasie wielką zbiórkę: ponad 100 tys. zł dla domu dziecka w Zabrzu. Poszedł tam, zobaczył, że jest masakra, i zaczął pomagać: remontował, kupował rzeczy, zbierał pieniądze. Górnik, dom dziecka, Górnik, dom dziecka. To są gotowe scenariusze, naprawdę niezwykłe historie. Tylko trzeba je zobaczyć. Gdybym tylko umiał pisać, sam bym się do tego zabrał. ●

Stanąłem przed wyborem: albo rujnujesz sobie życie i bawisz się dalej – ale krótko, albo coś z tego życia jednak wynosisz

eprasa.pl 97b7b16417

KOSMICZNA WIOLONCZELISTKA

Porównanie do Elona Muska narzuca się samo, ale Huby reaguje na nie raczej ostrożnie

Piotr Cieśliński

Kilka dni temu spotkałem Hélène Huby w Paryżu. Podczas międzynarodowego szczytu kosmicznego podpisywała z Europejską Agencją Kosmiczną (ESA) kontrakt na rozwój kapsuły Nyx. Może być wart 760 mln euro. Pierwsze 310 mln ma sfinansować lot demonstracyjny kapsuły Nyx, a pozostałe 450 mln ESA może wydać na dwie następne misje. To już nie jest wsparcie dla obiecującego start-upu. ESA po prostu zamawia usługę i dobrze za nią płaci.

Tempo, w jakim rośnie firma Huby, jest niezwykłe. The Exploration Company powstała zaledwie pięć lat temu. Zaczynała od czterech osób i 50 tys. euro.

Nie marzyła o rakietach

Huby ma 48 lat i nie należy do tych pasjonatów kosmosu, którzy opowiadają, że już jako pięciolatkowie spoglądali w gwiazdy. Zapytana przez „Madame Figaro", czy od zawsze marzyła o kosmosie, odpowiedziała, że raczej interesowała ją... fizyka kwantowa.

Bez wątpienia była prymuską. Po maturze trafiła do słynnego paryskiego liceum Henri-IV, gdzie przez dwa lata przygotowywała się do niezwykle trudnych egzaminów do École normale supérieure, gdzie studiowała ekonomię i matematykę stosowaną. Dalej była Sciences Po, prestiżowa paryska uczelnia specjalizująca się w naukach politycznych i społecznych, a wreszcie École nationale d'administration, słynna kuźnia francuskiej elity urzędniczej.

Jej edukacja raczej przygotowywała do kariery wysokiego urzędnika niż budowniczego rakiet. I Huby rzeczywiście zaczęła od administracji państwowej, ale długo tam nie została. W kosmosie znalazła się właściwie przypadkiem.

W 2013 r. mąż Huby dostał pracę w Bremie. Mieli czworo dzieci. Huby przez wcześniejsze lata pracowała w niepełnym wymiarze godzin, aby mieć dla nich czas. Po przeprowadzce rozważała dwie możliwości: zostać nauczycielką albo przyjąć pracę na pół etatu w Airbus Defence and Space (to część tego lotniczego koncernu, która zajmuje się technologiami wojskowymi i kosmicznymi). Wybrała Airbusa.

Po kilku miesiącach została dyrektorką ds. innowacji, potem szefową strategii kosmicznej, a w końcu stanęła na czele programu budowy modułu serwisowego dla statków księżycowych. To europejska część statku Orion budowanego dla NASA, która odpowiada m.in. za napęd, zasilanie oraz dostarczanie astronautom wody i tlenu. W 2022 r. pierwszy taki moduł poleciał wokół Księżyca w bezzałogowej misji Artemis I, a w kwietniu 2026 kolejny obsłużył Artemis II, która zaniosła ludzi w okolice Srebrnego Globu. Huby znalazła się więc bardzo blisko najbardziej prestiżowego programu lotów załogowych na świecie.

Mówi, że w kosmosie spodobało jej się coś, czego brakowało jej w poprzednich zajęciach – tu praw fizyki nie da się oszukać i zasłonić marketingiem. Nazywa tę branżę „zawodem prawdy".

Ponieważ świetnie gra też na wiolonczeli, przemysł kosmiczny porównuje do orkiestry. Jeśli jeden muzyk zacznie grać dla siebie, nie słuchając pozostałych, całość się rozsypie.

Pod koniec poprzedniej dekady Huby coraz mniej podobało się tempo, w jakim grała europejska orkiestra. Po drugiej stronie Atlantyku SpaceX dokonał rewolucji – regularnie sprowadzał na Ziemię i wykorzystywał ponownie pierwsze stopnie rakiet Falcon 9, wysyłał statki Dragon z astronautami na Międzynarodową Stację Kosmiczną. A Europa szykowała Ariane 6, tradycyjną rakietę jednorazowego użytku.

Huby czuła, że stary kontynent nie nadąża. Po latach podsumowała: – Byliśmy zbyt wolni, za mało ambitni i za drodzy.

Jon Reijneveld, który pracował z nią w Airbusie, wspomina, że miała analityczny umysł, ale i „szaloną ambicję" i niecierpliwość wobec korporacyjnej biurokracji. Omijała procedury. „Nie przysparzało jej to samych przyjaciół" – przyznawał Reijneveld.

W końcu – wspomina Huby – zapytała samą siebie, gdzie w ciągu następnych 20 lat będzie mogła zrobić więcej: na wysokim stanowisku w Airbusie czy we własnej firmie.

Dwie nieudane próby

W 2021 r. z minimalnym kapitałem i grupką ludzi, z którymi wcześniej pracowała przy europejskich programach kosmicznych, stworzyła The Exploration Company. Postanowiła zacząć od kapsuły kosmicznej.

Nyx przypomina funkcją amerykańskiego Dragona – ma wynosić ładunek na orbitę, cumować do stacji kosmicznej, a potem wracać na Ziemię. Ma zabierać z powrotem do 3 ton ładunku i nadawać się do co najmniej dziesięciu lotów. Co ważne, konstruktorzy zakładają, że będzie mogła być wynoszona w kosmos przez różne ciężkie rakiety, europejskie, amerykańskie czy inne.

Pierwszy pełnowymiarowy Nyx ma polecieć do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej w 2028 r. NASA już prowadzi przeglądy bezpieczeństwa statku, a podczas paryskiego szczytu ESA zdecydowała, że The Exploration Company będzie jedną z dwóch firm, które zbudują dla Europy kapsuły transportowe zdolne kursować na orbitę i z powrotem.

To dowód zaufania do kompetencji tej młodej firmy, choć do tej pory żadnej kapsuły nie udało się jej jeszcze bezpiecznie sprowadzić z orbity. Próby były dwie. Pierwsza kapsuła została w kosmosie. Druga spadła do oceanu.

Pierwszy niewielki demonstrator, nazwany Bikini, firma zbudowała w dziewięć miesięcy za mniej niż 2 mln euro. W lipcu 2024 r. poleciał podczas inauguracyjnego startu rakiety Ariane 6. Dotarł w kosmos, lecz awaria Ariane 6 sprawiła, że Bikini nie został skierowany na trajektorię wejścia w atmosferę i pozostał przy rakiecie. Pech leżał po stronie Arianespace, nie konstruktorów kapsuły.

Druga próba była znacznie ciekawsza. 23 czerwca 2025 r. z kalifornijskiej bazy Vandenberg wystartował Falcon 9 z kolejną demonstracyjną kapsułą The Exploration Company, nazwaną Mission Possible. Miała 2,5 m średnicy, ważyła 1,6 tony i przewoziła około 300 kg ładunku należącego do klientów firmy: eksperymenty naukowe, demonstratory nowych technologii i inne przesyłki.



• Hélène Huby

FOT. BETTY LAURA ZAPATA/BLOOMBERG VIA GETTY IMAGES

Jej kapsuła Nyx ma wynosić ładunek na orbitę, cumować do stacji kosmicznej, a potem wracać na Ziemię

Na orbicie kapsuła prawidłowo obsłużyła wszystkie eksperymenty, utrzymywała łączność z Ziemią i wykonała manewry potrzebne do ustawienia się przed powrotem. Następnie skierowała osłonę termiczną we właściwą stronę i weszła w atmosferę. Po przerwie w łączności spowodowanej gorącą plazmą sygnał wrócił, ale chwilę potem – na wysokości około 26 km – zniknął ponownie. Tym razem już na dobre. Późniejsze dochodzenie wykazało, że nie otworzył się spadochron. Kapsuła wpadła do Pacyfiku i przepadła.

Najciekawsze było jednak to, co firma Huby przyznała później - świadomie zrezygnowała z pełnego testu systemu spadochronowego. Test kosztowałby pieniądze i zabrał czas. Mission Possible miała być demonstratorem, więc konstruktorzy zaakceptowali większe ryzyko.

Huby na własnym przykładzie przekonała się, że rzeczywiście w tym biznesie praw fizyki nie da się oszukać. Z drugiej strony – była to praktyczna demonstracja jej filozofii, aby budować taniej, testować szybciej, akceptować możliwość porażki i poprawiać konstrukcję na podstawie danych z rzeczywistego lotu. Trochę tak, jak to robi SpaceX Elona Muska.

W maju tego roku firma przeprowadziła już pełny test systemu spadochronów. Model Nyxa podniesiono śmigłowcem nad pustynię Mojave na wysokość 2,8 km i zrzucono. Wszystko zadziałało.

Od kapsuły do wielkiej rakiety

Tymczasem apetyt Huby wyraźnie wzrósł, podobnie jak kapitał firmy. Twierdzi, że ma już zarezerwowanych dziesięć przyszłych misji Nyxa i kontrakty lub umowy przedwstępne warte około 2 mld dolarów, m.in. z operatorami przyszłych prywatnych stacji orbitalnych Vast, Starlab i Axiom.

The Exploration Company zaczęła projektować Storm, wielki silnik na ciekły tlen i metan o ciągu około 180 ton. Ma napędzać dużą rakietę wielokrotnego użytku, zdolną wynieść na niską orbitę do 40 ton. Byłaby więc wyraźnie potężniejsza od Falcona 9 SpaceX, który może zabrać około 23 ton, i znalazłaby się raczej w klasie New Glenna firmy Blue Origin Jeffa Bezosa, którego nośność wynosi około 45 ton.

Rakieta miałaby być gotowa około 2033 r.

Najcięższa obecnie europejska rakieta Ariane 6 może wynieść na niską orbitę około 20 ton i po każdym locie wpada do oceanu.

Huby: – Jeśli Europa chce się liczyć, potrzebuje wielkiej rakiety latającej bardzo często.

450 mln dolarów, które właśnie zebrała, to ogromna suma jak na europejski start-up, ale zdecydowanie za mała, by sfinansować jednocześnie kapsułę załogową i ciężką rakietę. Huby przyznaje, że potrzebne będą kolejne rundy finansowania liczone już w miliardach.

Porównanie do Muska...

...narzuca się samo, ale Huby reaguje na nie ostrożnie. Przyznaje, że spółka SpaceX jest dla niej wzorem szybkości działania i że Europa powinna się od niej uczyć. Ale na tym podobieństwa się kończą.

Musk wszedł do przemysłu kosmicznego jako bogaty outsider i zderzył się z państwową machiną. Huby zna tę machinę od środka. Różni ich też podejście do Europy. Urodziła się jako Hélène Postel-Vinay. Jej dziadkowie działali we francuskim ruchu oporu. Babcia trafiła do obozu Ravensbrück.

Huby od dziecka wychowywano w przekonaniu nigdy więcej". Francusko-niemiecka współpraca i budowanie wspólnej Europy nie były w jej domu abstrakcyjnym hasłem.

Jeden z rodzinnych tropów prowadzi też do USA. Jej pradziadek Henri-Georges Doll, inżynier i wynalazca pracujący dla francusko-amerykańskiego koncernu naftowego Schlumberger organizował działalność inżynieryjną firmy w Houston. Huby wspomina, że jako dziecko słuchała opowieści o tym mieście. W sierpniu tego roku sama otworzyła w Houston, niedaleko Centrum Kosmicznego Johnsona NASA, laboratorium The Exploration Company.

Napisała wtedy, że ceni u Amerykanów odwagę w stawianiu ambitnych celów i umiejętność ich realizacji. Próbuje przenieść ten styl na europejski grunt, łącząc amerykańskie tempo działania z europejskimi pieniędzmi, inżynierami i polityką współpracy między państwami.

Jeśli więc Huby jest „kobiecym Elonem Muskiem", to raczej w tym sensie.

Dobrze się to zgrało z nową polityką szefa ESA Josefa Aschbachera, który chce, wzorem NASA, częściej stawiać na konkurujące ze sobą prywatne firmy i kupować od nich gotowe usługi. Na paryskim szczycie Aschbacher zaproponował jeszcze śmielszy krok: inwestowanie około miliarda euro rocznie przez dziesięć lat, aby Europa zyskała własne możliwości załogowych lotów w kosmos i uniezależniła się od miejsc kupowanych w amerykańskich statkach.

Europejscy politycy mają podjąć decyzję na ministerialnym spotkaniu ESA w grudniu.

– Potrzebujemy ambitnych europejskich polityków – zachęcała Huby dzień przed paryskim szczytem. – Ale najpierw musimy zacząć od osiągnięcia tych szalonych celów, które sami sobie wyznaczyliśmy. To sprawi, że inni nabiorą do nas zaufania i uwierzą w to, co robimy – dodała.

W europejskim przemyśle kosmicznym dawno nie było równie ambitnej i ryzykownej próby. ●

eprasa.pl 97b7b16417

JEJ „KOCHAM CIĘ" PACHNIAŁO KOPERKIEM



Kiedy jeszcze nikomu nie śniły się rozporządzenia o żywieniu w szkołach, dopuszczaliśmy się kulinarnych zbrodni.

Artur Nowak

Mam osobisty stosunek do szkolnych stołówek. Moja matka była kucharką. Można nawet powiedzieć, że zawdzięczam szkolnej kuchni życie, bo właśnie w szkole dla dorosłych we wsi Kamień pod Krosnem Odrzańskim poznała mojego ojca. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku przyjechał tam na jakiś kurs, ona gotowała.

Później pracowała na kuchni w szkole i przedszkolu. Szła na siódmą rano, wracała po piętnastej, zmęczona w ukryciu od dźwigania garów, obierania, mieszania, wydawania setek porcji. Czasami niosła do domu zupę w wielkim słoiku dla naszej trójki, bo ojciec zmarł w 1976 roku, dwa lata po moich urodzinach.

W naszym domu jedzenie nie było przedmiotem debaty o węglowodanach, śladzie węglowym i kaloriach. Matka nie należała do ludzi, którzy mieli łatwość mówienia o uczuciach. Robiła zrazy, gołąbki, piekła drożdżowe z kruszonką, gotowała zupę. Jej „kocham cię" pachniało koperkiem, smażoną cebulą i ciastem wyciąganym z piekarnika.

Dlatego trochę mnie bawi, kiedy z talerza dziecka robi się dzisiaj pole bitwy ideologicznej. Fasola staje się lewicowa, kotlet prawicowy, a zupa na wywarze warzywnym to deklaracja światopoglądowa.

Może za sprawą wychowania patrzę na tę awanturę dużo prościej. Dziecko powinno dostać coś ciepłego, dobrego i wyjść ze stołówki najedzone.

Trochę cukru i kakao

Ale politycy są bezwstydni. Stołówka stała się miejscem, w którym dorośli urządzają dzieciom własną wojnę kulturową.

Od 1 września zmieniło się w Polsce prawo regulujące jadłospis w szkołach i przedszkolach. Rozporządzenie Ministra Zdrowia to kilkadziesiąt stron przepisów i tabel. Dzieciaki mają jeść więcej warzyw, owoców i pełnego ziarna. Ma być mniej cukru, a woda to preferowany napój. Poza tym dziecko ma dwa razy w tygodniu dostać zupę na wywarze warzywnym i przynajmniej raz pełnowartościowy obiad roślinny oparty na strączkach.

Niby fasola dostała tylko jeden dzień, ale to i tak za dużo w kraju kotleta schabowego i rosołu.

I polityka wjechała na stołówki. Mateusz Morawiecki ma zarzuty do kaszy z fasolą i woła: „Opamiętajcie się!". Posłanka Maria Kurowska z PiS grzmi o zagrożeniu „egzystencji naszych dzieci".

Co tam jakaś sprawa Zondacrypto? Zaraz usłyszymy, że Tusk chce jakąś tam aferką przykryć kulinarny zamach stanu.

Żeby zamiast wyssać z mlekiem matki barszcz i bigos, przysposobić dzieciaki do tofu i ramenów.

Konfederacja widzi szerszy horyzont tej prowokacji z „ideologią na talerzu" w tle. Paweł Usiądek pisze: „Zamiast mięsa – sojowy substytut". Apeluje, by o żywieniu dzieci decydowali rodzice, a nie ministrowie. Posłowie Anna Gembicka i Jarosław Sachajko nie mają wątpliwości, że ulegamy „modzie" i „ideologii klimatycznej".

Można zmienić partię, poglądy, czasem nawet żonę, albo i dwie. Wybaczą ci. Ale spróbuj powiedzieć człowiekowi, że polski rosół albo piastowski schabowy ma swoje mankamenty, a patrioci jak piranie: zjedzą cię z talerzem i sztućcami.

Kiedyś w szkolnym sklepiku było proste żarcie. Drożdżówki, mleczne rogale, herbatniki i pierwsze jogurty w plastikowych kubkach. Okupowaliśmy go na przerwach, popijając wszystko oranżadą.

Dziś dzieciaki piją matchę, biorą sałatki na wynos, a fast food można kupić w każdej lepszej Żabce. Świat kulinarnie poszedł do przodu i tej zmiany nie zatrzymają żadne rozporządzenia.

Oczywiście awantury o jedzenie zostały nam mniej więcej te same. Śledztwa: czy dzieciaki zjadły śniadanie, co było na obiad. Sankcje też się nie zmieniają: ograniczanie słodyczy i niezdrowych napojów.

Ale dzieciaki dają sobie radę. Syn jednej z moich znajomych w buteleczce po lekarstwie zabiera do szkoły trochę cukru i kakao, żeby osłodzić sobie mdłą szklankę mleka, które dzieci dostają za darmo. Przy okazji chłopak osładza trochę szkolne życie. Jego koledzy wolą dosypywać słodkie płatki. Jedni cynamonowe, inni czekoladowe.

Pewnie jakiś dietetyk złapałby się za głowę. A ja jestem z nich dumny i myślę, że cywilizacja prawdopodobnie to przetrwa. Dzieci mamy pomysłowe. Jestem też spokojny, że nie zatracą smaku. Są już zresztą na to dowody. Córka sąsiadów donosi, że pyszne, niezdrowe batoniki zastąpiono w szkolnych sklepikach teoretycznie zdrowymi zbożowymi, ale takimi najgorszej jakości. Więc ani zdrowe, ani smaczne.

I to jest chyba problem z tą reformą: kaszę z fasolą trzeba jeszcze umieć tak przyrządzić, żeby smakowała.

Polityka, zwłaszcza konserwatywna, ma tę niezwykłą właściwość, że bardzo dokładnie wie, czego człowiek potrzebuje do szczęścia. Wie, z kim powinien spać, kiedy i po co powinien uprawiać seks, czego powinien słuchać w szkole i w jakiego Boga najlepiej wierzyć. Oczywiście można nie wierzyć wcale, ale to tak jak z wyborem stolika na weselu: teoretycznie istnieje, tylko wszyscy wiedzą, gdzie naprawdę powinieneś usiąść.

Chłodnik Przyłębskiej

Co u licha ma Morawiecki do fasoli i kasz? Może jest w tym jakiś plan i tak naprawdę chodzi o ryż, którym chce zastąpić nasz polski chleb. Na nagraniach z 2013 roku mówił o gospodarce, oczekiwaniach społecznych i o tym, że w czasach odbudowy ludzie ciężko pracowali właśnie „za miskę ryżu". Inna sprawa, że jakoś nie przeszkadzało mu chodzić po lokalach, gdzie ci wstrętni liberałowie jedli ośmiorniczki.

Z Jarosławem Kaczyńskim jest inaczej. Jemu w sprawach jedzenia wierzę znacznie bardziej. Kaczyński ma w sobie coś kafkowskiego, wije się za nim nimb jakiegoś niepokoju, ale przy stole jest swojski. Jedzenie w jego politycznym świecie nie jest teorią. On rozumie magię „polskiego stołu". Siądzie i zje z rolnikiem, robotnikiem, a i Niemca nie wygoni. Przez lata narosła cała mitologia obiadów prezesa, preferencji w kuchni i sztuki domowego biesiadowania.

Weźmy casus takiej Julii Przyłębskiej. Tak się przecież zaczynała, jak można był przeczytać, ta niesamowita kariera. Pani ambasadorowa pokazuje nam, że można od zakrystii, a właściwie kuchni, przez stołówkę wejść na salony.

Kaczyński okrzyknął Przyłębską swoim „odkryciem towarzyskim". Ileż zazdrosnych gospodyń te słowa prezesa zabolało. To lepsze niż te wszystkie gwiazdki Michelin i główna nagroda w „Masterchefie". Sama Przyłębska nieskromnie przyznała, że gotuje bardzo dobrze.

Ma nawet dwa dania popisowe – strogonowa i chłodnik litewski. Zwłaszcza ten chłodnik jest słynny. Ponoć powalił cały Berlin na kolana. Kiedy jako żona ambasadora wyczarowała wielki garnek na festiwal kultur, ustawiała się po niego kolejka. Ambasadorowie gratulowali.

Ciekawe, czy gotowała też w Trybunale Konstytucyjnym. Wyobrażam sobie te narady przy chłodniku z jajkiem, koperkiem i trzydziestoprocentową śmietaną. Krystyna Pawłowicz, ta od kebabu, Stanisław Piotrowicz z kitką jak Marek Piekarczyk i Przyłębska. Dream team, najlepszy skład, wysmaża standardy konstytucyjne przy chłodniku. Czemu nie? Ja tam zawsze coś skubię, jak myślę nad sprawami i piszę te teksty.

Sam nie wiem czemu, kiedy myślę o jedzeniu, przychodzi mi na myśl Przemysław Czarnek. On kafkowski jednak nie jest. To raczej postać reymontowska. Arcypolska. Szkoda, że Gombrowicz nie dożył tych czasów. Jestem pewien, że Czarnek by go zainteresował.

Ten papież polskiej tradycji bezsprzecznie należy do świata, w którym kiełbasa, świniobicie, rosół i schabowy urastają do znaków kulturowej ciągłości. Ja go tak widzę: swojsko, na weselu, gdzie wuj Przemek z rozkiwaną jak raperzy z Brooklynu głową tłumaczy ten świat głośniej niż weselna orkiestra. Opowiada dowcip i pierwszy się śmieje, i już wszyscy wiedzą, że oni też już się mogą pośmiać. I on się cieszy i opowiada dalej.

1 RP

eprasa.pl 97b7b16417



FOT. GETTY IMAGES

Pamiętam, kiedy w 2022 roku szalała drożyzna – zaskoczył mnie jednak. Zwątpił i zaparł się pewnych prawicowych idei jak apostoł Piotr. Opowiadał o swoich wakacyjnych oszczędnościach. Nie będzie hoteli, pojedzie do znajomych, czasem coś sam „upichci", czasem znajomi zaproszą na obiad. A jedzenie? „Można jeść trochę mniej i trochę taniej".

Jak to usłyszałem, to zaraz pobiegłem po okulary. Przemo nasz nie jest przecież aż tak politycznie poprawny! Od pichcenia jest przecież baba! I po co jeździć po hotelach. Lepiej posiedzieć na ganku z teściem. Poczułem ulgę, kiedy to wszystko sprostował. Wyjaśniał, że mówił o sobie, a nie udzielał porad żywieniowych narodowi.

My naprawdę ufamy ludziom, którzy dobrze karmią. Podejrzewamy tych, którzy przy stole wydziwiają. Ludwik Dorn opowiadał kiedyś żartobliwie o człowieku, który może budzić nieufność prezesa, bo schabowego je nożem i widelcem. Sam nie wiem, co o tym sądzić. Może oni na tych pisowskich biesiadach jedzą kotlety prosto z patelni i zagryzają kartoflami wyciąganymi na żywca z wrzątku?

Chociaż zaraz. To się nie do końca zgadza z inną wielką teorią polskiej szkoły stosunków międzynarodowych. Bartosz Kownacki, wówczas wiceminister obrony, po awanturze z Francuzami o Caracale przypomniał przecież, że Francuzi „uczyli się od nas jeść widelcem parę wieków temu".

Czyli jednak sztućce są nasze i jak Polak drzewiej siadał do stołu, zachód jadł łapami na podłodze jak w Nepalu.

Co prawda historycy trochę psują tę piękną opowieść. Nie ma dowodów na to, że Polacy uczyli Francuzów jedzenia widelcem. Widelec wędrował po Europie przede wszystkim z Włoch, a Francuzi poznali go, zanim Henryk Walezy zdążył uciec z Polski. Ale po co dowody? Swoje wiemy lepiej.

Majaczy mi w pamięci Stefan Niesiołowski i jego słynny szczaw z nasypu. Kiedy dyskutowano o niedożywionych dzieciach, wspominał własne dzieciństwo. Dziecko idzie wzdłuż torów i szuka obiadu. Epickie!

Co u licha ma Morawiecki do fasoli i kasz? Może jest w tym jakiś plan i tak naprawdę chodzi o ryż, którym chce zastąpić nasz polski chleb.

Kocham schabowego

Można ciągnąć łacha z polityków, tyle że pod całą tą awanturą kryje się problem zupełnie prawdziwy. Świat zmienił się także przy stole – i niekoniecznie na lepsze. Tanie, wysokoprzetworzone jedzenie jest wszędzie, koncerny spożywcze nauczyły się bezkarnie sprzedawać dzieciom cukier, tłuszcz i sól w kolorowych opakowaniach z obietnicą szczęścia.

Prawda o traumach otyłych dzieciaków ginie w reklamowym hałasie. Dzieci z nadwagą i otyłością jest dziś znacznie więcej niż w czasach naszego dzieciństwa.

Przyzwyczailiśmy się do świata fast foodów tak bardzo, że trudno pamiętać, iż kiedyś był on dla nas egzotyką. Pamiętam pierwsze McDonaldy – żeby zjeść hamburgera pod złotymi łukami, trzeba było jechać do Warszawy. Dziś hamburger może przyjechać do dziecka szybciej, niż rodzic zdąży ugotować zupę.

W awanturze o fasolę głos zabrali w końcu fachowcy. Portal Jastrząb Post przepytał gwiazdy „Masterchefa".

Michel Moran nie bardzo rozumie, o co ten krzyk. Czy dzieci muszą mieć mięso i ziemniaki codziennie? Magda Gessler chce, by był wybór – jadłospis mięsny i wegetariański. Pascal Brodnicki staje po stronie różnorodności. Dzieci powinny próbować możliwie wielu rzeczy, a rodzice pokazywać im, że świat nie kończy się na schabowym z ziemniakami.

A może celebryccy kucharze wejdą do Sejmu? To ma szanse zatrybić. Obywatele pewnie tłumnie wróciliby do odbiorników oglądać obrady. Przyznam, że ja nawet widzę Magdę Gessler, która robi karierę na miarę co najmniej Merkel. Parlamentarna rewolucja zaczyna się od otwarcia drzwi na salę plenarną i okrzyku: „Tu nie ma miłości!". Potem przewraca stolik Tuska, Kaczyńskiego, Czarzasty wywiesza białą flagę, Mentzen ucieka na hulajnodze. No i cały ten polityczny plankton, który bez wodza jest smutną czeredą sierot, idzie za czułą przewodniczką.

To ma uzasadnienie. Jedzenie w Polsce nigdy nie było tylko jedzeniem. Jedzenie pchało do przodu rewolucje. W grudniu 1970 roku podwyższono ceny podstawowych produktów. Lekkomyślność partii polegała na tym, że podniesiono również ceny mięsa. No i się zaczęło: Gdańsk, Gdynia, strzały, zabici i koniec Gomułki. Sześć lat później historia się powtórzyła. Kiedy ceny żywności poszły w górę, był Radom.

Politycy mogą wchodzić nam do łóżek, podsłuchiwać nasze rozmowy, ale niech lepiej nie grzebią nam w talerzu.

Przyznam się do rzeczy dzisiaj dla mnie kompromitującej. Kochałem schabowego. To smak beztroskiego dzieciństwa. Niewinność, kiedy nie liczysz kalorii, nie razi cię, że smażone, tłuste, i żyjesz w błogiej nieświadomości, o co chodzi z tym cholesterolem.

To, że mama pracowała w kuchni, nie dawało mi może przywilejów, ale na pewne rzeczy mogłem liczyć. Mogłem mieć na przykład wpływ na menu: mielony, ziemniaczki z odrobiną zieleniny i buraczki. Placki ziemniaczane, grochówka.

O jeden pączek za daleko

Ale mamy skłonność do idealizowania przeszłości: że było pysznie i dzieci jadły wszystko.

Nieprawda. Kolega opowiadał, że za dzieciaka musiał nieźle się nakombinować, żeby się pozbyć śniadania. Nie można było wyrzucić kanapek byle gdzie. Matka mogła znaleźć.

Trzeba było dobrze zacierać ślady. Z kaszką na pierwsze śniadanie było najłatwiej. Szła na dno w miejscu, do którego nie zagląda nawet diabeł. No, ale taka bułka pszenna była problem. Bo bułka pływa. Choćbyś spuszczał wodę z dziesięć razy, przetrwa jak ta stonka, co ją Amerykanie zrzucili na polskie ziemniaki. Trzeba było schować do kieszeni. Gołębie się cieszyły.

Kiedy jeszcze nikomu nie śniły się żadne rozporządzenia o żywieniu w szkołach, dopuszczaliśmy się kulinarnych zbrodni. Pamiętam, jak podżegany przez wychowawcę dałem niezły popis. Na jednej z klasowych dyskotek, na którą każdy miał coś przynieść do zjedzenia, zrozumiałem, o co chodzi w powiedzeniu, że można się najeść „jak bóbr". Prawie wszyscy przynieśli pączki. Nie tam jakieś sklepowe, ale babcine, smażone na najprawdziwszym tłuszczu.

Nasz szalony wychowawca wpadł na pomysł konkursu. Kto zje więcej? Oczywiście wystartowałem.

Do szóstego pączka szło dobrze. Byłem młody, ambitny i głupi. Niósł mnie doping dziewczyn. Ale nie dałem rady więcej. W nagrodę za zajęcie drugiego miejsca odebrałem najgorszą możliwą nagrodę – połowę pączków, które zostały, bo kolega zjadł zaledwie jednego więcej. Pamiętam, że łapczywie wypiłem prosto z dzbanka słodką herbatę i „po angielsku" czmychnąłem do łazienki. I od tej chwili wiem, że „żołądek to nie San Francisco".

Dziś po tym wydarzeniu prawdopodobnie mielibyśmy zebranie z rodzicami, psychologa, dietetyka, pismo do kuratorium i jakąś komisję. Wtedy się śmialiśmy.

Pamiętam też te popołudnia, kiedy z kolegami robiliśmy nalot na mieszkanie któregoś z chłopaków z klasy. Rzecz jasna, pod nieobecność tyrających na chwałę Polski Ludowej rodziców. Byliśmy wiecznie głodni. Wiadomo, cały dzień biegało się za piłką, za dziewczynami, za życiem. Człowiek miał kilkanaście lat i przemianę materii jak piec hutniczy.

Dopadaliśmy więc lodówek w blokach i domkach jednorodzinnych. Zawsze coś się znalazło, bez względu na status majątkowy gospodarzy.

Potem zaczynały się popisy kulinarne. Moim daniem firmowym był domowy jogurt. Brałem śmietanę w butelce, odrywałem złote wieczko i mieszałem w niej widelcem, dodając dżem albo kakao. Wszystko to trzeba było porządnie zaprawić cukrem. Koledzy z szacunkiem potwierdzali, że pyszne.

Kolega, bardziej zaawansowany, specjalizował się w jajecznicy. Wrzucał na patelnię, co się znalazło pod ręką: szynkę, boczek z puszki skitrany na święta. Do tego cebula, a na wierzch okładał serem i na końcu ketchup. No i zjadaliśmy to dzieło łapczywie prosto z patelni. Jadł i płakał też chłopak, który zrobił ten błąd i wpuścił nas do mieszkania. Pocieszaliśmy go, że to żadna zbrodnia, że ugościł przyjaciół.

Po obiedzie ekipa przenosiła się do dużego pokoju. W każdym porządnym PRL-owskim mieszkaniu był przecież barek. Stały tam napitki, których jako dzieciaki jeszcze nie tykaliśmy, ale obok nich kryły się prawdziwe skarby: czekolady, bombonierki, bakalie, czasem coś z paczki przysłanej przez rodzinę z Zachodu. Rzeczy odłożone „na święta", „dla księdza, znaczy na kolędę", albo na „specjalne okazje".

My byliśmy zdania, że to była ta „specjalna okazja".

Kartacze i pamięć

Te kulinarne doświadczenia siedzą nam w głowach, kiedy instruujemy dzieci. Rzadko się udaje kogoś czegoś uczyć na czyichś błędach.

Na własnej skórze ta lekcja działa najlepiej. Tak to już jest – po latach, kiedy ktoś zobaczył pierwsze wyniki badań, zły cholesterol, nie taki cukier, pierwszego kolegę po zawale i zaczął się mądrzyć.

Tylko że mówienie dwunastolatkowi o zawale jest trochę jak ostrzeganie sześciolatka przed niską emeryturą. On niby rozumie, że zła dieta wiąże się z konsekwencjami, ale dla niego to jakieś potencjalne niebezpieczeństwo za górami, za lasami.

Lepiej pokazać dziecku, że swój pomidor może smakować, podsunąć przepis na coś zdrowego, dać popichcić i nabałaganić.

To naiwne, że dziecko uwierzy, są dobre dzieci, które zjadają surówkę, i złe, które zostawiają buraczki.

W pewnym momencie sam przestałem jeść mięso. I mama nie robiła dramy. Nie znała pojęcia diety planetarnej, robiła kartacze z kaszą gryczaną i serem, groch z kapustą, pierogi i krokiety z grzybami. Takie wege po naszemu.

Pamiętam zwłaszcza kartacze. Obieranie ziemniaków, potem tarka, tłuczek i gotowanie. Przedtem lepienie.

Dzisiaj wrzucam na patelnię warzywa, dodaję makaron, ricottę, suszone pomidory, trochę wody po gotowaniu makaronu, mieszam i po kilkunastu minutach chodzę po domu z poczuciem, że gotuję.

Jedzenie jest pamięcią w czystej postaci. Czasem wystarczy zapach i wraca człowiek, którego już nie ma.

Ale to nasza pamięć. To, że kochaliśmy schabowego, nie znaczy, że dziecko musi go też kochać.

Szkoła niewiele pomoże, bo piętno diety dosłownie na talerzu odciska przede wszystkim dom. Do szkoły przychodzimy z przekonaniem, że zupa bez mięsa to właściwie woda, a obiad bez kotleta jest niekompletny. Rodzic wrzuca dziecku do plecaka ze śniadaniem „zdrowego" kabanosa z takim terminem przydatności, że spokojnie doczeka matury.

I jeszcze jedno. Prawica, podobnie jak Kościół, ma pewien problem z czasem. Trudność polega na tym, że nie umie uznać tego, co oczywiste. W kwestii jedzenia też pewnie kiedyś nastąpi przebłysk. Kardynał Carlo Maria Martini powiedział kiedyś, że Kościół jest zapóźniony o dwieście lat. Potrzebował kilkuset lat, ale wreszcie uznał teorię ewolucji, zrehabilitował Galileusza, a nawet Jana Husa.

Jestem przekonany, że jeszcze trochę, jakieś sto lat i któraś posłanka z PiS-u zostanie przyłapana przez kamerę z miską sałaty polanej cytryną. ●

eprasa.pl 97b7b16417

LEGOLANDIA

Najszczęśliwszy kraj na Ziemi z miejscem tak niezwykłym, że można zapomnieć o wszystkim. Nawet o gapieniu się w smartfona.

Andrzej Kulasek

Cztery imponujące pałace, misternie utkane rękami zdolnych architektów i budowniczych, pełne kunsztownych okien, gzymsów i dekoracji. Otaczają plac, na środku którego pyszni się postać na koniu, jakby z dumą spoglądająca na całość. To król Danii Fryderyk V, a dzieło to ikoniczny Amalienborg, dziś siedziba duńskiej rodziny królewskiej.

Architektoniczne cacko – 7,5 m średnicy, 900 tys. klocków, z czego jakieś 40 tys. samych elementów okiennych. Stoi tu od ponad 40 lat.

O co tutaj chodzi? O to, że jesteśmy w Minilandzie, sercu położonego w Billund LEGOLANDU. Miejscu, w którym dzieją się prawdziwe cuda.

„Leg Godt", czyli „Baw się dobrze!"

W 1916 roku 25-letni cieśla Ole Kirk Christiansen powrócił do rodzinnej Danii z zarobkowych wojaży po Niemczech i Norwegii, i osiadł w Billund, małej miejscowości na Jutlandii. Za zarobione pieniądze kupił zakład stolarski.

Biznes przeżywał wzloty i upadki, choćby pożar przypadkowo wywołany przez synów Christiansena, by wreszcie, podczas Wielkiego Kryzysu przełomu lat 20. i 30., stanąć przed widmem bankructwa.

Ole Kirk zdecydował się wówczas produkować drewniane zabawki i twardo się tego trzymał, mimo nieustannych przeciwności losu. W 1934 roku, po dwóch latach od rozpoczęcia produkcji drewnianych zwierzątek i samochodów, nazwał swoją firmę LEGO, co było skrótem od duńskiego zwrotu „leg Godt", czyli „baw się dobrze!" Dopiero później okazało się, że „lego" po łacinie oznacza także „składam".

Po II wojnie światowej LEGO poszło za falą „plastikowej rewolucji", chociaż początkowo klienci, którzy cenili sobie drewno, nie byli tym zachwyceni. Wszystko zmieniło się w 1958 roku, kiedy od spodu w klockach wyżłobiono otwory. W tym samym roku zmarł Ole Krik, a stery firmy przejął jego syn, Godtfred Kirk Christiansen.

Kiedy dziś spacerujemy po stworzonych z klocków cudownościach Minilandu, takich jak: zamek Amalienborg, Nyhavn – kanał i dzielnica Kopenhagi, słynna z kolorowych kamieniczek, apartamentowiec Isbjerget w Aarhus, kopenhaskie Kaktus Towers, ratusz i dworzec kolejowy w Esbjerg, renesansowy zamek Rosenborg czy monumentalna katedra w najstarszym duńskim mieście, w Ribe – to nie możemy wyjść z zachwytu, jak misterne to konstrukcje.

Jak wszystko tam do siebie pasuje (trudno uwierzyć, że kilkadziesiąt lat temu narzekano, że klocki nie dają się łączyć), – a są to przecież całe ekspozycje poświęcone Aarhus, Kopenhadze czy Holandii – a jednocześnie razem tworzy niezwykłe, małe miasto.

Miasto zbudowane z 20 milionów klocków. Ale to jedna z cech nie tylko klocków LEGO, ale generalnie duńskiego stylu życia. Wszystko jest tam takie, jakie powinno być. Idealnie skrojone, dopasowane, zorganizowane. Akuratne.

Z rodziną dobrze nie tylko na zdjęciach

Kiedy przyjeżdżacie do Billund, żeby odwiedzić okoliczne atrakcje – jeszcze o nich opowiemy, bo to bynajmniej nie tylko LEGOLAND – najlepiej jest zamieszkać w Lalandia Billund Resort.

To osiedle domków typu holenderskiego, otoczone łąką, wyposażonych we wszystko, co potrzeba – lodówkę, pralkę, suszarkę i inny sprzęt AGD. Każdy domek ma taras, grilla i miejsce parkingowe, są też wytyczone trzy trasy dla miłośników biegania oraz Lalandia Expressen – bezpłatna minikolejka. Wszędzie czyściutko, schludnie, minimalistycznie. Skandynawsko jak diabli.

Z lotniska w Billund do Lalandii jest wszystkiego 3 km... piechotą. Dla chcącego i nieobła-



• **Wersja lego jednej z dwóch słynnych kopenhaskich Kaktus Towers. W prawdziwych jest łącznie 495 mieszkań. Oddano je użytku w 2022 r.**

FOT. ANDRZEJ KULASEK

eprasa.pl 97b7b16417



FOT. HEMIS / ALAMY STOCK PHOTO

• „Kiedy spacerujemy po stworzonych z klocków cudownościach Minilandu, to zachwycamy się, jak misterne to konstrukcje. A są tu całe dzielnice Kopenhagi i innych miast!". Na zdj. urokliwy Nyhavn – kanał i dzielnica duńskiej stolicy słynna z kolorowych kamieniczek



FOT. ANDRZEJ KULASEK

• W pawilonie LEGO Creative są budowle z całego świata. Ta jest z Polski „Steampunk Mech of Roman Empire" Kamila Nurowskiego



FOT. ANDRZEJ KULASEK

• Gotycka katedra w Aarhus. Oryginał jest najdłuższym kościołem w Danii (93 m) i ma najwyższą wieżę kościelną w kraju (96 m). W środku są miejsca siedzące dla 1200 osób

dowanego bagażami człowieka to półgodzinny spacer. Oczywiście kursuje tam bus, ale najpraktyczniej jest wypożyczyć samochód, bo, jako się rzekło, jest kilka atrakcji, które warto odwiedzić poza wioską LEGO.

Billund liczy jakieś 8 tysięcy mieszkańców, ale tamtejsze lotnisko jest drugim największym w kraju, po stołecznym Kastrup. I tytułem uzupełnienia – lot z Warszawy do Billund trwa niewiele ponad godzinę.

Na południu, we Francji, Hiszpanii czy Portugalii na turystów czeka często wino od gospodarzy albo przynajmniej butelka wody. Ale jesteśmy w Billund, więc ja w swoim domku znalazłem... zestaw LEGO, dużą postać ludzika do składania. Zgodnie z potwierdzeniem rezerwacji domku był też jeden komplet pościeli i ręczników, i... już. To, co w spisie, to i w rzeczywistości. Znajdziecie w salonie stos planszówek, ale w łazience nie będzie żelu pod prysznic. Jak kemping, to kemping, musicie zadbać o to sami.

Obowiązkowo będzie za to dziecięce łóżeczko tudzież specjalne krzesło do sadzania przy stole najmłodszych pociech. Osiedle pełne jest



FOT. ANDRZEJ KULASEK

• Zabawa jest przednia, bo nie tylko oglądamy. Możemy sterować dźwigami, puścić w ruch pociągi, auta, statki i nawet odpalić rakietę



FOT. ANDRZEJ KULASEK

• Autor tekstu w części LEGOLANDU zwanej Królestwem Rycerzy, gdzie wznosi się m.in. ogromny średniowieczny zamek

akże placów zabaw, więc dzieci od rana mogą pójść w plener się wyszaleć.

O tym, że do LEGOLANDU i generalnie do Billund i Danii najlepiej wybrać się rodzinnie, bo wtedy właśnie bawi się człowiek najlepiej, przekonywałem się na każdym kroku.

Święty Graal legomaniaka

Na pomysł utworzenia LEGOLANDU Godtfred Kirk Christiansen wpadł w latach 60. XX w. Trochę dlatego, że fabrykę klocków w Billund odwiedzało co roku ok. 20 tys. turystów, ciekawych, jak powstaje ich ulubiona zabawka, a po części dlatego, że był inspirowany słynnym Madurodam w Hadze, parkiem miniatur zwanym miniaturową Holandią.

Uroczyste otwarcie LEGOLANDU nastąpiło w 1968 roku, a jego główną atrakcją był właśnie Miniland. Zespół modelarzy pod wodzą Dagny Holm, kuzynki Christiansena, stworzył pierwsze miniaturowe domy i pałace. Odwiedzający byli zachwyceni, bo park z miejsca okazał się gigantycznym sukcesem.

Pamiętam swój pierwszy zestaw LEGO. To był traktor o numerze katalogowym 6608, złożony z kilkunastu elementów, z granatowo-czarnym ludzikiem o brązowej czuprynie. Był rok 1983, może 1984. Teraz, kiedy po z górą 40 latach przekraczałem bramy LEGOLANDU, które otworzyły się punktualnie o godzinie 10 rano, czułem, jakbym dotykał Świętego Graala.

Dzisiejszy park podzielony jest na 9 stref tematycznych. Jest tam m.in. kraina Duplo, Królestwo Rycerzy, Strefa Polarna czy Kraina Piratów. I oczywiście Miniland, zbudowany – jak już wspomniałem – z ponad 20 milionów klocków LEGO.

Po tym ostatnim spacerować można godzinami, by przenieść się nie tylko do wspomnianych zakątków Danii, ale też do Nowego Jorku, pod Statuę Wolności, do Białego Domu czy Tadź Mahal albo szkockiego zamku Eilean Donan Castle. Wprawne oko wypatrzy nieopodal zamczyska potwora z Loch Ness, pływającego sobie w jeziorku.

Zabawa jest przednia, bo możemy sterować dźwigami, puścić w ruch pociągi, samochody i statki, odpalić rakietę z centrum Kosmicznego im. Johna F. Kennedy'ego na Florydzie, a na rynku w Aarhus rozpocząć koncert kapeli.

Mnie najwięcej frajdy sprawiła jednak policyjna pogoń za gangiem Olsena. Wystarczyło przycisnąć guzik, by wprawić w ruch Egona i jego kompanów, których zajadle ściga stróż prawa, a wszystko to w rytm charakterystycznej muzyczki z popularnej serii duńskich komedii kryminalnych. Klawo jak cholera!

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl 97b7b16417

Najszczęśliwsze miejsce, najszczęśliwszy kraj

Jest też w LEGOLANDZIE niepozorny pawilon nazwany LEGO Creative. W środku znajdziecie stoły z wbudowanymi misami, w których pełno jest kolorowych klocków. Siedzą tam dzieciaki i ich rodzice, i z tych klocków wyczarowują przeróżne rzeczy: wieże, zamki, kwiaty – te ostatnie można zawiesić na wielkiej zielonej planszy umieszczonej na jednej ze ścian.

A w gablotach do obejrzenia są prawdziwe arcydzieła – niesamowite budowle stworzone przez miłośników LEGO z całego świata. Powstały na specjalnych, organizowanych przez firmę konkursach, bądź po prostu zostały dostrzeżone na forach, a ich twórców poproszono o wypożyczenie dzieł na wystawę.

Są też prace z Polski, jak „Steampunk Mech of Roman Empire" Kamila Nurowskiego, czy „Sekretne życie tostera" Pawła Kowalskiego, a wszystkie absolutnie niezwykłe.

Podobnie jak pewien rzucający się w oczy fakt – w całym pawilonie widziałem jedną (sic!) osobę ze smartfonem, nie licząc mnie. A tak, wszyscy, dzieci i dorośli, pochłonięci byli budowaniem z klocków. Bardzo to – nomen omen – budujące!

Jako że to park rozrywki, znajdziemy tu karuzele, kolejki, a na najmłodszych czeka drogowe miasteczko, w którym można zdać egzamin na prawo jazdy. Rollercostery nie będą tak wielkie ani straszne, jak choćby w tematycznych lunaparkach Universal Studios czy amerykańskiej sieci Six Flags, ale wcale takie być nie muszą.

Na Dragonie, Latającym Orle, czy X-Treme Racers bawiłem się doskonale, a suspens na koniec przejażdżki Polar X-plorerem to było mistrzostwo świata. LEGOLAND z niczym nie musi się ścigać. Wystarczy, że realizuje swoje hasło: „Najszczęśliwsze miejsce w najszczęśliwszym kraju na Ziemi".

Zmagania z Turbo Racerem

Trasę ze swojego domku (Pilestien 401, zapamiętam na zawsze!) do LEGOLANDU pokonywałem w jakiś kwadrans, po drodze mijając bryłę Lalandia Aquadome – centrum rozrywkowego, którego największą atrakcją jest park wodny.

Być może bywalcy Suntago [największy aquapark w Polsce koło Mszczonowa] poczują się rozczarowani; że mniej tu zjeżdżali, że „idzie fala" u nas większa, ale tu znów wszystko wydaje się akuratne, zaprojektowane, przemyślane, odpowiednie. Duńskie po prostu.

Basen z falami jest zgrabnie wpasowany w narożnik obiektu, fale załamują się na brzegu jakbyśmy naprawdę byli nad morskim wybrzeżem, no i wejście do saun nie wymaga przebrnięcia do innej strefy – jest dostępne dla wszystkich. Także Sauna Inferno ze specjalnymi siedziskami, które przywodzą na myśl Obcych Hansa Rudolfa Gigera. Mają wymodelowane miejsce na plecy, na które potem grzeje – a ściślej na kręgosłup – przyjemne ciepło. Pycha!

Nie lekceważcie też Turbo Racera... zjeżdżalnia może wygląda niepozornie, ale jak już wdrapałem się po schodach, przeszedłem przez kołowrotek i spojrzałem w ciemność, na pionową spadającą w dół rurę zjeżdżalni, to na czworakach się



• **WOW Park. Gigant – najwyższa w Skandynawii wieża z blaszanymi zjeżdżalniami (25 m wys.). W pobliżu stoi budka z filcowymi podkładami-saneczkami, żeby łatwiej i bezpieczniej zjeżdżać**

FOT. ANDRZEJ KULASEK

wycofałem (inakszej kołowrotek by mnie nie przepuścił). „Może później" – rzuciłem krótko zdziwionej dziewczynie z obsługi.

Wróciłem na Turbo Racera po kilku spokojniejszych zjazdach innymi zjeżdżalniami i – wooooooo! Jest turbo jak nie wiem. Zegar na dole pokazał mi, że rozwinąłem prędkość 25,3 km na godz., co pozwoliło mi przebyć trasę w niespełna trzy sekundy. Rekordzista ma 1,5 s... Jak?

W Lalandii można też pograć w kręgle, badmintona, odwiedzić pełne oldskulowych automatów „Little Vegas", czy przejechać się szaloną tyrolką w Winter World. Tych atrakcji jest więcej, możesz przejść wzdłuż i wszerz całą Lalandię i ominąć coś fajnego, co zajmie cię – a na pewno twoje dziecko – na kilka godzin.

Bilety do wielkiej czwórki

Jeśli zamieszkacie w Lalandii (*domki są 4-, 6- i 8-osobowe, są różne promocje – ceny na stronie internetowej Lalandii*) i wykupicie tzw. Resort Pass (*cennik na stronie legolandbillundresort.com; przykłady w ramce*), otrzymacie nielimitowany dostęp do czterech atrakcji: LEGOLANDU, Lalandii (tam, gdzie Aquadome), WOW Parku i Zootopii, czyli ZOO w Givskud.

LEGOLAND – cennik podstawowy

- **LEGOLAND**
bilety od 349 DKK(ok. 203 zł)
- **Givskud ZOO**
dorośli 260 DKK (ok. 151 zł)
dzieci 3-11 lat 160 DKK (ok. 93 zł)
- **WOW PARK Billund**
od 199 DKK (ok. 116 zł)
- **LEGO House**
od 219 DKK (ok. 127 zł)
- **Lalandia Aquadome**
349 DKK (ok. 203 zł)
- **Resort Pass** pobyt w Lalandii 869 DKK/os. (ok. 505 zł)
nielimitowany dostęp do LEGOLANDU, WOW PARK, Givskud ZOO i Aquadome
- **Lalandia** domek dla 4 osób od 1336 DKK (ok. 776 zł) za noc przy ofercie „3 noce w cenie 2".

Czasem opłaca się wprawdzie kupować oddzielnie bilety do każdej z czterech atrakcji, ale to wszystko zależy od pory, kiedy przyjeżdżacie i aktualnych promocji.

Dlatego kiedy nasycicie się już najbliższymi atrakcjami, zachęcam, żeby „ruszyć w teren" i lepiej poznać okolicę.

WOW!

Na pierwszy ogień polecam położony od Lalandii niespełna 3 km WOW Park – ogromny park linowy.

– Ludzie przyjeżdżają do Billund dla LEGOLANDU i to jest normalne, w końcu jest sławny na cały świat. O nas nie słyszeli, ale jak już nas odkryją, są zaskoczeni; ciszą, przyrodą i atrakcjami, takimi prostymi, bez żadnej elektroniki – mówili mi pracownicy WOW Parku.

Bo też i sprowadzić to miejsce li tylko do parku linowego byłoby niesprawiedliwością. Na 28 hektarach („To jakby 40 boisk piłkarskich" – zachwalali miejscowi) znajdziecie – na ziemi, na drzewach i... pod ziemią – setkę konstrukcji służących do zabawy.

Istna plątanina lin, tuneli, domków na drzewie, tyrolek, trampolin, huśtawek, hamaków czy zjeżdżalni. I do tego jest jeszcze Gigant, czyli najwyższa w Skandynawii wieża ze zjeżdżalniami, która wznosi się na wysokość 25 m. Z daleka naprawdę wygląda jak gigantyczny stwór, pokrytych blachą zjeżdżalni ma trzy, a nieopodal stoi budka pełna filcowych podkładów-saneczek. Fantastyczna sprawa.

Są też miejsca do biwakowania – z już rozpalonymi ogniskami, zaostrzonymi kijami do pieczenia kiełbasek i opiekaczy do przyrządzania ryb, mięsa czy warzyw. A także warsztaciki, gdzie można samemu wykonywać różne ozdoby.

– To wszystko wygląda jeszcze lepiej, kiedy jest ładna pogoda – mówiła mi menedżerka WOW Parku. I faktycznie, odwiedziłem to miejsce tuż po mocnych ulewach, gdy większość atrakcji ociekała wodą. Ale małym Duńczykom to nie przeszkadzało. Odziani w przeciwdeszczowe kombinezony biegali po całym parku próbując wszystkiego, i rozbryzgując dookoła fontanny wody. Zresztą, umówmy się, w końcu wszystkie dzieci są nieprzemakalne.

Na lwy by

Givskud to już bardziej skomplikowana sprawa. Nie tylko dlatego, że to jakieś pół godziny drogi samochodem, ale generalnie warto tam wybrać się sposobem zmotoryzowanym, bo największą atrakcją Zootopii jest safari. Można nie wysiadać z auta, by zobaczyć bizony, żyrafy, antylopy czy lwy. Natomiast na wybieg dla lwów wjeżdża się przez specjalną śluzę i podwójne wrota, pech chciał, że krążyłem tam w dwóch nawet turach, a żadnego lwa nie uświadczyłem.

Ale okrążenie Zootopii tylko w aucie to karygodne niedopatrzenie. Lepiej wysiąść na każdym z trzech przystanków-parkingów po drodze, by odwiedzić goryle, wilki czy niedźwiedzie. Oczywiście Givskud to nie jest takie sobie zwykłe ZOO – tu nie ma klatek, a przy wybiegach dla zwierząt pełno jest edukacyjnych interaktywności. I tak, by zobrazować zagrażające gorylom niebezpieczeństwa, mamy inscenizację z drzewami i tnącą je mechaniczną piłą, której metaliczny jazgot wdziera się w odgłosy przyrody. Z kolei u wilków, odsłaniając specjalne klapki, rozprawimy się z mitami dotyczącymi tych wspaniałych zwierząt.

Koniecznie też zróbcie przystanek przy Parku Dinozaurów. Wejście stylizowane jest na serię filmów „Park Jurajski", a w środku czekają modele tych prehistorycznych stworów. Naturalnej wielkości! Stańcie przed argentynozaurem, czyli prawdopodobnie największym stworzeniem, jakie kiedykolwiek żyło na stałym lądzie – robi wrażenie.

Sinozęby zjednoczyciel

– Rety, musisz być już wykończony – powiedziała ze współczuciem jedna z menedżerek Økolariet, kiedy podzieliłem się z nią moim „planem podróży".

Ale tego interaktywnego centrum nauki, mieszczącego się w Vejle, nie warto odpuszczać.

Na trzech piętrach posłuchacie opowieści o klimacie, technologiach, bioróżnorodności czy ochronie środowiska. Co się dzieje z naszymi odchodami, jak wygląda system filtrowania wody, z czego składa się jedzenie, które pochłaniamy codziennie, co znajdziemy na dnie oceanu, jak zachowuje się krew, albo coś, co na mnie zrobiło chyba największe wrażenie – symulacja podróży szczura po miejskich kanałach.

Nie wolno pędzić przez Økolariet zbyt szybko, bo za dużo można przegapić, a byłoby szkoda. Na szczęście w miarę bezboleśnie można to nadrobić, bo wstęp do tego niezwykłego miejsca jest darmowy.

Najwyraźniej nie byłem jeszcze na tyle zmęczony, by nie zaaplikować sobie jeszcze jakiejś atrakcji, dlatego korzystając z wolnej chwili (hehe) pojechałem do Jelling...

Stoją tu dwie kamienne stelle runiczne z X wieku. Mniejsza, którą duński król Gorm Stary wystawił jako nagrobek swej żony Tyry około 955 roku oraz większa, z roku 965, postawiona na polecenie jego syna, Haralda Sinozębego. Ta druga, na której wyobrażony jest m.in. Jezus Chrystus (to najstarszy wizerunek Jezusa w Skandynawii), uważana jest za akt narodzin Danii (płaskorzeźba z tego kamienia znajduje się na okładce duńskiego paszportu).

Harald wystawił kamień, by, jak mówi wyrzeźbiona nań inskrypcja, uczcić pamięć swych rodziców, Gorma i Tyry, oraz ogłosić, że jest królem Danii i Nordii, i uczynić z Duńczyków chrześcijan. Można też powiedzieć, że aktem tym Harald zapoczątkował koniec ery Wikingów, choć jego następcy, Swen Widlobrody i Kanut Wielki poprowadzili jeszcze kolejne łupieżcze wyprawy na Anglię.

Proces jednoczenia Danii przez Haralda Sinozębego zaowocował jeszcze jedną ciekawostką. Otóż po duńsku przydomek króla zapisuje się jako Blåtand, zaś po angielsku: Bluetooth. Dlatego standard bezprzewodowego łączenia urządzeń, autorstwa amerykańskiego inżyniera Jima Kardacha, pracującego dla Intela, który był fascynatem historii Danii i Wikingów, nazywa się Bluetooth. Bo wzorem Haralda łączy, nie ziemie, a technologie. W logo Bluetootha umieszczone są dwie runy, odpowiadające literom „H" i „B", jak Harald Blåtand.

Stelle, chronione od 2011 roku – od kiedy 15-letni chłopak w spektrum autyzmu namalował sprayem na większej słowo „gelwane" – szklanymi gablotami stoją przed kościołem w Jelling, wzniesionym w XII wieku. Tam też warto zajrzeć, choćby po to, by obejrzeć freski z XI wieku i posłuchać pięknie grających organów. W pobliżu świątyni wznoszą się też dwa kurhany, prawdopodobnie Gorma i Tyry. Magiczne to doprawdy miejsce.

Wrócę się do Danii

I więcej już zobaczyć nie zdołałem. Zabrakło czasu na LEGO House, mieszczące się w centrum Billund, ni to muzeum, ni to laboratorium, gdzie na przeróżne budowle przeznaczono 25 mln klocków LEGO.

Nie dotarłem też do Sønderborg (dwie godziny jazdy autem od Billund), gdzie jest kamień upamiętniający przeprawę wojsk Stefana Czarnieckiego przez cieśninę Als. Polski wódz 14 grudnia 1658 roku, podczas II wojny północnej przeszedł z jazdą wody Bałtyku, by zaatakować ufortyfikowanych na wyspie Als Szwedów i wspomóc sojuszniczych Duńczyków. Manewr się powiódł, zaś powrót Czarnieckiego do Polski, by dalej walczyć, tym razem z Rosją, uwieczniony został w słowach polskiego hymnu: „dla ojczyzny ratowania wrócim się przez morze".

Wreszcie nie odwiedziłem też „Nawiedzonego Domu" w samym LEGOLANDIZIE. Nie wiem, jakim cudem mi umknął, ale to tysiąc pierwszy powód, by do Danii i Billund powrócić. Nie tyle dla ratowania ojczyzny, co z pobudek czysto osobistych. ●

Podcast „Poznajmy naszą Europę"

• **KRAJ Z MNÓSTWA KAWAŁKÓW Alicja Dąbrowska** rozmawia o Danii z **dr nauk prawnych Henryką Mościcką-Dendys,** szefową służby zagranicznej i dyrektorką generalną w MSZ, a w latach 2015-20 ambasador RP w Danii.

1 RP

eprasa.pl 97b7b16417

Żona mówiła pisz, póki jeszcze pamiętasz

Trzy różne listy. Do pierwszej miłości, do miłości, choć nie do żony i do pewnej lekarki, z którą miał romans medyczny (cokolwiek to znaczy). Jestem pod ogromnym wrażeniem „Listów niewysłanych – Opowiadań" – uwaga! – Marka Edelmana.



Jarosław Mikołajewski

Felieton z cyklu „Za pięć trzynasta"

Haniebnie umiera republika..., pisał Mario Luzi (tu w przekładzie Cezarego Geronia), wielki włoski poeta, ponad pół wieku temu. I dalej:

Haniebnie śledzą
Jej ostatnie cierpienia jej liczne kundle.
Haniebnie ostrzą dzioby w sąsiedniej komnacie.
Jej sieroty wdają się w haniebne bójki,
Haniebnie gryzą się między sobą jej szakale.
Wszystko się dzieje haniebnie, wszystko
prócz samej śmierci...

Może się zdarzyć, że z krótkiego dystansu, do człowieka zanurzonego w doraźności dojdzie tylko to: pejzaż hańby. Codzienne doniesienia o tym, że ktoś ukradł, ktoś skłamał i kłamie na co dzień, miga się od odpowiedzialności, szuka na prawo i lewo sojuszy, które przeczą rozumowi, historii i tożsamości, zdradzają małość – wszystko to sprawia, że wielu z nas odcina się od doraźnej rzeczywistości. Powtarza, że już nigdy nie zaufa, nie pójdzie na wybory...



• **Rok 1988. Marek Edelman z żoną Aliną Margolis na Cmentarzu Żydowskim w Warszawie**

FOT. ANNA BEATA BOHDZIEWICZ/REPORTER

Wystarczy jednak oddalić się o krok od zgiełku, żeby zobaczyć gdzie jest dobro, gdzie zło. Kto się stara, komu zależy, a kto dba tylko o to, żeby jego hańba wypadła w oczach świata na tyle dobrze, by móc powrócić na scenę w nowym przebraniu.

Do tego, by nabrać dystansu (nie tracąc obywatelskiego uczestnictwa), potrzeba czasem spotkania z mądrością i doświadczeniem. Mądrością płynącą z doświadczenia. Bywa, że jest to mądrość śmierci, która – jak pisze Mario Luzi – sama w sobie nigdy nie jest haniebna.

Hańba mogłaby dotknąć umierających, lecz zdarza się przecież, że ich udziałem jest przeciwieństwo hańby: godność. Honor pamięci, walki za sprawę z góry przegraną.

Zebrane listy o miłości

Przerażony codziennością, jestem też pod ogromnym wrażeniem „Listów niewysłanych – Opowiadań" – uwaga! – Marka Edelmana, opublikowanych dopiero co przez Austerię (2026).

„Był rok 1968, może 1969 – wspomina Aleksander Edelman. – Atmosfera w domu była ciężka. Ojca wtedy wyrzucili z pracy, ze szpitala im. Starlinga. Był przybity. Matka, zawsze aktywna, robiła mu dziurę w brzuchu, żeby pisał. Póki jeszcze pamięta. Ojciec odpowiadał i tak nikt tego nie wydrukuje..."

Joanna Szczęsna, która książkę podała do druku, napisała delikatne, krystaliczne posłowia do całości i do każdego utworu, wspomina, że o opowiadaniach Marka Edelmana dowiedziała się od jego żony, Aliny Margolis.

„Pisane były – relacjonuje jej słowa – w formie listów do trzech różnych kobiet. Adresatką pierwszego, rozgrywającego się głównie w getcie, uczynił swoją pierwszą miłość, Ryfkę Rozensztajn. Opowiadanie-list przedstawiało losy powstańców, którym udała się ucieczka na aryjską stronę, ale większość z nich zginęła.

Drugie opowiadanie było o miłości i nie było adresowane do mnie. Trzecie rozgrywało się w środowisku lekarskim, a jego adresatką była, jak tłumaczył się później żonie Marek, lekarka, z którą miał romans medyczny (Cokolwiek to znaczy dodała Alina)".

Ostatecznie adresy listów rozkładają się nieco inaczej.

Lekcja mądrości

Wybierając dla zanurzonych w rzeczywistości opowiadań formę listu, Marek Edelman był świadomy roli, jaką (powiedział to Joannie Szczęsnej) w literaturze odgrywa nastrój. To on pozostaje, kiedy zdarzenia zostaną opowiedziane, ludzie sportretowani. Jeżeli pisarzowi uda się go odtworzyć i przekazać, to właśnie on, nastrój, jest warstwą spotkania i porozumienia przywołanego świata z czytelnikami.

Te opowiadania są prawdziwym cudem i lekcją mądrości dla nas, którzy zapominamy co jest naprawdę ważne, jakie podziały i wspólnoty się liczą. Jakkolwiek to zabrzmi, kruche i niedługie „Listy niewysłane – Opowiadania" Marka Edelmana wdzierają się nieoczekiwanie do zestawu najważniejszych lektur naszej intymnej, literackiej i politycznej wspólnoty. A może – kto wie? – tylko dla wspólnoty podobnego odczuwania. ●



Marek Edelman **„Listy niewysłane – Opowiadania"**
Wydawnictwo Austeria 2026

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

DO 23 WRZEŚNIA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej"

na październik 2026 u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów

CENA 199,99 zł***
OSZCZĘDZISZ CO NAJMNIEJ 69 ZŁ



*Jedna z dwóch książek w prezencie

*Książka do odbioru od 16 października w punkcie sprzedaży. Wydawca nie gwarantuje możliwości wyboru tytułu. **Aby otrzymać dostęp do Klubowego pakietu prenumeraty Wyborcza.pl oraz do archiwum tekstów „Wyborczej": 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-16). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej.
***Cena sugerowana. Kwota oszczędności wynika z różnicy ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.

1 RP

eprasa.pl 97b7b16417

JESTEM CHORY NA POLSKĘ

Wytykane mi przez antysemitów moje żydowskie pochodzenie, **zamiast być dla mnie balastem, stało się źródłem mojej siły!**

Adam Michnik w rozmowie z Jarosławem Kurskim

Fragmenty z książki „Adam, syn Ozjasza”



• **Mały Adam Michnik z ojcem Ozjaszem Szechterem. „Szanowałem ojca, bo nigdy nie musiałem się go wstydzić. Odrzucił wszelkie pokusy władzy. Nie chciał robić kariery w komunistycznym aparacie”** FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

JAROSŁAW KURSKI: Skąd u ciebie Adam przeświadczenie o konieczności pokojowej walki? To wcale nie było oczywiste.
ADAM MICHNIK: Kształtowałem swoją polityczną dojrzałość na analizie tego, co się stało z sanacją. Przecież to byli wyjątkowi ludzie, którzy się angażowali w sposób równie nonkonformistyczny jak potem Jacek Kuroń czy Karol Modzelewski. Pisałem o tym trochę w *Cieniach zapomnianych przodków*.

Myślisz o Walerym Sławku? O Aleksandrze Prystorze? O Eugeniuszu Kwiatkowskim?
– O Piłsudskim przede wszystkim, o tych, którzy konspirowali, którzy w podziemiu drukowali „Robotnika”, którzy jak Tadeusz Hołówko działali w PPS-ie. To byli wspaniali ludzie, a potem bronili procesów brzeskich wymierzonych w posłów opozycji!

Wiedziałem, że przemoc rodzi przemoc. Co ważniejsze jeszcze – moje dojrzewanie polityczne to było doświadczenie z bolszewizmem. To była tradycja domowa. Musiałem sobie postawić pytanie, co się stało z moim ojcem, który jako dziewiętnastoletni człowiek wstąpił do kompartii i spędził za to osiem lat w więzieniu. Siedział z towarzyszami, którzy po wojnie zaangażowali się w służbę państwowego terroru, w zakłamanie, w oszustwa wyborcze, w pogardę dla godności ludzkiej. Doszedłem więc do wniosku, że dehumanizacja przeciwnika w istocie dehumanizuje mnie! Jeżeli ja nie potrafię myśleć o świecie bez nienawiści i nie potrafię jej przekroczyć, to sam jej ulegnę i sam siebie zdeprawuję.

Rozumiałeś, że status ofiary nie chroni przed tym, by samemu stać się oprawcą.
– Więcej nawet. Napisałem w jakimś tekście, że ci, którzy dziś burzą Bastylię, jutro będą budować własne Bastylie i zamykać w nich przeciwników. I nawet w mojej polemice z Traktatem o gnidach Piotra Wierzbickiego – Gnidy i anioły z 1979 roku, czyli napisanej jeszcze ho, ho przed wolnością – cytowałem legionową piosenkę:

Nie trzeba nam od was uznania
Ni waszych serc, ni waszych łez,
Przeminął już czas kołatania
Do waszych kies. J...ł was pies.

To w 1914 roku śpiewali młodzi legioniści z inteligenckich domów, którzy odłożyli kajety i chwycili za broń, ale społeczeństwo potraktowało ich zimno i nieufnie. Odpowiedzieli mu młodzieńczą pogardą. Niestety, tym samym tonem pogardy były później wydawane rozkazy uwięzienia przeciwników politycznych w twierdzy brzeskiej.

II RP miała swoich krytyków, swoich „trutni”, co to wypisywali jakieś Przedwiośnia i opowiadali o utopii szklanych domów.
Nie porównuję cię do Żeromskiego, ale ty też jesteś takim „trutniem”, co to się trzyma swoich racji, nie chce iść z duchem czasu, słowem – szargasz świętości, bronisz złej sprawy.
– Czego na przykład?

Ojej, Jana Pawła II, kardynała Stefana Wyszyńskiego, Lecha Wałęsy, Romana Polańskiego, Leszka Maleszki, Maszy Potockiej, Romana Giertycha, Leszka Moczulskiego, Kostka Niesiołowskiego – nie mówiąc już o komunistach: Urbanie, Jaruzelskim czy Kiszczaku. Z jednej strony Kościoła, z drugiej postkomunistów. A mnie jeszcze dodatkowo złości, że ty, będąc flekowany za kosmopolityzm i narodowy nihilizm, za „lżenie Polski”, ciągle bronisz Polski przed Polakami i wreszcie samych Polaków bronisz.
Doszedłem do wniosku, że ty, Adam, po prostu jesteś chory...
– ...tak, wiem. Jestem chory na Polskę, ale to nie jest taka zła choroba. Znam gorsze.

Ale to jednak nieustanna gorączka. Wiesz, że „żółć” to najbardziej polskie słowo? Składa się z typowo polskich liter, wszystkie ze znakami diakrytycznymi.
– Gdybym ja z Polską nie miał kłopotów, to nie byłbym tam, gdzie jestem. A jestem w dobrym miejscu. Udało mi się. Mam poczucie, że przeżyłem wielką przygodę, począwszy od Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności, przez „komandosów”, Marzec ’68, więzienie, KOR, „Solidarność”, drogę do wolnej Polski przez Okrągły Stół. A potem była przygoda z „Gazetą Wyborczą”.

No powiedz, komu jeszcze się tak udało? Spełniony jestem. Byłem w cieniu ludzi polskiej niepodległości, insurekcji, polskiej rewolucji i chciałem żyć na ich miarę – bezkompromisowo.

Nie potknąłem się. Nie zapomnę mojego listu do Kiszczaka i nieustępliwości w sprawie Jedenastki **(1)***. To dla mnie osobiście były zasadnicze momenty. Mam poczucie, że w kluczowych momentach, w więzieniu, zachowałem się jak trzeba.

A wiesz dlaczego? Między innymi dlatego, że gdybym wtedy przy sprawie Jedenastki pękł, wyszedł z celi i zaczął z komunistami negocjacje, tak jak tego chciał Episkopat, koledzy z KOR-u i z „Solidarności”, to ludzie by nie mówili, że „o, skurwysyny złamali naszego Adasia”. Mówiliby: „ten Żyd Michnik dał dupy”. I nagle się okazało, że wytykane mi przez antysemitów moje żydowskie pochodzenie, zamiast być dla mnie balastem, stało się źródłem mojej siły! **(...)**

Ojciec ci powtarzał, że póki za działalność dają wyroki sądowe, możesz być z tymi, którzy kroczą w pierwszej linii. Ale gdy zaczynają rozdawać posady rządowe, to trzymaj się od tego z daleka.
– Pod tym względem jestem nieodrodnym synem Ozjasza Szechtera. Aleksander Kwaśniewski proponował, bym został szefem jego kancelarii. Powiedziałem: „Olek, nie!”. Nie chciałem tego.

Byłbyś niemądry, gdybyś zamienił pozycję wpływowego redaktora naczelnego „Wyborczej” na pozycję urzędnika, nawet wysokiego szczebla.
– Nigdy nie robiłem nic koniunkturalnie. Jeżeli wyciągnąłem rękę do Jaruzelskiego, to niekoniunkturalnie, bo on wtedy nikim ważnym już nie był. Jeżeli występowałem w obronie Jana Pawła II, to niekoniunkturalnie, bo on już wtedy nie żył. Nie mógł mi się odwdzięczyć. Nigdy nie bałem się być w mniejszości i nigdy nie zabiegałem o jakiekolwiek przywileje dla siebie. To, co mi się udało w życiu najbardziej, to to, że nie wziąłem akcji Agory. Mam wrażenie, że mnie ludzie za to szanują. Nie stałem się multimilionerem, a i tak wystarcza mi do pierwszego.

Mam wspaniałe dzieci i Polska jest europejska, i wolna. I jeśliby jej się coś złego przydarzyło, to raczej dlatego, że zniszczą ją sami Polacy. Udało mi się i mogę już umierać.

Nie tak prędko, Adam! Umrzeć to łatwizna, a tu czeka robota. Chciałbym jeszcze pogadać. (...) Wiesz, jak to między ojcami a synami bywa. Jedni synowie naśladują ojców – chcą być tacy jak oni. Inni natomiast formują się w całkowitej wobec nich opozycji, na zasadzie: „prędzej umrę, niż będę taki jak on”. A jak z tobą było?
– U mnie jedno i drugie. Mój ojciec był z przełomu wieku XIX i XX. Wtedy rodziny były jeszcze dość autorytarne. Patriarchalne, można tak powiedzieć. I on taki był. Nie mógł się pogodzić, że ja myślę na własny rachunek. On już nie pamiętał, jak sam sprzeciwiał się swoim rodzicom. Twierdził, że tutaj, w domu, ma być tak, jak on chce. Na tym tle były konflikty. W ocenie spraw publicznych był integralnym demokratą, natomiast w domu dla bliskich był autorytarny. **(...)**

Bardzo szanowałem ojca, zwłaszcza za to, że nigdy nie musiałem się go wstydzić. Nie musiałem się tłumaczyć, że on był dygnitarzem w bezpiece, w propagandzie, w prokuraturze czy nie wiadomo gdzie – bo nie był. Odrzucił wszelkie pokusy władzy. Nie chciał robić kariery w komunistycznym aparacie.

Możliwości miał duże. Przed wojną był przecież komunistą wysokiego szczebla, zastępcą członka Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. No i osiem lat spędził w sanacyjnych więzieniach.
– Poza tym miał klasę i wymiar intelektualny. Jednak świadomie się od tego świata odsuwał coraz bardziej i bardziej, aż wylądował jako redaktor w Książce i Wiedzy, gdzie redagował Marksa. Krytycznie odnosił się do tych komunistów pochodzenia żydowskiego lub narodowości żydowskiej, którzy po wojnie włączyli się w aparat władzy. On nie miał wobec nich tolerancji. Myślę, że w tej sprawie rachował się sam ze sobą.

W naszych rozmowach często wspominałeś o ojcu. Dla mnie to postać ciekawa z dwóch powodów. Po pierwsze, z powodu środowiska, z którego się wywodził. Oto młody chłopak ucieka ze sztetla do wielkiego świata drogą pełną moralnych i egzystencjalnych pułapek, bo przez komunizm.
To dla mnie egzotyczne, ponieważ tradycja mojej młodości to Ruch Młodej Polski i spuścizna Romana Dmowskiego: Kościół, naród, państwo i tym podobne.
Drugi powód to ciekawość: jakie ojciec odcisnął na tobie piętno, słowem: co ty z niego wziąłeś? Zacznijmy od jego rodziny.
– Rodzina była bardzo liczna. Moja amerykańska bratowa policzyła tych, którzy zginęli w Holokauście. Wyszło jej osiemdziesiąt osób. Rodzice ojca to byli ubodzy i pobożni Żydzi. Rodzeństwo już różnie. Ale tylko ojciec wstąpił do partii komunistycznej, w wieku osiemnastu lat. A mając lat dwadzieścia jeden, wystąpił z gminy żydowskiej. To był absolutnie jego świadomy wybór. Natomiast jego bracia i siostry to byli Żydzi spolonizowani w tym sensie, że żyli w polskim otoczeniu, mówili po polsku, a do synagogi chodzili może trzy, cztery razy do roku. Jeden z braci dorobił się jakoś, miał kamienicę we Lwowie i kino. Gdy byłem we Lwowie, mówili mi znajomi: „pójdźmy w to miejsce, gdzie twój ojciec mieszkał”, a ja nie wiedziałem, gdzie on mieszkał. Żałuję bardzo, ale nigdy nie umiałem tego ulokować topograficznie.

A dlaczego przystąpił właśnie do komunistów?
– Komunizm był formą modernizacji. Mówimy o 1919 roku. Czytałeś Płomienie Stanisława Brzozowskiego? Pamiętasz, Michał Kaniowski nie był w stanie wytrzymać tej dusznej atmosfery dworku szlacheckiego. No to jak przeczytasz pod tym kątem Meira Ezofowicza Orzeszkowej, to

eprasa.pl 97b7b16417

jasne jest, że ci ludzie nie chcieli żyć w zaścianku żydowskim, konserwatywnym, nieciekawym, oderwanym od świata. A na świecie działy się rzeczy wielkie. Świat to była muzyka, malarstwo, Darwin, teoria ewolucji, socjologia, Spencer, rewolucja wolnościowa, przemysłowa i obyczajowa... A tu wszystko po staremu – jak czterysta lat wcześniej.

Chałka, solone jaja na twardo, życie według sztywnych reguł.
– Były różne sposoby wychodzenia ze sztetla. W Polsce istniał fenomen „czerwonej asymilacji", jak to nazwał Julian Stryjkowski w jednej ze swoich książek. Kiedy nie było jeszcze komunizmu, miałeś socjalizm i PPS: Herman Lieberman, Feliks Perl, rodzina Grossów, Stanisław Mendelson. Jeszcze we wspomnieniach Michała Sokolnickiego, sekretarza Józefa Piłsudskiego, jest taka scena z 1905 roku: on stoi na placu i widzi, że ten rewolucyjny plac jest czarny od Żydów. Wtedy w nim się budzi taki, dziś powiedzielibyśmy: antysemicki odruch. To samo miałeś w rosyjskim ruchu rewolucyjnym.

Wśród ludzi bardziej zamożnych to szło trochę inaczej. U Kronenbergów, Wawelbergów szło przez konwersje na ogół na protestantyzm, rzadziej na katolicyzm, ale także przez udział w formacjach liberalnych, mieszczańskich. (...)

Czy wystąpienie twojego ojca z gminy oznaczało zerwanie z rodziną?
– Trochę tak. Dziadkowie byli już starzy. Jak to zwykle w żydowskich rodzinach – rozpacz, że zszedł na złą drogę. Ale babcia go kochała. Gdy siedział w więzieniu, szykowała mu wałówki. Dziadkowie to nie byli polityczni ludzie. Dziadek był rzezakiem. Żyli według religijnego kalendarza. Więc to zerwanie nie miało żadnego wymiaru politycznego. Ojciec ich odwiedzał. Tam może nie było jakichś wielkich więzi, ale moja matka mi mówiła, że znała rodziców ojca. Dla nich wszystko było nie tak, bo rodzice żyli bez ślubu, nie chodzili do synagogi, nie wierzyli w Boga.

A jak to było z wykształceniem twego ojca?
– Był właściwie samoukiem. Inteligentem stał się przez komunizm. Skończył szkołę, zdał maturę, przez rok studiował chemię w Wiedniu, potem wrócił i już został zawodowym rewolucjonistą.

Czy ojciec uważał się za przedstawiciela żydowskiego proletariatu?
– Proletariatu nie. On się uważał za członka przedwojennej kompartii, który wielokrotnie spotykał się z antysemityzmem w Polsce. On antysemityzmu nigdy nie demonizował, ale też nigdy go nie przemilczał. Bo to jest problem, który my też mamy. **(...)**

14 kwietnia 1934 roku twój ojciec za działalność w Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy został skazany przez sąd okręgowy w Łucku na osiem lat więzienia.

Po latach Piotr Gontarczyk w monografii Marzec 1968 w dokumentach MSW wydanej przez IPN w przypisie od wydawcy do twojego nazwiska zamieścił „informację", że Ozjasz Szechter został w 1934 roku aresztowany i skazany za szpiegostwo na rzecz ZSRR.

Wywód był taki, że partia komunistyczna to była partia agenturalna, że głosiła unicestwienie państwa polskiego i realizowała polecenia Moskwy.
– Jeśli spojrzeć na to z historycznego punktu widzenia, to Gontarczyk miał prawo tak to zinterpretować. Rzeczywiście ta formacja głosiła tezę, że potrzebna jest jedna światowa wspólnota, gdzie ani narody, ani granice, ani państwa, ani historia nie mają znaczenia. To oczywiście były wszystko utopijne bajki, ale w praktyce oznaczało unicestwienie poszczególnych państw, co stało się z Litwą, Łotwą, Estonią i tak dalej.

W tym znaczeniu ta teza dawałaby się obronić. Ale w ten sposób unieważnia się cały wielki spór epoki. Przecież projekt socjalizmu to nie był projekt CzeKa czy KGB. To był projekt światowej lewicy. To był zły projekt. On się nie sprawdził. Wyrządził masę krzywd, dopuścił się okrucieństw.

Niemniej to był temat debaty. O to spierały się najwybitniejsze umysły tamtego czasu. I nagle sprowadzanie tego wszystkiego do roli szpiega, który rzekomo za pieniądze służy obcemu państwu, jest po prostu nikczemne. A w tym konkretnym przypadku to nawet nie chodziło o ojca, tylko o mnie. Chodziło o to, by powiedzieć, że jestem synem sowieckiego szpiega. A ojciec szpiegiem po prostu nie był. **(...)**

Wobec tych oczywistych faktów wytoczyłeś Gontarczykowi proces, który jednak w pierwszej instancji przegrałeś. Ostatecznie wygrałeś w drugiej. Piotr Gontarczyk wykonał wyrok sądu i przeprosił cię na łamach „Rzeczpospolitej". Potem w książce Nowe kłopoty z historią sam z siebie przyznał, że informacja dotycząca Szechtera „okazała się niedokładna".
– Bo Ozjasz Szechter nie był aresztowany ani skazany za szpiegostwo. Czym innym była przynależność do partii komunistycznej, co można oceniać bardzo krytycznie. Przyznaję, że z punktu widzenia obrońców II RP i jej integralności to mogło być interpretowane jako praca na rzecz obcego państwa, niemniej on szpiegiem nie był. On nie zbierał szpiegowskich informacji i nie przekazywał ich do Moskwy. Oprócz KPZU funkcjonowała oczywiście jakaś sowiecka siatka szpiegowska, ale ojciec nie miał z nią nic wspólnego. Mówiąc krótko, nie za to został skazany w Łucku. **(...)**

Co ojciec opowiadał o więzieniu po procesie łuckim?
– Niewiele. **(...)** Raz tylko opowiedział mi taką historię. Po wojnie wezwali go do Edwarda Ochaba i powiedzieli: „Nasze organa aresztowały jednego z tych policjantów, którzy was torturowali w Łucku. Chodzi o to, żebyście, towarzyszu Szechter, złożyli zeznanie, jak to tam w Łucku było, bo on ma zarzut z artykułu o faszyzacji Polski. Należał do reakcyjnych band".

Ojciec odmówił, tłumacząc po krętacku: „Wiecie, towarzysze, nie pamiętam tych nazwisk, mogę powiedzieć nieprawdę, będzie z tego więcej skandalu niż pożytku". W ojcu nie było mściwości, żądzy odwetu. A potem opowiedział mi, jak go bił ten policjant. Okrutnie, jakimś drągiem w krocze, i co jakiś czas do niego wykrzykiwał: „A masz, za moje rozbite jaja w GPU!". To był facet, który trafił do sowieckiego więzienia i tak go tam katowali, że do końca życia wiedział, że z bolszewikami trzeba wojować i mścić się na nich.

Czy to w więzieniu rozstał się z sowieckim komunizmem?
– Tak, jeszcze w więzieniu, w 1936 roku. Dlaczego on przestał wierzyć bolszewikom? Gdy przyszły wielkie procesy moskiewskie **(2)***, to on czytał w gazetach, że Kamieniew, Zinowiew, Bucharin, Tomski, Rykow podkładali bomby, organizowali zamachy, zatruwali studnie, byli japońskimi i niemieckimi szpiegami, że się do wszystkiego przyznali i domagali się dla siebie kary śmierci... No to albo-albo. Albo to jest prawda, co by znaczyło, że ci wszyscy „szpiedzy" rządzili Związkiem Sowieckim tyle lat. Świadczyłoby to, że ten system jest zgniły i zdegenerowany.

Albo oni mówią nieprawdę, a mimo to przyznają się do winy, a to oznacza, że jest jeszcze bardziej tragicznie. On wątpliwości żadnych nie miał. Tak jak nie wierzył, że całe KPP to agentura była. Mógł być jeden agent. Piłsudski miał swoich ludzi w różnych stronnictwach, mógł być drugi agent... Ale wszyscy? Adolf Warski „Warszawski", Maria Koszutska „Kostrzewa", Maksymilian Horwitz „Walecki", Julian Leszczyński „Leński", całe kierownictwo? Wszyscy? Wszyscy to agenci Dwójki? To przecież nonsens.

Ojciec mi powtarzał: „Zawsze próbuj spojrzeć na świat okiem swego adwersarza, spójrz przez jego okulary, włóż jego buty"

Co za paradoks. Ozjasz Szechter przeżył dzięki temu, że siedział w polskim więzieniu, w Łucku. W przeciwnym razie wezwano by go do Moskwy i z pewnością rozwalono w ramach wielkiej czystki i rozprawy z KPP i KPZU.
– Tak, przeżył dzięki więzieniu, jak Alfred Lampe, jak matka Janka Lityńskiego. Wszystkich jego znajomych z KPZU sprzed wojny Stalin wymordował .

W „Gazecie Wyborczej" tak pisałeś w jego obronie. Jak na twą powściągliwość w wyrażaniu uczuć, to przejmujące jest.

„Mój ojciec nie był sowieckim szpiegiem. W latach II RP był członkiem nielegalnej partii komunistycznej. Z tego tytułu był wielokrotnie więziony – w sumie spędził osiem lat w więzieniach. Podczas śledztwa poprzedzającego głośny proces łucki był torturowany w sposób okrutny.

Kochałem i szanowałem mojego ojca. W latach mojego zaangażowania w działania opozycji demokratycznej (1963-82) był on dla mnie wsparciem i przyjacielem. Zmarł w sierpniu 1982 r., gdy siedziałem w ośrodku dla internowanych w Białołęce.

Przed dwoma laty nieznani sprawcy zbezcześcili jego grób na Cmentarzu Powązkowskim. Po tym inni, znani już sprawcy, zbezcześcili jego pamięć. Instytut Pamięci Narodowej dopuścił się kłamstwa. Obronę godności mojego ojca uważam za swój – syna – obowiązek. Nie chcę i nie mogę przejść do porządku dziennego nad nikczemnym pozbawianiem go dobrego imienia.

Nie umiałem mu pomóc, gdy umierał; nie pozwolę go zniesławiać, gdy nie żyje i nie może się bronić.

Ojciec nie spisał – niestety – swoich pamiętników. Swoistego rachunku sumienia dokonał wiosną 1977 roku w liście do Komitetu Obrony Robotników. **(...)**

– Ojciec w tym liście do KOR jest bardzo szczery, a że był człowiekiem zasad, to był dla siebie nazbyt surowy. On rzeczywiście milczał, ale wtedy prawie wszyscy milczeli. Cały kraj milczał. On najpierw głośno opowiadał się za destalinizacją, za Gomułką. Wtedy wybrali go do egzekutywy organizacji partyjnej w Książce i Wiedzy, występował na partyjnych zebraniach w duchu Października, ale szybko spostrzegł, że Gomułka kieruje partię na stare tory, że schodzi z reformatorskiego kursu. Wtedy rzeczywiście zamknął się w sobie.

Jest tutaj powrót do nadziei jego młodości, że „lud wkroczy do śródmieścia". Myśmy wszyscy w to wierzyli, albo chcieliśmy wierzyć. Ale im dłużej żyję, tym bardziej wiem, że lud, a raczej klasa robotnicza, o której ojciec mówi z takim patosem, nie jest żadnym remedium na zło. Środowiska robotnicze mogą rodzić zarówno wolność, jak i zniewolenie.

I to nie jest przypadek, że wielka część niemieckiej klasy robotniczej, często związana z Komunistyczną Partią Niemiec, przeszła w latach trzydziestych na stronę NSDAP.

Obserwowałem uważnie „Solidarność". Tam było wszystko. I to, co w Polsce najlepsze – i to na szczęście było najbardziej widoczne – i to, co najgorsze, nikczemne i zdegenerowane. To przebijało w tych akcentach antysemickich na jesieni roku 1981.

Była frakcja prawdziwych Polaków.
– To w Warszawie. Marian Jurczyk mówił, że rządzą nami ukryci Żydzi, którzy pozmieniali nazwiska na polskie. Kompletny nonsens. I to wszystko było autentyczne. To nie jest przypadek, że dzisiaj ta wielka część naszego społeczeństwa opowiada się za PiS-em. To też jest polskie DNA. Polskie DNA to i targowica, i bunt wobec niej. I Szczęsny Potocki, i Kościuszko. Jedno i drugie. **(...)**

Wracam do listu twego ojca do KOR-u. Ozjasz Szechter wyznał, że jego milczenie wobec nieprawości w PRL-u to był błąd, że to było za mało jak na protest.
– Na tym polegał spór między nami. Ojciec uważał, że tutaj żaden sprzeciw nie ma szansy, żadna polityczna opozycja wobec reżimu nie ma sensu. Bał się o mnie. Namawiał do wyjazdu. Tłumaczył, że dla Polski będę mógł więcej zrobić, będąc za granicą, niż tutaj, gdzie mnie po prostu zabiją. Wtedy mu nie wierzyłem, uważałem, że wyolbrzymia zagrożenie.

Ale okazało się, że ojciec miał rację. Z archiwalnych dokumentów otwartych po 1989 roku wynika, że dwukrotnie bezpieka planowała zamach na twoje życie.
– Ojciec chciał, żebym wyjechał do Ameryki. Ale potem przyznał mi rację, że aktywny opór ma sens. I że to pokazał właśnie KOR. Dlatego sam później pojawił się na proteście w Kościele Świętego Marcina.

Jednoznacznie i absolutnie zidentyfikował się z opozycją.

Ja też w sumie rozumowo nie uważałem, że opór ma sens, że możemy zwyciężyć. Powtarzałem tylko za Konwickim, który w usta Traugutta włożył takie słowa: „Nie wiem, czy był sens. Wiem, że był mus"**(3)***. Trzeba było się sprzeciwiać, bo jest kłamstwo, bo jest przemoc.

Ten gen niezgody jest częsty u młodych ludzi radykalnie i altruistycznie nastawionych do świata. Był też u twojego ojca po tej strasznej pierwszej wojnie, która przyniosła tylko śmierć i nędzę milionom ludzi. Był i u ciebie.
– Ojciec mi powtarzał, żebym nigdy nie wierzył, że posiadłem całą prawdę: „Zawsze próbuj spojrzeć na świat okiem swego adwersarza, siądź za jego biurkiem, spójrz przez jego okulary, włóż jego buty".

Powtórzę, bo to było jego credo: póki dają za to wyroki sądowe, możesz być z tymi, co kroczą w pierwszej linii; jak zaczynają rozdawać posady rządowe, trzymaj się od tego z daleka. Każda władza deprawuje, ale władza absolutna deprawuje absolutnie – powtarzał za lordem Actonem.

Dlatego z wielką nieufnością odnoszę się do tych wszystkich, którzy czują się posiadaczami prawdy absolutnej i wierzą, że potrafią zbudować świat bezgrzeszny i doskonały. ●

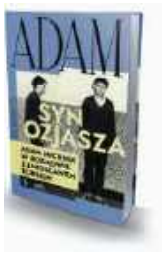
(1)* Chodzi o jedenastu dysydentów, których władze PRL-u w 1983 i 1984 roku wciąż więziły, mimo lipcowej amnestii. Tymi przywódcami „Solidarności" i KOR-u, oskarżonymi o rzekome usiłowanie „obalenie przemocą ustroju", byli: Andrzej Gwiazda, Seweryn Jaworski, Marian Jurczyk, Karol Modzelewski, Grzegorz Palka, Andrzej Rozpłochowski, Jan Rulewski, Jacek Kuroń, Zbigniew Romaszewski, Henryk Wujec i Adam Michnik. To właśnie Michnik 12 grudnia 1983 roku listownie odmówił ministrowi spraw wewnętrznych generałowi Kiszczakowi emigracji na Zachód, którą to władze oferowały całej Jedenastce, aby pozbyć się w ten sposób „wichrzycieli" z kraju.

(2)* Specyfika stalinowskich procesów moskiewskich (1936–1938) polegała na wykorzystywaniu sądów jako narzędzia do fizycznej eliminacji opozycji politycznej i zastraszania społeczeństwa poprzez wymuszone torturami i szantażem zeznania. Eliminacja starej gwardii miała charakter publiczny, nosiła pozór praworządności; wyroki były jednak z góry ustalone i natychmiast po procesie wykonywane, na ogół przez rozstrzelanie.

(3)* T. Konwicki, Kompleks polski, Warszawa 2010.

„Adam, syn Ozjasza"
Adam Michnik
w rozmowie
z Jarosławem Kurskim

Wydawnictwo
Agora 2026

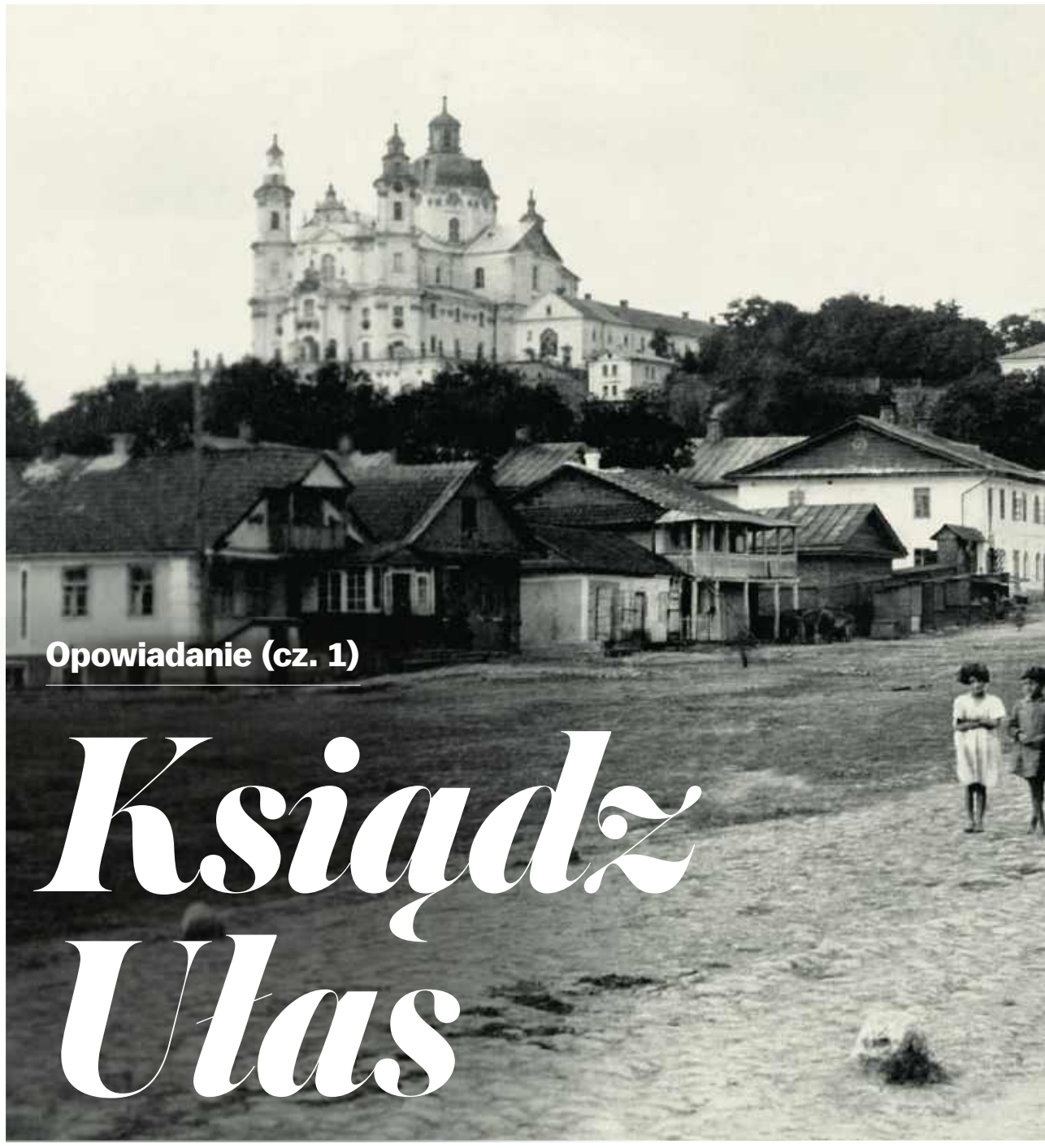


Premiera książki
23 września

eprasa.pl 97b7b16417

POLECA

ADAM MICHNIK



Opowiadanie (cz. 1)

Książ Ulas

O POLAKACH I UKRAIŃCACH

Można było urządzić na Śląsku szumne obchody na cześć dziesięcioletniego urzędowania pana wojewody? **To czemuż by miasto na Wołyniu nie miało urządzić choćby odpustu na dwóchsetlecie swej cerkwi?**

Ksawery Pruszyński *

Poznałem go na początku roku akademickiego 1929 albo 1930, na pewno nie później, bo potem opuściłem już Kraków. Było to w piętrowym, niewysokim domu, który stał – a może i dotąd stoi – na samym środku targowego, źle brukowanego placu, noszącego po krakowsku uroczystą nazwę „imienia Jabłonowskich".

Niewysoki dom należał do magistratu i na parterze mieściły się jakieś wyższe instancje rzeźni miejskiej, lokalna komisja poborowa i jakiś trzeci urząd, także w tym rodzaju. Wszystkie one przeciągały swe zajęcia co najwyżej do trzeciej po południu, po czym zamykały biura na wszystkie możliwe spusty, sztaby żelazne i kłódki.

Było to niezawodnie nawykiem jeszcze z owych archaicznych austriackich czasów, kiedy Kraków w tej stronie miasta kończył się na granicy Plant, a Wenecja, Wolska, Garncarska, nie mówiąc już o Błoniach i Salwatorze, stawały się z nastaniem mroku jakimiś Dzikimi Polami, na których harcowała bezkarnie dzika Krowodrza i niepokojące samą swą nazwą Półwsie Zwierzynieckie.

Tamte czasy, oczywiście, dawno minęły, „Dzikie Pola" skolonizowano alejami Trzech Wieszczów; miasto całą nową dzielnicą odpierało już Błonia od Rudawy. Nawet za sam Park Krakowski wyrzuciło, jak nowy Barbakan, grupy nowoczesnych will. Ale biurokracja wolnego stołecznego miasta umiała szanować tradycje, toteż lokale urzędowe w domu na placu Jabłonowskich zamykano dalej na wszystkie sztaby, kłódki i zastawki, jakie tylko były. Po czym, jeśli było niedługo po pierwszym, to wszyscy, a jeśli dłużej, to tylko niektórzy pospieszali do szynków, i to znowu wedle stanu: jedni do Wencla, drudzy do baru „Żywiec", inni na róg Straszewskiego, po prostu do Goldmana. I dom zostawał pusty.

Tak samo jednak jak parter domu na Jabłonowskich żył tylko pierwszą połową dnia, tak piętro żyło drugą. Piętro liczyło sobie parę dużych pokoi, nie tak jednak dużych i nie tak nowoczesnych, aby móc służyć za mieszkanie w mieście, gdzie czynsze były niskie, a nowych domów sporo.

Magistrat miał zresztą złe doświadczenie jako kamienicznik, albowiem krakowianie byli zdania, że komu jak komu, ale magistratowi nie powinno się płacić komornego, wprost nie wypada. Zawsze trzeba było dopiero na drodze sądowej prostować te mylne poglądy. Toteż z mieszkaniem na piętrze nie chciano mieć kłopotów i po prostu oddano je za darmo – byle tylko za elektryczność płacili – Akademickiemu Kołu Kresowemu.

Akademickie Koło Kresowe zaś było całkiem osobnym rozdziałem krakowskiego życia. Należeli do niego ludzie urodzeni na ziemiach, których zachodnią granicę stanowił Bug i Zbrucz, wschodnia zaś ginęła gdzieś we mgle globu. To jedno można było ustalić, że obejmowały one nie tylko Irkuck i Tobolsk, ale nawet Harbin.
Był czas, gdy chciano nawet przekonać delikatnie harbińczyków, iż skoro jest ich w Krakowie aż kilkunastu, mogliby zawiązać własne koło, mieć prezesa, skarbnika, zarząd, może nawet własną stołówkę z potrawami chińsko-polskimi?

Ale harbinianie nie odznaczali się zbytnimi ambicjami do samostanowienia i tłumaczyli nam uparcie, że między nimi, z Harbina, a tymi urodzonymi w Wilnie, Mińsku, Równem, Kijowie, Ałcie, Moskwie – nie ma właściwie różnicy, że różnica pojawia się dopiero tam, gdzie naraz znika drewniana cerkiew, kabłąk „dugi" zgięty nad karkiem końskim i krupna kutia, ugniatana z makiem i miodem w poranek wigilijny. Oto właściwe słupy graniczne.

Teoria ta wydawała się nam wtedy pozbawiona naukowych podstaw. Na uniwersytecie bierze się jeszcze naukę bardzo na serio. Dziś nie wiem, czy harbinianie nie mieli trochę racji.

Liczebnie biorąc, Akademickie Koło Kresowe nie mogło iść w zawody z takim Kołem Śląskim, ba, nawet z Rzeszowskim czy Tarnowskim. Już także zakopiańczycy stanowili poważną konkurencję. Ale swym zasięgiem terytorialnym biło wszystkich, albowiem włączało bez pardonu cały Związek Radziecki, część Chin, część Persji, całą Turcję, Afganistan, Bombaj, a nawet japońską część Sachalinu. Wszędzie tam lat temu dwa czy trzy dziesiątki stały kolebki tych ludzi, toteż ciągnął ich jakiś żywy sentyment do owych stron, z którymi najczęściej rozstali się na zawsze. A przynajmniej do wspomnień stamtąd i ludzi stamtąd.

Sentyment ten nie miał w sobie żadnego politycznego zabarwienia. Akademickie Koło Kresowe nigdy i w niczym nie przyczyniło się do zmącenia stosunków polsko-perskich, polsko-chińskich, polsko-tureckich czy polsko-sowieckich. Panowała tu raczej wspaniała tolerancja sympatyj. Świadczyła już o tym tablica Koła, na której pojawiały się tuż przy sobie następujące ogłoszenia:

„Kto zabrał – zapewne przez pomyłkę – drugi tom Szołochowa »Tichij Don«, zechce... itd."

„W piątek siódmego w sali Muzeum Rzemieślniczego odbędzie się staraniem »Proświty« akademia ku czci głównego atamana Semena Petlury..."

„Członkowie Koła proszeni są na odczyt prof. dra W. Lednickiego: »Nowa Rosja w literaturze sowieckiej«".

„Sekretariat obwodowy Obozu Wielkiej Polski zawiadamia, że broszura dra Klaudiusza Hrabika: »Ukraińców stworzył Berlin«, jest do nabycia dla członków i sympatyków".

Na stole pingpongowym, gdzie przedstawiciel Krymu łupił niemiłosiernie reprezentację Polesia i który, jak wieść niosła, posłużył kiedyś jednemu z członków zarządu do ćwiczeń seksualnych z pewną sercową pacunelką spod Wodoktów, leżały zgodnie i przykładnie monarchistyczne „Słowo" i komunistyczny „Miesięcznik Literacki", klerykalny „Głos Narodu" i Boyowskie „Wiadomości Literackie", ukraińskie „Diło" i warszawski rosyjski „Miecz".

Towarzysko biorąc, koło było tak samo mieszane. Syn magnata spod Białocerkwi był sekretarzem w zarządzie, w którym syn ekonoma jego papy zaszczytnie prezesował, córka carskiego dygnitarza urzędowała na tańcówkach w bufecie wespół z córką biednego warszawskiego kolejarza, którego los rzucił do Orenburga i tam skojarzył małżeństwem z jakąś miejscową Głafirą, Sonieczką czy Lubaszą.

Ach, tak, tańcówki! Zapewne, bal górników na świętą Barbarę był świetniejszy, bal snobistycznej korporacji „Corolla" (zawsze w gościnnej „Floriance") – bardziej szykowny, ale proste tańcówki sobotnie na Jabłonowskich były jednak najlepsze. Nigdzie też tak nie tańczono mazura, kujawiaka i krakowiaka. Miano je zresztą wszystkie w niejakiej pogardzie; narodowym bowiem tańcem koła był ukraiński kozak.

Tu jednak los ciężko pokarał kresową kolonię, gdyż okazało się, że kozaka najlepiej tańczy w Krakowie pe-

eprasa.pl 97b7b16417



• **Poczajów. Dawne polskie Kresy, obecnie miasto na Ukrainie. Widok na Ławrę (prawosławny klasztor) Zaśnięcia Matki Bożej. Kartka pocztowa wysłana w 1936 r.**
FOT. RADEK JAWORSKI / FORUM

wien rodowity... Ślązak z czeskiego Cieszyna. Był to wielki despekt, zwłaszcza dla synów Zaporoża, ale tak było. W dodatku ów Ślązak poświęcał znacznie więcej czasu choreografii ukraińskiej niż prawu rzymskiemu, toteż studiował każdy rok po dwa lata i przy każdej sposobności uświadamiał potomków Siczy, że aby tańczyć kozaka, jak należy, trzeba być rodem z Zaolzia. Na szczęście miał wuja i wuj dał mu wreszcie jakąś posadę, wobec czego poniechał i studiów, i występów. Koło odetchnęło.

Na parę lat przed tym wydarzeniem, pewnego wczesnego popołudnia zjawił się w Kole dość osobliwy gość. Był ubrany w szeroką sutannę, inną niż katolickie, i pomimo młodego, całkiem młodego wieku puszczała mu się już broda.

Wszedł dość zakłopotany, wymamrotał jakieś niewyraźne pozdrowienie, po czym upewnił się, już wyraźniej, czy jest to istotnie Akademickie Koło Kresowe.

Polszczyzna jego była poprawna, może zanadto poprawna; lśniła gramatyką, niczym drzwi świeżo malowane, błyszczące nieobeschłą farbą. Lepiej być dalej od takich drzwi – i lepiej nie poddawać takiej polszczyzny zbyt szczegółowym badaniom.

Polszczyzna zresztą utknęła sama na tym pierwszym pytaniu i może tkwiłaby tu długo, gdyby znad partii szachów w kącie nie padło naraz znacznie swobodniejsze zapytanie:

– Batiuszka!! A wy zwitki?!

Olśniło nas. Tak, oczywiście, batiuszka. Jasne, że „batiuszka”! Jakeśmy mogli nie domyślić się od razu! Wstyd doprawdy! Ale też skąd naraz w Krakowie prawosławny, ruski pop? Tego jednego jeszcze nawet w Akademickim Kole Kresowym nie było. Katoliccy owszem. Jeden z byłych prezesów Koła sam nałożył sutannę. Ale przedstawicieli cerkwi nie było ani u nas, ani w całym Krakowie.

Gdyby batiuszka lepiej znał finezje polskiej mowy, znał samego mówiącego i ton jego głosu, odczułby zapewne ową ironię, zatrącającą i wyższością, i prawie pogardą, jaka istniała nieraz na tamtych ziemiach – nie tylko u katolików zresztą - w odniesieniu do prawosławnego duchowieństwa. Ale batiuszka może nie rozumiał, może też uradował go sam dźwięk mowy swojskiej w tym bardzo obcym mieście.

Przeto odpowiedział, siląc się na polski, ale wpadając w ten swój rodzinny, co i jak, i czemu. Dowiedzieliśmy się po chwili, że jest synem popa z Deraźnego, że jego ojciec proboszczował „za cara” w Połonnem, potem w Braiłowie, wreszcie w Nowomalinie...

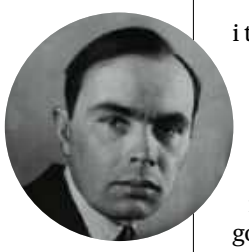
– To tam u was, w Braiłowie, Chrystusowi w kościele włosy rosły? – wtrącił ten od szachów.

Batiuszka się nie stropił:

– Prawosławnemu nie rosły. To w katolickim kościele braiłowskim ten Chrystus stał...

Rzecz jasna, że Deraźne, Braiłów, Połonne, nawet sam Nowomalin niewiele mówią komukolwiek na szerokim polskim świecie. Ale ludzie wysiadujący popołudniami w owym domu na placu Jabłonowskich znali to wszystko albo sami, albo z dziesiątka opowiadań.

Byli tacy, co jeszcze w dzieciństwie zajadali się znakomitymi lodami, jakie w Połonnem (za kordonem) sprzedawała Żydówka Chaja Czarnomorska! Cóż to były za lody! Ponoć z przepisów francuskich, które emigranci burbońscy, po 1789 roku w Dubnie osiadli, na Wołyń przynieśli. Inni pytali o Czecha, właściciela browaru w Deraźnem, inni o Dowgiałłów z Nowomalina, o sąsiedni Mizocz, o Dermań, o to, czy żyje właścicielka Hotelu Bona w Krzemieńcu, i o coraz to inne, takie właśnie, bardzo istotne sprawy.



FOT. PAP/CAF-REPRODUKCJA

*Ksawery Pruszyński

• 1907-50, prozaik, publicysta, reporter. Był korespondentem z wojny domowej w Hiszpanii. Po kampanii wrześniowej 1939 r. w formacjach polskich na Zachodzie, uczestnik bitew o Narwik (1940) i pod Falaise (1944). Dyplomata rządu polskiego na emigracji. Po wojnie wrócił do Polski, pracował w służbie dyplomatycznej. Zginął w wypadku samochodowym 13 czerwca 1950 r. Autor reportaży, powieści „Droga wiodła przez Narwik”, opowiadań („Trzynaście opowieści”, „Karabela z Meschedu”), publicystyki, esejów historycznych.

• Utwór „Ksiądz Ułas” za: Pruszyński, „Opowiadania”, PIW, Warszawa 1998. Po raz pierwszy ukazał się on w czerwcu 1944 r. w londyńskim miesięczniku emigracyjnym „Nowa Polska”.

Niezgrabne słowa polskie i swojskie ukraińskie księdza z Wołynia, głęboki głos, uśmiech szeroki, łagodny, smętnawy, ruchy niezdarne: oto były narzędzia, którymi otwierał każdemu z nas sezam naszego dzieciństwa

Zrobił się wieczór, naszło dużo ludzi, ale nie było tego dnia ani ping-ponga, ani bilardu. Był tylko wieczór wołyński. We wspólnocie narodów Koła Wołynianie nie stanowili ani tak hucznej wspólnoty jak sąsiedzi z Naddnieprza, ani tak zwartej jak wilnianie, ani tak ruchliwej jak skośnooki Harbin. Byli ciężcy, powolni, sentymentalni pod pozorami szorstkości.

Ale na ów dzień odsunęli wszystkich i wszyscy zgodnie omawiali lody u Czarnomorskiej, wadliwą restaurację monastyru w Dermaniu, dobre serce Paraski, ciotkę Dowgiałłów, belfrów z Równego i tańcówki w Ostrogu. Obojętne, czy znali, czy nie znali; bo czyż to nie to samo? Wszędzie przecież było w tym kraju tak jak z tą Paraską, z tą cerkwią, z tym Szomszteinem, Trochimem, stawem w Matwijowcach i szkołą w Korcu. Pnącza wspomnień rozeszły się owego wieczoru szeroko i wcisnęły w najciaśniejsze szczeliny pamięci.

I może by nigdy tak nie było, gdyby nie ten dziwny gość. On to wszystko sprawił. Jak i czym? Jego niezgrabne słowa polskie i swojskie ukraińskie, jego głęboki, męski głos, jego uśmiech szeroki, łagodny, smętnawy, ruchy po popsku niezdarne. Oto były narzędzia czy też środki, którymi otwierał każdemu z nas sezam naszego dzieciństwa.

Gdy siedział, widać było spod sutanny nie jakieś czarne, starannie wyczyszczone trzewiki, jak u naszych znajomków z seminarium duchownego w Alejach. Nie. Spod zbyt szerokiej sutanny wyglądały wtedy szerokie, silne buciory z chropawej skóry, prawdziwe buty. Tak, buty. Widziało się od razu batiuszkę, jak w takich butach, tyle że podkasawszy sutannę, brnie jesienią czy wiosną przez tłuste, przepastne błoto wołyńskiej wsi.

Te buty właśnie, uśmiech, głos i akcent dodawały smaku opowieściom. Zdawało się naraz, że buchają rodzime zapachy i cerkiewny ładan, chleb razowy dymiący jeszcze po rozkrojeniu nożem, ostra machorka i zmysłowy zapach stajni letnim wieczorem.

To wszystko i wiele innych rzeczy wyczarował samym swym zjawieniem się zabłąkany w Krakowie pop wołyński.

Tak się stało, że obowiązek wprowadzania krajana w egzotyczny dlań Kraków spadł na mnie. Ojciec Ułas – takie miał imię i takeśmy go zwali – obszedł już wprawdzie jako tako Kraków. Ale zrobił to, zdaje się, z nieśmiałością wiejskiego prostaka i trzeba mu to było szybko z głowy wybić.

Trzeba było, aby dostrzegł szczątki ruskich malowań ściennych w kaplicy kijowskiej księżniczki Sonki, ostatniej, najbardziej frywolnej i najbardziej płodnej małżonki Władysława Jagiełły. Trzeba mu było pokazać wspaniały Matejkowski ikonostas w cerkwi unickiej przy Plantach i groźnego „Wernyhorę” w Muzeum Narodowym nad Sukiennicami, z Kozakiem, Lachem, popem i chłopakiem, zasłuchanymi w groźne słowa stepowego proroka. Ale nie wiem, czy „Trójka” Chełmońskiego, rozpędzona w galopie przez błotne wyboje, nie wydała mu się bliższa i bardziej swojska.

Potem widział na starych rycinach Wawel średniowieczny, jeszcze nietknięty przez Włochów, gdzie zamiast barokowych hełmów rozpinały się na jego wieżach krągłe, jak cerkiewne, kopuły, gdzie jeszcze było w nim mniej z Florencji, a za to więcej z Kijowa. Potem widział przywileje królewskie pisane w mowie białoruskiej oraz, dla odmiany, „Lament cerkwi”, pisany przez ruskiego archimandrytę Melecjusza Smotryckiego w najczystszej skargowskiej polszczyźnie.

To wszystko drzemało w „Jagiellonce”. Na Salwatorze, u profesora Bohdana Łepkija, odnalazł najpiękniejszy chyba zbiór starych ikon ukraińskich. Właśnie tak-

eprasa.pl 97b7b16417

że w tym czasie groby królewskie na Wawelu przyjęły jeszcze jedną trumnę – poety, który całe życie bez mała spędził w Paryżu, ale nigdy nie zapomniał wołyńskiego Krzemieńca [Juliusz Słowacki]. I tak przez rok pierwszy i drugi – obce miasto stawało się stopniowo coraz mniej obce.

Ale że wszystko się kończy, przeto kiedyś, jakoś, po którychś wakacjach w Akademickim Kole Kresowym zabrakło młodego „świaszczennika" z Wołynia.

Poszły słuchy, że dostał parafię, gdzieś tam właśnie.

– Ożeni się, napłodzi z pół tuzina dzieci, rozpije się i roztyje – prorokowali znawcy prawosławnego duchowieństwa.

– Nie ożeni się, wyrośnie z niego taki prawosławny Szeptycki, prowodyr ludowy w sutannie – mówili drudzy.

Wcztery lata później dogonił mnie w Warszawie najpierw list z pieczątką „Ostróg Woł.", a potem sam ksiądz Ułas z oryginalną prośbą. Jak zawsze w takich wypadkach, najpierw uśmiechał się bezradnie, kluczył, nie dopowiadał i trzeba go było zachęcać. Wreszcie wykrztusił. Oto, muszę, bardzo trzeba, bardzo, bardzo trzeba, abym ja, ale koniecznie, przyjechał do niego, do Omelna. Nie zaraz, nie teraz. W przyszłym roku. W przyszłym. Omelne – jeszcze jedna nazwa Wołyniem pachnąca. Niestety, musiałem ze wstydem przyznać, że nie mam wielkiego pojęcia, gdzie dokładnie to Omelne leży.

Ksiądz Ułas popatrzył na mnie ze zdziwieniem, a także - po raz pierwszy w życiu – z karcącym wyrzutem.

– Omelne? Jak to tak być może? Ooo! To pan nie wie nawet, kto fundował cerkiew w Omelnem?

Pytanie było zbyt jasne, abym się nie domyślał. Już tylko na wszelki wypadek zapytałem batiuszkę: – Pruszyńscy?

Ksiądz Ułas odetchnął. Ja podjąłem obronę.

– Proszę ojca, na Wołyniu jest jedenaście cerkwi, których fundatorami lub współfundatorami byli Pruszyńscy. Religijna, wiadomo, rodzina. O niebo zawczasu dbająca. Tak że trudno mi to wszystko spamiętać...

Ale egzamin nie był skończony:

– A wie pan, kiedy? – pytał uśmiechnięty swym szerokim uśmiechem ksiądz Ułas.

– Ksiądz chce mnie obciąć na rodzinoznawstwie?

– W roku pańskim tysiąc siedemset trzydziestym i piątym! – obwieścił egzaminator.

Zrozumiałem! Był bowiem właśnie rok 1934 i nawet dla urzędnika państwowego byłoby chyba jasnem, dlaczego proszą właśnie na przyszły rok. Życie w Polsce niepodległej nauczyło widać młodego wołyńskiego popa, iż rocznice należy wynajdywać i święcić. Pobyt w mieście narodowych obchodów i pogrzebów nie minął u niego bez śladu.

Dwuchsetna rocznica! Jeżeli można było urządzać na Śląsku szumne obchody na cześć dziesięcioletniego urzędowania pana wojewody, to czemuż by Omelne nie miało urządzić choćby odpustu na dwóchsetlecie swej cerkwi? Z nieśmiałego księżyny wyrastał pojętny proboszcz. I jedząc podwieczorek, zabraliśmy się do obmyślania szczegółów. Ksiądz Ułas wiedział wszystko. Wiedział, że cerkiew fundował ten sam pradziad Wawrzyniec, który żyjąc 109 lat, pobił na długie czasy rekord rodzinny długowieczności: stąd cerkiew jest pod wezwaniem niezbyt szeroko w kościele wschodnim znanego Ławrentija.

Dzień tegoż świętego przypada 23 sierpnia. Obaj (z krakowską rutyną w tych sprawach) osądziliśmy, że jest to świetna pora dla obchodów. Lato, ciepło, żniwa się kończą, kartofle jeszcze nie zaczęły, droga niepopsuta, wieś ma trochę pieniędzy, w sadzie jabłka i renklody. Przodkowie nasi wiedzieli, kiedy fundować cerkwie.

I już wszystko było umówione, kiedy naraz tknęła mnie paskudna obawa. Że to wiadomo, jak to z księżmi... Słodkie to, niby nic, święte, a potem naraz... Więc zacząłem mówić, akurat tak samo pokrętnie jak przedtem ksiądz.

– Ale, wielebny ojciec rozumie chyba, że od czasu długowiecznego Wawrzyńca bardzo dużo się zmieniło w – że tak powiem – finansach mojej rodziny. Że mnie dziś, biedę klepiącemu, z rodziną, byłoby trudno... ksiądz rozumie?...

Nad swą szeroką, niezachodnią twarzą młody pop miał czarne załamane brwi, bardzo czarne i nieregularne, które czasem podnosiło zdziwienie. Tym razem podniosło je tak wysoko, jak jeszcze nie widziałem ich nigdy. I zaraz ściągnął je gniew. Twarz księdza stała się cała ciemna:

– To pan myślał? Ja? Jak każdy ksiądz?

Tym „każdy" wkopał się dość zabawnie.

– Ostatecznie jest ksiądz księdzem czy nie? Ja sam na miejscu księdza poszedłbym raczej do mych kuzynów z Pustomyt. Ci jeszcze by mieli z czego.

– Parafia sama ma dać! – osądził ksiądz. I powiedział to z jakąś siłą decyzji, której nie znałem u niego przedtem.

Te cztery lata naszego niewidzenia się były dla niego czterema latami sprawowania rządu dusz. A rząd dusz robi swoje. Nawet w Omelnem.

Omelne ze swoją zbliżającą się powoli rocznicą weszło od tego popołudnia w świat moich rozważań, tak samo jak o kilka lat wcześniej zjawienie się tego księdza, w innym mieście, innego popołudnia, otworzyło na nowo okna myśli na ogród dziecinnych lat.

Dawniej myślałem po prostu: Wołyń. Teraz myślałem: Omelne. Myśl, zwężając się, stawała się konkretniejsza. W ten sposób w jakimś Chicago czy Milwaukee zestarzali emigranci nie myślą o Słowaczczyźnie, ale o jakichś Mihajlovcach, nie o Litwie, lecz o jakiejś wsi nad ciemnowodą Niewiażą, nie o Warszawie nawet, ale o Polnej, Puławskiej lub Gęsiej.

I odtąd poznawanie Omelna uzupełniało się samo. Nie wiedzieć skąd dowiedziałem się, że zamiast wysiadać za Równem, znacznie lepiej jest przesiąść w Równem do autobusu. Idą sprzed poczty i tylko w szabas nieczynne. W Omelnem była kooperatywa mleczarska „Masłosojuzu"; potem ją zamknięto. W lasach za Omelnem kwitną żółte, egzotyczne azalie; kwiat to ze stepów Turanu, zawleczony tu pewnie na kopytach koników tatarskich; o siedem kilometrów za Omelnem malowniczo przełamuje się Słucz; jest tam latem kąpielisko zdołbunowskich Żydów; miał stać KOP; otwarto agencję pocztową.

Tak się też samo stało, że wypadło mi coś w Równem i po raz pierwszy, niespodzianie, pewnego wieczoru zjawiłem się jesienią najętymi końmi w Omelnem.

Już zaczynały się roztopy. Kiedy zgodziłem bryczkę, siadł ze mną sierżant KOP-u, który najpierw mnie wylegitymował, a potem zabawiał rozmową. Był to sympatyczny blondas, Poznaniak, zdaje się, zadowolony z siebie i ze służby. Był bardzo pewny siebie. Tryskało z niego energią.

Po godzinie zrobiło się ciemno na bryczce i nie widziałem już jego twarzy. Słuchałem tylko dość sennie długich wywodów. Nie były zbyt konkretne... Tu się wiele robi, ale nie tyle, ile trzeba... Tu by można bardzo wiele zrobić. W dwadzieścia lat... Wszystko to TAK trzeba wziąć.

Zauważyłem z pewnym zdziwieniem, że zwykły sierżant wypowiada nader dosadne opinie o wojewodzie i wyraża się dziwnie lekceważąco o miejscowym staroście. Ale nigdy nie dopowiadał niczego do końca. Za to ciągle wracał do celu mojej podróży, zupełnie tak, jakby oczekiwał, że za trzecim razem dam mu inne wyjaśnienie niż za pierwszym.

– W Omelnem nie ma dworu...

– Ja do proboszcza.

– Popa-batiuszki?

– Tak.

Sierżant zamyślił się znowu w ciemności. Błoto rozpryskiwało się z kałuż. Powoli zza garbu czarnoziemu podnosił się czerwony księżyc. Krągła czapka KOP-isty rysowała się wyraźniej; i tylko twarz pytającego ocieniał długi, blachą okuty daszek.

– To pan go zna z Krakowa?

– Z Krakowa.

– A co on tam robił?

– Studiował.

– Studiował? Ja bym chciał wiedzieć, co on tam w tym Krakowie studiował... Nie samą świętą teologię...

Konie w tej chwili przeszły w kłusa, a pod bryczką rozdzwonił się bruk. Nawet gdybym bardzo chciał słyszeć, nie dosłyszałbym już dalszych wywodów sierżanta. Po obu stronach drogi powyrastały chaty, długie, duże, bielone, w nich niewielkie okna, lśniące czerwonym światłem naftowych lamp czy ogarków. Jakieś psy, jakieś cienie ludzkie, jakieś cienie koni. Potem jakieś ciemne drzewa nad nami – i jakiś masyw.

– To pan już jest na miejscu – powiedział sierżant. – Ja mam jeszcze kawał.

Bryczka z sierżantem znikła właśnie w chwili, gdy ksiądz Ułas wyszedł przed próg.

Miałem wyjechać z Omelna nazajutrz, ale wyjechałem dopiero w cztery dni później. Ksiądz Ułas odwiózł mnie aż do Równego. Sam pomagał wnieść do wagonu olbrzymi tobół, z którym na Wołyń nie przyjechałem, ale który za to wywoziłem do Warszawy.

Co tam było, czy też raczej czego tam nie było! Były – podkład wszystkiego – gruszki „funtówki", słodkie, rozpływające się w ustach olbrzymki. Tylko na Wołyniu są takie. Były renklody osobliwego kalibru; cztery czarne puklerze słoneczników, zerwane sprzed samej plebanii; była nawet kukurydza – bo czyż w Warszawie można mieć taką? Nad tym wszystkim ulokował się osobliwy staroświecki ser, który nabrał smaku na skutek parotygodniowej kwarantanny, jaką odbył w ogrodzie pod grubą warstwą ziemi wołyńskiej. Ser-zmartwychwstaniec.

Były i dary trwalsze: dwa wspaniałe, czerwono i czarno haftowane ręczniki, przypominające raczej jakiś obrzędowy aparat niż przedmiot służący do otarcia rąk; cztery talerze gliniane polewane zielono, w białe wzorce; kilkanaście pisanek jak miniatury, pozostałość wielkanocnej gorliwości wszystkich Parasek, Jakyłyn i Ewdokij Omelna. I co za koszula! Z szarego, ale cieniutkiego – (cały szyk!) – konopnego płótna, nadziana po prostu i opancerzona pasami grubego haftu. Aż sztywnego. Jak staroświecki ornat.

Tak. Nie wracałem z próżnymi rękami do Warszawy i z góry już przewidywałem, że w domu ta wyprawa będzie oceniona należycie.

Ha, gdyby tak wszystkie jedenaścioro wołyńskich cerkwi, zawdzięczających swe powstanie bogobojności przodków zechciało iść śladem Omelna, nie byłoby jeszcze tak źle - rozważało się w wagonie Polskich Kolei Państwowych – zwłaszcza że Omelne biedne jest w istocie i niewiele mu tam zostało, a na przykład takie Sarny – bogate. Mogłyby tam kiedy jaką kobiałkę. Cóż, kiedy nie wszyscy proboszczowie są tacy jak ksiądz Ułas!...

Omelne istotnie było równie piękne jak biedne. Jedynym śladem po potomkach Wawrzyńca była cerkiew i stara plebania; dwór dawno przeszedł był na Kaszowskich, potem na Deskurów, potem go skonfiskowano. Miał go jakiś Popow, a po nim znowuż Iwanow, czy odwrotnie, i już same te pospolite nazwiska mówiły o upadku. Podczas wojny światowej dwór zgorzał ze szczętem – i teraz tylko duża, obrosła jaśminami wyrwa w ogrodzie znaczyła ostatni ślad.

Część gruntów poszła na parcelację; część bardziej w dole, w stronę Kostopola – na osadę wojskową. Tak że wieś nie wzbogaciła się ni-

1 RP

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Antoni Słonimski

Alarm

„Uwaga! Uwaga! Przeszedł!
Koma trzy!"
Ktoś biegnie po schodach.
Trzasnęły gdzieś drzwi.
Ze zgiełku i wrzawy
Dźwięk jeden wybucha i rośnie,
Kołuje jękliwie,
Głos syren – w oktawy
Opada – i wznosi się jęk:
„Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy!"

I cisza.
Gdzieś z góry
Brzęczy, brzęczy, szumi i drży.
I pękł
Głucho w głąb.
Raz, dwa, trzy.
Seria bomb.

To gdzieś dalej.
Pewnie Praga.
A teraz bliżej, jeszcze bliżej.
Tuż, tuż.
Krzyk jak strzęp krwawy.
I cisza, cisza, która się wzmaga.
„Uwaga! Uwaga!
Odwołuję alarm dla miasta Warszawy!"

Nie, tego alarmu nikt już nie odwoła.
Ten alarm trwa.

Wyjcie, syreny!
Bijcie, werble, płaczcie, dzwony kościołów!
Niech gra
Orkiestra marsza spod Wagram,
Spod Jeny.
Chwyćcie ten jęk, regimenty,
Bataliony, armaty i tanki,
Niech buchnie,
Niech trwa
W płomieniu świętym Marsylianki!

Kiedy w południe ludzie wychodzą z kościoła,
Kiedy po niebie wiatr obłoki gna,
Kiedy na Paryż ciemny spada sen,
Któż mi tak ciągle nasłuchiwać każe?
Któż to mnie budzi i woła?

Słyszę szum nocnych nalotów.
Płyną nad miastem. To nie samoloty.
Płyną zburzone kościoły,
Ogrody zmienione w cmentarze,
Ruiny, gruzy, zwaliska,
Ulice i domy znajome z dziecinnych lat,
Traugutta i Świętokrzyska,
Niecała i Nowy Świat.
I płynie miasto na skrzydłach sławy,
I spada kamieniem na serce. Do dna.
Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy.
Niech trwa!

10-16 X 1939, PARYŻ



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Utwór za: Antoni Słonimski, **„138 wierszy"**, wyd. trzecie, PIW, Warszawa 1984.

eprasa.pl 97b7b16417

mi. Czuć było, że ma też o to utajony żal. A żal o ziemię to bardzo wielki żal. Prawie taki jak o kobietę.

Już te ostatnie sto lat nie były zbyt łaskawe dla Omelna, a ostatnie lat dwadzieścia także. Kolej, która ożywiła tyle podłych dziur, ominęła z daleka Omelne; wąskotorowa linia, jedyna cenna pozostałość austro-niemieckiej okupacji, także szła bokiem. Środkiem wsi biegł co prawda szeroki gościniec, zwany tradycyjnie „traktem". Ale tylko u wjazdu do wsi był brukowany, rzadko kiedy przejechał nim wóz chłopski, zarastała go z obu stron trawa.

Jedynym śladem świetności były lipy idące tym szlakiem aż za wieś, na wschód, w step. Przy samej cerkwi była jeszcze piękna, zwarta grupa, posplatana konarami, listowiem rozszumiała ponad kopułami. Ale zbiegając ku drodze, lipy stawały się rzadsze, mizerniejsze, były coraz mniejsze i było ich coraz mniej. Kiedy o wczesnym wieczorze wychodziło się na drogę, sterczały na polu dalekim i równym jak zastygły, ścielący się pod nogi kilim. Na końcu były lasy. Za lasami kończył się wtedy świat.

Pierwsze parę lat po studiach to lata, które wprowadzają człowieka w tor całego późniejszego życia. Studia mijają. Najważniejsze są lata potem. Wiele rzeczy odpada wtedy po drodze, ale za to te, co zostają, zostają na zawsze. Jakże wygląda kolega akademicki jako pop prawosławny na zapadłej, kresowej wsi? W pociągu, pod takt kół wagonowych, porządkowały się wrażenia.

Plebania omelska była jedną z wielu podobnych sobie plebanii. Tak samo obrastały ją malwy i słoneczniki, tak samo złociły się ikony w rogu izby, tak samo sterczał stos poduszek na wysokim drewnianym łóżku. Tak samo tandeta prowincji mieszała się z autentyzmem wsi, pachniało woskiem świec i rosołem z kury, pełno było haftowanych obrusów i serwet.

Na komodzie, na miejscu uroczystym, stały fotografie rodzinne. Stare i nowe. Ojciec pop i matka, grubopiersna, wybałuszona popadia - jakiś zadzierzysty stryjek w mundurze jakiegoś tam jelizawietskawo połka – jakieś tłuste dziecko z tąż popadią – pewno mój Ułas — i jakiś czwórrząd siedzących i stojących prawosławnych duchownych z archirejem w środku. Oto roczny „wypusk ichniego seminarium" – domyśliłem się. Tamto, zeszłowieczne pokolenie popiej dynastii.

I naraz wśród tego wszystkiego - bardzo znajoma i zupełnie inna fotografia. Tak. Oczywiście! Zebranie koleżeńskie Akademickiego Koła Kresowego w Krakowie! Rok? 1929! Oczywiście. Wszyscy są. I Kazek Połtowicz, i Kot Połtowicz, i gruba „Dunia", i Korszon! Ciumdziewicki i Zaleski Wojtek, i ksiądz Bukowiński, i Gieysztor, i Haszlakiewicz, i ja, i nasz pop. Stoi w drugim rzędzie z lewa. (Zrobiło mi się przykro, że stoi. Powinien, jak ksiądz Bukowiński, siedzieć w pierwszym rzędzie).

Polszczyzna jego była poprawna, może zanadto poprawna; lśniła gramatyką, niczym drzwi świeżo malowane. Lepiej być dalej od takich drzwi. I lepiej nie poddawać takiej polszczyzny zbyt szczegółowym badaniom

Obok była jeszcze inna amatorska fotografia. Ta z wycieczki do Tyńca. Stoimy na „krakowskim" brzegu rzeki, na skale nad Piekarami; Tyniec za nami. Ksiądz Ułas jest bez sutanny; w spodniach, marynarce. Kto ten piąty? Może Henelt? Tak się zapomina to wszystko...

Było jasne, że Kraków zawędrował do owego Omelna i zawędrował różnorako. Na ścianie w jadalnym były naraz dwa talerze krakowskie (swoją drogą szpetnawe, ale były). „Wawel, Wawel, poznaje pan?" – niepokoił się ksiądz.

Istotnie na jednym był Wawel, taki od Plant. Na mereżkowanej serwecie leżał barwny album Krakowa. Bodaj teka Stasiaka. Najlepsza była z tego wszystkiego ciemna reprodukcja cudownego Chrystusa na Krzyżu ze znanego ołtarza wawelskiego. Tak, tego wszystkiego nie było chyba w żadnej prawosławnej plebanii, przynajmniej z tych, które znałem.

Ale najsilniej wdarł się tu Kraków książkami i pismami.

Oczywiście nie było tu „Ikaca", nie zobaczyłem jakoś „Czasu", nie spodziewałem się zobaczyć „Głosu Narodu". Ale szły, tom przy tomie, zeszyty „Przeglądu Współczesnego", były w wiśniowej oprawie trzy tomy kapitalnej Encyklopedii Polskiej Akademii Umiejętności - i pełno, pełno książek. Chyba na dwóch półkach zagnieździła się cała „Biblioteka Narodowa" ze swymi wydaniami klasyków, od Długosza i Galla po Mochnackiego, Goszczyńskiego, Bohdana Zaleskiego, Malczewskiego. (Do łóżka, przed spaniem, brałem, pamiętam, tom po tomie, właściwie po to tylko, aby przeczytać ich kapitalne niekiedy wstępy).

Tak, to prawda, że klapło to cenne wydawnictwo, bo nie znalazły się na nie pieniądze, ale jednak, jeśli dotarło go trochę do takiego bodaj Omelna, to już wiele. Ksiądz Ułas gładził ręką te książki, jak chłop konia czy krowę. Widać że mu się nieraz przydały w tej wołyńskiej głuszy.

Tak. Kraków stawał silnie w Omelnem, ale nie wszystkie książki były tu krakowskie. Organem prenumerowanym było „Diło", a z nim chyba kilkanaście organów ukraińskich. Tygodniki, miesięczniki, pisma specjalne.

Dalej były książki. Parafia w Omelnem miała je chyba wszystkie. Był Szewczenko w warszawskim wydaniu i piękny przekład „Pana Tadeusza" pióra Maksyma Rylskiego, i wiersze Pawła Tyczyny, i pisma zebrane Iwana Franki, i historyczna trylogia Łepkija, no i pierwszy tom świeżo nagrodzonego we Lwowie Samczukowskiego „Wołynia".

Przyparte do nich, jak dobudówka, mieściły się osobno wiersze poetów z chełmskiej „Kameny", wśród nich przede wszystkim Czechowicza. Były one jak ostatnie przęsło utrzymujące łączność nad przepaścią, jaka się otwarła pomiędzy dwoma narodami.

Tak, tak. Pamiątki lat krakowskich były, co tu gadać, trochę jak te zręby omelniańskiego dworu, spowite całe w bujną zieloność tej ziemi... Buchała nad nie, oplatała je mocno, właśnie jak tamta zieloność w ogrodzie. To, co w tym księdzu nieco przytłumił czy przycisnął Kraków, teraz buchnęło tym mocniej w pełni wołyńskiej wsi.

On sam czy się zmienił? O, na pewno tak. Przede wszystkim przytył w sobie, ogorzał, sczerwieniał na twarzy. I, jak już wspomniałem, nabrał autorytetu. Nie darmo klękano na jego głos co niedziela, baby przypadały mu do rąk, starzy chłopi mówili: „ojcze". Takich parę lat zrobiło swoje.

Wreszcie były pewne zagadki, do których brakło mi klucza. W naszych rozmowach z tych dni były jakieś niedomówienia lub zamilknięcia: ksiądz Ułas nie mówił wszystkiego. Za to w paru takich wypadkach naraz skręcał na Kraków: – Tak, Kraków... Kraków. Pan nawet nie wie, ile ja tu czasem, gdy ciężko bardzo, myślę o Krakowie. Ja bym inaczej może poszedł, gdyby nie wasz Kraków... A, Kraków.

Dlaczego nie zapytałem ani razu, co ma właściwie na myśli? Ani o to, dlaczego bywa mu ciężko. I dlaczego myśli wtedy właśnie o Krakowie? Nie wiem. Czasem nie stawia się komuś właśnie najprostszych pytań. Teraz, w pociągu, przypominając sobie tamto, przypomniałem jednocześnie i tamten nocny dojazd, z sierżantem KOP-u na bryczce. On także – prawda! – napomykał coś o tym Krakowie proboszcza z Omelna. Ale inaczej.

Właśnie podczas tych moich rozważań pociąg stanął. Była to większa stacja. Po peronach biegali ludzie; przez okno świeciły latarnie. Dwie baby, jakiś student, jakiś Żyd-kapociarz weszli i zajęli miejsce w przedziale. Wątek myśli się urwał. Wyjrzałem przez okno.

Była noc, a nad niskim, długim dworcem widniał jasno oświetlony napis: Lublin.

W ciągu tych ośmiu miesięcy, które dzieliły ową jesień od uroczystego dnia świętego Wawrzyńca, ksiądz Ułas dawał o sobie znać coraz częstszymi komunikatami. Jego biuro prasowe działało znakomicie, jego prywatny urząd konserwatorski również, ale nade wszystko wspaniale funkcjonowała jego parafialna izba skarbowa. Ta była podstawą wszystkiego, bo ona wyciskała ostatni grosz z parafian na podniesienie Omelna. Toteż w każdym liście była zawsze jakaś triumfująca wiadomość:

„...wybieliliśmy całą cerkiew z zewnątrz i w seredyni. (Czasem zdarzały się takie lapsusy). Wcześniej nie można było, bo na wilgoci wapno źle bierze..."

„...jeździłem po ikonostas do Lwowa, ten, co go miałem pozłocić, pamięta pan. Lepiej niech pan nie pyta, co kosztowało, ale solidna robota. Wszystkich nas przetrwa".

„...dach pobijamy nową blachą cynkówką ze Śląska, właśnie jej przyszło 200 arkuszy, ale trzeba będzie więcej. Konserwator z województwa upiera się, żeby po wierzchu gontami pobić, i pewno tak będzie, choć ludziom świecąca blacha lepiej się podoba niż zwykły gont..."

Cała parafia omelniańska musiała dyszeć ciężko pod tym gorliwcem. Niejedne chowane pilnie złociste rubelki z ostatnim carem powędrowały na ten ikonostas, dach, remont. Ale skargi Omelna nie docierały do mnie, a komunikaty parocha były mimo wszystko dowodem, że opór, jeśli był, ulegał przełamaniu, karny wysiłek parafian postępował naprzód, a „operacje rozwijały się zgodnie z planem". Byłem pewien, że do mety dojdzie to w cuglach, kiedy naraz, na dwa tygodnie przed wszystkim, przyszedł krach. Telegraficznie i listownie zawiadamiał ksiądz Ułas, że władze zakazały obchodu. ●

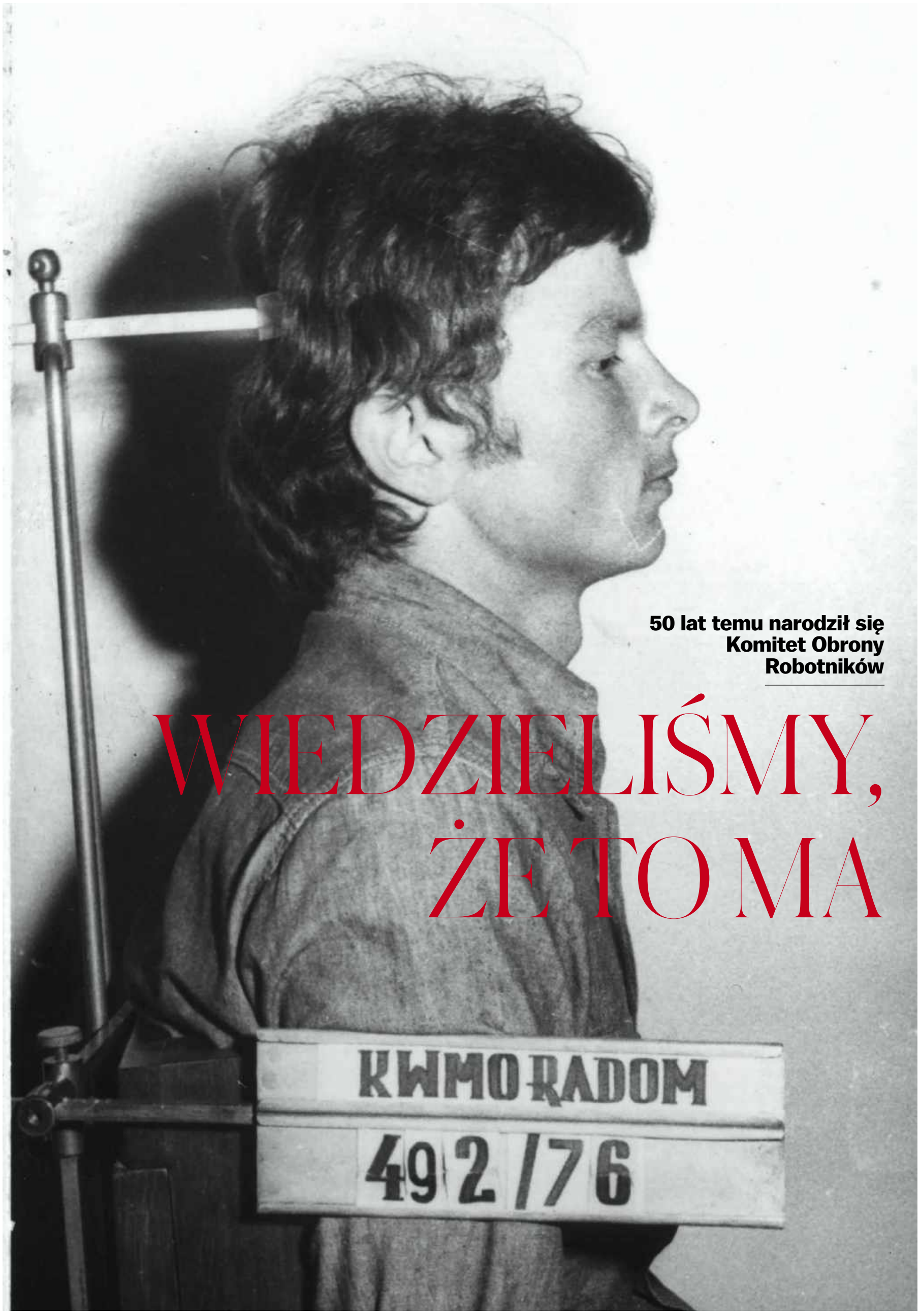
Dokończenie za tydzień

REKLAMA
Kraj/34423354



1RP

eprasa.pl 97b7b16417



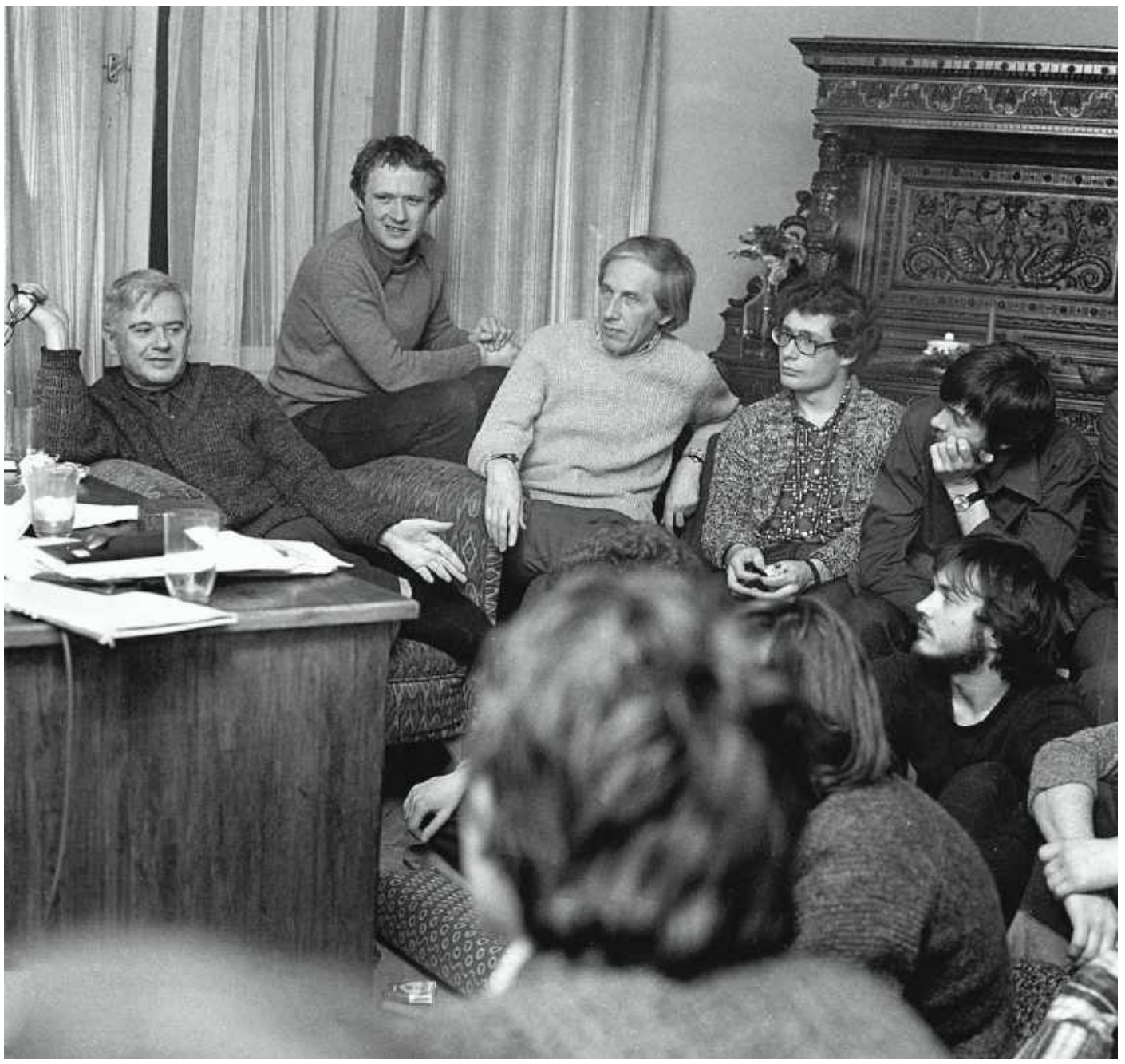
50 lat temu narodził się Komitet Obrony Robotników

WIEDZIELIŚMY, ŻE TO MA

• Milicyjne zdjęcie jednego z robotników z zatrzymanych po manifestacjach na ulicach Radomia, do których doszło 25 czerwca 1976 roku. W sumie aresztowano 2,5 tys. osób, wielu straciło pracę, właśnie ich rodzinom pomagali ludzie z KOR-u

FOT. ZBIORY IPN

eprasa.pl 97b7b16417



• Warszawa, styczeń 1980 rok, spotkanie członków KOR-u w mieszkaniu Jacka Kuronia, od lewej: Jan Józef Lipski , Adam Michnik , Stefan Starczewski , Marek Beylin , Rafal Zakrzewski i Sergiusz Kowalski

FOT. TOMASZ MICHALAK/FOTONOVA/EAST NEWS

sens

– Strach? Wtedy się nie bałam. Byłam tuż po maturze, chuda, krótko obcięta, niepozorna. Kto by na taką zwrócił uwagę? – opowiada Agnieszka. W 1976 jeździła do Radomia pomagać rodzinom robotników. Miała 18 lat, zaczynała socjologię na UW

Waldemar Kumór

Imponowali mi i imponują do dziś. Bohaterowie – skromni, pracowici, mądrzy, prawdziwi. Widziałem ich niemal codziennie w pracy w „Gazecie Wyborczej”. Razem jedliśmy obiady i dużo gadaliśmy. Ewa Milewicz, Rafał Zakrzewski, czasem Janek Cywiński i Marek Beylin plus my, młodsi plus-minus o dekadę – Agata Nowakowska, Dominika Wielowieyska, Wojtek Załuska i ja, stała ekipa obiadowa.

– A ty, co pamiętasz z 1976 roku? – ktoś mnie zapytał. – Miałem 10 lat, byłem na letnich koloniach. Tam były też dzieciaki z Radomia. Wieczorami, gdy gasły światła, opowiadali, że u nich cukierki leżały na ulicy, były powybijane szyby w sklepach i mnóstwo milicjantów z pałkami.

Rafał Zakrzewski: – Ja z Agnieszką Wolfram, wtedy moją dziewczyną, jeździliśmy do Radomia.

Ewa Milewicz: – Mój mąż 25 czerwca, gdy robotnicy wyszli na ulice w proteście przeciwko podwyżkom, był akurat w Radomiu. Potem o tym, co widział, opowiedział Jackowi Kuroniowi. Dzięki niemu wiedzieliśmy trochę, co się dzieje.

Jan Cywiński: – Też jeździłem do tego spałowanego, biednego Radomia.

Gadamy o KOR-ze, Radomiu. Rozglądam się po redakcyjnej stołówce i korytarzach i widzę paru innych dzielnych sprzed 50 lat, choćby Helenę Łuczywo, Joannę Szczęsną, Adama Michnika, Teresę Bogucką, Seweryna Blumsztajna, Jana Tomasza Lipskiego...

To, co wtedy robili, uważają za „oczywistą oczywistość”.

ZEPSULI NAM DOBRY NASTRÓJ

Dla tego pokolenia, ludzi zaangażowanych i krytycznych wobec władzy, bardzo ważna była książka „Rodowody niepokornych” Bohdana Cywińskiego, który mówił: „Wydawało nam się, że można popchnąć historię – wbrew polityce. Przynajmniej trochę o parę kroków”. Bohdan Cywiński – jak opisuje Jan Skórzyński, autor książki o historii KOR-u – pokazał polityczne tło wyboru dokonanego przez niepokornych drugiej połowy XX wieku. „Przekonanie, że można sprzeciwić się komunizmowi jedynie z pomocą odwagi cywilnej i międzyludzkiej solidarności, nawiązywało do polskiej tradycji romantycznej, niechętnej politycznemu kunktatorstwu”.

Skórzyński cytuje też Michnika, który trzy lata przed powstaniem KOR-u pisał: „Naród żyjący w niewoli nie może składać się wyłącznie z bohaterskich konspiratorów. Musi mieć swoich »organiczników«, budowniczych fabryk i mostów, nauczycieli w szkołach, lekarzy, nawet ugodowych wobec zaborcy administratorów. Ale biada takiemu narodowi, który swoich spiskowców uważa za niedoważonych młodzików czy wynarodowionych demagogów, który w najlepszych widzi obcą inspirację czy obcą kiesę, który rząd dusz oddaje tym rozumnym konformistom, dbałym o sprawę Polską tożsamą ze sprawą własną – bowiem taki naród niszczeć musi”.

Ale tych odważnych „spiskowców”, „bohaterskich konspiratorów”, w 1976 roku wcale nie było wielu. Historyk prof. Andrzej Friszke szacuje, że w opozycję zaangażowało się trochę ponad 1000 osób, w tym ludzie podpisujący listy protestacyjne albo w czyjejś obronie, a aktywnie w antysystemową codzienną działalność ledwie 300-500. Tłumu bohaterów więc nie było. Domi-

eprasa.pl 97b7b16417



nowała raczej obojętność, strach przed władzą i konformizm.

Hanna Krall, pisarka, wówczas dziennikarka tygodnika „Polityka", opowiada Wojciechowi Tochmanowi w wywiadzie rzece „Pożegnanie z Narnią", że powstanie Komitetu Obrony Robotników było jednak przełomem: „Garstka nie tylko konspiruje anonimowo, ale podaje imię, nazwisko, adres i telefon. Tego jeszcze w PRL nie było".

„Jaki był stosunek »Polityki« do Komitetu Obrony Robotników?" – pyta Tochman.

Krall: „Były prywatne kontakty, przyjaźnie nawet, ale KOR zepsuł ten nasz dobry nastrój. Bo okazało się, że nie uczestniczyć i nic nie robić to za mało. Bo, owszem, można coś robić – to właśnie, co robił KOR".

W 1976 roku Łuczywo, Bogucka, Michnik czy Blumsztajn mieli już za sobą kilka lat antykomunistycznej działalności – doświadczenie Marca '68, zatrzymania, procesy, odsiadki. Ale co popchnęło do działania młodych? Agnieszka Wolfram-Zakrzewska miała w 1976 roku 18 lat, Rafał Zakrzewski i Jan Cywiński – po 20, Marek Beylin – 19.

„Serio się nie bałaś? – dopytuję Agnieszkę, od kilkudziesięciu lat żonę Rafała. – Nie bałam się. Wiedziałam, że to, co robię, ma sens. Jak człowiek zachowuje się przyzwoicie, to czuje się dobrze. No bo co ja miałam do stracenia? Najwyżej wyrzuciliby mnie ze studiów, a ja miałam oparcie w moich rodzicach – mama brała udział w Powstaniu Warszawskim, tata przeżył najgorsze stalinowskie więzienia. Rodzice wiedzieli, co robię, i mnie w tym utwierdzali. W domu mówiło się o Katyniu czy innych historiach zakłamywanych w szkole. Dla mnie to więc nie była odwaga, tylko oczywistość. Mama wykłócała się w szkole, bym nie musiała 1 maja chodzić na pochody. Podziwiałam odwagę kolegów i koleżanek, którzy byli spoza Warszawy i nie mieli tu oparcia, a ich rodziny nie wiedziały, w co oni się angażują. To była odwaga! Rodzice Rafała wprawdzie wiedzieli, co robi, ale jego mama bardzo się o niego bała".

„WARCHOŁY" PODNOSZĄ BUNT

Ludzie z opozycji nie spadli z nieba, nie skrzyknęli się z dnia na dzień. KOR uformowało kilka niezależnych od siebie środowisk, które przez lata szukały i tworzyły swoją tożsamość, czyli komandosi z Marca '68, harcerze z „Czarnej Jedynki", młodzi działacze Klubu Inteligencji Katolickiej czy grupy studentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. I te właśnie środowiska – trochę od Sasa do Lasa – zaczęły razem działać właśnie 50 lat temu, po Radomiu i Ursusie '76.

Władze PRL w latach 70. miały inny pomysł na Polskę: „Samochody, domki mają osłabić »uliczne« skłonności społeczeństwa oraz odwrócić uwagę od polityki", notował w swoich dziennikach szef „Polityki" Mieczysław Rakowski. I na początku epoki Edwarda Gierka tak było. Zauważył to Zbigniew Herbert w wierszu „Pan Cogito o postawie wyprostowanej" z 1974 roku:

(...)
obywatele
nie chcą się bronić
uczęszczają na przyspieszone kursy
padania na kolana
biernie czekają na wroga
piszą wiernopoddańcze mowy
zakopują złoto
szyją nowe sztandary
niewinnie białe
uczą dzieci kłamać.

Aż w czerwcu 1976 roku, po zapowiedzi gigantycznych podwyżek cen żywności, wściekli ludzie z Radomia, Ursusa i Płocka wyszli na ulice. Władza wycofała się z podwyżek, ale protestującym nie odpuściła. Biła i wyrzucała z pracy, opluwała w prasie i telewizji. Gierek miał grozić I sekretarzowi PZPR z Radomia: „Powiedzcie tym swoim Radomianom, że ja mam ich wszystkich w dupie. Zrobiliście taką rozróbę i chcecie, by ich łagodnie potraktować? To warchoły, ja im tego nie zapomnę".

Nie rzucał słów na wiatr. Brutalnie rozprawił się z „warchołami", którzy upomnieli się o godne życie. Aresztowano ponad 2500 osób, często przypadkowych. Zatrzymany i sądzony miał dostać twarz pijaka i złodzieja. W lipcu i sierpniu w Radomiu sądy skazały 25 osób na kary od dwóch do dziesięciu lat więzienia. Dla sędziów dowodami były słowa milicjantów i wymuszone biciem zeznania robotników.

Kilka tysięcy ludzi w całym kraju straciło pracę – ponad tysiąc w Radomiu, ponad 200 w Ursusie. Zwolnieniom często towarzyszył wilczy bilet, czyli kilkumiesięczny zakaz zatrudnienia.

Skórzyński: „Wiele rodzin znalazło się w dramatycznej sytuacji. Pozbawieni pracy, a więc pieniędzy na życie, bezradni, napiętnowani jako wrogowie państwa – uczestnicy Czerwca '76 zostali zepchnięci do roli pariasów PRL".

Komitet Obrony Robotników powstał po to, by im pomóc.

GAJKA WARCZAŁA, JACEK GADAŁ

Ewa Milewicz w KOR-ze znalazła się – jak skromnie mówi – „przez przypadek":

• Ewa Milewicz z córką Joanną, luty 1981 rok. „Mąż drukował KOR-owskie dokumenty na powielaczu, na klatce non stop śmierdziało denaturatem, było jasne, że nie służy do mycia okien"
FOT. TOMASZ MICHALAK/PAP

„W maju albo na początku czerwca 1976 roku wyjechałam do Wiednia, do siostry. W Polsce został mój mąż z kilkuletnią córką. Na kilka dni wyjechał na delegację do Radomia, a tam robotnicy zaczęli demonstrować, bo władza ogłosiła, że podnosi ceny żywności. Mąż dołączył do demonstracji i za udział w wydarzeniach radomskich wyrzucili go z pracy. Zajmował się naszą córką i w piaskownicy poznał Magdę Chojecką, która tam tkwiła ze swoim dzieckiem. Przez Chojeckich trafił do Kuronia, który starał się organizować pomoc dla wyrzuconych z pracy. Jak przyjechałam z Wiednia, to od razu niemal trafiłam na jakąś imprezę towarzyską u Kuronia. Tłumy, wszyscy się dobrze znają, a ja czuję się, jakbym wylądowała na Marsie. Nikogo nie znam albo nie rozpoznaję. Jesienią 1976 roku powstał KOR, żeby pomagać aresztowanym robotnikom i ich rodzinom. Mąż drukował KOR-owskie dokumenty na powielaczu denaturatowym w naszym mieszkaniu w bloku. Na klatce non stop śmierdziało denaturatem, więc było jasne, że nie służy do mycia okien. Poszłam więc do Jacka i jego żony Gajki – chciałam wiedzieć, jak się mam zachować, gdy wpadnie SB. Radę Jacka od razu polubiłam: zachowuj się naturalnie. »Gajka« – opowiadał Jacek – »warczy na tych ubeków; na każde pytania odpowiada: a co to pana obchodzi?«. Natomiast Jacek z nimi gadał, pytał, co sądzą o tym, o tamtym. Wcześniej wyobrażałam sobie, że jak przyjdą, to moim obowiązkiem patriotycznym będzie kopanie ich po kostkach. Bardzo nie chciałam, by mąż cokolwiek robił w opozycji. Że tak będzie lepiej dla niego, dla dziecka, dla mnie. Czułam, że ja będę do tego rodzaju życia lepsza. Poszłam z tym do Gajki, a ona na to: »Każda żona mówi, że mąż się do tego nie nadaje«. Oświeciło mnie. Zostałam więc współpracownikiem KOR-u, a ściślej Mirka i Magdy Chojeckich, Konrada Bielińskiego. Mieszkaliśmy blisko siebie, co ułatwiało konspirowanie".

Marek Beylin: „W kręgach KOR-u, a potem KSS „KOR" byłem od 1977 roku. Zawdzięczam to Michnikowi, który przyjaźnił się z moim tatą. Bardzo chciałem się jakoś zaangażować. Chciałem też posłuchać o podróży Adama po Europie Zachodniej, m.in. Francji i Anglii; jak wyglądała i co z niej wynikało. Władza puściła Adama na wakacyjny wyjazd jeszcze przed formalnym powstaniem KOR-u. Tam Adam nawiązał kontakty m.in. z paryską »Kulturą«, poznał w Monachium ludzi z Wolnej Europy i wielu wpływowych intelektualistów. W Warszawie Adam miał o tym wszystkim opowiadać w mieszkaniu Janka Cywińskiego. Był uprzedzony, że ja też będę. Tam ich poznałem: Agnieszkę, Rafała i Janka. Zostałem wciągnięty w roznoszenie nielegalnej bibuły, książek, współpracowałem z Ludwikiem Dornem i Ulą Doroszewską. Potem powstały Studenckie Komitety Solidarności, kiełkował pomysł na podziemne pismo »Krytyka«. A potem już »Solidarność«".

KIEDY HASŁA STAJĄ SIĘ CIAŁEM

A jak do KOR-u trafili Jan Cywiński i Rafał Zakrzewski?

Jan: „W naszym przypadku droga jest podobna, a można ją, w ślad za tytułem książki Adama Michnika, streścić hasłem »Kościół – lewica – dialog«. Chodzi o Klub Inteligencji Katolickiej w Warszawie, do którego należałem, a Rafał też w nim bywał, i kontakty, które nasi starsi KIK-owscy koledzy i koleżanki, tacy jak Teresa Bogucka czy Krzysztof Śliwiński, nawiązali z tzw. komandosami marcowymi: Michnikiem, Sewerynem Blumsztajnem czy Janem Lityńskim. To było we wczesnych latach 70., czasy słabej jeszcze opozycji: wspólne wyjazdy w góry, dyskusje w plenerze i w warszawskich mieszkaniach. Ale kiedy pod koniec 1975 roku zaczęła się akcja podpisywania listów protestacyjnych w sprawie planowanych przez władze zmian w konstytucji, zalążek opozycji demokratycznej – ludzie z KIK-u – też w tym uczestniczyli".

Rafał: „Znałem wcześniej Teresę Bogucką i Adama Michnika. Uczestniczyłem w seminariach historycznych dla młodych ludzi, licealistów, które odbywały się w prywatnych mieszkaniach, m.in. u Marii i Jana Józefa Lipskich. I w związku z tym miałem już kontakty z tym środowiskiem z innej trochę strony niż KIK, a jednocześnie, nie będąc jeszcze jego członkiem, znałem tam wiele osób. Chodziliśmy na spotkania do KIK-owskiej studenckiej Sekcji Kultury w warszawskim Kościele św. Jacka na Freta, prowadził ją wtedy dominikanin o. Jacek Salij, i właśnie tam hasło »Kościół – lewica – dialog« się materializowało. Przychodzili komandosi i tworzyły się kręgi wspólnych znajomych.

eprasa.pl 97b7b16417

Do tego jeszcze Wiesiek Celiński i Wojtek Arkuszewski ze środowiska miesięcznika »Więź« organizowali seminaria poświęcone historii najnowszej. To było takie dokształcanie się, czytanie starej prasy. I kiedy nastało to, co nastało – radomsko-ursuski Czerwiec – te wszystkie kontakty zostały uruchomione w innym już celu. Spotkałem się, zaraz po 25 czerwca, z Henrykiem Wujcem i Zbyszkiem Romaszewskim, którzy już myśleli, co robić w związku z represjami wobec robotników”.

Jan: „Jako studenci czy młodzi pracownicy naukowi, szukający form antysystemowej aktywności poza strukturami oficjalnymi, spotykaliśmy się już wiosną tego samego roku. Chodziło o to, jak zareagować na represje wobec dwóch studentów: Stanisław Kruszyński z KUL-u został aresztowany za poglądy na temat wojny polsko-bolszewickiej zawarte w jego prywatnych listach; drugi, student Pomorskiej Akademii Medycznej Jacek Smykał, został wyrzucony z uczelni za to, co mówił na zajęciach z nauk politycznych”.

Rafał: „Listy w ich obronie to były pierwsze opozycyjne akcje studenckie w 1976 roku. Udało się zebrać pod nimi, głównie na UW, ponad 600 podpisów – dużo, bo za podpis pod takim listem można było mieć nieprzyjemności na uczelni i nie tylko”.

WIEDZIAŁEŚ, CZYM RYZYKUJESZ

Agnieszka, Rafał i Jan do bezradnych, pokiereszowanych po wydarzeniach 25 czerwca 1976 rodzin robotniczych jeździli regularnie.

Jan tak to opisywał: „Musisz wyruszyć wcześnie rano. Najlepiej z placu Zawiszy – stąd Grójecką, Aleją Krakowską i szosą E7 prowadzi droga z Warszawy do Radomia. Najbezpieczniej dojedziesz PKS-em. Wysiądziesz w Jedlińsku, 10 km przed Radomiem, wsiądziesz w lokalny autobus, jak mieszkańcy podradomskich wiosek i miasteczek, i wylądujesz wraz z nimi w samym środku miasta.

Wpadniesz. Że ciebie zamkną, trudno, wiedziałeś, czym ryzykujesz – ale mogą zabrać pieniądze, które wieziesz ludziom w Radomiu. Nie dowiesz się, czy rodziny zwolnionych z pracy i więzionych mają z czego żyć (zwykle nie mają). Nie umówisz żon czy matek aresztowanych z adwokatem w Warszawie (w Radomiu o odważnego adwokata trudno). Nie wysłuchasz ich relacji o tym, jak po protestach 25 czerwca traktowało ich ZOMO, milicja. A masz je spisać, żeby trafiły do komunikatów KOR-u, Wolnej Europy, zachodnich mediów. Niech idzie w świat, że w Radomiu bili, zamykali, wyrzucali”.

Agnieszka i Jan podróżowali do Radomia PKS-em. Jan: „Wysiadałem na przedostatniej stacji i wtapiałem się w tłum ludzi. Oczywiście tajniacy wypatrywali takich obcych i podejrzanych jak ja, ale wyglądałem jak licealista, za młody na politykę. Miałem lat dwadzieścia, a wyglądałem na siedemnaście i nikt się mnie nie czepiał”.

Inni jeździli stopem albo, jak Rafał, pociągiem: „To było dosyć niebezpieczne, bo trzeba było wsiąść i wysiąść na dworcu, obstawionym zwykle przez esbeków. Pomagał mi często ojciec Hanki Stępniewskiej, koleżanki z KIK-u. Bardzo wspierał to, co robiliśmy, dowoził nas do Radomia i tam czekał. Tracił z nami dzień, a myśmy biegali po tych swoich adresach”.

Rafał wylicza: „Radomiem mocniej zajmowali się Zbyszek Romaszewski, Krystyna Starczewska, Grześ Boguta, Mirek Chojecki czy Konrad Bieliński. Natomiast drugim ważnym miejscem protestów, Ursusem, opiekowała się »Czarna Jedynka«, czyli członkowie i instruktorzy drużyny harcerskiej działającej przy warszawskim VI LO im. Tadeusza Reytana: Wojtek Onyszkiewicz, Darek Kupiecki i Ludwik Dorn”.

SPAŁOWANE MIASTO

Nie wszyscy byli otwarci na pomoc: „Niektórzy zamykali drzwi. Bali się. To było miasto spałowane i całkowicie przerażone” – wspomina Rafał.

Jan: „Mówili, że niczego im od nas nie potrzeba, że już mają adwokatów, innych niż ci od początku współpracujący z KOR-em: jak Jan Olszewski, Andrzej Grabiński, Stanisław Szczuka, Witold Lis-Olszewski i Władysław Siła-Nowicki, później dołączył jeszcze Jacek Taylor. Nie chcieli tych adwokatów, bo nie chcieli, by kojarzono ich politycznie”.

Zazwyczaj podczas jednego wypadu odwiedzali trzy, cztery rodziny.

Rafał: „Bardzo różne. Od nędzy zupełnej, można powiedzieć socjalnej. Od ludzi mieszkających przy głównej ulicy, ale w zrujnowanych mieszkaniach, po mieszkańców typowych PRL-owskich osiedli. Jedni przyjmowali pomoc chętnie i mówili otwarcie o tym, co przeszli. Inni się trochę bali i trzeba było to przełamywać”.

Agnieszka: „Zapamiętałam potworną nędzę, jakiej w Warszawie nie znałam. Dla ludzi żyjących w takich warunkach ci, którzy przywozili im skromne nawet sumy, czasem wydawali się niemal wysłannikami niebios. Chciałam wręczyć żonie jednego z aresztowanych, matce kilkorga niedożywionych dzieci, z którymi mieszkała w rozpadającym się domku, 1000 zł w dwóch banknotach po 500. Ówczesna przeciętna pensja to było 3000, więc zdumiona kobieta padła na kolana i nazwała mnie Najświętszą Panienką. Chciała się podzielić po połowie »takimi pieniędzmi« – z trudem przekonałam ją, że powinna wziąć wszystko. Póź niej, kiedy przyjechała do Warszawy, podarowaliśmy jej dla dzieci kakao i inne – w jej oczach – rarytasy kupione w Peweksie za dolary”.

Jan: „Kiedy ja się zgłosiłem do akcji radomskiej, wiedziałem, że mam się stawić w czyimś mieszkaniu, chyba u Romaszewskich na Ochocie, gdzie dostanę informacje o adresach konkretnych radomskich rodzin. I że mam zawieźć im pieniądze, spisać relacje z pobytu w więzieniu lub o tym, jak traktowała ich po aresztowaniu milicja, ZOMO czy służba więzienna”.

ODDECH UBEKA

„Na komendzie miejskiej MO wprowadzili mnie do pokoju i tam zaczęli bić tak, że straciłem przytomność. Ocknąłem się w innym pokoju. Miałem złamany nos. Na świetlicy jakiś kapral zaczął mnie bić i kopać. Najpierw przewróciłem się, a potem znowu straciłem przytomność. Obudziłem się bez zębów” – to opowieść robotnika Ferdynanda Ufniarza, którą spisał Jan.

„Staraliśmy się opatrywać relacje nazwiskami autorów, by nie były anonimowe – tłumaczy. – To było bardzo ważne świadectwo tego, co się wydarzyło. Oni opowiadali, a my notowaliśmy i redagowaliśmy ich relacje. Przepisane na maszynie teksty wracały do autorów, którzy je podpisywali i wysyłali. Namawialiśmy ludzi, żeby pisali do Prokuratora Generalnego skargi na zachowanie milicji i ZOMO. Od jesieni 1976 do wiosny 1977 roku takich skarg złożyli ponad sto. Często SB namawiało potem te osoby, żeby wycofały wysłane już skargi. Bo jednak było tak, że kiedy wyjeżdżaliśmy, ci ludzie często zostawali sami”.

Rafał: „Dzielnicowi chodzili do nich i wywierali presję. Te osoby były pod stałą kuratelą, ciągle je wzywano na przesłuchania, grożono im ponownym aresztowaniem. I właśnie w związku z tym przestałem w pewnym momencie jeździć do Radomia, bo wydawało się, że jedna z tych osób doniosła na mnie. Po czasie okazało się, że rzeczywiście tak było. To był jeden z liderów lokalnej grupy współpracującej z KOR-em. Wychodząc od niego, wiedziałem, że mam ogon. Nie poszedłem już wtedy pod inne adresy. No cóż, wyglądałem podejrzanie. Miałem brodę, jakąś czerwoną czapkę i byłem charakterystyczny”.

Agnieszka, śmieje się: „Rafał jako dobry syn nałożył tę czerwoną czapkę i był widoczny. Czasem ci nasi wyglądali jak chłopcy z AK w czasie okupacji, którzy chodzili po Warszawie w oficerkach z chlebakami, myśląc, że Niemcy tego nie widzą”.

Rafał: „Kluczyłem wtedy ulicami miasta i cały czas widziałem za sobą śledzących mnie ubeków. Karteczkę z adresami zniszczyłem od razu, ale miałem paczkę z »bibułą« i było mi trochę szkoda ją wyrzucać. Wszedłem do kościoła, ubek wszedł za mną, ale udało mi się ukryć tę paczkę za kaloryferem. Kiedy wsiedli za mną do autobusu jadącego do Warszawy, byłem przekonany, że mnie zgarną, ale kiedy autobus dojechał do rogatek miasta – wysiedli. I taki był koniec moich wyjazdów do Radomia”.

Jan: „Ja miałem ten wspomniany młody wygląd, usypiający czujność esbeków. A może trochę więcej szczęścia? Bez żadnych wpadek jeździłem do Radomia do lata 1977 roku”.

Agnieszka: „Ja też miałam »dobry wygląd«. Któregoś dnia siedzę przy stole, opowiadam, po co przyjechałam, mam jakąś »bibułę«. Wchodzi facet, orientuję się, że to milicjant. Pyta dziewczynę, kim ja jestem. Ona: »To moja koleżanka. Oglądamy modę«. Zosia Romaszewska poinstruowała mnie wcześniej, by mieć ze sobą na wszelki wypadek jakąś babską prasę, typu »Kobieta i Życie«, a nie książki. Milicjant nie zorientował się, kim jestem”.

WYCIĄGNĄĆ LUDZI Z WIĘZIENIA

Śmieszne historie łączyły się z dramatycznymi. W połowie września 1976 roku esbecy pobili Ludwika Dorna – najpierw lżyli antysemickimi wyzwiskami, a potem bili pałkami w pięty. „Nieznani sprawcy” pobili też Jana Tomasza Lipskiego, Marka Tomczyka, kilkakrotnie Chojeckiego.

Moi rozmówcy w jednym są zgodni: odkąd na procesy zaczęli jeździć ludzie o znanych nazwiskach, SB już mniej przeszkadzało. Trudno było zamykać takich członków KOR-u, jak pisarka Anka Kowalska, aktorka Halina Mikołajska, mecenas Aniela Steinsbergowa, obrończyni w procesach politycznych jeszcze przed II wojną, czy Antoni Pajdak, uczestnik procesu szesnastu. Albo Jacek Bocheński czy Andrzej Seweryn.

Jan: „Najważniejszą rzeczą było, obok pomocy materialnej, by ludzi, którzy dostawali często bardzo wysokie wyroki, wyciągnąć z więzienia – co w końcu nastąpiło, bo z okazji święta 22 lipca 1977 roku władze ogłosiły amnestię i uwolniły ostatnich robotników aresztowanych po wydarzeniach Czerwca ’76”.

Gdyby nie KOR-owska akcja pomocy, ta u podstaw, materialna, ale też naciski na władze, petycje, nagłaśnianie sprawy przez zachodnie media i Wolną Europę, pewnie długo by jeszcze w tym więzieniu siedzieli. ●



• Kościół św. Marcina w Warszawie, 1 listopada 1978 rok, Agnieszki Wolfram z Rafałem Zakrzewskim. „To była 60. rocznica odzyskania niepodległości. „Członkowie KOR m.in Aniela Steinsbergowa i Jacek Kuroń rozdawali ulotki pod nieodległą katedrą, a potem przyszli na nasz ślub”

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



• Jan Cywiński w 1977 roku. „Miałem lat 20 lat, wyglądałem na 17, jak licealista, nikt się mnie nie czepiał”.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Korzystałem z: Jan Skórzyński „Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników” Świat Książki, 2012; „Droga do wolności” – rozmowa Grażyny Olewniczak z Janem Cywińskim i Rafałem Zakrzewskim (ruchkod.pl, 2016); rozmowa Anny Wacławik z Agnieszką Wolfram-Zakrzewską (radio Tok FM, 2018); rozmowa Waldemara Kumóra z Ewą Milewicz („Newsweek”, sierpień 2024)

eprasa.pl 97b7b16417

ZNANY JEST Z WROGIEJ POSTAWY...

Na Okęciu esbek zabrał prof. Kielanowskiego do kabiny i kazał mu się rozebrać się do naga. W ubraniu nic nie znalazł, dopiero w walizce, w kieszeni pidżamy, była kartka z opisem wydarzeń w Ursusie.

Andrzej Friszke

W numerze otwierającym rocznik 1975 paryskiej „Kultury" ukazał się artykuł nadesłany z kraju pt. „Jakiej pragnąć Polski?". Autor Teodor Dąbczewski jako naczelną ideę Polaków w okresie rozbiorów wskazywał dążenie do niepodległości. Po roku 1918 trwała ona krócej niż pokolenie, ale oddech 20 lat wolnej Polski „ożywia nas po dziś i na długo jeszcze będzie musiał wystarczyć". Bowiem „pragnienie takiej niepodległości, jaką opatrzność dała nam przeżyć pomiędzy wojnami, w obecnym układzie politycznym Europy i świata jest nierealne".

Autor zauważał, że wprawdzie wolność w PRL – religii, kontaktów z Zachodem, bardziej liberalnej cenzury, awansowania osób politycznie niezdeklarowanych – jest szersza niż w czasach zaborów i niż w innych krajach podległych Moskwie, ale wciąż nie zapewnia ciągłości świadomości i kultury narodowej. „Nadzieja na odzyskanie prawdziwej niepodległości jest znikoma, a przedłużanie się obecnego stanu grozi wynarodowieniem". „Przerwanie supremacji politycznej Związku Sowieckiego i jego dążeń imperialistycznych jest niezbędnym warunkiem zachowania ciągłości narodowej Polski, a z nią wielu innych narodów".

Sprzymierzeńcami polskich dążeń do wolności – pisał – są narody ukraiński, litewski, białoruski, czeski i słowacki, a także rosyjski, „którego wyzwolenie od duszącej go doktryny mieć będzie dla przyszłości rozstrzygające znaczenie". Jako nieodłączne od naszej kultury narodowej wymieniał wolność sumienia, tolerancję narodową i religijną, sprawiedliwość społeczną. Dzięki tym zasadom „naród nasz miałby zatem warunki do nieskrępowanego rozwoju".

SPRAWA „AMICI" I LOŻA „KOPERNIK"

W MSW ustalono, że pod pseudonimem Teodor Dąbczewski kryje się prof. Jan Kielanowski. Już we wrześniu 1975 r. podsłuch w mieszkaniu pozwolił ustalić, że „w środowisku naukowym warszawskim istnieje zakonspirowany nielegalny związek, w skład którego wchodzi m. in. prof. Jan Kielanowski". W uzasadnieniu „rozpracowywania" wymieniano: prof. Edwarda Lipińskiego, Antoniego Słonimskiego, Jana Olszewskiego, Ludwika Cohna, Jakuba Karpińskiego, Jerzego Jasińskiego z Instytutu Nauk Prawnych PAN. Przy czym Kielanowski obok Lipińskiego „jest czołową postacią w omawianym nielegalnym związku". „J. Kielanowski od chwili powstania Polski Ludowej znany jest z wrogiej postawy do ustroju społeczno-politycznego w Polsce i ZSRR. Kilkakrotnie był rozpracowywany jako podejrzany o utrzymywanie kontaktów z przedstawicielami placówek dyplomatycznych w Polsce – kadrowymi pracownikami służb wywiadowczych na Zachodzie".

Obciążeniem był brat Leopold Kielanowski, teatrolog na emigracji w Londynie współpracujący z Radiem Wolna Europa, a także fakt, że córka profesora Magda wyszła za obywatela brytyjskiego. W esbeckich notatkach wymieniano kontakty profesora z Tadeuszem Żenczykowskim, byłym wieloletnim zastępcą dyrektora Rozgłośni Polskiej RWE, od 1974 r. mieszkającym w Londynie.

Od 1975 r. Kielanowski będzie „rozpracowywany" przez Służbę Bezpieczeństwa (sprawa „Amici"). Owym „nielegalnym związkiem" była loża wolnomularska „Kopernik" wznowiona w 1962 r. m. in. przez Jana Józefa Lipskiego. Kielanowski został przyjęty do loży 9 listopada 1975; od 1972 r. jej członkami byli prof. Lipiński, Słonimski, Cohn i wspomniany prof. Jasiński. Według podsłuchów SB w zebraniach uczestniczyło około dziesięciu osób związanych z Janem Józefem Lipskim, krytykiem literackim zatrudnionym w Instytucie Badań Literackich PAN, a w latach 1956-62 sekretarzem Klubu Krzywego Koła, animatorem wielu wystąpień w obronie wolności słowa i przeciw represjom politycznym.

Jesienią 1975 r. środowiska inteligencji krytycznej wobec władzy PZPR oburzył projekt, by wpisać do konstytucji PRL kierowniczą rolę tej partii w państwie oraz uzależnienie praw obywateli od wypełniania obowiązków. Środowisko Lipskiego, Olszewskiego, Jacka Kuronia i Anieli Steinsbergowej zaczęło zbierać podpisy pod protestacyjnym memoriałem przeciw wpisaniu do konstytucji kierowniczej roli partii. Była to też deklaracja zasad państwa demokratycznego, praworządnego, opartego na wolności praw obywatelskich, tolerancji wobec światopoglądów, wolności kultury i nauki. Wśród 59 sygnatariuszy było wielu ludzi znanych w środowiskach twórczych, naukowych oraz działających na rzecz demokracji i niepodległości w II RP i w czasie II wojny światowej. W styczniu 1976 r. PZPR „dorzuciła" wpisanie do konstytucji „braterskiej więzi ze Związkiem Radzieckim". Wtedy kilkunastu sygnatariuszy listu 59, w tym Kielanowski, podpisało kolejny list – w obronie suwerenności państwa.

W MSW planowano „działania profilaktyczno-operacyjne zmierzające do zneutralizowania jego działalności, zwłaszcza w środowisku naukowców oraz młodzieży akademickiej". W PAN podjęto działania „mające na celu odsunięcie [Kielanowskiego] od spraw zagranicznych, tzn. niewysyłania go na sympozja i konferencje naukowe". 15 stycznia 1976 r. MSW zakazało Kielanowskiemu wyjazdów za granicę.

Protesty wobec kierowniczej roli partii w konstytucji podpisywali również studenci na Uniwersytecie Warszawskim, Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, Uniwersytecie Gdańskim. List 92 studentów opublikuje paryska „Kultura" we wrześniu 1976 r.

RELEGOWANY „PROFILAKTYCZNIE"

Falę wzburzenia podtrzymały wiosną 1976 r. szykany wobec studentów Jacka Smykała i Stanisława Kruszyńskiego. Smykała, studenta III roku Wydziału Lekarskiego Pomorskiej Akademii Medycznej, wyrzucono 13 lutego z uczelni za – jak uzasadniał rektor — „wywoływanie w umysłach słuchaczy niepotrzebnych wątpliwości" na zajęciach z nauk politycznych. Smykał odwołał się do ministra zdrowia, a kopie odwołania rozpowszechniali w maszynopisach studenci protestujący ws. konstytucji. Smykał pisał: „Sądziłem, i tak też sądzili wszyscy studenci, że zajęcia z podstaw nauk politycznych są właściwym miejscem do szczerej dyskusji w kwestiach politycznych i filozoficznych, że wypowiadanie wyłącznie konformistycznych sądów nie jest celem zajęć".

Rektor wymienił też inny powód relegowania: niewłaściwe zachowanie podczas przesłuchania w Komendzie Wojewódzkiej Milicji. Smykał bowiem odmówił składania wyjaśnień, gdyż oficer SB nie podał, czy jest przesłuchiwany jako świadek, czy podejrzany. Nakłaniano go do zeznań „przedstawianiem ujemnych skutków mojej postawy i dla mnie, i dla moich rodziców. W końcu zażądano ode mnie napisania i podpisania oświadczenia i zobowiązania, że wszelkie moje wypowiedzi w przyszłości będą lojalne, a gdy wobec bezprawności takiego żądania odmówiłem – zapowiedziano mi wydalenie ze studiów ze względów profilaktycznych". Odwołanie Smykała zostało odrzucone przez ministra 17 marca 1976 r.

„SZKALOWAŁ" PZPR W LISTACH DO BRATA

Prokuratura Wojewódzka w Lublinie 24 listopada 1975 r. sporządziła akt oskarżenia Stanisława Kruszyńskiego,



• Uniwersytet Warszawski, Audytorium Maximum, 6 października 1980 roku. Wykład Towarzystwa Kursów Naukowych, od lewej: prof. Jan Kielanowski , prof. Edward Lipiński i Jacek Czaputowicz

FOT. ANDRZEJ FRISZKE/ FOTONOVA/EAST NEWS

eprasa.pl 97b7b16417



studenta KUL tymczasowo aresztowanego 23 października, o to, że „w okresie od czerwca do 23 października 1975 r. w Lublinie rozpowszechniał fałszywe wiadomości mogące wyrządzić poważną szkodę interesom PRL poprzez rozsyłanie do różnych osób korespondencji, w której kłamliwie i tendencyjnie przedstawiał zagadnienie stosunków politycznych, społecznych, gospodarczych Państwa Polskiego”. Podstawą oskarżenia były przejęte przez SB listy do brata – Jana Kruszyńskiego z Tczewa. W akcie oskarżenia wymieniano „szkalowanie” PZPR i jej ideologii, „opinie” o Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, „wyszydzanie” naczelnych organów PRL oraz układów „z zaprzyjaźnionymi krajami”. W mieszkaniach Kruszyńskiego i jego korespondentów skonfiskowano listy i książki, w tym publikacje paryskiej „Kultury”. Sąd Rejonowy w Lublinie skazał 27 marca go na 10 miesięcy więzienia.

Cel: „kompromitacja figuranta w oczach studentów, że wysługuje się władzom i ujawnił ich nazwiska”

Wiosną 1976 r. w środowisku warszawskiej opozycji powstała petycja do przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego w obronie obu studentów: „Szczere i otwarte wyrażanie swych poglądów jest społecznie pożądane.

Gdy zaś wypowiadane są one na naturalnym forum dyskusyjnym grupy ćwiczeniowej lub w korespondencji z bliskimi sobie osobami, to – niezależnie od ich treści – nie stanowią one żadnego zagrożenia dla interesów państwa. Dlatego uważamy, że represje, z jakimi spotkali się J. Smykał i S. Kruszyński, za nieuzasadnione. Zwracamy się do Rady Państwa, by ustaliła przyczyny, które umożliwiły bezpodstawne i szkodliwe społecznie decyzje, oraz podjęła kroki, które zapobiegłyby podobnym postanowieniom w przyszłości”.

Podpisy zbierano wśród studentów Warszawy, Lublina i Gdańska. Na Uniwersytecie Warszawskim zbiórkę koordynowali studenci, którzy znali się z nieoficjalnych seminariów w Klubie Inteligencji Katolickiej; organizował je m.in. Jan Józef Lipski. A także – z kręgu „komandosów” z Marca 1968 lub harcerskiej „Czarnej Jedynki”. Byli to m.in.: na socjologii Jan Ajzner, Jan Tomasz Lipski, Ludwik Dorn i Urszula Doroszewska, na historii Łukasz Kądziela i Bronisław Komorowski, na matematyce Dariusz Kupiecki, Stefan Kawalec i Sergiusz Kowalski.

POWIERNIK STUDENTÓW

W notatce z początku lipca 1976 r. SB pisze, że Lipski przyprowadził do profesora Kawalca i Kowalskiego, by zapoznali go z petycją 638 studentów, i zaproponował, by Kielanowski był odbiorcą odpowiedzi władz. Kielanowski napisał 24 czerwca do Jabłońskiego, żeby przesłał mu odpowiedź na petycję.

Henryk Jabłoński zaprosił go na rozmowę 13 lipca. Przedtem Kielanowski odwiedził prof. Lipińskiego; jego mieszkanie było na podsłuchu. Notatka oficera SB jest mętna, choć istotę można wydobyć. Kielanowski zamierzał pokazać Jabłońskiemu kopie listów konstytucyjnych, żeby wykazać, że nie jest antagonistą, a sygnatariusze listów bronią podstawowych praw. Że to pozytywna aktywność, fatalny byłby konformizm studentów. Profesorowie zapoznali się także z listem kilkunastu studentów solidaryzujących się z protestującymi 25 czerwca robotnikami Radomia i Ursusa; wśród sygnatariuszy byli Kawalec i Kowalski. Rozmowa dotyczyła też protestów robotniczych i śmierci Antoniego Słonimskiego.

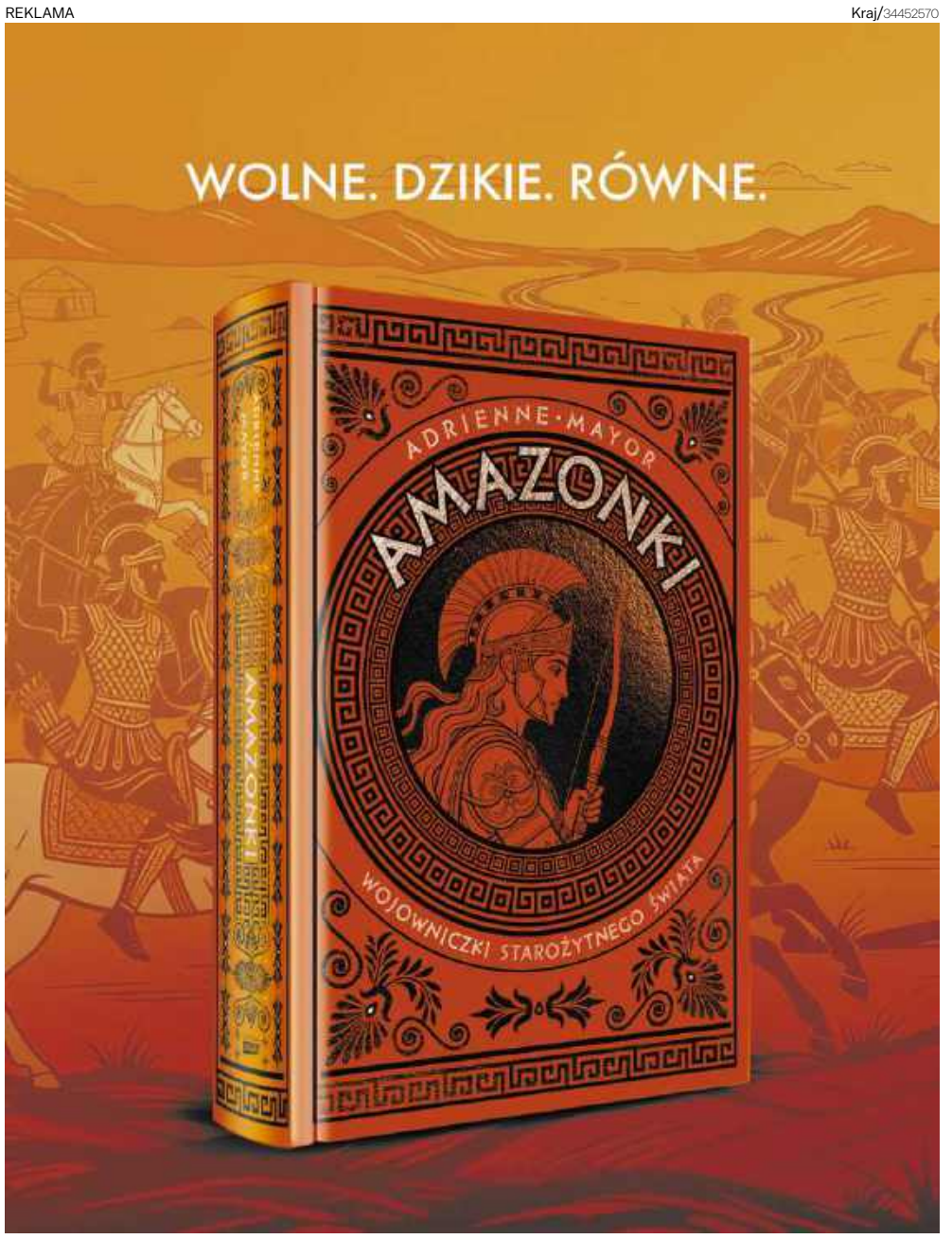
Rozmowę z Jabłońskim Kielanowski zrelacjonował Lipińskiemu i Lipskiemu „ [Jabłoński] nie podzielał jego obaw w przedmiocie niezadowolenia młodzieży odnośnie zachodzących przemian w Polsce, [ocenił], że są to sprawy marginalne”. Kielanowski uznał zaś petycje za wyraz buntu. Lipiński i Lipski odrzucali opinię Kielanowskiego, że podwyżki cen były konieczne. Ale zgodnie krytykowano nierzetelność informacji mediów PRL o protestach robotniczych, w przeciwieństwie do Wolnej Europy i BBC. „J. Kielanowski zamierza rozmowę z Przewodniczącym Rady Państwa opracować w formie pisemnego dokumentu, ponieważ w przypadku ponownych represji odnośnie osób, które podpisały petycję, będzie mógł się powołać, że czynił to w dobrej wierze”. Lipski proponował, by przekazał odpowiedź Jabłońskiego Kawalcowi i Kowalskiemu.

14 września 1976 r. Kielanowski napisał list otwarty do studentów:

„Szanowni Koledzy,

Zgodnie z przyrzeczeniem zwróciłem się pisemnie do prof. Henryka Jabłońskiego, Przewodniczącego Rady Państwa, z uprzejmą prośbą, by ustosunkowując się do skierowanego pod jego adresem zbiorowego listu Kolegów dotyczącego relegacji J. Smykała oraz dochodzeń przeciw S. Kruszyńskiemu, posłużył się moim pośrednictwem. Wkrótce potem prof. H. Jabłoński do mnie zatelefonował, proponując osobiste spotkanie. Na spotkanie to przybyłem 13 lipca do Belwederu, gdzie przyjaźnie przyjęty przez prof. Jabłońskiego, odbyłem z Nim godzinną rozmowę. Dotyczyła ona nie tylko listu Kolegów, lecz także innych zagadnień o istotnym znaczeniu. Prof. Jabłoński, na tle obecnej sytuacji, wskazał jako najważniejszy cel dążeń osiągnięcie w naszym kraju pełnej demokracji socjalistycznej, podkreślając niezbędność udziału w jej stopniowym urzeczywistnianiu całego społeczeństwa, niezależnie od zapatrywań politycznych, jeśli tylko nie będą sprzeczne z zasadą społecznego władania środkami produkcji. W drodze do tego celu oczywiste jest znaczenie powszechnej i swobodnej wymiany poglądów. Rozmawialiśmy również o aktualnej sytuacji gospodarczej.

REKLAMA Kraj/34452570



eprasa.pl 97b7b16417

Mówiąc o meritum listu Kolegów, prof. Jabłoński wspomniał, że S. Kruszyński zwolniony został z aresztu, jeszcze zanim list ten został wysłany, i obecnie będąc na wolności, oczekuje rozprawy apelacyjnej. Sprawa J. Smykały należy natomiast do kompetencji Szkolnictwa Wyższego.

Prof. Jabłoński wyraził przekonanie, że sygnatariusze tego listu, a w każdym razie ogromna ich większość, kierowali się wyłącznie szlachetnymi pobudkami. Zgodził się również, że otwarte i jawne postępowanie przy redagowaniu listu i zbieraniu podpisów przemawia dodatnio o młodzieży akademickiej. Pewien jestem, że sygnatariusze listu z satysfakcją dowiedzą się o tym ustosunkowaniu się Przewodniczącego Rady Państwa do ich wystąpienia.

W moim własnym imieniu pragnę powiedzieć, że trudno mi przypuścić, by władze UW zastosowały wobec sygnatariuszy omawianego listu zbiorowego jakiekolwiek represje i że wyrażone w tej mierze obawy są chyba nieuzasadnione. Pragnę także oświadczyć, że wystąpieniem swym dali Koledzy wyraz poglądom, nurtującym również szerokie kręgi starszych obywateli, przede wszystkim zaś okazali bezkompromisowość etyczną i odwagę. Cechy te były u młodzieży zawsze wysoko cenione, wzbudzają one w starszym społeczeństwie otuchę i umacniają wiarę w przyszłość.

Jan Kielanowski".

Kopię listu wywiesił na Wydziale Historii UW przewodniczący Studenckiego Koła Naukowego Historyków Bronisław Komorowski ze wstępem: „Poproszono prof. Jana Kielanowskiego, członka rzeczywistego Polskiej Akademii Nauk, by zwrócił się do Przewodniczącego Rady Państwa prof. Henryka Jabłońskiego z propozycją pośrednictwa w przekazaniu odpowiedzi na wystosowane listy".

ZAŁÓŻMY WŁASNY KOMITET

Po wystąpieniach robotników Radomia i Ursusa 25 czerwca 1976 r. do warszawskiego środowiska opozycyjnego zaczęły napływać, początkowo z Ursusa, wiadomości o represjach wymierzonych w protestujących, skazywaniu na 1-3 miesiące aresztu przez kolegia ds. wykroczeń, o biciu na komendach milicji. W Sądzie Rejonowym w Warszawie 16 i 17 lipca przed salą rozpraw przeciwko siedmiu robotnikom Ursusa zebrało się kilkudziesięcioro opozycjonistów, w tym: Jacek Kuroń, Jan Józef Lipski, Antoni Macierewicz, studenci Kowalski, Kawalec, Dorn. Dzięki kontaktom z rodzinami oskarżonych rozpoczęli akcję pomocy prawnej dla ofiar represji oraz zbiórkę na zasiłki dla rodzin uwięzionych i wyrzuconych z pracy. Młodzi zaczęli jeździć do Ursusa, by poznać skalę represji po 25 czerwca, potrzeb rodzin robotników, adresy uwięzionych. Od przełomu sierpnia i września docierali do Radomia, gdzie represje były jeszcze surowsze.

12 września u prof. Lipińskiego zebrało się około 20 osób, głównie sygnatariuszy listu 59. Jan Józef Lipski opisał represje, potrzeby finansowe i zaproponował powołanie komitetu, by patronował akcji. Pomocą finansową objęto już 80 rodzin, wydając 95 tys. zł (średnia pensja wynosiła wówczas 3-4 tys.) na koszty procesowe, grzywny i obrońców. Pomysł komitetu budził zastrzeżenia – że władze uznają go za nielegalną organizację i zastosują represje. Kielanowski i Cohn proponowali włączenie do akcji Duszpasterstwa Miłosierdzia, z którym kontakt miał Lipski. Obawiano się jednak, czy Kościół zechce tak się angażować. Ostatecznie wszyscy obecni wydali deklarację solidarności z represjonowanymi i pomocy dla nich.

W notatce SB z podsłuchu czytamy: „dyskutanci zdecydowali się przyjąć koncepcję przedstawioną w ogólnych zarysach przez prawdopodobnie Jana Kielanowskiego i Józefa Rybickiego utworzenia Komitetu Obrony Praw Człowieka i Obywatela działającego w oparciu o Kartę Praw Człowieka ONZ". Wybrano grupę roboczą do przygotowania dokumentu w składzie: Aniela Steinsbergowa, Jan Olszewski, Józef Rybicki.

W notatce z 18 października esbek pisał: „W dniu 15. 09 br. w obiekcie krypt. »Stary« prof. Jan Kielanowski mówiąc o konieczności przekazania na Zachód (do 'Kultury' paryskiej i RWE) pisemnej relacji z zajść w Ursusie wspomniał, że kilka dni wcześniej rozmawiał z Sergiuszem Kowalskim, Stefanem Kawalcem i Ludwikiem Dornem, czynnie zaangażowanymi w akcji niesienia pomocy uczestnikom wydarzeń czerwcowych. Powyższy fakt pozwala przypuszczać, iż prof. Kielanowski otrzymał dokument zawierający relację z Ursusa właśnie od wyżej wymienionych osób".

17 września w centrali SB postanowiono skontrolować na lotnisku Jana i Zofię Kielanowskich przed lotem do Paryża; profesor miał uczestniczyć w sympozjum w Vichy 21-25 października. Podczas rewizji osobistej i kontroli bagażu esbecy mieli się zwracać do profesora pseudonimem z „Kultury" Teodor Dąbczewski. Gdyby nic nie znaleziono, esbek miał przeprosić, ale i ostrzec przed prowadzeniem „wrogiej działalności". Gdyby zaś coś znaleziono, miał odebrać Kielanowskim paszporty i uprzedzić, że skoro wykorzystują wyjazdy w celach wrogich PRL, to już więcej nie wyjadą ani służbowo, ani prywatnie. Scenariusz autorstwa naczelnika Wydziału III Departamentu III MSW ppłk. R. Szczerbińskiego zaaprobował dyrektor tego departamentu gen. Adam Krzysztoporski.

Rano 18 września na Okęciu esbecy zabrali Kielanowskich do „kabiny" i zażądali materiałów, których nie wolno wywieźć z PRL. Profesor odparł, że niczego nielegalnego nie wywozi. Esbek kazał mu rozebrać się do naga, ale w ubraniu nic nie znaleziono. Przetrzepano walizkę i w kieszeni pidżamy znaleziono kartkę z opisem wydarzeń w Ursusie. Profesor wyjaśnił, że opracowanie przynieśli mu studenci, ich nazwisk nie pamięta, kontaktował się z nimi ws. interwencji u Jabłońskiego. Esbek przerwał: nie obchodzą go kontakty z Jabłońskim, „tylko jego działalność prowadzona pod pseudonimem »Teodor Dąbczewski«". Nerwową rozmowę zakończył ofertą: „Przyjąć wszystkie moje warunki i oddać się do dyspozycji służby, którą reprezentuję". Profesor odmówił. Paszport został unieważniony.

W tym czasie trwały narady nad utworzeniem komitetu patronującego pomocy dla robotników. Wątpliwości prawników przełamywał zwłaszcza Jacek Kuroń, zwolniony 13 września z przymusowych ćwiczeń wojskowych. Na powołanie komitetu nalegał Macierewicz, wsparty przez Lipińskiego. Wieczorem 22 września w mieszkaniu Steinsbergowej zdecydowano. „Apel do społeczeństwa i władz PRL" podpisał Komitet Obrony Robotników – ofiar represji po protestach 25 czerwca 1976 (w dalszych oświadczeniach to rozwinięcie pomijano). List przewodni napisał Jerzy Andrzejewski, apel z podpisami wysłała pocztą do marszałka Sejmu Marta Miklaszewska.

Założycielami KOR byli: Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Ludwik Cohn, Jacek Kuroń, Edward Lipiński, Jan Józef Lipski, Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, Antoni Pajdak, Józef Rybicki, Aniela Steinsbergowa, Adam Szczypiorski, ks. Jan Zieja, Wojciech Ziembiński. Jeszcze we wrześniu dołączyła Halina Mikołajska, w październiku – Mirosław Chojecki, Emil Morgiewicz, Wacław Zawadzki, w listopadzie – Bogdan Borusewicz.

Pozostali uczestnicy akcji pomocy i związanych z nią inicjatyw określani byli jako „współpracownicy KOR". Komitet nie miał przewodniczącego ani sekretarza, statutu ani programu innego niż pomoc uwięzionym i wyrzuconym z pracy. Prawnicy zadbali, by KOR nie był uznany za stowarzyszenie, więc nie podlegał formalnej legalizacji. Był jednak pierwszą od dziesięcioleci formą sprzeciwu wobec bezprawnych metod władzy.

KANIA WOLI NĘKANIE

List do marszałka Sejmu zwrócono jako „nienadający się do rozpatrywania". 23 września 1976 MSW zarejestrowało operacyjne rozpracowanie, kryptonim „Gracze". Około 8 października w KC PZPR odbyła się narada z kierownictwem resortu, a 14 października – u wiceministra spraw wewnętrznych Stachury – spotkanie z prokuratorem generalnym, dyrektorem Departamentu III i Biura Śledczego MSW. Postanowiono sparaliżować KOR, m.in. za pomocą zarzutów karnych.

„Zdecydowano – pisał dyrektor Biura Śledczego płk Tadeusz Kwiatkowski – że prof. J. Kielanowskiemu zostanie przedstawiony zarzut w związku ze znalezieniem u niego podczas kontroli celnej paszkwilu dot. ekscesów z dnia 25. 06. 1976 r. (art. 273 par. 2 w zw. z art. 271 par. 2 kk)". Ów „paszkwil" to opracowanie organizatorów pomocy pt. „Opis akcji represyjnej podjętej wobec pracowników ZM Ursus i innych zakładów (na podstawie relacji wielu świadków)".

Według informacji MSW dla Biura Politycznego KC PZPR z 19 października operację miała nadzorować Prokuratura Wojewódzka w Warszawie. Zarzut: „wejście w porozumienie z osobami z wrogich organizacji na Zachodzie w celu działania na szkodę interesów politycznych PRL oraz przekazywania tym osobom fałszywych wiadomości mogących wyrządzić poważną szkodę interesom naszego kraju". 21 października gen. Krzysztoporski napisał do prokuratora wniosek o aresztowanie Lipskiego na podstawie artykułów Kodeksu karnego, które wymienił dyrektor Biura Śledczego, i na podstawie art. 132. Planowano rewizje u Lipskiego oraz u 13 innych animatorów KOR, w tym jego członków: Macierewicza, Barańczaka, Kuronia, współpracowników: Seweryna Blumsztajna, Jana Lityńskiego, Teresy Boguckiej, Barbary Toruńczyk. Akcja SB miała nastąpić 22 października, ale w przeddzień zatrzymały ją władze polityczne.

Na naradzie u sekretarza KC Stanisława Kani 22 października planu uderzenia bronili Stachura i Krzysztoporski, ten drugi zauważył: „Sprawa J. Kielanowskiego ma tylko znaczenie pomocnicze (że nie ma ludzi nietykalnych)". Kania wyłożył potrzebę zwalczania KOR, ale bez działań, które przysporzą mu popularności na uczelniach, wśród literatów i za granicą. Zamiast procesu wolał działania operacyjne, nękanie, utrudnianie życia.

CEL: „KOMPROMITACJA FIGURANTA"

Nazwisko Kielanowskiego w dokumentach założycielskich ani w pierwszych „Komunikatach" KOR nie padło. Zapewne nie wiedział, że groziło mu aresztowanie i proces. W MSW oficer Dybich opracował plan rozmów operacyjnych, aby „przysporzyć J. Kielanowskiemu kłopotów ze strony osób, które dotychczas onieśmielone jego pozycją godziły się na jego hegemonię w Instytucie". Jego współpracownikom w Instytucie Fizjologii i Żywienia Zwierząt PAN chciał np. ujawnić próby wywiezienia z Polski materiału o „wrogiej treści".

Aby wzbudzić nieufność do Kielanowskiego na uczelniach, SB chciała ujawnić, że na Okęciu przyznał, iż wywożony tekst otrzymał od studentów. Cel: „kompromitacja figuranta w oczach studentów, że wysługuje się władzom i ujawnił ich nazwiska, zamierzenie i dążenie". Jednak wedle szczegółowej notatki SB z 18 października profesor żadnych nazwisk nie podał, ogólnie tylko powiedział, że materiał mógł dostać od studentów. Nazwiska tych, z którymi Kielanowski rozmawiał, esbecy znali z podsłuchów u prof. Lipińskiego.

Prof. Kielanowski jako współpracownik KOR należał w grudniu 1976 r. do inicjatorów listu profesorów do Sejmu o powołanie nadzwyczajnej komisji dla zbadania represji po 25 czerwca 1976 r. Latem 1977 został członkiem KOR i następnie jego kontynuacji – Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR". W 1978 r. należał do założycieli Towarzystwa Kursów Naukowych i długo stał na czele jego Komisji Programowej.

Historia akcesu prof. Kielanowskiego do opozycji demokratycznej w czasach dyktatury pokazuje, jakiej odwagi, a zarazem ostrożności taka aktywność wymagała. Gdy władze monopartii i bezpieka łamały prawa obywatelskie studentów, robotników i naukowców nawet o najwyższej pozycji społecznej, walka o demokratyczne wartości wiązała się z ryzykiem osobistym. Ludzie z kręgu, w którym obracał się Kielanowski, przełamywali strach przed monopolistyczną władzą i jej systemem bezprawia. Prawo miało bowiem wymuszać na obywatelach podległość, bierność, milczenie wobec zła, krzywd, fałszowania historii, akceptacji kłamstwa, cenzury. Podważanie systemu skutkowało represjami. Władza zwykle nie zamykała już w więzieniach ludzi próbujących korzystać ze swoich suwerennych praw, ale nie bez wahań, o czym świadczą szykany wobec Smykała i Kruszyńskiego oraz robotników po czerwcu, próba represji karnych wobec organizatorów KOR w październiku 1976 r.

Na szczęście, jesienią 1976 władze uznały represje za zbyt kosztowne z powodu kryzysu ekonomicznego, zależności PRL od zachodnich kredytów i obawy przed protestami społecznymi. Zaczęły szukać porozumienia z przywódcami Kościoła, którzy przestrzegali przed stosowaniem represji i procesami politycznymi. Dzięki temu ludzie odważni i rozważni mogli tworzyć zalążki samoorganizacji, wolnej kultury i demokratycznego myślenia o przyszłej wolnej Polsce. ●

Prof. dr hab. Andrzej Friszke – jeden z najwybitniejszych polskich historyków, członek PAN, autor wielu książek o II RP i PRL.

Wybrane źródła: „Kultura" (Paryż) nr 1-2, styczeń-luty 1975; Ł. Garbal, „Jan Józef Lipski. Biografia źródłowa", Warszawa 2018; M. Jusińska-Choma, „Środowiska opozycyjne na Lubelszczyźnie 1975-1980", Lublin 2009; M. Kunicki-Goldfinger, „Samorząd studentów Uniwersytetu Warszawskiego w latach 1980-1982", Kraków 2024; A. Kunicka-Goldfinger, M. Kunicki-Goldfinger, „Janusz Krupski. Opozycjonista i polityk", Warszawa 2021, A. Friszke, „Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności", Kraków 2011; J. Skórzyński, „Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników", Warszawa 2012; A. Friszke, „Edwarda Lipińskiego droga do Komitetu Obrony Robotników i miejsce w jego działalności", w: „Pieniądz, historia, polityka. Studia ofiarowane prof. dr hab. Wojciechowi Morawskiemu w 70. Rocznicę urodzin", SGH, Warszawa 2024; „Rozmowy na Zawracie. Taktyka walki z opozycją demokratyczną październik 1976-grudzień 1979", oprac. A. Friszke, M. Zaremba, Warszawa 2008; oraz dokumenty archiwalne IPN i ze zbiorów autora.

eprasa.pl 97b7b16417

Historia krzepi

Nowe życie w koszarach Ludendorffa

Tuż po wojnie liczbę sierot i półsierot szacowano w Polsce na 1,5 mln, wiele z nich znalazło dom w ośrodku w Bartoszycach.



Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

IPN, który od lat majoryzuje badania nad dziejami PRL-u, koncentruje uwagę na kwestiach politycznych, głównie opresyjności aparatu władzy i różnych formach antykomunistycznego oporu. Społeczeństwo schodzi na dalszy plan, a szkoda, bo to ono, także w tamtym okresie, było najważniejszym podmiotem dziejów.

Jego tytaniczny, a do dziś niedoceniony wysiłek miał miejsce zwłaszcza w pierwszych, powojennych latach. Było to działanie autonomiczne, bez udziału komunistów, przywiezionych na sowieckich czołgach i zajętych umacnianiem panowania. Nie oglądając się na obcą im władzę, miliony Polaków z niebywałą energią przystąpiły do odbudowy zniszczonego przez wojnę kraju.

Potrzeby były ogromne. Cierpiały zwłaszcza dzieci. Według spisu z czerwca 1945 r. ponad 22 procent, czyli nawet 1,5 miliona młodych Polaków stanowiły sieroty, półsieroty, dzieci opuszczone i zagubione. Wojna się skończyła, ale one ciągle wegetowały w skrajnie trudnych warunkach.

Jak radzono sobie z tym problemem, pokazuje wydana przez „Iskry”, świetnia książka Bernadetty Darskiej, poświęcona największej w kraju placówce opiekuńczej, utworzonej w Bartoszycach. Miała ona zastąpić rodzinny dom nawet trzem tysiącom dzieci, choć tylu podopiecznych nigdy nie zgromadziła. Na rozmach pozwalały dobrze nadające się na taki ośrodek, nowocześnie zaprojektowane i urządzone przez Niemców koszary Ludendorffa, prawie niezniszczone przez wojnę.

Dzięki działaczom współrządzącej z komunistami satelickiej Polskiej Partii Socjalistycznej m.in. Edwarda Osóbki-Morawskiego, obiekt został przekazany w dzierżawę Robotniczemu Towarzystwu Przyjaciół Dzieci. Kontynuowało ono działalność w duchu ukształtowanym jeszcze przed wojną, kiedy kierował nim Tomasz Arciszewski, legendarny bojowiec PPS, uczestnik akcji pod Bezdanami w 1908 r., od jesieni 1944 r. premier rządu RP w Londynie.

RTPD marzył się nowy model placówki opiekuńczej, zastępującej dzieciom dom rodzinny, stwarzającej dobre warunki materialne i atmosferę psychicznego bezpieczeństwa. Inspirowała to ogromna wiara w dziecko i możliwości jego rozwoju, zapożyczona z dorobku Janusza Korczaka, patrona bartoszyckiej placówki.

Największym atutem ośrodka była świetna kadra. Jej trzon stanowili społecznicy ukształtowani w RTPD. Bardzo liczyli się też wychowawcy przed wojną związani z Januszem Korczakiem, w tym bliski jego współpracownik Aleksander Lewin. Dopełnili to grono ludzie o najróżniejszych doświadczeniach, przejęci niedolą osieroconych dzieci.

Tu, po powrocie do kraju z wojennej tułaczki, nowe miejsce do życia znalazła rodzina Pawła Jasienicy: ojciec Mikołaj Beynar, muzyk i nauczyciel szkół rolniczych, oraz siostra Irena, lekarka pediatra. Ich droga z rodzinnego Wilna do Bartoszyc była wyjątkowo skomplikowana. W 1940 zostali zesłani przez władze sowieckie do Kazachstanu, skąd w 1942 trafili do armii Andersa, z którą przeszli do Iranu. Dotarli aż do Tanganiki, gdzie funkcjonował ośrodek opieki nad polskimi sierotami wojennymi. Mikołaj Beynar uczył muzyki i prowadził chór, a Irena sprawowała opiekę lekarską. Bogatsi o afrykańskie doświadczenia kontynuowali to w Bartoszycach.

Jeszcze bardziej burzliwe niż opiekunów były losy wychowanków. Pierwszą ich partię stanowiły sieroty błąkające się po dawnych Prusach Wschodnich, spustoszonych przez front i sowieckie represje. Traktowano te dzieci jako pochodzące z rodzin tzw. autochtonów, ale często byli to mali Niemcy, okrutnie doświadczeni przez wojnę. Jako kolejni trafili tu, razem z wychowawcami, podopieczni polskich domów dziecka, funkcjonujących w czasie wojny w Związku Radzieckim. Znaczącą grupą były dzieci warszawskie, na własną rękę walczące w morzu ruin o przetrwanie. Między nimi a „grupą mazurską” odżyła wojna polsko-niemiecka, w której na porządku dziennym były kłótnie, wyzwiska i bójki. Bartoszycka kadra dobrze radziła sobie z tymi problemami, co sprawiało, że do placówki trafiały dzieci przysparzające kłopotów w innych ośrodkach.

Opowieść Bernadetty Darskiej przykuwa uwagę relacjami na temat dnia codziennego, a także opisem wydarzeń wyjątkowych, takich jak nieoczekiwana wizyta Bolesława Bieruta w 1953 r. W świetle tej narracji nie ulega najmniejszej wątpliwości, że bartoszycka kadra, ale też i jej podopieczni, to prawdziwi bohaterowie tamtych czasów. Dobrze się stało, że przywróceni zostali naszej pamięci. ●



Republika ludzi młodych. Opowieść o nowym człowieku

Bernadetta Darska
Iskry 2026

Polecamy książkę

WOLNE SŁOWO ZAMIAST BOMB

Przez lata CIA przeszmuglowała do Polski tony sprzętu poligraficznego, zakazanych książek i czasopism. Amerykanie liczyli na sukces tej operacji, bo „prawda jest zaraźliwa”.

Maciej Stasiński

Wywiady i kontrwywiady, szpiedzy, służby specjalne, spiski, dywersja, sabotaż – to zestaw pojęć złowrogich, odsyłających do rzeczywistości tajnych operacji, działań groźnych i mętnych, o których wiadomo, że się toczą, ale lepiej o nich za wiele nie wiedzieć. Ten fascynujący świat żywił sensacyjną literaturę, takich klasyków jak John Le Carré, popularną do dziś. Dotyczyła epoki zimnej wojny toczonej przez kilkadziesiąt lat między USA i wolnymi społeczeństwami demokratycznego Zachodu a Związkiem Sowieckim, światem komunistycznego potrzasku narodów. Po naszej stronie żelaznej kurtyny symbolem złowieszczej działalności była amerykańska CIA, po tamtej – NKWD czy KGB.

Książka Charliego Englisha „Klub Książki CIA” ujawnia niezwykły wymiar tej wojny, której polem przez kilkadziesiąt lat był PRL. Opisuje jeden z jej rozdziałów – wprawdzie bezkrwawy, pozbawiony ofiar śmiertelnych, ale i nie brakowało w nim represji – osób zatrzymanych, aresztowanych i skazywanych na więzienie.

Głównym bohaterem tej wojny było wolne słowo drukowane: ulotki, prasa i nade wszystko książki. A także ludzie, którzy kierowali ich szmuglem do Polski. Dzisiaj plagą wolnych społeczeństw żyjących w liberalnych demokracjach jest wszechobecna dezinformacja, w tamtych czasach fałsz i propagandę rozsiewały komunistyczne dyktatury. Orężem w walce z nimi było właśnie wolne słowo, które ostatecznie spełniło swoją rolę i zadało komunistycznemu ustrojowi niepowetowane straty.

Strat było sporo: bezpieka rekwirowała maszyny offsetowe, sitodruki czy maszyny do pisania, a także tony przemycanych książek i druków. Jednak większość ocalała i dotarła do drukarzy i kolporterów.

Polski drugi obieg wydawniczy jest dobrze znany i opisany przez rodzimych historyków i świadków epoki. Książka Englisha, oparta o przecieki z nadal tajnych archiwów i rozmów z dziesiątkami osób zaangażowanych w te operacje, pokazuje, że bez pomocy CIA tej wojny nie dałoby się wygrać. Agencja w tej walce nie sięgała po przemoc: zamachy, sabotaż czy skrytobójstwo. Chodziło o — jak ujął to kierownik programu George Minden – „ofensywę wolnej, uczciwej myśli”, której sukces upatrywano w nadziei, że „prawda jest zaraźliwa”. „Rezultat tych dążeń niewątpliwie zalicza się do najbardziej wyrafinowanych operacji wywiadowczych w dziejach” – mówi Minden.

CIA przerzucała do Polski przeróżne wydawnictwa. Z jednej strony prasę – od ilustrowanych magazynów lifestyle'owych, jak „Marie Claire” czy „Cosmopolitan”, po egzemplarze ambitnych pism np. „New York Review of Books” czy „Manchester Guardian Weekly”. Z drugiej strony szmuglowała wybitne działa literackie i teksty filozoficzne, takich autorów jak: Borys Pasternak, Czesław Miłosz, Josif Brodski, Hannah Arendt, Albert Camus, Bertrand Russell, Philip Roth i Kurt Vonnegut, ale także sztuki Václava Havla i Bertolta Brechta oraz thrillery szpiegowskie wspomnianego Johna le Carré.

Działalność największego polskiego wydawnictwa drugiego obiegu, Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA, czy wychodzących w podziemiu pism: „Robotnik” i „Tygodnik Mazowsze”, a także wielu innych wydawnictw, które drukowały ulotki i gazetki, była możliwa dzięki zaangażowaniu tysięcy działaczy, ale przede wszystkim dzięki wsparciu amerykańskiego wywiadu. Gdyby nie jego krecia robota, zapewne ruch „Solidarności” nigdy nie stałby się tak wielki, jak na początku lat 80., a opozycja zepchnięta w czasie stanu wojennego do podziemia nie przetrwałaby i nie doszłoby do demokratycznych przemian 1989 roku.

To właśnie o ludziach, którzy tę bezkrwawą wojnę wymyślili i prowadzili, w kraju i na emigracji, jest ta wyjątkowa książka. ●

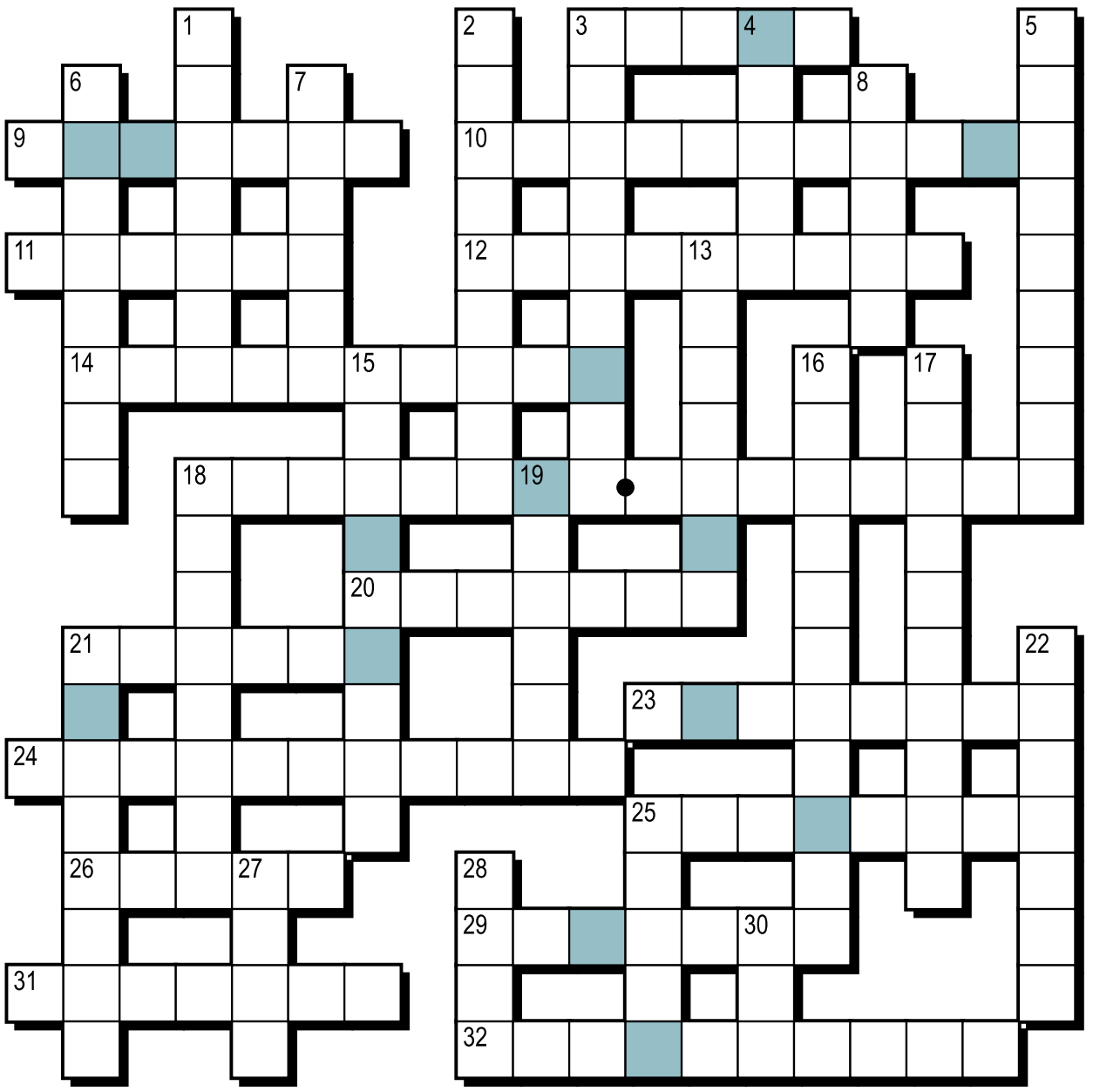


Klub Książki CIA. Najpilniej strzeżona tajemnica zimnej wojny

Charlie English, tłum. Aleksandra Arumińska
Prószyński i Ska
Premiera 17 września

eprasa.pl 97b7b16417

weekendówka nr 222



WĘDLINKI I MIĘSKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
3) wołowe lub armatnie
9) „Widzisz, synku? Tak wygląda ...” (w „Misiu” Barei)
10) parówkowym mówimy „nie”!
11) szwarcwaldzka lub parmeńska
12) cieniutkie płaty krakowskiej suchej albo cielęcinki
14) przygotowanie wędliny na koreczki
18) wszystko to, co politycy obiecują, nim pójdziemy do urn
20) polędwica lub mielonka
21) wytapiany ze słoniny
23) skwierczy na grillu obok kiełbasek
24) surowej białej kiełbasy – przed zjedzeniem
25) potocznie o niewielkim daniu podanym do alkoholu
26) ... smaku, wyczulony u konesera kulinariów
29) z szynką i serem, na drugie śniadanie
31) żartobliwie: dużo jedzenia, bogaty poczęstunek
32) np. roladki z szynki z twarożkiem podane na zaostrzenie apetytu

Pionowo:
1) dostarczy masarzowi półtusze
2) kraj, w którym popularną wędliną jest chorizo
3) gruba kiełbasa z mielonego mięsa cielęcego i wieprzowego, z dodatkiem słoniny i przypraw
4) w nich przetwory mięsne na półce w spiżarni
5) naczynie do pieczenia z wiersza o Kaczce Dziwaczce
6) wyrób wędliniarski w refrenie piosenki „Teraz jest wojna”
7) wędlina z kawałków mięsa uformowanych w blok (np. ozorkowa)
8) surowa, wędzona kiełbasa o konsystencji pasty
13) jad kiełbasiany
15) kiełbasa wędzona w żywicznym dymie
16) Kasia Nosowska (z „Panią pasztetową” w repertuarze)
17) autor epopei z opisami myśliwskiego bigosu, szlacheckiej uczty
18) cienkie, suche, wędzone kiełbaski z wieprzowiny
19) kiełbasa, którą dawniej wyrabiano z mięsa oślego
21) kawałki mięsa, boczku, warzyw na szpikulcu, do pieczenia na rożnie
22) zajmują się wytwórstwem wędlin
25) przyrządzane po nelsońsku
27) na półmiskach często sąsiadują z wędlinami
28) punkt ... żywca (w mianowniku)
30) nie dla psa kiełbasa, nie dla niego sadło (przysłowie)

Leszek Rydz

Rozwiązania weekendówki nr 221 z 12 września (krzyżówka wojskowa)

POZIOMO:
2) krew 6) filmy 9) generałowie 10) sznury 12) rezerwista 14) sierżant 15) samolot 17) amunicja 18) gar 19) Wichura 21) Hubal 23) atak 25) piechota 26) tankietki 27) insygnia 28) ułan 31) Leon 33) rewolucja 35) nasi 36) garnizon 37) dragoni 38) artyleria

PIONOWO:
Szeregowiec Ryan 2) Kloss 3) elita 4) weteran 5) barwy ochronne 7) inspekcja 8) menażka 11) renegat 13) taśma 14) syn pułku 16) krok 17) armata 20) mienie 22) lotnictwo 23) adiutanci 24) Afganistan 29) zwiad 30) plecak 31) legia 32) okręt 33) ranni 34) biel

HASŁO: **Warta honorowa**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34451038

Wymyśl grę, zgarnij 10 000 zł

Masz pomysł na codzienną grę logiczną lub słowną?



APLIKACJA WYBORCZEJ

Zgłoś pomysł na:

nowagra.wyborcza.pl

1 RP

eprasa.pl 97b7b16417

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

TRENDY
JESIEŃ | ZIMA
2026 | 2027

wyborcza



MISIA FURTAK

Świat nie mieści się w *Excelu*

– rozmowa Katarzyny Pawłowskiej

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 37 (1408) SOBOTA – CZWARTEK, 19-24 WRZEŚNIA 2026

eprasa.pl 97b7b16417

Takie różne, a takie podobne



MAGDALENA KARST-ADAMCZYK

U progu jesieni muszę powiedzieć, że to lato nie skończyło się dobrze. Na przestrzeni kilku dni odeszły Gloria Steinem i Dolly Parton, dwie ikony.

Z pozoru były bardzo odmienne. Pochodziły z różnych światów – Steinem urodziła się w Nowym Jorku, czyli w artystycznym i intelektualnym sercu USA, Parton – na kulturowych peryferiach, w biednym, rolniczym Pittman Center w stanie Tennessee. Reprezentowały różne wartości – Steinem była ateistką, Parton – gorliwą chrześcijanką. Poruszały się w innej estetyce – minimalizm i aura it girl versus róż i cekiny. A do tego pierwsza była dumną feministką, która sprzeciwiała się seksualizowaniu kobiet i przez całe życie walczyła z patriarchatem, podczas gdy druga dystansowała się od feminizmu, seksualny wizerunek stał się jej narzędziem wpływu, a przy kilku okazjach podkreśliła, że nigdy nie doznała krzywdy ze strony żadnego mężczyzny.

A jednak to nie przypadek sprawił, że tak wiele osób połączyło w ostatnim czasie te dwie herstorie w jedną spójną opowieść. Bo Steinem i Parton miały ze sobą więcej wspólnego, niż mogłoby się wydawać.

Obie były sprawcze, nie dały się podporządkować i miały pełną kontrolę nad własnym życiem. Może i Dolly Parton nie używała słowa „patriarchat", ale kiedy mówiła publicznie, że „nie spotkała mężczyzny, któremu nie dałaby rady skopać tyłka, gdyby nie traktował jej z szacunkiem", wysyłała kobietom sygnał, by broniły swoich granic.

Obie były piekielnie inteligentne, choć jedna w stylu akademickiej intelektualistki, okularnicy z książką pod pachą i głową pełną idei, a druga w typie seksbomby, przełamująca stereotyp niemądrej blondynki, gdy tylko dochodziła do głosu (Parton miała IQ 145).

Obie bezdzietne, choć jedna z wyboru, otwarcie mówiąca o własnej aborcji i walcząca o prawa reprodukcyjne Amerykanek, a druga... Czy w ogóle kiedykolwiek przyszło jej do głowy, by się z tego tłumaczyć?

Obie stały po stronie queerowej społeczności, a Parton, łącząca w jednym zdaniu Boga, gejów i lesbijki, stała się jedną z najważniejszych ambasadorek osób LGBT+ w konserwatywnej Ameryce Trumpa.

Obie przekonywały kobiety, jak ważna jest finansowa niezależność. Steinem wywalczyła Amerykankom prawo do zakładania własnego konta bez wymaganej wcześniej zgody mężczyzny, podczas gdy Parton była sprawną bizneswoman, która potrafiła zabezpieczyć swoje interesy i, choć przepłakała całą noc, nie oddała Elvisowi Presleyowi praw do swojej piosenki „I will always love you".

Można powiedzieć, że tam, gdzie Gloria Steinem – z dużą skutecznością – walczyła o systemowe zmiany, Dolly Parton dawała milionom kobiet przykład, jak wprowadzać je we własnym życiu. I właśnie dlatego Steinem tak szanowała Parton, bo wiedziała, że nawet jeśli sama piosenkarka nie nazywa siebie feministką, na koniec dnia liczy się przede wszystkim to, że na oczach całej Ameryki wciela w życie feministyczne ideały, docierając z nimi także do konserwatystek, które są poza jej – Steinem – zasięgiem wpływu.

Gloria Steinem i Dolly Parton mimo różnic w gruncie rzeczy grały do tej samej bramki, uzupełniały się. I jest to najpiękniejszy wymiar siostrzeństwa. ▲

Magdalena Karst-Adamczyk – redaktorka prowadząca





JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

- **NA OKŁADCE:** Agata Kulesza: Szczęście pojawia się na chwilę
- **TEMAT NUMERU:** • Perimenopauza i jej 100 objawów **TWARZE:** • Lidia Popiel • Katarzyna Glinka • Marieta Żukowska • Agnieszka Więdłocha • Freya Stark • Anna Guzik • Piotr Pacek • Gary Oldman
- **PSYCHOLOGIA:** • Dlaczego się porównujemy • Seks i perimenopauza • Mózg i hormony
- **MODA I URODA:** • Trendy jesień-zima 2026/27

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Magdalena Karst-Adamczyk

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Tomasz Lebioda

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTOR SPRZEDAŻY:
Bartosz Wysocki
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 3, 15, 19, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 37 (1408)
NA OKŁADCE:
MISIA FURTAK
FOT. OLA BODNARUŚ

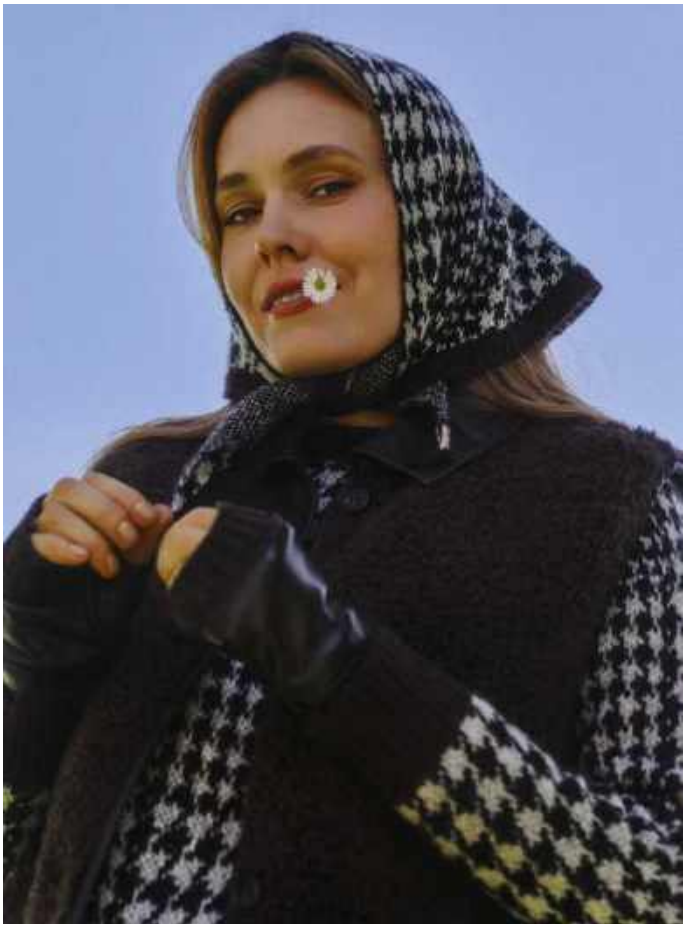


eprasa.pl 97b7b16417

REKLAMA

SOLAR

A jeśli od zawsze mamy to w sobie? A jeśli to, czego tak długo szukamy dojrzewa z nami? Może właśnie dlatego czasem wystarczy chwila ciszy. Głęboki oddech. Droga prowadząca przez las. Wiatr we włosach. Otwarta przestrzeń. Dotyk otulającej, miękkiej tkaniny. Moment, w którym świat zwalnia na tyle, by znów usłyszeć własny głos. Bo kobiecość nie zawsze prowadzi nas naprzód. Czasem proponuje nam abyśmy się zatrzymały i wsłuchały w siebie. Ta myśl stała się punktem wyjścia dla kolejnej odsłony Sztuki Kobiecości na sezon jesień–zima.





Dla każdej z nas Sztuka Kobiecości przybiera jednak inną postać. Dla jednej będzie to cisza o poranku. Dla innej droga, którą podąża przez las. Dla innej otwarta przestrzeń lub ciepło otulającego swetra, by po raz kolejny zaufać sobie, własnej intuicji. To właśnie o tej intuicji opowiada najnowsza odsłona kampanii Sztuka Kobiecości, którą po raz kolejny tworzymy wspólnie z Magdaleną Lamparską.



Naturalne tkaniny, szlachetne dzianiny z dodatkiem wełny i moheru, miękka wełna merino, otulające kamizelki, bawełniane koszule, spódnice i płaszcze tworzą garderobę, która nie podąża za chwilą. Powstaje po to, by towarzyszyć kobiecie przez wiele sezonów — z tą samą lekkością, komfortem i ponadczasową elegancją. Od ponad trzydziestu lat relacje z kobietami, sztuka i uważność pozostają w sercu naszej marki. W tym sezonie przypominamy sobie coś, o czym łatwo zapomnieć. Że najważniejsza podróż prowadzi do siebie. Bo kobiecość jest sztuką. A każda z nas jest jej własną, jedyną autorką.

eprasa.pl 97b7b16417



FOT. JANET FRIES / GETTY IMAGES

Gloria Steinem

1934 - 2026

„Feminizm nigdy nie polegał na zdobyciu pracy dla jednej kobiety. Chodzi w nim o uczynienie życia bardziej sprawiedliwym dla kobiet na całym świecie. Nie chodzi o wykrojenie kawałka z już istniejącego ciasta – jest nas na to zbyt wiele. Chodzi o upieczenie nowego ciasta.

eprasa.pl 97b7b16417



Tbilisi. Poznaj miasto kontrastów

Spacery wąskimi uliczkami wśród urokliwych kamienic, potem kawa w kawiarni, zakupy w concept store'ach lokalnych projektantów, a wreszcie czas na wizytę w kameralnej galerii sztuki. W Tbilisi na każdym kroku czeka inna historia, nowy smak albo inspirujący detal, który sprawia, że chce się zostać choć trochę dłużej.

Tbilisi to miasto, w którym tradycja płynnie przeplata się z nowoczesnym stylem życia. Wystarczy krótki spacer, by zanurzyć się w atmosferze Starego Miasta, podziwiać kolorowe, misternie zdobione balkony, zajrzeć do słynnych łaźni siarkowych w Abanotubani i spojrzeć na majestatyczną twierdzę Narikala oraz wijącą się w dole rzekę Mtkvari. A po chwili odkryć zupełnie inne oblicze – bardziej nowoczesne i tętniące życiem – pełne modnych kawiarni, kameralnych galerii, concept store'ów i kreatywnych przestrzeni tworzonych przez młode pokolenie gruzińskich projektantów. To właśnie ta niezwykła mieszanka starego i nowego sprawia, że wizyta w tym mieście na długo pozostaje w pamięci.

Stolica Gruzji od lat jest naturalną bazą wypadową w inne części kraju, ale warto potraktować ją jako cel sam w sobie. Przyciąga nie tylko zabytkami, architekturą, ale i pełną aromatów kuchnią oraz niespotykaną nigdzie indziej energią. Nowe pokolenie projektantów, artystów i kucharzy rozwija scenę kreatywną, modową i kulinarną Tbilisi. Zapachy i smaki specjałów Gruzji zachęcają, by usiąść i czerpać przyjemność z wizyty w mieście. Chaczapuri prosto z pieca, aromatyczne chinkali, bakłażany z orzechami i świeże zioła tworzą kulinarną opowieść, której trudno się oprzeć. Tibilisi oferuje wszystko, czego potrzeba, by spędzić czas dokładnie tak, jak się lubi – niespiesznie, ciekawie i z odrobiną przyjemności.



eprasa.pl 97b7b1d17





MISIA FURTAK

Nie chowam głowy, *idę*

Szukam sposobu, jak robić rzeczy, które kocham, ale tak, żeby to było do uniesienia dla mojej konstrukcji tu i teraz. Moje choroby będą już ze mną do końca życia

eprasa.pl/97b7b16417

Z **MISIĄ FURTAK**, MUZYCZKĄ I EDUKATORKĄ, ROZMAWIA **KATARZYNA PAWŁOWSKA**
ZDJĘCIA **OLA BODNARUS**

18

18 września ukazała się twoja nowa płyta „OTUCHY". Jak się czujesz w związku z premierą?
– Podekscytowana i zmęczona. To normalne przy premierze, ale jest w tym pewna ironia, bo narracja wokół nowej płyty jest taka, że muszę lepiej zarządzać swoją energią, więcej spać, częściej odpuszczać. A przy takich kumulacjach jak teraz to się nie zawsze udaje. Niby wiem, że muszę się pilnować, ale gdy jest dużo pracy, zapominam o tym.

Co to znaczy, że musisz się pilnować?
– To znaczy, że dobitniej niż kiedyś odczuwam konsekwencje przepracowywania się i przekraczania swoich granic. To przewija się na płycie jako rodzaj wewnętrznych negocjacji, a przede wszystkim jako oswajanie się z tym, że rzeczy, które robiłam jeszcze niedawno, są dziś poza moim zasięgiem. Nie tylko dlatego, że jestem starsza i gorzej się regeneruję. Pojawiły się kłopoty ze zdrowiem, które czasem wyłączają mnie zupełnie na dzień, kilka dni, tydzień, wymagają częstej diagnostyki, pracy na poziomie nawyków, stylu życia, jedzenia.

Czy te kłopoty ze zdrowiem towarzyszą ci od dawna?
– Większość to powikłania po covidzie. Zachorowałam dość późno, w 2022 roku. Dobrze pamiętam, bo robiłam test w dniu wybuchu wojny w Ukrainie. Potem przechodziłam przez long covid, nie miałam na nic siły, wciąż wychodziły mi dziwne wyniki badań. Pojawiły się nowe choroby autoimmunologiczne i jedna neurologiczna. Po kilku pobytach w szpitalu dostałam informację, że najpewniej wywołał je koronawirus i że będę się z nimi mierzyć do końca życia.

Bez wchodzenia w szczegóły – mam tężyczkę i kilka chorób autoimmunologicznych, między innymi zaawansowane zapalenie błony śluzowej żołądka. To dolegliwości mało popularne, więc kiedy o nich mówię, raczej nikt nie wie, o co chodzi.

O tężyczce pisałyśmy w „WO" i ten tekst spotkał się z ogromnym zainteresowaniem...
– Super, że pisałyście! Ta choroba ma dwie postaci: jawną i utajoną, przy której lekarze często kierują do psychologa i zalecają suplementację. Wiem, że pacjenci czasem czują się olani, kiedy mimo uciążliwych objawów nie dostają nic poza magnezem i wskazaniem, żeby uważać na stres. Nie wiedzą, jak i czy o tym mówić, żeby nie było, że to jakaś ich fanaberia, a nie „prawdziwa" choroba. Ta „prawdziwość" dolegliwości to ogólnie duży temat przy tych bardziej niespecyficznych objawach. Tym ważniejsze jest mówienie i pisanie o tym. Dawanie ludziom znać, że to jest naprawdę, a nie tylko w ich głowie. U mnie tężyczka objawia się spadkiem energii, zwykle na kilka dni. Skurczami, kłuciem, drętwieniem. Musiałam niedawno odwołać wyjazd na konferencję i rezydencję artystyczną, bo wiedziałam, że nie dam rady wyjść z łóżka. U innych ludzi zdarzają się omdlenia, nawet utrata przytomności, więc i tak nie mam aż tak źle.

Myślisz, że uda ci się kiedyś pozbyć tych objawów?
– Nie wiem. Moje życie jest dość intensywne, a intensywność raczej potęguje symptomy. Ale z drugiej strony ta dynamiczność daje mi też wielką radość w życiu, więc nie chciałabym z niej rezygnować. To jest właśnie to wewnętrzne negocjowanie i oswajanie się, o którym mówiłam wcześniej. Szukam sposobu, jak robić rzeczy, które kocham, ale tak, żeby to było do uniesienia dla mojej konstrukcji tu i teraz.

Czy o tym jest twoja piosenka „Przed siebie", gdzie śpiewasz: „Moje ciało myśli, że ja to wróg"?
– Też! „Garda schodzi w dół, a ja idę przed siebie. Nie chowam głowy, bo wiem wszystko i nic nie wiem" – masz diagnozy, więc niby wiesz, ale wszystkiego musisz uczyć się na nowo. Wchodzisz w to, bo taka jest twoja nowa rzeczywistość i nie ma innego wyjścia. Swoją drogą bardzo dużo otuchy dodał mi udział Darii ze Śląska w tym numerze. Mamy tyle wspólnego w borykaniu się z różnymi dolegliwościami. Samo to, że wiem, że ona to tak dobrze rozumie, działa na mnie uspokajająco i bardzo mnie wzrusza. Ktoś jest w tym ze mną! Nie przeciwko mnie!

W chorobach autoimmunologicznych organizm wytwarza przeciwciała i, zamiast eliminować patogeny, atakuje sam siebie. Zawsze mnie zatrzymuje myśl, że ciało jest jakby przeciwko mnie, czy przeciwko sobie. Lekarze mówią, że nie da się z tym nic zrobić, poza tym, żeby się badać, a ja próbuję sobie to przekuwać w naukę radości z codzienności.

Piszesz, że twoje ciało traktuje cię jak wroga. Ale to działa w obie strony. Wiele osób traktuje swoje ciało wrogo, bo nie wygląda i nie funkcjonuje tak, jak by chciały.
– Mnie się w ogóle wydaje, że to się wzajemnie napędza. A tak naprawdę kiedy coś nagle zaczyna szwankować, to nie dlatego, że ciało przypomniało sobie, że nas nie lubi. Po prostu jest zmęczone, coś się zaczyna psuć. To nie jest próba sił, walka o władzę, tylko prośba o uwagę.

To pewnie też bywa sygnał ostrzegawczy.
– Dokładnie. Wszystkie tego typu sygnały od ciała widzę jako rodzaj mądrości, której warto posłuchać. Na płycie temat nasłuchiwania pojawia się w piosence „Drugi Brzeg". Może dotyczyć zarówno ciała, jak i podświadomości. „Tafla kruszy się" i zaczynają do nas docierać jakieś przekazy. Pytanie, czy uda się je usłyszeć i co w ogóle zrobimy z tym komunikatem.

Jeśli mówimy o komunikacji, moją uwagę zwróciły słowa innej piosenki, „Nie bój się". „Boję się, że już nigdy nie napiszę niczego, co waży i ma dla kogokolwiek choć trochę znaczenia". O czym to jest?
– Dokładnie o tym, co śpiewam. O sytuacji, kiedy siadasz przed kartką i ogarnia cię lęk, że już nigdy nic sensownego nie napiszesz. Że nie uda się zebrać w sobie siły do tworzenia. Że trud-

eprasa.pl 97b7b16417



no będzie napisać coś, co mogłoby nakarmić mnie i dać wartość ludziom. To piosenka i o pracy twórczej, i o sile witalnej.

Myślałam, że chodzi trochę o hejt. Że tak się go boisz, że ten lęk cię paraliżuje

– To niewątpliwie też jest jedna z rzeczy, którą w takiej sytuacji lęk mógłby podpowiedzieć. A generalnie nie jest dobrym doradcą.

Ten tekst do mnie przemówił, bo zbiega się z doświadczeniem dziennikarek. Cokolwiek napiszemy, albo nas hejtują, albo gdzieś to znika w otchłaniach internetu i mamy wrażenie, że nikt tego nie przeczytał.

– A rzeczywistość jest bardziej złożona niż liczba odsłon. Podobnie jest w branży muzycznej. W jednym mieście przyjdzie na koncert bardzo dużo ludzi, ale będą mniej uważni. Gdzie indziej przyjdzie czterdzieści osób, ale będą totalnie wkręceni i zachwyceni. Odbioru i wpływu naszej twórczości na życie innych ludzi tak łatwo się nie zmierzy. Świat nie mieści się w Excelu.

Gdy ktoś mi mówi, że rodził dziecko przy mojej piosence, albo zaczyna opowiadać, jakie znaczenie miały dla niego moje utwory w różnych momentach jego życia, jestem bardzo głęboko poruszona. I tego się nie da przeliczyć na cyferki.

Tworząc, otwierasz się i pokazujesz siebie ludziom, bez osłonek.

– Tak, nie bardzo wiem, jak inaczej opowiedzieć coś ważnego o sobie. To znaczy można oczywiście wejść w rolę bardziej rzemieślniczą, pisać na zadany temat, wpasować się w jakiś styl czy gatunek. Zdarza mi się pisanie do briefu i bardzo to lubię. Ale pisanie, które ma być moją wypowiedzią o świecie, wymaga szczerego komunikatu.

Staram się tego zbytnio nie analizować, nie zastanawiać się, czy ktoś może mieć z tym problem, chociaż wiadomo, że gdy człowiek się otworzy i dostanie w to miejsce z buta, to miłe nie jest. Przy płycie „Wybory", bardziej politycznej, było sporo komentarzy w stylu: co ty w ogóle wiesz o polityce, co może wiedzieć wokalistka? Kobieta?

Potraktowałam to z przymrużeniem oka i udało mi się zdystansować. Ale obserwuję ostatnio choćby Helę Englert i naprawdę jej nie zazdroszczę. Nie wiem, skąd w ludziach bierze się tyle jadu. Niby wiedzą, że po drugiej stronie ekranu jest człowiek, który czuje, ale ekran telewizora czy komputera oddala ich na tyle, że komentują jakby pisali o jakimś AI-owym tworze. A przecież to jest prawdziwa, żywa dziewczyna! Halo!

Wkurza mnie to, bo taki hejt po nikim nie spływa bez śladu.

A twoja płyta jest bardzo ciepła. Słuchając jej, czułam się, jakbym była otulona kocem, z miękką poduszką przy policzku.

– To bardzo miłe, dziękuję! Mam nadzieję, że tak właśnie ludzie będą spędzać z nią jesień. Dla mnie to ważne, bo próbuję przekuwać trudne rzeczy, które mi się przydarzają, w coś sensownego. Może to, co napisałam, przyniesie komuś otuchę? Ale też nie chciałam, żeby ta płyta była za słodka. To naprawdę nie był łatwy czas. Nadal co kilka miesięcy muszę widywać się z różnymi specjalistami, wracać do szpitala...

Ale płyta nie jest o tym, że trudne się skończyło, tylko o oswajaniu tego, o uczeniu się, że taka może być nowa rzeczywistość. Nie chciałam mówić: dobra, już sobie ze wszystkim poradziłam. Tylko: rzeczywistość jest taka, jaka jest, ale poszukajmy w niej sensu i powodów do radości.

To trochę też o odpuszczeniu walki za wszelką cenę.

– Jak sobie pewne rzeczy odpuścisz, możesz więcej czerpać z codzienności. Opuszczenie gardy nie znaczy, że rezygnujesz z uważności, wręcz przeciwnie.

O tym też opowiadasz innym osobom z branży muzycznej, w ramach programu mentoringowego, który prowadzisz.

– Najpierw działałam w ruchu Keychange, międzynarodowej sieci wspierającej widoczność kobiet i osób niebinarnych w branży. Zobaczyłam, jak często powtarzają się te same historie, niezależnie od tego, czy chodzi o ludzi z Kanady, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Polski czy Estonii. Okazało się, że dane sytuacje wynikają z tego, jak funkcjonuje system: społeczeństwo, branża, a nie z jednostkowych błędów. To było bardzo inspirujące, bo zobaczyłam, że bycie razem, rozmowa, możliwość spotkania z bardziej doświadczonymi artystami ogromnie dużo daje.

Zaczęłam działać w Polsce. Na początku zrobiłam program mentoringowy dla kobiet, potem program edukacyjny dla środowiska muzycznego w Poznaniu, aż w końcu powstał program przeznaczony dla artystów w punkcie zwrotnym. Czyli tak naprawdę dla każdego, bo w branży muzycznej pracuje się od punktu zwrotnego do punktu zwrotnego.

eprasa.pl 97b7b16417



MISIA FURTAK

muzyczka, autorka, aktywistka i edukatorka. Laureatka m.in. Paszportu „Polityki" i Fryderyka. Łączy twórczość solową z współpracami, m.in. z Hanią Rani, Wojtkiem Mazolewskim, Kasią Nosowską czy Marylą Rodowicz. Ma dwie złote płyty. Członkini pionierskiej, międzynarodowej sieci Keychange, która wspiera kobiety i mniejszości płciowe w branży muzycznej, oraz ruchu proekologicznego Music Declares Emergency. Mentorka w międzynarodowych programach edukacyjnych. Autorka i koordynatorka merytoryczna programu rozwojowego ZAIKS Mentoring – Inkubator, wspierającego twórców w momentach zwrotnych kariery. Właśnie ukazała się jej płyta „Otuchy"

Napisałam ten program z potrzeby serca, taki, z jakiego sama chciałabym móc korzystać. Mentoring i tutoring to idealne metody, bo pozwalają skupić się na rzeczywistości w danym momencie, na mocnych stronach, na przyglądaniu się talentom. A możliwość spotkania z mentorem często daje taki efekt jak kody w grze – dostajesz informację, która na tyle ustawia ci inne rzeczy, że przeskakujesz cztery poziomy. Czasem sam fakt, że ktoś regularnie z tymi ludźmi rozmawia, poświęca im uwagę, bywa game changerem. Okazuje się, że wcale nie byli twórczo zablokowani, tylko problem tkwił gdzie indziej i nagle piosenka czy książka same z nich wypływają.

Masz bardzo analityczny sposób myślenia. I świetnie planujesz różne rzeczy.
– Akurat na to mam papiery, bo mam „Stratega" w pierwszej piątce talentów Gallupa.

Co ciekawe, rywalizacja wypadła u mnie na ostatnim miejscu. To dużo mówi o tym, jak się mogę czuć, pracując w branży. Ale po prostu nie biorę udziału w „konkursie", robię swoje. Piszę z potrzeby budowania wspólnoty, łączenia ludzi, dzielenia się, tworzenia dobra – takie wartości mam w tym teście w top 5.

Na najnowszej płycie tworzysz wspólnie z Michałem Drozdą.
– Tak! Michał jest niezwykle utalentowany i ma kolosalny wkład w tę płytę. Pisaliśmy razem. Sam nagrał prawie wszystkie partie instrumentalne i wykonał też kawał roboty produkcyjnej. Może płyta wychodzi pod moim nazwiskiem, ale pracowaliśmy nad tym materiałem jak zespół.

Michał gra też ze mną na żywo, widać go również w teledysku do „Czuję". Niekiedy też zgadza się pójść ze mną na wywiad.

Fajne jest to, że nie stawiasz wyłącznie na siebie. Ale chyba nie każdy w branży muzycznej tak działa?
– Każdy działa jak może i jak potrafi. Ja szukam zespołowości, dla mnie to wartość. Ale ludzie są różni i mogą mieć inne potrzeby. Mogą też mieć zróżnicowane zasoby, także osobowe i finansowe.

No właśnie, budżet. Jak finanse albo ich brak wpływa na to, jak ludzie funkcjonują w branży?
– Ścisła czołówka radzi sobie dziś naprawdę dobrze. Druga strona tego spolaryzowanego świata w przeważającej większości ma inne źródła utrzymania. Etat, jego część albo zlecenie, obok tworzenia muzyki, daje poczucie spokoju i możliwość budowania kariery według własnych wizji, a nie z lęku przed brakiem kasy. Ale i tak część osób odpada z branży, bo nie chcą żyć w niestabilności, zwłaszcza gdy pojawiają się kosztowne wyzwania, np. problemy zdrowotne czy dzieci, rodzina.

Moim zdaniem najlepiej by było, gdyby muzycy mogli finansowo wspierać się na dwóch filarach – rynek oraz wsparcie publiczne. Projekty, które są finansowane wyłącznie z gran-

eprasa.pl 97b7b16417

tów, bywają wydmuszkowe. Rzeczy w pełni komercyjne mogą się udać, jeśli już od debiutu artysta dostaje dużo pieniędzy od wytwórni na promocję (albo sam je na ten cel ma).

Dlaczego?
– Wyobraź sobie, że ktoś wchodzi na rynek bez budżetu, nawet ze świetnym materiałem, ale ma na promocję 5 tys. zł. A druga osoba ma na promocję 150 tys. Ta pierwsza słyszy potem, że rynek ją zweryfikował i widocznie nie była wystarczająco dobra. Ale skoro jeden miał o 145 tys. więcej na promocję, to czy to jest uczciwa weryfikacja?

Ty stawiasz na wsparcie, na sieci, na współpracę...
– Wierzę głęboko, że budowanie wspólnot ma sens, bo razem ludzie mają dużo więcej siły niż osobno. Nie kocham jednak samego słowa „wsparcie" w kontekście branży artystycznej. Jest nadużywane, bo artystów właśnie się raczej „wspiera", niż po prostu płaci im za pracę. Brzmi to, jakby artysta był akcją charytatywną, a nie kimś, komu należą się pieniądze za wykonaną pracę.

Wolałabym po prostu dać ludziom pracować, stwarzać im sprzyjające warunki, uczyć ich, budować bezpieczne środowisko, pozwolić im zarabiać pieniądze i stanąć pewnie na własnych nogach.

Kiedyś w wytwórniach istniał system budowania kariery artysty w dłuższej perspektywie. Dziś prawie nigdzie tego nie ma. Dlatego, pracując edukacyjnie i mentoringowo, skupiam się na tym, żeby ludzie w branży mogli dłużej pracować, żeby mogli przejść tę drogę na własnych nogach, popełniać błędy, które nie skończą się od razu wypaleniem.

Zaplanowaliście już koncerty promujące płytę?
– Sporo dzieje się we wrześniu. W październiku zagramy na pewno w Konstancinie, potem w Gdyni i w Słupsku w listopadzie. Warto śledzić sociale, tam informacje wpadają na bieżąco. Ta płyta jest dość studyjna, ma sporo warstw, trzeba było wymyślić, jak to przetłumaczyć na wersje koncertowe.

Zagrasz na swojej pięknej gitarze basowej w kształcie motyla?
– W kilku piosenkach tak. Nie chcę z „motyla" rezygnować, bardzo tę gitarę lubię i ona zawsze budzi emocje na koncertach. Jest już stara, ale nasz wspaniały lutnik, Tomo, z wielką cierpliwością się nią zajmuje.

Fakt, że ta gitara była ze mną przez całą moją muzyczną drogę, pamięta mój pierwszy zespół très.b, różne projekty muzyczne, w których brałam udział, miasta, w których mieszkałam, to jest dla mnie niezwykłe. Chyba nie mam innego przedmiotu, który byłby ze mną od 20 lat.

Tak że mówiąc o „Otuchach" i dodawaniu otuchy, przyznaję, że to dla mnie bardzo pokrzepiające. ▲

OGŁOSZENIE

MATERIAŁ PROMOCYJNY

SOLAR
Suit Youself

Codzienna garderoba do pracy potrafi wymagać wielu decyzji — zwłaszcza wtedy, gdy poranki nie zostawiają na nie przestrzeni. **SUIT YOURSELF** jest odpowiedzią na potrzebę ubierania się świadomie i adekwatnie do różnych momentów.

Kolekcja **SOLAR** zestawia klasyczne formy z intensywnym kolorem, miękkie dzianiny z konstrukcyjnym krawiectwem, a formalne elementy z detalami nadającymi indywidualny charakter. **Wełna Manteco**, szlachetne mieszanki i miękkie dzianiny dopełniają jakość kolekcji, która ujawnia się w dopracowanych proporcjach, szlachetnym układaniu się tkanin i precyzji detalu.

Zdjęcia powstały w sercu marki — w poznańskiej siedzibie **SOLAR**. To przestrzeń, w której każdego dnia rozwijane są projekty, dobierane materiały i tworzone prototypy. To także miejsce spotkań, wymiany myśli i wzajemnej inspiracji. Biura, pracownie, magazyny oraz zaplecze projektowe stały się tłem dla kolekcji.

Każdy model zaprojektowano z myślą o rytmie pracy, jej wymaganiach i zmieniających się potrzebach. Kolekcja **SOLAR** została stworzona tak, by naturalnie odpowiadać na formalne okazje i zdejmować z codzienności konieczność zastanawiania się, czy wybrana stylizacja jest właściwa. Dzięki temu pozostaje przestrzeń na to, co naprawdę ważne, by w każdej sytuacji po prostu pozostać sobą.



eprasa.pl 97b7b16417



W poszukiwaniu *bożków*

W czasach kryzysu autorytetów influencerzy stali się ich substytutem. Niektórzy z nich mają swoich wyznawców. Ale grono hejtujących też jest silne

Z **KATARZYNĄ KRZYWICKĄ-ZDUNEK**, SOCJOLOŻKĄ, ROZMAWIA **JOANNA WRÓŻYŃSKA**

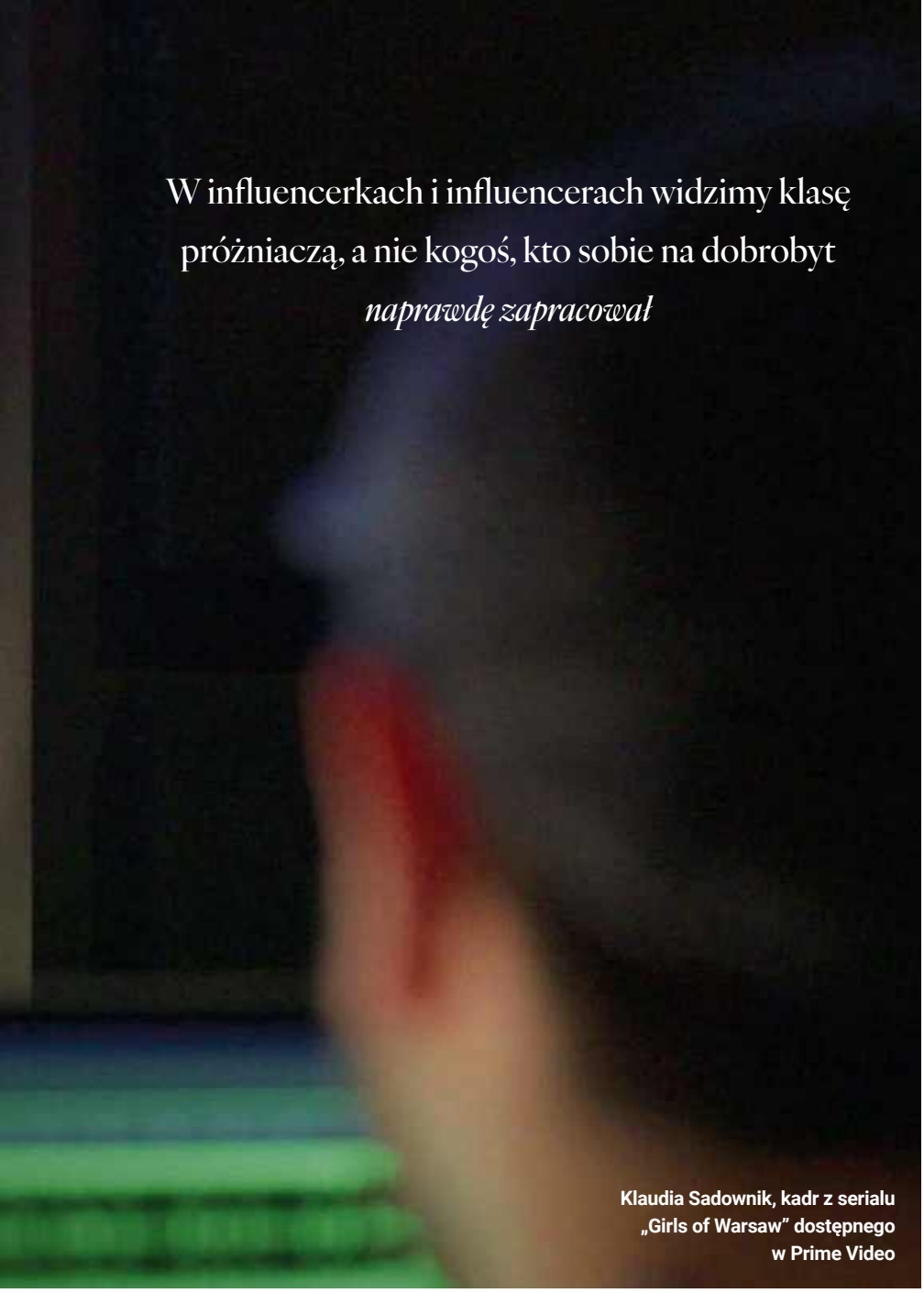
Różne badania pokazują, że influencer jest jednym z najmniej poważanych zawodów, a jednocześnie ma stosunkowo dużą siłę oddziaływania. Jak wytłumaczyć ten paradoks?

– Jest to najmniej poważany zawód, bo nie stoi za nim realna praca. Influencerzy pokazują swoje życie, więc przychodzi im to bez wysiłku, po prostu mieli pomysł na to, w jaki sposób siebie prezentować. Tak przynajmniej uważają osoby, które tych influencerów oglądają. W serialu „Girls of Warsaw", który pokazuje życie czterech polskich influencerek: Jessiki Mercedes, Oli Nowak, Angeliki Trochonowicz – Andziaks i Klaudii Sadownik, Andziaks mówi zresztą w pewnym momencie, że ludziom się wydaje, że to życie klasy próżniaczej, która zarabia na tym, że pokazuje swoją prywatność, zakupy, to, jak spędza wolny czas, jak inwestuje i tak dalej. I dodaje, że jej zdaniem ten serial niewiele zmieni w tym, jak influencerzy są postrzegani. Że może pokaże ich życie z trochę innej strony, ale nie będzie miał na nie wpływu. To jedna rzecz. A dlaczego to oglądamy i się w to wciągamy? Bo to substytut seriali.

W socjologii istnieje pojęcie relacji parasocjalnych, czyli skracania dystansu do osoby, która jest znana, jest influencerem, celebrytą, kimś, kto w naszym mniemaniu znajduje się na szczycie, ale jednocześnie, przez to, że pokazuje swoje życie w serwisach społecznościowych, wydaje nam się, że to nasz znajomy, koleżanka czy kolega z sąsiedztwa. Dajemy więc sobie prawo, by się do takich osób zwracać po imieniu, by komentować ich życie, czasami hejtować. Przestaliśmy patrzeć na influencerów jak na zwykłych ludzi, którzy mają zwykłe problemy. I czasem chowamy wobec nich całą naszą empatię.

Jednocześnie za ich sprawą oglądamy trochę inny świat z jego blaskami i cieniami i porównujemy go do naszego świata. To może być inspirujące, ale może też działać w drugą stronę i dawać jakiś ro-

eprasa.pl 97b7b16417



W influencerkach i influencerach widzimy klasę próżniaczą, a nie kogoś, kto sobie na dobrobyt *naprawdę zapracował*

Klaudia Sadownik, kadr z serialu „Girls of Warsaw" dostępnego w Prime Video

FOT. MATERIAŁY PRASOWE PRIME VIDEO

dzaj satysfakcji, kiedy tej znanej osobie coś się nie uda. Bo ja mam takie udane życie, a tamta osoba, mimo że jest bogata, rozpoznawalna, nie do końca sobie radzi np. w życiu osobistym. To widać, gdy spojrzy się w serialu na Jessicę Mercedes, która zrobiła świetną karierę, ale mówi, że nie może znaleźć chłopaka, że nie ma relacji z ojcem. Jessica Mercedes pokazuje nam swoją miękką stronę – że jest samotna, że szuka miłości i nie ma prawdziwych przyjaciółek.

Pamiętam Jessicę Mercedes z czasów, kiedy używało się jeszcze określenia „szafiarka". Była jedną z pierwszych osób, którym udało się zaistnieć w przestrzeni polskich serwisów społecznościowych. Była gwiazdą, mówiło się wtedy o niej w kontekście wielkiego sukcesu. W „Girls of Warsaw" pokazuje się z innej strony.

– Ten serial pokazuje też ciemną stronę bycia influencerem. Nie tylko blichtr, garden party i pływanie na jachtach. Widać, że w tym środowisku jest zawiść, obgadywanie, rywalizacja. Influencerki, które mają podobne zasięgi i podobne możliwości, porównują współprace, które udało im się nawiązać, i wydarzenia, na które są zapraszane. Jest wyraźna hierarchia.

Mamy na przykład dwie przyjaciółki: Andziaks i Olę Nowak. Przyjaźnią się od dziesięciu lat, ale w serialu ich przyjaźń jest pokazana jako powierzchowna. Cały czas porównują, jaki „poziom sukcesu" udało im się osiągnąć, na co wydają pieniądze; to, że jedna ma dzieci, druga nie. Andziaks starała się pokazać, że doszła do wszystkiego swoją ciężką pracą, wychodząc z trudnej sytuacji rodzinnej. Ola natomiast najmniej się odkryła. Ma mieszkanie przy Złotej, które wygląda jak wyjęte z katalogu wnętrzarskiego, ale ono zupełnie nie odzwierciedla jej osobowości. Przywozi słoiki od mamy, ale chowa je od razu w szafkach, żeby nic jej nie łączyło ze „starym" życiem.

Nie ma przyjaźni w świecie influencerów?

– Byłabym ostrożna. Kiedy pojawia się sukces finansowy, weryfikujemy przyjaźnie, zaczynamy się porównywać. Jessica mówi w serialu, że jedyne przyjaciółki, jakie ma, to te, które znają ją jeszcze z czasów liceum.

Ale może tu nie chodzi o influencerów, tylko o nas w ogóle? Może nie potrafimy jako dorośli nawiązywać przyjaźni?

– Jest z tym coraz trudniej. Badania pokazują, że nawet młode osoby mają problem z budowaniem głębszych relacji. To się zaczęło po transformacji ustrojowej. Dążyliśmy do sukcesu finansowego i tak bardzo chcieliśmy mieć lepiej niż nasi rodzice, że zgubiliśmy gdzieś emocje. I to widać.

Wspomniałaś wcześniej o smutnych historiach. W tym serialu jest ich trochę; właściwie tylko jedna z bohaterek mówi, że miała szczęśliwe dzieciństwo. Wszystkie pozostałe otwarcie przyznają, że to źródło ich różnych deficytów w dorosłym życiu.

– Każda moneta ma dwie strony. Nauczyliśmy się mówić głośno o takich sytuacjach, nie wstydzić się trudnego dzieciństwa, tego, że odszedł ojciec, w domu był alkohol, a nawet przemoc. Że to wszystko jest elementem naszej historii. To wynika z rosnącej świadomości znaczenia terapii.

Z drugiej jednak strony, kiedy widz słyszy takie opowieści w programach telewizyjnych – i wiem to z badań, które prowadziłyśmy – to czuje przesyt. Nikt nie zaprzecza temu, że te historie są prawdziwe, ale nie włącza nam się już odruchowo współczucie, jak za czasów np. programu Ewy Drzyzgi, kiedy takie historie słyszeliśmy publicznie po raz pierwszy.

eprasa.pl 97b7b16417



FOT. MATERIAŁY PRASOWE PRIME VIDEO

Angelika Trochonowicz – Andziaks, kadr z serialu „Girls of Warsaw"

Włącza się hejt?
– Hejt wywołuje raczej styl życia influencerek i influencerów, to, że wydają pieniądze na głupoty. Owszem, są to pieniądze, które te osoby zarobiły, więc w sumie mają do tego prawo, ale my widzimy w nich wspomnianą klasę próżniaczą, a nie kogoś, kto sobie na dobrobyt naprawdę zapracował.

Podobne schematy zaczęły działać przy słynnej Met Gali. Coraz głośniej mówi się o tym, że to pokaz bogactwa i przepychu, a wsparcie muzeum sztuki czy Instytutu Kostiumu schodzi na dalszy plan. Charity washing – wybielanie wizerunku poprzez dobroczynność – jest źle widziane.

Jak się zmieniło to, co pokazujemy na platformach społecznościowych? Dzisiejsi influencerzy są inni niż ci sprzed lat?
– Kiedyś na ich profilach i w ich filmikach oglądaliśmy tylko blichtr. Influencerzy chcieli pokazać się z jak najlepszej strony, więc wszystko było wystudiowane, zdjęcia wymuskane, pokazywano wyłącznie idealne kadry. Dziś jest w tym jednak więcej autentyczności. Pokazuje się np. rodzicielstwo bez lukru, problemy w związku, porażki. Zwłaszcza młode pokolenie jest na to wyczulone, nowi influencerzy starają się być bardziej prawdziwi, co też skraca do nich dystans. Bo wydaje nam się, że są tacy jak my – też im się czasami rozlewa mleko, nawet jeśli mają idealny blat.

Autentyczność w sieci jest wykreowana?
– Tak, to też może być wykreowane. Jest zagraniczna influencerka, która zbudowała popularność na byciu wiecznie niezadowoloną matką. To normalna kobieta, która zdobyła mnóstwo obserwujących, pokazując śmieszne, niby autentyczne ciemne strony rodzicielstwa. Tak siebie wymyśliła.

Jeśli zauważę, że chaos bardziej trafia do moich odbiorców, to będę im pokazywała bałagan na balkonie i porozrzucane kartony.

Czyli wracamy do tego, że oglądamy serial z konkretnym scenariuszem i grą aktorską.
– Oczywiście, że tak. Mój ulubiony socjolog Erwin Goffman napisał książkę pt. „Człowiek w teatrze życia codziennego", w której mówi o tym, że w różnych sytuacjach każdy z nas odgrywa różne role. Nie wszędzie musimy być autentyczni. Goffman dzieli nasze życie na to, co wewnątrz i na to, co na zewnątrz. Jak w teatrze. To, co jest na scenie, to fasada, którą widzą ludzie. Nie widzą natomiast zaplecza, czyli tego, co się dzieje w domu, kiedy jesteśmy naprawdę sobą. Jest w tym też element samoregulacji – musimy mieć nasz wentyl bezpieczeństwa w postaci kulisów.

Nic z tego nie brzmi zaskakująco. Chyba każdy odbiorca powinien mieć świadomość, że nie ogląda kulisów, tylko to, co na scenie. Skoro więc potrafimy wyczuć fałsz, dlaczego ufamy influencerom bardziej niż np. naukowcom?
– Mamy upadek autorytetów, brakuje nam poczucia, że ktoś o nas zadba. I jeśli pojawi się ktoś tak charyzmatyczny, jak powiedzmy Doda, i ta osoba będzie np. reklamowała suplementy, albo inne cuda na kiju, to wejdziemy w to, jak w masło. Chyba że ktoś inny powie: „Słuchaj, ale to jest ściema, to nie działa". Dlatego w świecie internetu cały czas trwa walka o przyciągnięcie uwagi.

Są osoby, jak np. Dziki Trener czy pani Beata Pawlikowska, o której było ostatnio głośno, które mają swoje stałe grono wyznawców i cokolwiek taka osoba nie powie pewnym siebie głosem, dodając, że są na to badania, to ci obserwujący będą jej bronić. Będą legitymizować teorie spiskowe, wstawią się za swoim guru, bo mają potrzebę, żeby ktoś ich prowadził za rękę. A jeśli pojawią się głosy krytyczne – a w końcu się pojawią – to natychmiast te krytyczne osoby zostają zakrzyczane i w efekcie z takiego profilu uciekają.

Bóg i Kościół to już nie są autorytety, potrzebujemy nowych bożków.

Influencerzy stali się ich substytutem?
– Trochę tak. Stali się substytutem autorytetów i osób pełniących rolę przewodników życiowych. Chociaż na szczęście młode pokolenie patrzy na to wybiórczo,

eprasa.pl 97b7b16417

wybiera sobie z tego zalewu treści to, co im odpowiada. Najgorsze jest to, że osoby starsze, wychowane na tradycyjnych mediach, często ufają temu, co przeczytają w internecie, tak samo jak kiedyś ufały gazetom. Często nie mają żadnego filtra na ściemę, dezinformację, teorie spiskowe. Młodsi, wychowani w nowej rzeczywistości, wiedzą, że zdjęcie może być przerobione albo wygenerowane przez AI. Starsi nie zawsze.

To gdzie szukać autorytetów?
– Wszędzie, tylko trzeba weryfikować źródła. Nic nie zastąpi krytycznego myślenia.

Świat wirtualny wyzwala w nas najgorsze emocje? Iksiński, którego pewnie przyjaciele znają jako przykładnego męża i ojca, w serwisach społecznościowych może wypisywać ludziom najgorsze świństwa. Tam się wyładowujemy?
– Internet bywa wentylem bezpieczeństwa, to obraz naszych napięć, tego, co nas boli, czego się boimy albo o czym wstydzimy się powiedzieć głośno. Czasami mamy ochotę powiedzieć przyjaciółce coś niemiłego, ale twarzą w twarz nam głupio, puszczamy więc wodze fantazji w internecie i tam dajemy ujście frustracjom.

KATARZYNA KRZYWICKA-ZDUNEK

socjolożka, badaczka jakościowa, pomysłodawczyni i liderka projektów poświęconych rodzicom i dzieciom oraz polskim kobietom i mężczyznom. Współtwórczyni platformy instagramowej socjolożki.pl

Jak będzie zmieniało się to, co oglądamy w serwisach społecznościowych? Dziś „autentyczność" zaczyna wypierać wykreowany ideał, a co będzie dalej?
– Tego nikt chyba nie jest w stanie przewidzieć. Może w większym stopniu będzie wykorzystywana AI? Nie wiadomo natomiast, czy popularność będą zyskiwały konta lifestyle'owe, czy może ludzie zmagający się z jakimiś kryzysami, tak jak było w pandemii. Myślę jednak, że niezależnie od wszystkiego influencing będzie miał się nadal dobrze.

Każdy może być influenerem?
– Trzeba mieć do tego predyspozycje, pomysł na to, jakie treści chce się generować. Umieć zarządzać kryzysem wizerunkowym. Być pracowitym, konsekwentnym, otwartym na ludzi. Mieć twardą skórę, żeby radzić sobie z hejterami, którzy prędzej czy później się pojawią. Trzeba też być odważnym i mieć skłonność do ryzyka. To trochę jak praca jak w marketingu.

To w końcu lubimy tych influencerów, czy ich nie lubimy?
– Raczej nie lubimy i im zazdrościmy. A zazdrościmy tego, że wpadli na jakiś pomysł i się na nim dorobili, ale przecież my też mogliśmy to zrobić, tylko zabrakło nam pomysłu, a w ogóle to woleliśmy pójść do szkoły i zdobyć edukację. Porównujemy się, jednocześnie podkreślając, że chociaż nie udało nam się tyle osiągnąć, to i tak jesteśmy pod jakimś względem lepsi. ▲

OGŁOSZENIE



eprasa.pl 97b7b16417

TRENDY
JESIEŃ | ZIMA
2026 | 2027

Tradycyjna strategia luksusu opierała się na sprzedaży nierealnego marzenia. Nowy model biznesowy marek opiera się na relacyjności - klientka kupuje projekt, który szanuje jej dojrzałość, status i złożoną tożsamość.



SONJA JUNOSO DLA MARCELL PUSTUL





Erotyzm dojrzałości

Przemysł modowy, który od zawsze karmił się młodością, nareszcie dostrzegł starsze kobiety. Czy jesteśmy świadkiniami epokowej zmiany?

MAGDALENA KACALAK



BELLA FREUD DLA JW ANDERSON

PHOEBE PHILO

Konsumentki w wieku 45-70+ charakteryzują się najwyższym poziomem skumulowanego kapitału i stabilności finansowej. Angażowanie modelek w zbliżonym wieku zmniejsza ich opór przed zakupem.

eprasa.pl 97b7b16417



LEMAIRE



PHOEBE PHILO

GILLIAN ANDERSON DLA MIU MIU

Bardzo możliwe, że trwająca całe dekady obsesja branży mody na punkcie nastoletniej niewinności, urody i sylwetki dobiega końca. W sezonie jesień/zima 2026 projektanci porzucili trywialną estetykę TikToka i dostrzegli starsze kobiety. Odkryli, że prawdziwa zmysłowość wymaga bagażu życiowych doświadczeń, samoświadomości i samoakceptacji – także w wymiarze ciała. Że pożąda osobistej historii i autorytetu wynikającego z dojrzałości.



MAGDALENA KACALAK

WIDZIMY WAS

Kult młodości od zawsze był paliwem branży mody, a wiotkie, nastoletnie ciało idealnym – i często jedynym – wyznacznikiem (lub wieszakiem) dla luksusu. Szczęśliwie w tym sezonie coś tąpnęło – na wybiegach modowych pojawiły się dojrzałe modelki. Redaktorzy mody „Financial Times" i „The New York Times" określili to zjawisko mianem „eroticism of authority" (erotyzm dojrzałości), a zanik generacyjnego podziału w projektowaniu odzieży uznali za epokową zmianę. Ubranie przestało być narzędziem infantylizacji, a stało się środkiem do podkreślania autorytetu, sprawczości i erotyzmu, który nie pyta o wiek.

KOGO STAĆ NA LUKSUSY?

Ta gwałtowna zmiana estetyczna nie jest wyłącznie kaprysem dyrektorów kreatywnych. Wynika z chłodnej kalkulacji realiów rynkowych, skrupulatnie analizowanych przez serwis „Business of Fashion" oraz raporty McKinsey & Company. Ostatnie sezony przyniosły brutalną weryfikację strategii marek, które w latach 2020-2024 ślepo goniły za pokoleniem Z, dostosowując swoje kolekcje do estetyki serwisów społecznościowych i ulotnych mikrotrendów opartych na chwilowych zachwytach typu „mob wife" (trącący kiczem styl ekranowych żon gangsterów) czy „dark academy" (mroczna elegancja). Badania rynku pokazały, że młodsi konsumenci, mocniej dotknięci inflacją i niepewnością na rynku pracy, okazali się nielojalnymi klientami, pozbawionymi odpowiedniej siły nabywczej, by utrzymać choćby segment prêt-à-porter. Z danych rynkowych wynika jednoznacznie: ponad 60 proc. globalnej sprzedaży odzieży luksusowej i krawiectwa miarowego generują obecnie konsumentki z grup wiekowych 40+, 50+ oraz 60+. To pokolenie „silver tsunami", czyli kobiet wykształconych, stabilnych finansowo, posiadających ukształtowany kapitał kulturowy (w rozumieniu Pierre'a Bourdieu) oraz wyrazistą tożsamość. Jak zauważyła Vanessa Friedman na łamach „New York Timesa": „Projektanci wreszcie przestali projektować dla wyobrażonej 19-letniej muzy, a zaczęli tworzyć dla kobiet, które podpisują czeki w ich butikach. Odcięcie się od niedojrzałej estetyki stało się dla domów mody jedynym sposobem na przetrwanie i zachowanie wiarygodności w obecnych warunkach ekonomicznych".

OD PRZESZKODY DO DOJRZAŁOŚCI

Obserwowanie pokazów kolekcji na aktualny sezon przyniosło refleksję, że reprezentacja dojrzalszych modelek i ikon popkultury, które faktycznie zapracowały na to miano, to nie sytuacja epizodyczna ani „występy gościnne", jakie widzieliśmy w poprzednich latach. Dobrze to widać u Saint Laurent, gdzie Anthony Vaccarello, dyrektor kreatywny, pokazał monumentalne, posągowe sylwetki prezentowane przez charyzmatyczne kobiety. Zamiast odsłaniać ciało w sposób dosłowny, zaoferował nową formę zmysłowości: skrajnie przerysowane w ramionach smokingi, aksamitne kolumnowe suknie i zabudowane koronki, które nie traktują negliżu jako formy kapitulacji. „Zmysłowość nie ma nic wspólnego z odsłanianiem skóry. Zmysłowość to pewność siebie, autorytet i postawa człowieka, który nie musi już niczego udowadniać" – zadeklarował projektant w rozmowie z „Vogue Runway".

Z kolei Miuccia Prada – zarówno w kolekcjach Prada, jak i w Miu Miu – dokonała dekonstrukcji pojęcia „ubrania dla odpowiedniego wieku". Na jednym wybiegu, w tych samych surowych, tweedowych gar-

eprasa.pl 97b7b16417



SONJA JUNOSO DLA MARCELL PUSTUL

GABRIELA HEARST

JW ANDERSON

FOT. NOWFASHION / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS, TOM NICHOLSON / AP PHOTO / EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE

Prezentacja ubrań na ciałach o dojrzałych proporcjach daje realny obraz tego, jak tkanina układa się w ruchu. Skutkuje to trafniejszymi decyzjami zakupowymi i odczuwalnym spadkiem kosztownych zwrotów w e-commerce.

sonkach o strzępionych brzegach i architektonicznych płaszczach-kokonach, wystąpiły dwudziestoletnie modelki i dojrzałe kobiety z widoczną siwizną i twarzami, na których widać upływ czasu. Miu Miu, dotychczas kojarzone z młodzieńczym buntem, w sezonie jesień/zima 2026 stało się przykładem międzypokoleniowej ciągłości. Garsonka 2.0, zestawiona z ciężką dzianiną czy gęstym futrem barankiem, przestała przebierać kobietę, a zaczęła nadawać jej wyrazisty, intelektualny ciężar. Co więcej, Miuccia w kooperacji z Rafem Simonsem dokonała w kolekcji Prady dekonstrukcji codziennego ubioru. Zamiast tradycyjnej obsady złożonej z 60 modelek zatrudniono ich tylko 15, a każda z nich wyszła na wybieg cztery razy. Za każdym razem modelka zdejmowała lub modyfikowała kolejne elementy stroju, pokazując, że ubiór żyje, zmienia się i funkcjonuje na wiele sposobów w ciągu dnia. Znamy to z autopsji.

WAGA KOBIECEGO SPOJRZENIA

Czym dokładnie jest ów nowy erotyzm dojrzałości? W ujęciu socjologicznym to skrajne odrzucenie klasycznego już męskiego spojrzenia. Tradycyjnie, seksualność w modzie przez dekady opierała się na eksponowaniu młodego wieku i związanej z nim uległości oraz fizycznej dostępności ciała. Akcent przesuwa się teraz z epatowania sobą na świadome budowanie wizerunku, bez oczekiwania na komunikat zwrotny od otoczenia. W kontekście ubioru wygląda to tak, że dominują formy odległe od ciała, dające mu oddech, a nie zmuszające do wciągania brzucha. Strój buduje dystans, nie tylko formą, ale także poprzez materiał, bo ciało otaczają gotowane wełny, grubo dziane sploty i usztywniona skóra. Zmysłowość manifestuje się poprzez dotyk szlachetnych, ciężkich tkanin (aksamit, tweed, strukturalny żakard), a nie przez podporządkowanie się dyktatowi odsłoniętego brzucha czy talii. Seksowne jest to, co nieprzeniknione, surowe i posągowe. Kobieta w garniturze emanuje siłą, która wzbudza respekt, a nie protekcjonalną chęć dominacji. Jak pisze Sarah Mower w „The Cut", moda nareszcie zrozumiała, że najbardziej erotycznym organem jest ludzki intelekt, a ten dojrzewa wraz z wiekiem. Ubranie w tym sezonie nie służy do szukania aprobaty otoczenia – służy do manifestowania własnej autonomii.

STOSOWNIE DO WIEKU

Najbardziej fascynującym skutkiem tego zwrotu jest przeformułowanie wyobrażenia na temat tego, co komu wypada nosić. 25-latka i 60-latka sięgają po te same elementy garderoby, odnajdując w nich różne wartości. Młodsze pokolenie wybiera surową estetykę ubioru (tweedowe garsonki, sztywne płaszcze-kokony, ciemną florystykę), ponieważ szuka w niej ratunku przed przebodźcowaniem i powierzchownością cyfrowego świata. Dla nich nowe krawiectwo to pancerz ochronny i zwrot w kierunku dojrzałości. Tymczasem dojrzałe kobiety odnajdują w tych formach swoje naturalne środowisko – ubrania, które szanują ich ciało, nadają im sprawczość, ale też nie wtłaczają w konserwatywne i bezkształtne ramy mody dla seniorek.

Miejmy nadzieję, że sezon jesień/zima 2026 zapisze się w historii jako moment, w którym przemysł modowy okazał swoją dojrzałość. Chciałabym, by nie był to chwilowy trend, lecz wyraz głębokiej świadomości. Odejście od wpędzającego w kompleksy kultu młodości daje projektantkom i projektantom (ale także nam, klientkom) szansę na budowanie wypowiedzi estetycznej opartej na ludzkiej godności, sile i tożsamości. Prawdziwa elegancja, charyzma i sensualność nie są domeną 20-latek, lecz przywilejem kobiet, które niosą ze sobą jakąś historię i mają odwagę, by zająć należną im przestrzeń. ▲

eprasa.pl 97b7b16417

SKECHERS

HANDS FREE Slip-ins

GLIDE-STEP

Air-Cooled MEMORY FOAM™



BEZ UŻYCIA RĄK PO PROSTU WSUŃ STOPY I GOTOWE

Zakładanie butów jeszcze nigdy nie było łatwiejsze dzięki Skechers Hands Free Slip-ins®. Zero schylania się. Bez dotykania butów. Po prostu wsuwasz stopy i gotowe.

Heel Pillow™ utrzymuje stopy bezpiecznie w miejscu!

NIGDY WIĘCEJ DOTYKANIA BUTÓW RĘKAMI

NIGDY WIĘCEJ SCHYLANIA

MOŻNA PRAĆ W PRALCE



skechers.pl

eprasa.pl 97b7b16417



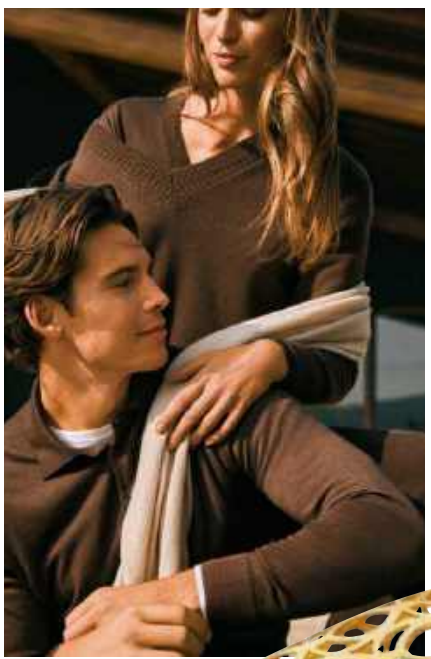
SZLACHETNIE

W linii Premium Capsule **Ochnika** główną rolę odgrywają szlachetne materiały, m.in. naturalna skóra, satyna, żakard i welur, o dopracowanej formie i wyrazistych detalach. Paleta barw to odcienie burgundu, czekoladowego brązu i klasycznej czerni.



SPOKOJNIE

Najnowsza odsłona kampanii Sztuka Kobiecości **SOLAR** powstała wspólnie z Magdaleną Lamparską. To opowieść o kobiecie, która ufa intuicji, szanuje swoją przestrzeń i wie, że największa siła rodzi się z bycia w zgodzie ze sobą. Ubrania mogą jej w tym tylko towarzyszyć. Naturalnym tłem tej historii stały się Wzgórza Dylewskie i Hotel SPA Dr Irena Eris — miejsce, gdzie natura nie jest tylko tłem, lecz doświadczaniem.



MIĘKKO

W nowej kolekcji **Falconeri** znalazła się linia uniseks, naturalny i niefarbowany kaszmir oraz modele ze skórzanymi detalami i subtelnym połyskiem. Kolekcję uzupełniają kaszmirowe płaszcze jakości premium.



DUMNIE

Bądź dumna z tego, kim jesteś - to hasło towarzyszy kolekcji Pavoni marki **YES**. Powraca w niej kultowy motyw pawia z lat 80., ale w nowoczesnym wydaniu. Każdy element jest tu wykonywany tradycyjną metodą odlewu, a następnie w całości obrabiany ręcznie.



PEWNIE

Buty są od tego, by kroczyć pewnym krokiem. **Carinii** to polska marka butów, która w tym sezonie zaprosiła do współprojektowania kolekcji Magdę Pieczonkę. Mokasyny należą do najbardziej udanych modeli marki.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (XX); OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

eprasa.pl 97b7b16417



JAK W KOKONIE

Płaszcz obszerny, luźny, z miękkiej wełny. Można się nim owinąć jak szlafrokiem. Z szalem lub stójką w tym samym kolorze.





1. Płaszcz welniany, **Taranko** ***1699 zł***; **2.** Płaszcz z mieszanki wełny, **Bonprix** ***429,99 zł***; **3.** Torebka skórzana, **COS** ***900 zł***; **4.** Płaszcz welniany, **Marc O'Polo** ***1639 zł***; **5.** Półbuty zamszowe, **Balagan** ***139 zł***; **6.** Płaszcz, **KappAhl** ***549,99 zł***; **7.** Toczek welniany, **Reserved** ***119,99 zł***; **8.** Płaszcz doubleface z kaszmirem i jedwabiem, **Patrizia Aryton** ***4499 zł***; **9.** Płaszcz welniany, **Sézane** ok. ***2000 zł***; **10.** Krótki płaszcz z wełną, **Ochnik** ***459,90 zł***; **11.** Czółenka skórzane, **Hego's Milano** ***599,99 zł***;

eprasa.pl 97b7b16417



MIĘKKO

Układa się skóra w tym sezonie na sylwetce. Nosimy ją już nie tylko na okryciach wierzchnich. Do tego odważnie wkraczamy w kolor, od śliwki do czerwieni.





KOMPLETY

Ułatwią poranną decyzję. Mniej sztywne, nawet w materiale. Nowy rodzaj służbowego uniformu – na większym luzie.

1. Komplet **Tatuum** ***449,99 zł + 399,99 zł***, **2.** Naszyjnik, **Kulik** ***590 zł***, **3.** Komplet welniany, **Monday Artwork** ***1790 zł + 990 zł***, **4.** Komplet z bawełny, **Solar** ***649 zł + 599 zł***, **5.** Kolczyki Pavoni, **YES** ***149 zł***, **6.** Mokasyny, **Gino Rossi/Eobuwie** ***299,99 zł***, **7.** Garnitur ze sztruksu, **Solar** ***799 zł + 599 zł***, **8.** Garnitur z wełny dziewiczej i kaszmiru, **Patrizia Aryton** ***2599 zł + 1399 zł***, **9.** Garnitur welniany, **BOSS/Breuninger** ***1105 zł + 669 zł***

eprasa.pl 97b7b16417



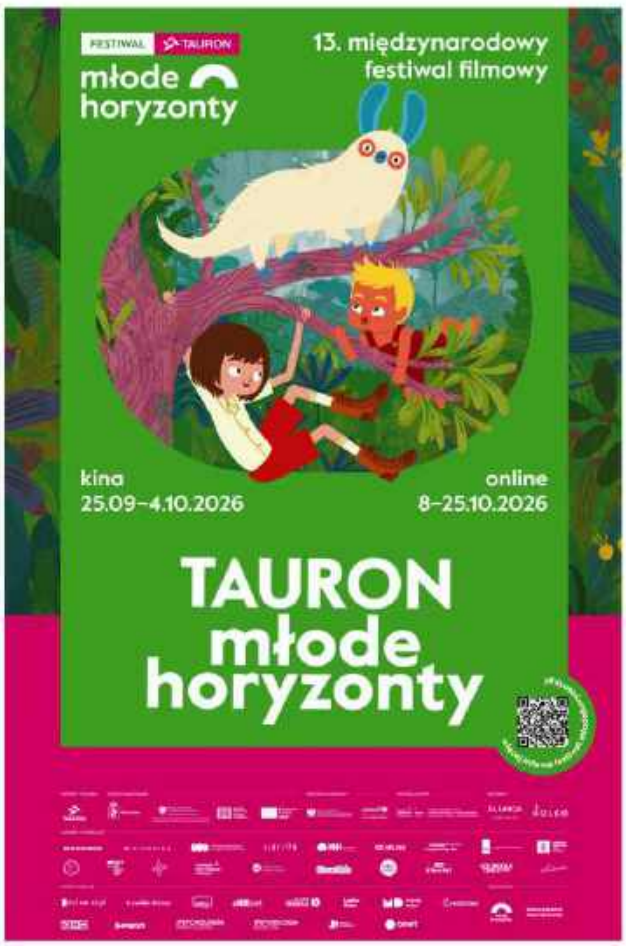
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

1. Kurtka, **Answear.LAB** ***469,99 zł***; **2.** Pasek, **Vanzetti/Breuninger** ***259 zł***; **3.** Kolczyki pozłacane, **KOPI** ***550 zł***; **4.** Spódnica, **BOSS/ Modivo** ***2544 zł***; **5.** Szorty, **Sézane** ok. ***750 zł***; **6.** Półbuty, **Tommy Hilfiger/Modivo** ***699,99 zł***; **7.** Ramoneska, **Wasalaa** ***3499 zł***; **8.** Torebka, **Mandel** ***1400 zł***; **9.** Zegarek Desir 29.6mm, **Tissot** ***2159 zł***; **10.** Sneakersy, **Skechers** ***320 zł***; **11.** Spódnica, **Ochnik** ***699,90 zł***; **12.** Kurtka, **Reserved** ***659,90 zł***; **13.** Kurtka, **Taranko** ***2299 zł***;



13. MFF TAURON MŁODE HORYZONTY

Święto kina dla młodych już od 25 września!



Międzynarodowy Festiwal Filmowy TAURON Młode Horyzonty już niedługo po raz trzynasty zgromadzi młodych widzów przed kinowymi ekranami. Przez dziesięć dni zaprezentowane zostaną najlepsze filmy dla młodej widowni: od najświeższych premier prosto z najważniejszych światowych festiwali po ponadczasowe klasyki, pamiętane wciąż przez dzisiejszych rodziców.

W repertuarze znajdą się filmy zarówno dla tych, którzy dopiero odkrywają kino, jak i dla starszej widowni, poszukującej historii bliskich jej doświadczeniom. Nie zabraknie filmowych odkryć i fantastycznych światów, stworzonych przez nieskrępowaną wyobraźnię twórców, ale również głęboko zakorzenionych w rzeczywistości filmów dokumentalnych czy powrotów ulubionych bohaterów. Tegoroczna edycja odbędzie się od **25 września do 4 października** w kinach w 48 miastach w Polsce, z Warszawą i Wrocławiem jako głównymi lokalizacjami. Po raz pierwszy **wybrane tytuły będą dostępne także w sieci kin Helios**. Od 8 do 25 października część programu będzie dostępna online.

Program oraz bilety: festiwal.mlodehoryzonty.pl

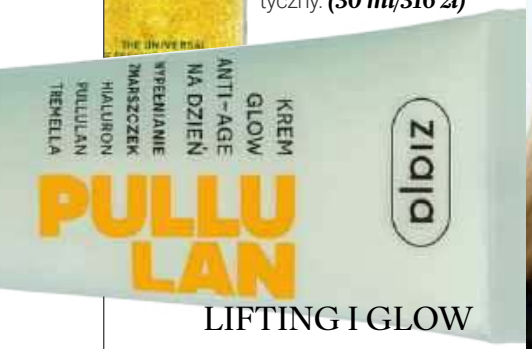
OGŁOSZENIE

eprasa.pl 97b7b16417



PATENT NA MŁODOŚĆ

Technologia nowego Super Serum Longevity Nuxe objęta jest patentem. Oddziałuje ono na kluczowe mechanizmy związane ze starzeniem się skóry. Zawiera m.in. aktywny morski ekstrakt postbiotyczny. ***(30 ml/316 zł)***



LIFTING I GLOW

Pullulan to polisacharyd (cukier) uzyskiwany w procesie fermentacji przez grzyby. Tworzy na skórze ochronną warstwę, która ogranicza utratę wody. Krem Glow Anti-age marki Ziaja z pullulanem nawilża, liftinguje i optycznie wypełnia zmarszczki. ***(30 ml/15 zł)***



MOCNE OKO NA JESIEŃ

Na trendy makijażowe odpowiadają dwie premiery marki Inglot do podkreślania oczu: konturówka Creamy Line - łatwo się nakłada i blenduje, zastyga do 16 h, oraz 6 metalicznych cieni Shimmer Glow. ***(konturówka: 59 zł, cień 49 zł)***





BRĄZ, ZŁOTO, MIEDŹ

W jesiennych trendach kolorów paznokci dominują: brązy, czerwienie, fiolet. Stylizację manicure uzupełniają m.in. prasowane pyłki. W NeoNail w czterech odcieniach – złotym, miedzianym, srebrnym i brązowym. Pyłki pozwalają uzyskać połyskujący efekt. Dołączony do palety silikonowy aplikator ułatwia precyzyjne rozprowadzenie pyłku. ***(59,99 zł, neonail.pl)***



WYCELOWANE

Nowa linia pielęgnacyjna Beauticine Lab Bielendy to kosmetyki, których składy koncentrują się wokół jednego składnika i celu. Do wyboru: naprawczy Colostro krem, anti-aging Retino-krem i nawilżający Hialuro-krem. ***(40 ml/35,99 zł)***



ŻELOWA ODBUDOWA

Dla tych, którzy nie lubią tłustych produktów do włosów, powstał odbudowujący olejek z peptydami w formie żelu. Szybko się wchłania, wygładza włosy. Glow peptide Neboa zawiera olej migdałowy i olej awokado. ***(50 ml/39 zł)***



CZTERY SZOTY

tołpa® stworzyła system pielęgnacji skóry oparty na wysokich stężeniach składników aktywnych oraz technologii mikrosomów. Do wyboru tołpa® dermo shots: nawilżający, barierowy, regenerujący i rozświetlający. ***(1 szt. 50 ml/49 zł)***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (XX), OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

eprasa.pl 97b7b16417

Dyskretny urok *Hollywood*

Miała być prawniczką, potem pracowała jak producentka filmowa, w końcu została makijażystką. Jej klientkami są m.in. Taylor Swift i Natalie Portman

Z **JOANNĄ KLEIN**, POLSKĄ MAKIJAŻYSTKĄ MIESZKAJĄCĄ W LOS ANGELES, ROZMAWIA ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Od wielu lat mieszkasz w Los Angeles, gdzie pracujesz jako makijażystka, ale urodziłaś się w Gdańsku. Jak wyglądała twoja droga do Hollywood?

– Była długa i różnorodna. Kiedy miałam pięć lat, wyjechałam z rodzicami na stałe do Niemiec. Po liceum rodzice namówili mnie na studia prawnicze w Bonn, ale szybko zdałam sobie sprawę, że to nie dla mnie. Wytrzymałam dwa lata. W międzyczasie chciałam spróbować czegoś innego, wzięłam trochę wolnego i aplikowałam do fundacji w Kolonii, która daje możliwość młodym ludziom odkrywania świata filmu i mediów. W Kolonii są duże studia filmowe, a mnie zawsze fascynował przemysł.

Moim pierwszym projektem była praca na planie filmu „Mały wampirek" w 1997 roku [niemiecko-holendersko-amerykański film familijny/fantasy z 2000 roku – przyp. red.]. Byłam tam asystentką producenta. Zaczynałam od samego dołu. Film stał się moją miłością i pasją. Odkryłam, że jestem dobra w liczeniu pieniędzy, w planowaniu budżetu i organizacji. Chciałam to robić. Pojechałam więc na studia do szkoły filmowej w Nowym Jorku, po nich pracowałam przy wielu filmach. Jednak praca producenta to głównie godziny spędzone przy komputerze, mój kręgosłup odmówił posłuszeństwa. Ponadto jest to zajęcie bardzo stresujące, a środowisko bywa toksyczne, więc przeszłam kryzys psychiczny. Postanowiłam, że muszę coś zmienić. Byłam w środowisku filmowców, pomyślałam, że może zacznę robić na planie coś innego. Wymyśliłam makijaż, który wykonuje się na stojąco, jestem w ruchu.

To spory przeskok od producentki do makijażystki.

– Najpierw poszłam do szkoły makijażu w Nowym Jorku. Miałam też swojego mentora, makijażystę z Austrii, który pracował na planach filmowych i zajmował się charakteryzacją. W ten sposób zaczęłam uczyć się, jak malować oraz czesać aktorów i aktorki na planie.

Po szkole charakteryzacji przeprowadziłam się do Los Angeles. Rozpuściłam wici, że szukam pracy i chciałabym zostać asystentką makijażysty albo makijażystki. Znałam ludzi z branży, a kiedy jest się bystrym, pracowitym, profesjonalnym, to ludzie chcą, żebyś z nimi pracowała. Rozwijałam sieć kontaktów. Powoli zaczęłam mieć klientów. I tak to się do dziś kręci.

Poza aktorami zaczęłaś też pracować np. z muzykami, piosenkarkami.

– Biznes filmowy już wtedy, w 2010 roku, zaczynał się w Hollywood trochę załamywać i przenosić gdzie indziej. Wiele filmowych produkcji kręcono w Georgii, Atlancie, Kanadzie. A dziś producenci przenoszą robienie filmów do Europy. Los Angeles okazało się za drogie.

Zaczęłam więc pracować też w reklamie i z muzykami. Poznałam gwiazdy sceny muzycznej, które są dziś moimi klientami i klientkami.

Zawsze było tak w moim życiu, że jedne drzwi się zamykały, a inne otwierały.

Zastanawiam się, jak zdobywasz zaufanie swoich klientów i klientek, bo jednak są to osoby, dla których wizerunek, wygląd są bardzo ważne, więc muszą mieć osobę godną zaufania, która będzie odpowiedzialna, dyskretna, solidna i oddana.

– To najtrudniejsza część mojego pracy. Nie jest wcale trudne samo wykonanie makijażu – mam w tym lata doświadczenia – ale budowanie zaufania to jest proces. Znane osoby bywają nieufne, zdystansowane, niektórym nie jest łatwo oddać kontrolę. Porównałabym tę relację do tańca. Jeden krok w przód, jeden w tył, dwa w przód i tak powoli się poznajemy i budujemy więź. Jak

eprasa.pl 97b7b16417

już czują się ze mną pewnie, bardziej mi ufają, to pozwalają mi na więcej. Czasem mam wrażenie, że to może być trochę podobne do pracy terapeuty.

Czyli liczy się charakter i sposób bycia, nie tylko umiejętności.
– Tak, i myślę, że pomaga mi to, że mam doświadczenie wielokulturowe. Amerykanie mają inny sposób myślenia niż Europejczycy, inną mentalność, a Azjaci to zupełnie inna kultura. Moja najlepsza przyjaciółka jest Japonką. W Japonii stawia się nie na jednostkę, a na wspólnotę. Nie ceni się tak bardzo indywidualności, myśli się zbiorowo.

Uważam, że mam dobre wyczucie ludzi. Umiem wyczytać ich nastrój, poziom stresu i zarządzić tym.

Twoją klientką jest między innymi Taylor Swift. Czego oczekują od ciebie gwiazdy takiego formatu?
– Najważniejsza jest dyskrecja, zachowanie prywatności. Osoby tak znane chcą być pewne, że kiedy wyjdziesz z ich domu, to żadne zdjęcie, które zrobiłaś podczas wizyty u nich, nie znajdzie się w internecie.

A jeśli chodzi o makijaż, to znane osoby nie różnią się od innych. Na koniec dnia każdy chce wyglądać atrakcyjnie, najlepiej jak się da. Chociaż raczej nie można tego wyglądu bardzo zmieniać. Gwiazdy mają jakiś określony styl, więc nie robimy nagle wielkiej metamorfozy. Duże zmiany trzeba uzgadniać.

Mogłabyś zdradzić tipy makijażowe dla dojrzałych kobiet?
– U kobiet 40+ chodzi głównie o podnoszenie, bo skóra już nie jest tak jędrna jak u 20-latki. Optycznie chcemy wyciągnąć twarz do góry. Podnieść kąciku oczu, linię żuchwy, kości policzkowe, kąciki ust. Te triki robi się za pomocą korektora, bronzera, eyelinera. Makijaże, które wykonuję na co dzień, są zazwyczaj minimalistyczne, naturalne i subtelne. Nie nakładam dużo produktów, nie robię maski, nie chcę karykatury. Najczęściej znajduję jakiś piękny element twarzy, który chcę podkreślić. Reszta zostaje tłem.

Czy różni się czymś praca makijażystki w Europie i USA?
– Panuje przekonanie, że w USA nosi się dużo makijażu, a w Europie mniej. Wiele osób patrzy na to przez pryzmat tego, co oglądają w mediach, filmach, w programach, np. w reality show takim jak „Z kamerą u Kardashianów". Ale prawda jest taka, że wszystko zależy od generacji, od grup społecznych, a nie od kontynentu. W Nowym Jorku na przykład ludzie noszą się bardzo minimalistycznie. Większe miasta różnią się od mniejszych. W Los Angeles rzeczywiście makijaż bywa cięższy, ale to wyjątkowe miejsce – ludzie jakby tworzyli coś w rodzaju maski, za którą mogą się schować.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

A co sądzisz o zabiegach medycyny estetycznej, np. powiększaniu ust? Na polskich ulicach widać, że kobiety wykonują sobie te zabiegi.
– Rzeczywiście jest trend na wypełniacze ust, ale w Stanach obserwuję też trend odwrotny – rozpuszczania wypełniaczy. Kobiety zdają sobie coraz częściej sprawę, że nie wyglądały po tych zabiegach dobrze. Chociaż nadal widzę wiele przypadków, w których usta są naprawdę zbyt duże. Kiedy nie mogę skupić się na rozmowie i patrzeć komuś w oczy, tylko cały czas patrzę na usta, to wiem, że proporcje twarzy zostały zaburzone. Trudno jest malować taką osobę.

Chcę cię jeszcze zapytać o błędy, które kobiety popełniają najczęściej w makijażu.
– Myślę, że mają kłopot z określeniem tonacji swojej skóry – tego, czy mają oliwkowy, różowy czy neutralny odcień – i dlatego często wybierają niewłaściwe kolory do zrobienia makijażu.

Na przykład ja mam zielone oczy i one bardzo dobrze współgrają z brązowymi, brązowo-złotymi, ciepłymi kolorami, a nie zimnymi. Sama popełniałam ten błąd, kiedy byłam nastolatką, używałam niewłaściwych kolorów. Moje pierwsze doświadczenie, kiedy miałam 17 lat, wyglądało tak: „Hmm, mam zielone oczy, to może zielona kredka?". Używałam więc zielonej kredki, bo myślałam, że będzie dobrze. I jakoś tam było, ale nie jest to najbardziej korzystna opcja dla mnie. Niebieskie i zielone oczy pięknie wyglądają z brązem. I dobry będzie brązowy tusz do rzęs, czerń może być trochę zbyt mocna, bo tworzy większy kontrast.

Inny błąd – źle dobieramy róż. Jeśli mamy dużo czerwieni w skórze, np. cerę naczynkową, to powinnyśmy unikać różu w kolorze różowym, ponieważ różowy kolor podkreśli czerwień, co nie będzie dla nas korzystne.

A co jest według ciebie ważne w makijażu, jak wygląda ten proces w twoim wykonaniu?
– Przygotowanie skóry to podstawa, więc najpierw oceniam jej stan. Tak robię z każdą osobą. Kiedy dotknę skóry, mogę sprawdzić, czy czegoś jej potrzeba. Muszę stworzyć odpowiednie podłoże, na którym makijaż będzie się dobrze rozprowadzał. Czasami może to być primer, czasami odpowiedni krem. Jeśli na przykład mam do czynienia z odwodnioną skórą, która wręcz woła o więcej nawilżenia i odżywienia, to zasadniczo cokolwiek nałożę, zniknie po godzinie. Dlatego naprawdę trzeba indywidualnie ocenić, czego potrzebuje skóra.

eprasa.pl 97b7b16417

Ważne jest dla mnie również nałożenie dobrej maskary. Myślę, że maskara może zrobić ogromną różnicę. Nie musi to być pełny makijaż oka, czasami wystarczy podkręcenie rzęs.

Uwielbiam też róż, ponieważ może sprawić, że wyglądamy na naprawdę wypoczęte i mamy świeżą cerę. A gdybym miała wybrać jeszcze jedną rzecz, wskazałabym na korektor. Korektor może zrobić znacznie więcej niż podkład. Można nim przykryć tylko te miejsca, które tego potrzebują.

Co najbardziej lubisz w swoim zawodzie?

– Malowanie kogoś jest dla mnie trochę jak medytacja, bardzo mnie uspokaja.

Oczywiście uwielbiam też rozmawiać z ludźmi. Lubię prywatność, intymność, poznawanie nowych osób.

Jako dziecko chciałam być piosenkarką. Gdzieś głęboko w środku chyba trochę żałuję, że mój zawód nie jest związany ze śpiewaniem. Dlatego lubię pracować z muzykami, bo czuję, że w pewnym sensie spełniam swoje dziecięce marzenie. Poza tym muzycy są bardziej wyluzowani, jeśli chodzi o makijaż, aktorzy są nieco bardziej spięci.

A co z mężczyznami i makijażem? Widziałam, że masz wielu klientów, np. Arnolda Schwarzeneggera.

– U panów chodzi tylko o to, żeby ich skóra wyglądała dobrze, a jednocześnie, żeby nie było widać, że mają makijaż. Szczególnie w Los Angeles dużo osób ma skórę uszkodzoną słońcem, mają zaczerwienienia. Trzeba więc uspokoić cerę.

Spotykamy się z okazji premiery kosmetyku polskiej marki Alba 1913, którą można dostać w USA. Co o niej sądzisz?

– Bardzo ją lubię. Od pewnego czasu współpracuję z tą firmą regularnie, bo jej kosmetyki mają dobrej jakości składy, które wspierają i chronią skórę, a ich formuły są dobrze skomponowane. Bardzo lubię też Anti-tension spray z olejkami eterycznymi tej marki. Zanim zacznę robić makijaż, często używam go dla rozluźnienia. Spryskuję nim kark albo miejsca za uszami. Klientki i klienci to lubią.

Czy trendy makijażowe są ważne dla ciebie i twoich klientów?

– Są o tyle ważne, że ludzie, w tym moi klienci i klientki, je widzą, oglądają na portalach społecznościowych, takich jak TikTok, i chcą ich próbować na sobie. Ale powinno się je dobierać indywidualnie. W zeszłym roku był mocny trend na róż od policzka do ucha. Uważam, że jest to makijaż raczej dla młodej osoby. Dojrzała niekoniecznie musi tak uwypuklać te części twarzy, bo często ma już mniej kolagenu w tych okolicach i podkreśla w ten sposób swój wiek. Powiedziałabym więc: skupmy się na tym, jak możemy wyglądać najlepiej.

Na koniec mam zatem pytanie o trendy jesień/zima 2026-2027.

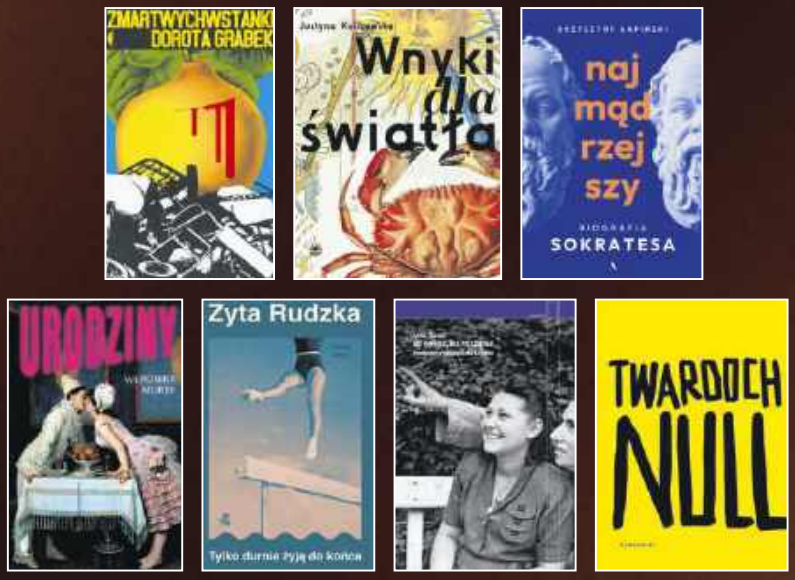
– Na nadchodzący sezon jesień/zima przewiduję przede wszystkim rozmyte, niedookreślone linie, zarówno na ustach, jak i wokół oczu. Makijaż będzie lekko roztarty, niewymuszony, z efektem *lived-in*, jakby naturalnie noszonym przez cały dzień i noc.

Na oczach pojawią się chłodne odcienie, takie jak gunmetal, grafit czy przydymione szarości, a całość dopełni bardzo minimalistyczne wykończenie skóry – świeże, subtelne i bez nadmiaru produktu. ▲

OGŁOSZENIE

Plebiscyt Nike Czytelników

30 lat Nike Nagroda Literacka



Na Wasze głosy i recenzje czekamy do 27 września

Do zdobycia nagroda pieniężna o wartości 10 000 zł.

Zagłosuj na: wyborcza.pl/plebiscytnike

REKLAMA

MECENASI STRATEGICZNI: KOBERT DOBRZYCKI Foundation, PANATTONI

MECENASI: ORLEN, KRUK

PARTNER GŁÓWNY FUNDATOR NAGRODY PLEBISCYTU: TOTALIZATOR SPORTOWY, 7 LAT

WSPÓŁORGANIZATOR GALI: TVP

eprasa.pl 97b7b16417

ROSSMANN



Moje 15 minut?

Kiedy wcierka staje się masażem

eprasa.pl 97b7b16417